



Thomas Ligotti

TEATRO GROTTESCO

PRZEKŁAD

Wojciech Gunia | Mateusz Kopacz | Filip Skutela | Aleksander Więckowski



WARSZAWA 2014

Original title: *Teatro Grottesco*
Copyright © 2006 Thomas Ligotti
All rights reserved

przekład
Wojciech Gunia
Mateusz Kopacz
Filip Skutela
Aleksander Więckowski

redakcja
Dariusz Misiuna
Jakub Winiarski

okładka
Wojciech Benicewicz
Serhiy Krykun / ilustracja

ilustracje
Radosław Włodarski

skład i łamanie
Joanna John

Copyright © for the Polish edition
by Okultura, Warszawa 2014

Wydanie I
ISBN 978-83-88922-44-2

Wydawnictwo Okultura
skr.poczt. 435, 00-950 Warszawa 1
www.okultura.pl

Spis treści:

THOMAS LIGGOTII - PRZEDMOWA DO POLSKIEJ EDYCJI

URZECZNIE KOSZMAREM
ZABURZENIA
CZYSTOŚĆ
ZARZĄDCA MIASTA
DZIWOWISKO I INNE OPOWIADANIA

Przedmowa

- I. Chorobliwa macierz*
- II. Przedwczesny komunikat*
- III. Astronomiczne rozmycie*
- IV. Otchłań form organicznych*
- V. Szał fenomenalny*

Postowie

MARIONETKA BŁAZNA

CZERWONA WIEŻA

ZDEFORMOWANIA

MOTYWY MOICH DZIAŁAŃ ODWETOWYCH

NASZ TYMCZASOWY NADZORCA

W OBCYM MIEŚCIE, NA OBCEJ ZIEMI

Cień jego wzniesie się do wyższego domu

Dźwięk dzwonek będzie nieść się bez końca

Łagodny głos szepcze: nic

Kiedy usłyszysz śpiew, będziesz wiedzieć, że nadszedł czas

ZNISZCZENI I ZGNĘBIENI

TEATRO GROTTESCO

LUNAPARKI PRZY STACJACH BENZYNOWYCH

BUNGALOW

SEVERINI

CIEŃ, CIEMNOŚĆ

BIBLIOGRAFIA PO ANGIELSKU

BIBLIOGRAFIA PO POLSKU

PRZYPISY

THOMAS LIGGOTII – PRZEDMOWA DO POLSKIEJ EDYCJI

W 1977 roku szperałem w księgarni i natknąłem się na cienką książeczkę w papierowej okładce, zatytułowaną od jednego z opowiadań. *Ulica Krokodyli*. Był to przedruk angielskiego tłumaczenia *Sklepow cynamonowych* z 1963 roku, książki pierwotnie wydanej przez Brunona Schulza w 1934 roku. W owym czasie miałem dopiero przed sobą stworzenie opowiadań, które pojawią się w rozmaitych zbiorach, lecz już kreśliłem w wyobraźni, jak i w postaci niepublikowanych, wczesnych prób pisarskich, szczególnie rodzaj zachwycająco podupadłego, zatęchłego małomiasteczkowego świata, który Schulz wykreował wiele dekad przed moimi narodzinami.

Mimo iż dorastałem w innym czasie i miejscu niż Schulz, gdy nadeszła dla mnie pora, aby jak najszczerzej wyrazić architekturę czegoś, co można określić moją duszą, ten czas i miejsce nie miały żadnego znaczenia. Moim największym problemem jako autora w fazie embrionalnej było pytanie, gdzie szukać postaci oraz oprawy opowieści, tak, by odpowiadały mojej wyobraźni. Ludzie i okolice, wśród których dorastałem, były dla mnie obce. Oczywiście, jako mieszkaniec przedmieść na granicy większego miasta przemysłowego byłem ciałem i duszą, by raz jeszcze posłużyć się tym słowem, zespolony z rodzinnymi stronami równie silnie, jak każda inna osoba w moim wieku, aczkolwiek stałem się jednocześnie

niewiele bardziej obcy niż większość społeczeństwa, w którym się obracałem. Jednakże gdy przyszło mi działać w roli istoty twórczej, odkryłem, że żyłem w tym środowisku, lecz nie byłem z *niego*. Mój paszport podstemplowano w innych rejonach - nie tyle w innych bytach narodowych, co w innych sferach, które nęciły te bardziej obce, choć dla mnie bardziej naturalne, oblicza mojej natury.

Niewykluczone, że Schulz żywił podobne odczucia w stosunku do własnego miejsca urodzin i otoczenia. Podobnie jak ja nie wydawał się związany z tak zwanymi realiami rodzinnego Drohobycza. Pierwsze, co ujrzałem w tym miasteczku, gdy stanąłem na jego ulicach, to parkan z desek, spod którego wyciekała strużka czarnej, śmierdzącej wody, żyła gnijącego, tłustego błota (w opowiadaniu *Pan*¹). W pewien sposób znałem to miejsce, jakby ta widokówka dobrze schowanego zakątka pochodziła z albumu ze starymi fotografiami, który otworzył się w mojej głowie i opowiedział prawdziwą historię mojego życia oraz mojego prawdziwego domu. Niewiele wiedziałem o tym, w jaki sposób dorośli obywatele z dowodami osobistymi żyli, pracowali i bawili się w moim kraju, w każdym razie nie na tyle, abym mógł ich opisać ze znanstwem. Rzecz jasna nie wiedziałem również nic o Drohobyczu z lat trzydziestych XX wieku. Dobrze znałem jednak brudną strużkę oraz lichą okolicę, przez którą przepływała. Kto chciałby skupiać się na takiej scenie, zamiast na zaludnionej promenadzie z rodzaju tych, jakie znaleźć można w każdym miasteczku i mieście na ziemi, miejscu spotkań i wizytówce wszystkich prawdziwie prężnych uczestników społecznej maszyny, która obsługuje cały świat? Odpowiedź: Schulz skupiłby się na takiej scenie. Podobnie ja - i tyle wiedziałem podczas chwil spędzonych samotnie w

księgarni - przystanąłbym, aby spojrzeć przez okna sklepów cynamonowych Schulza, i powędrował ulicami Schulza, a nawet zakątkami znajdującymi się za nimi, czy nawet pustymi działkami wokół nich.

Poza nielicznymi ziarnistymi zdjęciami w nieistniejącym albumie z fotografiami, nie widzę nic wspólnego między swoimi opowiadaniem a tymi autorstwa Brunona Schulza. Jestem w końcu pisarzem grozy, a nie geniuszem dysponującym swobodą odtwarzania świata jak Schulz. Co więcej, zanim zacząłem nawiedzać drogi przebiegające przez uniwersum Schulza, zdążyłem przemierzyć te przecinające podupadłe miasteczka Nowej Anglii, stworzone przez H. P. Lovecrafta oraz kosmos, który ciążył nad nimi niczym zwałista mgła, pełna potwornych organizmów, które można przeczuć, lecz rzadko kiedy zobaczyć lub usłyszeć. Oczywiście Lovecraft miał na tyle szczęścia, że żył w pobliżu rzeczywistych modeli tych miasteczek. Wiele lat później odwiedziłem te miejsca. Chociaż nie miałem możliwości zostać w nich na dłużej, do domu zabrałem wspomnienie nielicznych z nich, wcale nie przypominających tych z opowiadań Lovecrafta. Przebywałem w nich, ale nie byłem z *nich* bardziej prawdziwie niż jestem prawdziwym mieszkańcem mojego rodzinnego miasteczka, które nawet nie było miasteczkiem - zaledwie przedmieściem, bardzo ładnym zresztą, tak więc nie mogło to być miejsce, w którym natknąłbym się na tak fascynującą mnie gangrenowatą strużkę z opowiadania Schulza. Jak dla mnie, takie rzeczy istniały jedynie w snach. I to one były mi wzorcem.

Nie byłem w stanie poruszać się głównymi drogami prozy realistycznej. Tego się oczekuje od pisarza, nieważne, czy jest twórcą horroru nadnaturalnego, czy nie. Wciąż jednak robiłem wszystko, żeby wymyślić pewną rzeczywistość -

nierzeczywistą rzeczywistość - która równocześnie byłaby jak sny i nie byłaby jak one. Badając prace Edgara Poeego, zauważyłem, że postępował w ten właśnie sposób. Niektóre z jego opowiadań rozgrywają się w miejscach, które można odszukać na mapie. Ale swoje najlepsze historie osadził w wymyślonym otoczeniu. Kiedy na przykład trafiłeś na drogę do domu Usherów, nie mogłeś zmienić kierunku i podążyć tam przez Nowy Jork czy Boston. Mogłeś się udać tylko do domu Usherów. Gdybyś miał wybór, przypominałoby to opuszczenie jednego ze snów i udanie się na wakacje na Tahiti, do Londynu, czy gdzie indziej na wakacje. Oczywiście cała sztuka polega na tym, żeby uwięzić czytelnika w tych snach, żeby w trakcie czytania opowiadania nie mógł się wydostać.

Nieczęsto zdajemy sobie sprawę, że śnimy szalone bzdury. Jednocześnie, gdy już zostajemy uwięzieni w granicach snu, nic nie wydaje się bardziej prawdziwe. Właśnie granice snu stały się granicami moich opowiadań oraz obrębem, poza który bohaterowie nie są w stanie wyjść. Czasami sny mają nazwy, kiedy indziej są anonimowe. Jak naprawdę nazywała się Ulica Krokodyli Schulza? Jak nazywałem się ja, zanim się urodziłem? Dla mnie, jako aspirującego pisarza opowiadań grozy, z przyczyn praktycznych najbardziej liczyło się to, w jaki sposób pytania te prześladowają czytelnika w aspekcie, w jakim ja prześladowany byłem przez idoli z moich snów: Schulza, Lovecrafta czy Poeego.

Chciałbym móc powiedzieć, że mój postęp w stronę pisania opowiadań zawartych w niniejszej książce oraz innych pokrewnych tekstów, był tak przyjemny i owocny, jak opisałem. Ale jak w przypadku większości pisarzy, musiałem błądzić wieloma ulicami, zanim odkryłem, dokąd pragnę pójść.

Inni wskazywali mi drogę, lecz trzeba mi było zrozumieć, iż wszystko, czym dysponowałem jako pisarz, to ja sam. A dokładniej, wszystko czym dysponowałem, to moje sny. Nie zawsze jestem w moich snach lecz zawsze jestem z *nich*. Przypuszczam, że te słowa mówią prawdę o wielu z nas, zwłaszcza tych czytelnikach horrorów, którzy, trzeba to przyznać otwarcie, są dosyć niezdrowymi osobnikami, czerpiącymi radość zbycia prześladowanymi przez rzeczy, które mogą zdarzyć się tylko w snach.

Przełożył Mateusz Kopacz

URZECZNIE KOSZMAREM

*

Co to znaczy „literatura grozy”? Z grubsza wszyscy jesteśmy w stanie skutecznie zdefiniować na własny użytek ogólny zakres tego pojęcia, ująć w ramy konkretnych wyznaczników cechy gatunku, pokrótce zdefiniować jego założenia i najbardziej charakterystyczne elementy. Każdy z nas miał choć raz styczność z horrorem - uczestnictwo w kulturze masowej w zasadzie uniemożliwia nam uniknięcie spotkania z tym gatunkiem.

Z pewnością wiemy, czego się spodziewać. Figury zła wprowadzającej chaos w uporządkowaną strukturę świata i wiodącej protagonistę ku zgubie (fizycznej lub psychicznej), elementu nadnaturalności obnażającego iluzoryczność panujących, gwarantujących bezpieczeństwo zasad - i tak dalej. Szaty, w jakie przyobleka się literatura grozy oraz akcesoria, jakie wykorzystuje, są jednak drugorzędne - czy będziemy czytać o złowrogim działaniu udreńczonych duchów, czy zostaniemy świadkami igraszek infernalnych podmiotów, czy poprzez karty książki sterroryzuje nas postać wampira, wilkołaka lub mordercy o ponadnaturalnych właściwościach (nie chodzi tylko o superzdolności, ale także np. o wymykającą się poznaniu i zrozumieniu konstrukcję psychologiczno-etyczną, uosobienie obcości) - namacalne, określone wprost i bardzo często osobowe źródło grozy jest „stałą strukturalną” tego typu opowieści.

Opowieść grozy jest też przede wszystkim rozrywką - zapewniany przez nią dreszczyk emocji, nawet jeśli niegdyś służył jako mechanicznie wyzwalany substytut impulsu religijnego (groza i zdumienie jako pierwotne doświadczenie

zetknięcia z transcendencją), funkcjonuje obecnie przede wszystkim w kategoriach ludycznych, zaś jego quasi-religijna natura objawia się bardziej na zasadzie genetycznego atawizmu, nieuaktywniającego się świadomie, jedynie na poziomie sub-zeitgeistu kultury, która, kierowana potrzebą zmaksymalizowanej użyteczności, konsekwentnie usiłuje odwrócić się od cienia rzucanego przez Niepojęte, a wszelkie jego przejawy deprecjonuje, sprowadzając je do roli naiwnej zabawy.

Ale czy to jest jedyny, nieodwołalnie obowiązujący paradygmat i co z tym wszystkim ma wspólnego autor książki, którą trzymacie Państwo w rękach? Zanim przejdziemy do zbioru, za pomocą którego czytelnik będzie mógł odpowiedzieć sobie na te pytania, warto byłoby przedstawić samego autora i nakreślić najistotniejsze punkty w jego karierze literackiej.

LIGOTTI - PISARZ GROZY

Thomas Ligotti, urodzony 9 lipca 1953 roku w Detroit, mieście opuszczonych fabryk i wymarłych dzielnic, jest pisarzem grozy, jednakże jego ścieżki twórcze na mapie współczesnego horroru biegną daleko poza najczęściej uczęszczanymi traktami, którymi od sukcesu do sukcesu wydawniczego spacerują postaci pokroju Stephena Kinga, Grahama Mastertona, Petera Strauba i innych. Ścieżki te wywodzą się z rejonów, które jako pierwszy oznaczył Edgar Allan Poe, a rozświetlił Howard Phillips Lovecraft, wiodą zaś - nie gubiąc ani na moment swego złowieszczego charakteru -

poprzez obszary, których nie zwykliśmy kojarzyć z literaturą grozy. I tak do innych literacko-filozoficznych antenatów Ligottiego moglibyśmy śmiało zaliczyć Brunona Schulza, Franza Kafkę, Alfreda Kubina, Fernando Pessoe, Thomasa Bernharda, Augusta Strindberga, Petera Zapffego, Emila Ciorana lub Samuela Becketta (możemy nawet sięgnąć do *Straży nocnych* Augusta Klingemanna). U każdego z nich znajdziemy cały zestaw tematów, motywów i obsesji, równie mocno, równie potężnie rozkwitających w nietypowo frenetycznej prozie Amerykanina, którego wrażliwość moglibyśmy, wedle określenia Marii Janion, zdefiniować jako „wrażliwość galerniczą”, czyli chwytającą samą siebie w pułapkę nieustannego przeżywania negatywnych aspektów świata i istnienia.

Ligotti zaczął przygodę z pisarstwem na studiach. Już jako nastolatek przejawiał dużą fascynację opowieściami niesamowitymi pióra Arthura Machena, M. R. Jamesa oraz Algernona Blackwooda, jednak dopiero odkrycie samych korzeni tradycji, Poego i Lovecrafta, których Ligotti uważa za najszczerzych reprezentantów „czystego horroru”, zachęciło go do tworzenia w tym nurcie. Pierwszy wydany tekst Ligottiego, *The Chymist*, ukazał się w 1981 roku w „Nyctalops”, fanzinie powstającym pod współredakcją Harryego O. Morrisa, którego oniryczne ilustracje zdobiły niejedną książkę Ligottiego, począwszy od bogato zilustrowanego pierwszego zbioru *Songs of Dead Dreamer*. Przez kilka najbliższych lat kolejne opowiadania pojawiały się na łamach niszowych, niskonakładowych magazynów (m. in. „Grimoire”, gdzie autor publikował także pod pseudonimem Charles Miguel Riaz), których czytelnicy z czasem zaczęli darzyć Ligottiego ogromnym uznaniem. Debiut książkowy ukazał się nakładem

małego wydawnictwa Silver Scarab Press w 1986 roku i stał się niemal natychmiast w oczach miłośników i znawców kamieniem milowym gatunku, dzięki czemu autor szybko zdobył renomę jednego z najciekawszych pisarzy weird fiction. Niebawem pojawiły się poświęcone jego nazwisku numery specjalne czasopism „Dagon” (wrzesień 1988) czy „Crypt of Cthulhu” (październik 1989). Kolejne dwa zbiory, *Grimscribe: His Lives and Works* (1991) oraz *Noctuary* (1994), zwróciły uwagę m. in. „The Times” oraz „The Washington Post”, utwierdzając reputację Ligottiego jako pisarza horrorów filozoficznych i poszerzając grono entuzjastów. W roku 1996 wydawnictwo Carroll & Graf zdecydowało się opublikować obszerne wydanie dzieł zebranych *The Nightmare Factory*, w których skład weszły trzy pierwsze zbiory oraz dodatkowy dział zatytułowany *Teatro Grottesco and Other Tales*. To właśnie ten ostatni zestaw nowszych tekstów zostanie poszerzony o kolejne, by kilka lat później stworzyć oddzielny zbiór.

Ligotti należy do pisarzy, którzy nie lubią uciekać się do nachalnej autopromocji. Już na wczesnym etapie pisarskiej kariery zrezygnował z brania aktywnego udziału w popularyzacji swoich książek, ograniczając komentarz względem własnego piśmiennictwa do wypowiedzi w licznych wywiadach, pozostawiając ocenę swojej twórczości obiorcom. Można by pokusić się o stwierdzenie, że Ligotti zdobywał uznanie, którym obecnie się cieszy, wyłącznie dzięki wyjątkowym zdolnościom prozatorskim. Mimo jawnej niechęci do „brylowania w środowisku”, Ligotti jest twórcą zadziwiająco wszechstronnym. W trakcie swojej kariery pisał opowiadania, krótkie powieści, poematy prozą, eseje o charakterze teoretycznym i filozoficznym oraz scenariusze

filmowe (te ostatnie przy współpracy z Brandonem Trenzem). Od końca lat dziewięćdziesiątych Ligotti miał okazję współpracować z grupą muzyczną Current 93 przy trzech albumach oraz nagrać własny pt. *The Unholy City* (2003).

Nie ma wątpliwości, że Thomas Ligotti jest ekspertem w dziedzinie grozy i opowieści niesamowitych. Ponad dwudziestoletni staż w dziale krytyki literackiej w Gale Research na stanowisku redaktorskim umożliwił mu zapoznanie się z anglojęzycznymi klasykami, jak i szerokim gronem pisarzy tłumaczonych z języków obcych, o których przeciętny amerykański czytelnik ledwo co słyszał. Ligotti przestudiował w tym zakresie literaturę wzdłuż i wszerz, docierając do najciekawszych twórców, wyrażających na przeróżne sposoby swoje uwielbienie dla strachu i niesamowitości. W ten oto sposób miał okazję przeczytać ekstrawaganckie prace Europejczyków, w tym Eugene Ionesco, Gezy Csotha, Dino Buzzatiego, czy pełne hipnotyzującej melancholii, ponure białe wiersze Georga Trakla. Umiejętność czytania po francusku przybliżyła mu także dzieła Aloysiusa Bertranda, Jeana Lorraina, poematy Mauricea Rollinata oraz sztuki jednego z najwybitniejszych reprezentantów belgijskiej szkoły niezwykłości, Michela de Ghelderodea. Poprzez tłumaczenia Mirosława Lipińskiego miał też możliwość zapoznać się z opowiadaniem Stefana Grabińskiego, polskiego klasyka gatunku. Z polskich twórców ceni sobie obfitującą w metafory twórczość Brunona Schulza, ale też ekscentryczne sztuki Stanisława Ignacego Witkiewicza. Ligotti jest niespotykanym koneserem nasyconego niepokojem i perwersją *genre frenetique* o najbardziej niespotykanych obliczach. Jego niesamowitą wiedzę teoretyczną o gatunku, podgatunkach oraz technikach pisania,

a także niepowtarzalne podejście do związanych z nimi zagadnień, potwierdzają wstępy do własnych książek, zatytułowane *In the Night, in the Dark: A Note on the Appreciation of Weird Fiction*, *The Consolations of Horror*, jak również obydwie metafikcje, *Professor Nobodys Little Lectures on Supernatural Horror* oraz opublikowane w polskim przekładzie *Uwagi w temacie pisanie horroru (opowiadanie)*. Jego esej filozoficzny, *The Conspiracy Against the Human Race*, wielokrotnie odnosi się do kanonu grozy. Miał również okazję pochwalić się zakresem wiedzy w tej tematyce we wspomnianych wcześniej rewelacyjnych wywiadach, z których dwa udało się dotychczas przeprowadzić specjalnie dla polskich czytelników. Całość wywiadów z Ligottim stanowi szczególną część jego spuścizny. Wzbogacają ją na tej samej zasadzie, co listy Lovecrafta uzupełniające jego własne prace.

Autor wielokrotnie podkreślał zalety krótkich form prozatorskich w celu skutecznego wytworzenia atmosfery lęku. Według niego, istnieje mało przykładów powieści, które są w stanie skutecznie utrzymywać poziom nieustającego niepokoju przez całą długość utworu. Stąd też sam preferuje prozę krótką, zwartą, czasem wręcz fragmentaryczną, oferującą szeroki wachlarz interpretacji.

PISARZ ODREBNY I RADYKALNY

Ligotti, jako współczesny pisarz grozy, jest zjawiskiem zupełnie osobnym - wręcz ostentacyjnie oderwanym od rozrywkowo-przetwórczego kontekstu rynku horroru. Jeśli przyjmiemy, że piszący powinien być wierny własnym

poglądom, to duża liczba popularnych współcześnie pisarzy grozy zostaje zredukowana do mrowia wyrobników nieustannie prześcigających się w zaspakajaniu publiczności pragnącej jedynie silnych wrażeń. Inaczej sprawy mają się z Ligottim. Współczesnych literatów skorych sytuować się w szlachetnym towarzystwie Poego i Lovecrafta jest wielu, lecz dzieła Amerykanina w znacznej mierze odstają od prac większości jego kolegów po fachu, oferując nietuzinkową, bardzo niepoprawną politycznie perspektywę. Brak u Ligottiego wyzutych z oryginalności pastiszów (nawet jeśli podejmował się ich pisanie, zawsze osiągał pewien poziom nowatorstwa) oraz seryjnych powieści zapychających półki w dziale fantastyki. Brak u niego prób rozwijania istniejącej mitologii Cthulhu. czym, można powiedzieć, zajmuje się większość imitatorów Lovecrafta. Wszelkie odniesienia, zapożyczone motywy, próby imitacji są świadome i pomagają Ligottiemu poszerzyć i wzbogacić jego własną unikalną wizję. Oprócz chęci wzbudzenia uczucia lęku i zagadkowości, jego opowiadania pełnią przede wszystkim rolę osobistego wyznania. Tego rodzaju autoekspresji dopatruje się on również w literaturze, która służy mu za wzór. Dla Ligottiego najistotniejsze jest przekazanie pewnej gamy uczuć oraz własnego stanowiska, wywiedzionego z doświadczeń, które zdefiniowały jego stan umysłowy.

Jak już wspomniano, Ligottiego nieprzypadkowo klasyfikuje się jako czołowego reprezentanta *weird fiction*, gatunku wyrosłego z tego samego pnia co klasyczna groza, w zasadzie stanowiącego osobne zjawisko literackie, które jednak dzieli z horrorem odcienie stanów emocjonalnych wzbudzanych w czytelniku - lęku lub niepokoju. Źródła tego lęku i niepokoju są jednakże zupełnie inne. Można doszukiwać

się ich w doświadczeniu zdumienia nieprzenikalnością świata, w labiryntowej dezorientacji uczestników gry, której reguły nie tylko są nieprzejrzyste, ale - zgodnie z prawem ciągłych przeobrażeń — nieustannie tworzone od nowa.

Labiryntowość jest tu o tyle dobrym tropem, że pozwala wychwycić kolejną istotną różnicę pomiędzy Ligottiańskim *weird fiction* a horrorem - ukierunkowanie na kategorię przestrzeni jako główny nośnik znaczeń. Tak jak klasyczny horror nie może obyć się bez anomalii będącej źródłem strachu, tak weird nie może obyć się bez przestrzeni ukazanej jako obszar skłonny ujawnić swoje groteskowe zdeformowanie i swoisty brak spójności skutkujące doznaniem przez czytelnika wrażenia niesamowitości. To ta metoda w wypadku prozy Ligottiego jest aż nadto widoczna – mentalne stany protagonistów jego opowiadań zawsze pozostają w bardzo silnym związku z deformacjami przestrzeni, w której są oni zawieszeni; przestrzeń ta stanowi lustrzane odbicie ich stanów umysłowych, a także ich dopełnienie. Metodę tę Victoria Nelson w swoim studium *Sekretne życie lalek*, poświęconym m.in. Schulzowi i Lovecraftowi, określiła jako psychotopografię. Można ją odnieść równie dobrze do Ligottiego, jak i do innych pokrewnych mu duchowo twórców, na przykład Kafki i Kubina.

Psychotopografia w wypadku Ligottiego poniekąd przekłada się na język jego opowiadań - hipnotyzujące, długie zdania, pełne refrenowych powtórzeń kluczowych fraz stanowią odbicie labiryntowych, zapętających się obszarów i pozwalają całkowicie zatopić się w kreowanym w ten sposób świecie, usytuowanym na granicy znanej nam rzeczywistości i sennego koszmaru. Być może tym, co w pierwszej kolejności

pozwała zachwycić się Ligottim jest właśnie jego styl, w którym chłód i elegancja przenikają się z podskórnymi dreszczami szaleństwa, mającymi zresztą swoje podstawy w bardzo zdecydowanych, dla większości ludzi kontrowersyjnych, lub wręcz budzących gwałtowny, wewnętrzny sprzeciw poglądach na człowiecze istnienie lub istnienie czegokolwiek w ogóle. Warto się zresztą nad tą kwestią pochylić, gdyż Ligotti jest chyba jedynym pisarzem grozy, którego proza, jak i samo podejście do materii literackiej, jest tak bardzo „zideologizowana”, że stanowi w zasadzie wykładnię konsekwentnie rozwijanej myśli filozoficznej.

Na przykład warto przyjrzeć się bliżej bardzo silnie obecnemu w prozie Ligottiego wątkowi rozpraszającej się podmiotowości, czego najlepszym chyba przykładem w *Teatro Grottesco* jest zamykający zbiór tekst *Cień, ciemność*. Doznanie „cienia i ciemności”, czy też Tsalala, czyli doznanie prawdziwej siły i natury świata, funkcjonującej poza obszarem jaźni i poza polem usystematyzowanego poznania, jest doznaniem unieważniającym fenomenalne konstrukty poznawcze, które formują bodźce zmysłowe w powszechnie przyjęte struktury. Pełne doznanie istoty świata nie tyle unicestwia podmiot doznający, a raczej demaskuje go wobec jego samego jako byt fikcyjny, umożliwiając mu w ten sposób przekroczenie samego siebie, osiągnięcie „oświecenia w pustce”. Innymi słowy, zetknięcie z obszarem granicznym prawdy ostatecznej uniemożliwia funkcjonowanie umysłu jako narzędzia spekulatywnego, gdyż spekulatywność nie tylko traci jakikolwiek sens, ale - unieważniona - nie może być fundamentem jaźni jako formacji poznawczej, a zatem powoduje zanik samej jaźni.

Przekonanie o irracjonalności naszego poznania, jego rzeczywiście nie możliwości dokonywania systematyzacji, wskazuje na totalne odrębności rzeczy samych w sobie od tego, co dostępne w umyśle podmiotu. A zatem - swego rodzaju ciemny idealizm wymusza niejako sytuację, w której realność dostępna w polu poznania jest jedynie fabrykatem niepoznawalnej zewnętrżności. Można z tego wyciągnąć daleko idące wnioski: na przykład takie, iż wobec tego jest zupełnie oczywiste, że to, co wytwarza wewnętrżną przestrzeń fenomenów, dokonując na własny użytek ich pozornej obiektywizacji, jest - poprzez swoją autoreferencyjność poznawczą - zjawiskiem również faktycznie nierzeczywistym w ujęciu bezwzględnym. Ja - jako struktura poznawcza, która poznaje świat, ale i poznaje siebie jako rzekomy element świata - jest zatem fikcją, pozostającą w relacji przyczynowej ze swoim niepoznawalnym rozumowo źródłem. Zbliżenie się do tego źródła poprzez zmysłowe - pozarozumowe - odczucie jego obecności (a w zasadzie odczucie obecności w nim) z pominięciem systematyzującego mechanizmu jaźni, nie tylko unieważnia konieczność istnienia tego mechanizmu, ale także demaskuje go jako kłamstwo.

Jednakże takie podejście w swojej podstawowej formie wikła nas w kilka dalszych problemów i wymaga doprecyzowania. Pierwszym jest pułapka czystej, solipsystycznej spekulacji, albowiem nie da się w żaden totalny sposób unieważnić podmiotu jako fikcjonalnego wytworu jakiegoś *ding an sich* z perspektywy innej niż spekulatywna aktywność samego podmiotu, przez co idea absolutnie zewnętrznej siły metafizycznej staje się jeszcze jedną grą zamkniętego w sobie umysłu (na co w opowiadaniu wskazuje uwaga jednego z bohaterów o języku jako

ostatecznej warstwie kamuflującej fikcyjność podmiotu). Innymi słowy, umysł pogrążony w nieustannej dialektyce konstytuowania i unieważniania siebie nie jest w stanie wyjść ku jakiegokolwiek obiektywności zakorzenionej na zewnątrz jego samego, a także nie może - posługując się jakimikolwiek kategoriami - zanegować samego siebie. Wówczas fikcją staje się nie umysł, ale zewnętrżność jako domniemanie.

Ligotti obchodzi ten problem poprzez określenie takiej sytuacji poznawczej, w której absolutny odbiór zmysłowy, czyli praca samego ciała, nie jest w żaden sposób skorelowany z funkcją świadomości określaną jako „osoba”. Reiner Grossvogel doświadcza - lub utrzymuje, że doświadcza - właśnie takiego odbioru rzeczy: czystej zmysłowości nie zakłócanej fenomenami umysłu. Grossvogel, utraciwszy tę „władzę fenomenalno-autofenomenalną”, będącą jednocześnie iluzją dławiącą potencjał ciała w urzeczywistnieniu swojego celu - efektywności działań, zachowuje mimo to pewną formę świadomości jako obszaru roboczego, zdolną zsyntetyzować doznawany stan rzeczy (osobnym pytaniem jest to, jaki jest sens fabrykacji fikcji jaźni przez siłę animującą byt, jeżeli te fikcje redukują potencjał bytu w spełnianiu potrzeb siły animującej).

W opisie doświadczenia Tsalala, a w zasadzie w opisie metamorfozy polegającej na uwolnieniu się ciała od „ja”, które Grossvogel przytacza zdeorientowanemu audytorium, objaśniając swoje wcześniejsze bankructwo i fiasko jako artysty, pobrzmiewają w pewnym sensie echa klasycznych „ciemnych oświeceń” nihilistycznych. Takie ekstatyczne doznanie - choć w innym, religijnym kontekście - opisuje na przykład Jean Paul w *Mowie wypowiedzianej przez umarłego Chrystusa ze szczytu kosmicznego gmachu o tym, że nie ma*

Boga:

Zstąpiłem w głębiny, dokąd tylko byt rzuca swoje cienie, i zajrzałem w przepaść i zawołałem: „Ojcze, gdzie jesteś?”, ale usłyszałem tylko odgłos wiecznej burzy, nad którą nie panuje nikt, a błyszcząca tęcza z zachodu, bez słońca, które ją stworzyło, wisiała nad przepaścią i spływała w nią kroplami. A kiedy spojrzałem w niezmierny świat, szukając boskiego oka, wytrzeszczyło się ono na mnie pustym, bezdennym oczodołem, a wieczność legła na chaosie i szarpała go zębami i przeżuwała samą siebie.

Dramatyczne, pełne napięcia zetknięcie „twarzą w twarz” z otchłanią bytu opisywał również Klingemann w *Nocnych strażach*:

Oto ujrzałem siebie ze mną samym w nicości i tylko w odległej dali jarzyła się ostatnia ziemia, jak dogasająca iskra - ale była to tylko jakaś moja myśl, która właśnie się skończyła. Jeden żywy ton niósł się ciężko i poważnie przez pustkę - był to ustępujący czas, a teraz nastawała ciemność. Przestałem myśleć o wszystkim innym i myślałem tylko o sobie! Żadnego przedmiotu wokół prócz wielkiego, straszliwego Ja, które pożerało samo siebie, a połykając znów siebie rodziło.

Podobnie intensywne doznania jednostkowego koszmaru bycia rozrastającego się do uniwersalnej, kosmicznej skali, stawały się jeszcze wielokrotnie przedmiotem zainteresowania literatury, przynosząc jednocześnie udrękę wyrażającym je artystom. Ligotti jest bardzo świadomy tej tradycji. Jak sam kilkakrotnie podkreślał, jego zainteresowanie literaturą W centruje się często wokół autorów uznawanych za niezrównoważonych, których problemy psychiczne nie były okaleczające do tego stopnia by uniemożliwić owym „galernikom wrażliwości” przelanie na

papier niepokojących wyobrażeń, jakie roily się w ich udręczonych umysłach. Znajduje to bezpośrednie odzwierciedlenie w metodzie, z jaką Ligotti konstruuje protagonistów swoich opowiadań. Jego obsesyjni narratorzy to często wiodący szare życie, nieprzystosowani do istnienia w społeczeństwie i wyłamujący się konwencjonalnemu tokowi myślenia zubożeni outsiderzy. Ich świat to gorączkowy sen jednostki niepokodzonej ze swoją egzystencją, nieustannie wabionej mrocznymi pragnieniami, których próby osiągnięcia przynoszą ostateczne rozczarowanie i zgubę. Akcja opowiadań Ligottiego ma zazwyczaj miejsce *gdzieś poza* lub *na skraju* rzeczywistości postrzeganej przez przeciętnego człowieka. Otoczenie to może posłużyć jako obraz stanu umysłowego protagonistów (wspomniana psychotopografia), ale też jako metafora ujmująca Ligottiańską wizję wszechświata. Wszelkie urojenia i fantazmaty mogą przecież ukazywać wyższą, tajemną prawdę o rzeczywistości, niczym obraz rodem z sennego koszmaru odkrywający śniącemu to, co najgłębiej ukryte i przerażające w doświadczanym świecie. Jest to koszmar, z którego nie ma wyjścia i który skazuje bohaterów na pewną zagładę. Powrót do świata względnie bezbolesnej codzienności nie istnieje, a jedynym sposobem na wybudzenie się z pułapki horroru jest odrzucenie złudzeń, niczym gwałtowne odepchnięcie stołka powstrzymującego zaciśniętą wokół szyi pętlę przed skręceniem karku. W innym wypadku ofiara, świadoma swej ułomnej kondycji, swego wynaturzenia i nieprzychylności otaczającego ją świata, skazana jest na dalszą włączkę po ślepych zaułkach niespełnienia, cierpienia i nonsensu, aż po ostateczny upadek. Pozostaje jedynie ucieczka w niebyt.

Egzystencjalna udręka, tworząca podstawę skrajnie

pesymistycznej filozofii, stanowi u Ligottiego źródło zarówno cierpienia, jak i natchnienia. Fatalizm przeszywa cały jego dorobek literacki. Do głównych inspiracji Ligottiego na tym gruncie należą dzieła Arthura Schopenhauera (tytułowa, złowroga siła z opowiadania *Cień, ciemność* może być traktowana jako metafora Schopenhauerowskiej Woli), Petera Wessela Zappfego (któremu Ligotti zadedykował esej *The Conspiracy Against the Human Race*), Philippa Mainlandera, Emila Ciorana, U. G. Krishnamurtiego oraz innych. Ligotti w umiejętny sposób odwołuje się, przede wszystkim w *The Conspiracy Against the Human Race*, do wymienionych myślicieli, aby wyrazić w sposób niepowtarzalny swoje radykalnie negatywne nastawienie wobec egzystencji. Zresztą filozofia Ligottiego jest w swoim pesymizmie do bólu, wręcz brutalnie konsekwentna i właśnie ta konsekwencja stanowi źródło wspomnianej wyżej „politycznej niepoprawności” - Ligotti negując jakąkolwiek sensowność ludzkiego życia, negując wolną wolę, postrzegając człowieka jako marionetkę w rękach zaprogramowanych przez naturę odruchów, marionetkę bezwolną, choć łudzącą się, że posiada coś takiego jak „ja” i oszukującą samą siebie co do źródeł swoich motywacji oraz podejmowanych działań, neguje także wszystko to, co wyrasta na gruncie tych złudzeń - w tym rzeczy dla większości ludzi tak fundamentalne jak wartość życia, samoświadomości, a także „narracje” społeczne, religijne i rodzinne. Co więcej, będący konsekwencją radykalnego pesymizmu antynatalizm również nie należy do powszechnie akceptowanych postaw światopoglądowych.

W świetle powyższego Ligotti - na scenie współczesnej literatury grozy, ale i literatury w ogóle - jest niczym „święty szaleniec”, stojący poza nawiasem tradycyjnych struktur, poza

nawiasem tradycyjnych wartości, niczym samotnik w pustelni poza granicami miasta zamieszkanego przez pełnych ślepego samozadowolenia, hołdujących „wartościom” mieszczan, dla których lęk przestał być doświadczeniem egzystencjalnym, a stał się kolejnym atrybutem rozrywki w „życiu do przejedzenia”. „Święty szaleniec”, którego słowa są tak radykalne, że podlegają swoistej tabuizacji, ale jednocześnie - dzięki hipnotycznej mocy - na tyle kuszące, że przyciągają tych, którzy w zestawie powszechnie dostępnych prawd i postaw nie potrafią znaleźć odpowiedzi na dręczące ich pytania.

LIGOTTI A POPKULTURA

Na koniec kilka słów o stopniowym przedzieraniu się Ligottiego do popkultury, odbiorców po drugiej stronie Atlantyku i wreszcie do Polski.

Choć docieranie do masowego odbiorcy w przypadku pisarza o równie nietypowych poglądach może wymagać większej ilości czasu, wyraźnie widać, że Thomasowi Ligottiemu już udaje się wywierać wpływ na kulturę masową. Na podstawie jego opowiadań powstały dwa tomy komiksów *The Nightmare Factory* z przełomu lat 2007-08, opatrzonych oddzielnymi wstępami autora do każdego z ośmiu opowiadań służących za pierwowzór, wcześniej zaś ukazała się adaptacja jednego z tekstów Ligottiego jako scenariusza do gry RPG *Zew Cthulhu* zatytułowanego *In a City of Bells and Towers*.

Jednak nie tylko gry RPG i komiksy czerpią z twórczości pisarza z Detroit. Jak od każdego zdobywającego popularność

beletrysty, tak od Ligottiego wiele osób oczekuje ekranizacji filmowych. Napisany razem z Brandonem Trenzem scenariusz do odcinka *Z Archiwum X* nigdy nie doczekał się produkcji. Przez długi czas dawały nadzieję wieści o rozważaniu przez wytwórnę filmową Davida Lyncha - *The Picture Factory* - zakupu praw do adaptacji opowiadania *The Last Feast of Harlequin*. Ostatnim, napisanym również z Trenzem, owianym tajemnicą scenariuszem jest *Michigan Basement*. Niestety, nieopublikowany skrypt mieli okazję czytać nieliczni. Pierwsza próba zmierzenia się z pierwowzorem pióra Ligottiego dokonała się przy produkcji krótkometrażowego *The Frolic* (2007), choć film, niestety, nie spełnił oczekiwań entuzjastów znających literacki pierwowzór. Sporym echem za to odbił się wyświetlony przez HBO serial *True Detective*, którego zainspirowane Ligottim dialogi są częstokroć wręcz cytatami z *The Conspiracy Against the Human Race*, jak na przykład słynna już scena rozmowy w samochodzie z pierwszego odcinka, w której słowa wygłaszane przez postać Rusta Cohle'a stanowią esencję filozofii Ligottiego.

Prawdopodobnie wpływ Ligottiego na młode pokolenie pisarzy, a także artystów innych dziedzin, będzie z czasem coraz większy, ale już dziś można spotkać się z twórcami, którzy, zafascynowani, starają się oddać ducha jego hipnotyzującej prozy w swoich dziełach. Dlatego nie dziwi fakt, że w 2013 roku ukazała się antologia składająca hołd twórczości tego wciąż żyjącego i tworzącego autora. *The Grimscribe's Puppets* to zbiór dwudziestu dwóch opowiadań, gdzie pojawia się wiele interesujących nazwisk zarówno rozpoznawanych w świecie weird fiction, jak i nowicjuszy.

Wbrew pozorom, nietypowość i nieprzystępność opowiadań Ligottiego oraz jego radykalne i kontrowersyjne

poglądy nie stoją na przeszkodzie w zdobywaniu uznania. Pisarz jest laureatem wielu nagród, m. in. Bram Stoker Award, World Fantasy Award oraz International Horror Guild Award. Zbiory jego opowiadań tłumaczono na niemiecki, grecki, hiszpański, włoski oraz szwedzki. W Niemczech przekłady pojawiają się już od początku lat dziewięćdziesiątych, między innymi za sprawą popularnego tam Lovecraftowskiego pisarza Michaela Siefenera oraz utalentowanej autorki Eddie Angerhuber. Ligotti cieszy się już zresztą w Niemczech statusem autora na tyle kultowego, że wybrane opowiadania zdążyły się nawet ukazać w formie audiobooków, czego, mamy nadzieję doczekać także na polskim rynku.

LIGOTTI A SPRAWA POLSKA

Chociaż Ligotti jest twórcą ostentacyjnie osobnym, jego wizja literatury nie powinna być całkiem obca polskiemu czytelnikowi. Jak przyznaje sam autor, jednym z jego literackich mistrzów jest Bruno Schulz, z którym Ligotti dzieli umiłowanie dla języka jako narzędzia demiurgicznego, stwarzającego światy o określonej jakości estetycznej, uwewnętrzniającego ich doznawanie w procesie czytania, a jednocześnie biorącego ich niesamowitość w ironiczny nawias. Innym polskim pisarzem, którego twórczość może budzić silne skojarzenia z Ligottim, jest nieco zapomniany Kazimierz Truchanowski (również wierny uczeń Schulza), którego cykle *Zatrute studnie* i *Młyny boże* przetwarzają niejednokrotnie podobny katalog lęków i obsesji.

W Polsce Ligotti miał okazję po raz pierwszy zagościć w

druku na początku XXI wieku. Dotychczas ukazało się kilka jego tekstów rozproszonych w magazynach i antologiach. Tom, który czytelnik ma przed sobą, jest pierwszym książkowym zbiorem jego prac na rodzimym rynku. W skład *Teatro Grottesco* wchodzi utwory z przełomu lat dziewięćdziesiątych i pierwszej dekady XXI wieku, uchodzące za najbardziej dojrzałe w dorobku autora. Oprócz wspomnianego wcześniej działu zawartego w tomie *The Nightmare Factory*, na *Teatro Grottesco* składają się również między innymi opowiadania tzw. *corporate horror*, zainspirowane wieloletnią pracą pisarza w korporacji oraz cztery chyba najbardziej schulzowskie w dorobku Ligottiego opowiadania z cyklu *In A Foreign Town, In A Foreign Land*, pierwotnie wydane z ambientowym tłem muzycznym grupy Current 93. Zapytany o genezę zawartych tu opowiadań, Ligotti scharakteryzował je w następujący sposób:

Gdy po raz pierwszy wpadłem na pomysł napisania opowiadania pod tytułem *Teatro Grottesco*, zadałem sobie pytanie: „Czy istnieje bardziej oczywiste wyjaśnienie świata niż to, które zawiera się w tym pomysle? Inaczej ujmując, jakie wyjaśnienie okropności tego świata może być bardziej oczywiste niż to, że istnieje ogromna, nieomalże niewidzialna organizacja spiskowa, która żeruje na tych najlepiej przystosowanych, by ją ujawniać: artystach oraz jednostkach o inklinacjach artystycznych, ludziach wnikliwych - osobach, które są w stanie myśleć rzeczy, których przeciętny śmiertelnik nigdy nie brałby pod uwagę, gdyż przeciętny śmiertelnik nie ma nic do stracenia rozważając to, co niezwykajne. Tak naprawdę, przeciętni mogą stracić wszystko rozważając to, co niezwykajne, nawet jeśli to coś nie może zostać udowodnione albo wydaje się być absurdalne.

Koncepcja taka jak Teatro Grottesco - albo schopenhauerowska Wola Życia, wedle innego przykładu — nie może zostać udowodniona. Tymczasem, sama myśl o tej kwestii może być potencjalnie szkodliwa dla przeciętnego życia. Więc cóż takiego czyni Teatro Grottesco artystom oraz innym wnikliwym osobom, które wyciągają je na światło dzienne? Gdy starają się mówić o jego istnieniu, niszczy ich. Niszczy ich zawsze, kiedy starają się zbliżyć do prawdy, kryjącej się w okropnej *anima mundi*, duszy świata. Oczywiście, sam ten pomysł tylko odzwierciedla moje własne uprzedzenie oraz wyobrażenia. Niemniej, jest on dla mnie równie znaczący, co Wola Życia lub Bóg, by podać jeszcze bardziej niezwykły przykład powodu, dla którego świat jest tak okropnym miejscem. Zgodnie z tym, co napisałem do angielskojęzycznego wydania *Teatro Grottesco*: „Opowiadania w tym zbiorze przedstawiają udręczonych osobników, złowrogich, często posępnych i jednocześnie komicznych ekscentryków, którzy rozgrywają swój skazany na niepowodzenie los w małych, dziwacznych i charakterystycznych dla Ligottiego miasteczkach. Te postaci żyją w cieniu złowieszczych sił, które nieuchronnie spychają ich ku przeznaczeniu będącym w szczególności domeną wypaczenia i obłądu. Pośród miejsc osaczających właśnie tych, skazanych na istnienie, można zaliczyć następujące rewiry: pocieszne miasteczko z *Zarządcy miasta*, aptekę z *Marionetki błazna*, jak i mglistą przestrzeń leżąca „po drugiej stronie granicy” z *Motywów moich działań odwetowych* oraz z *Naszego tymczasowego nadzorcy*. Jednym słowem, gdybym był mistrzem galaktyki, wzniósłbym szyld krążący dookoła Ziemi, którego mdłe, migoczące światło układałoby się w napis. „Witajcie w Teatro Grottesco”.

Ten oto właśnie, ostatni opublikowany jak dotąd przez Ligottiego zbiór opowiadań sam autor uznaje za swoje największe osiągnięcie – kwintesencję niezwykłego stylu oraz wyobraźni. Jest to także książka, tak jak i pozostałe jego autorstwa, bardzo intymna (choć jest to intymność z gatunku tych które raczej usiłują wyrwać się z kręgu doznań osobistych ku temu, co uniwersalne). Ta intymność stanowi pewne wyzwanie i jednocześnie barierę – wymaga emocjonalnego zaangażowania w rzeczywiste koszmary i traumy ich twórcy.

Choćby z tego powodu opowiadania Ligottiego nie są skierowane do szerokiego grona odbiorców - można je raczej porównać do listu w butelce wysłanego w świat ku tym nielicznym czytelnikom, których wrażliwość pozwoli na pełne odczytanie i zrozumienie autorskich intencji - a czasami na usłyszenie w tych gorzkich, pełnych smutku słowach ech własnych lęków i przemyśleń. I jeżeli nosimy w sobie te ciemne labirynty, jeżeli szlaki naszych snów biegną pośród zdewastowanych obszarów, przez królestwo porzuconych przedmiotów, zużytych marionetek podrygujących na zawieszonych w próżni sznurkach; jeżeli nasze codzienne, choć być może wypierane lęki lgną ku cienistym bramom wielkiej pustki - to pośród ścian tych wewnętrznych labiryntów proza Ligottiego przemówi do nas być może strasznym, ale bezsprzecznie pięknym, urzekającym głosem, niepozabawionym jednocześnie bogactwa fantastycznego, czarnego humoru najwyższej próby. Wsłuchajmy się w ten łagodny głos, szepczący do nas: Nic.

ZABURZENIA

CZYSTOŚĆ

Żyliśmy wówczas w wynajętym domu, nie pierwszym i nie ostatnim na długiej liście miejsc zamieszkiwanych przez naszą rodzinę w latach mojego dzieciństwa. To wydarzyło się krótko po przeprowadzce do nowego lokum w którym ojciec wykładał nam swoją filozofię „życia na zapożyczonym”. Tłumaczył, że nie ma innego sposobu istnienia, a wiara w możliwość zmiany tego stanu rzeczy była najgorszym rodzajem ułudy.

- Musimy przyjąć z otwartymi ramionami rzeczywistość nieposiadania - gestykulując ciężkimi ramionami, wysoki niczym wieża, przekonywał matkę, siostrę i mnie, usadowionych na wynajętej sofie w naszym wynajętym domu.

- Nic do nas nie należy. Wszystko jest w taki czy inny sposób wynajęte. Nasze głowy wypełniają zapożyczone idee, przechodzące z jednego pokolenia na drugie. Miejsce, w którym wasze myśli osadzają się ostatecznie, jest tym samym, w którym osadziły się myśli niezliczonej rzeszy innych osób, zostawiając tam ślady niczym odcisk pośladków poprzednich lokatorów tego domu na sofie, na której właśnie siedzicie. Żyjemy w świecie, gdzie każda powierzchnia, każda opinia bądź namiętność, dosłownie wszystko skażone jest ciałami i umysłami innych ludzi. Zarazki – zarazki intelektualne, zarazki cielesne - roją się wokół nas i na nas samych, przez cały czas, w każdej chwili. Nie ma przed tym ucieczki.

Tym niemniej, jak tylko się wprowadziliśmy, ojciec wydawał się dążyć przede wszystkim właśnie do ucieczki. Nasz dom, położony w nie najlepszej okolicy i graniczący z jeszcze gorszą, wyjątkowo silnie nasiąknął zarazkiem.

Ponadto, miejsce to było odrobinę nawiedzone, co zresztą w mniejszym lub większym stopniu stanowiło normę dla wynajmowanych przez ojca mieszkań. Kilka razy do roku pakowaliśmy rzeczy i przenosiliśmy się gdzie indziej, zawsze utrzymując znaczny dystans pomiędzy kolejnymi lokalizacjami. Za każdym razem, gdy przekraczaliśmy próg dopiero co wynajętego domu, ojciec ogłaszał, że to jest miejsce, w którym „wreszcie czegoś dokona”. Zaczynał wtedy spędzać coraz więcej czasu w piwnicy, niekiedy zaszywając się na całe tygodnie. Rodzinę obowiązywał bezwzględny zakaz naruszania podziemnych terytoriów ojca, chyba że dostaliśmy wyraźne zaproszenie, by wziąć udział w którymś z jego projektów. Na ogół tylko ja znajdowałem się pod ręką, gdyż matka i siostra udawały się na swoje „wypadki”, o szczegółach których ani nie byłem informowany, ani niewiele dowiadywałem się po ich powrocie. Ojciec mawiał o tych nieobecnościach, że to „jakieś tam wywczasy”, próbując ukryć swoją niewiedzę albo zwyczajny brak zainteresowania. Nie to, żebym miał coś przeciwko, że tak często zostawiano mnie samego. (A już na pewno nie tęskniłem za matką i jej europejskimi papierosami, zasmradzającymi powietrze wokół domu.) Jak reszta rodziny, osiągnąłem znaczną biegłość w wynajdywaniu pochłaniających zajęć, nieważne - zapożyczonych czy nie.

Pewnego późnojesiennego wieczoru, gdy siedziałem w sypialni na piętrze przygotowując się do takiej właśnie eskapady, zadzwonił dzwonek przy drzwiach. Jak na nasze mieszkanie, było to wydarzenie niecodzienne, choć i to mało powiedziane. W tym czasie matka i siostra były na jednym ze swoich wywczasów, a ojciec od wielu dni nie wychodził z piwnicy. Wyglądało na to, że będę musiał odpowiedzieć na ów

niespodziewany sygnał, którego nie słyszałem, odkąd się wprowadziliśmy i którego, jeśli dobrze pamiętam, nie słyszałem też w żadnym z wynajętych domów, w których spędziłem dzieciństwo. (Z jakichś przyczyn wierzyłem, że ojciec odłączał wszystkie dzwonki zaraz po naszym wprowadzeniu się do nowego lokum.) Szedłem niepewnym krokiem, mając nadzieję, że intruz lub intruzi pójdą sobie, zanim zdążę dojść do drzwi. Dzwonek zadzwonił ponownie. Na szczęście ojciec niespodziewanie wyszedł z piwnicy. Stojąc w cieniu u szczytu schodów widziałem, jak przemierza salon i przed dotarciem do frontowych drzwi zrzuca z masywnej sylwetki brudny strój laboratoryjny, ciskając go w kąt. Pomyślałem naturalnie, że ojciec spodziewał się gościa, który może miał coś wspólnego z pracami w piwnicy. Jednak szybko stało się jasne, że chodzi o coś innego; przynajmniej na ile mogłem wnioskować z rozmowy, którą podsłuchiwałem ze szczytu schodów.

Tembr głosu sugerował, że gościem był młody mężczyzna. Ojciec zaprosił go do środka, zachowując się bezpośrednio i uprzejmie, co, jak doskonale wiedziałem, było dlań postawą całkowicie wymuszoną. Zastanawiałem się, jak długo utrzyma nietypowy dla siebie ton konwersacji, na czas której zaprosił młodego człowieka do salonu, gdzie mogliby porozmawiać „bez pośpiechu”, co wypowiedziane przez ojca brzmiało zupełnie dziwnie.

- Jak już wspominałem przy drzwiach - powiedział młody człowiek - chodzę po okolicy, opowiadając ludziom o pewnej bardzo wartościowej organizacji.

- „Obywatele dla Wiary” - wtrącił ojciec.

- Słyszał pan o naszej grupie?

- Widzę znaczek wpięty w klapę pańskiej marynarki. To

wystarczy, bym zrozumiał, jakimi pryncypiami pan się kieruje.

- Może zatem byłby pan zainteresowany datkiem na rzecz naszej organizacji? - zapytał młody mężczyzna.

- Owszem, byłbym.

- To wspaniale, proszę pana.

- Ale tylko pod warunkiem, że pozwoli mi pan rzucić wyzwanie tym pańskim absurdalnym pryncypiom i poddać je próbie. Szczerze powiedziawszy, miałem nadzieję, że trafi do mnie pan lub ktoś podobny do pana. Rzekłbym, że to niemal szczęśliwe zrządzenie losu sprowadziło pana do tego domu. Gdybym oczywiście wierzył w coś równie niedorzecznego jak szczęśliwe zrządzenia losu.

Tak oto skończyło się krótkotrwałe ustępstwo ojca na rzecz uprzejmości.

- Słucham? - zdziwił się młody człowiek, marszcząc brwi w lekkiej dezorientacji.

- Już wyjaśniam. Hołduje pan dwóm pryncypiom i są to prawdopodobnie jedyne pryncypia trzymające pańską głowę w jednym kawałku. Pierwsze pryncypium to narody i państwa, całe to wielkie halo z ziemiemi matek i ojców. Drugie to bóstwa. Żadne z tych pryncypiów nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. To nieczystości zatruwające pańską głowę. Krótko mówiąc - Obywatele dla Wiary - łączycie ze sobą dwa z trzech głównych pryncypiów - bądź nieczystości - które należy wyeliminować, całkowicie wykorzenić, aby nasz gatunek zaczął zbliżać się do czystej koncepcji istnienia Bez tej czystej koncepcji lub czegoś do niej zbliżonego wszystko jest i będzie katastrofą.

- Całkowicie zrozumiem pańską decyzję, jeśli nie zechce pan złożyć datku - powiedział młody człowiek, lecz w tym momencie ojciec sięgnął do prawej kieszeni spodni i

wyciągnął rulon banknotów spiętych gumką. Podniósł zwitek przed oczy młodego człowieka.

- To dla pana, o ile da mi pan szansę oczyścić pańską głowę z tych okropnych zasad.

- Nie sądzę, aby moja wiara była wyłącznie kwestią czegoś w głowie.

Dotąd sądziłem, że ojciec kpił z młodego człowieka dla czystej rozrywki, aby choć na chwilę oderwać się od prac, które od kilku dni tak bardzo go pochłaniały. Jednakże wówczas w jego słowa wkradła się złowieszcza nuta, zwiastująca porzucenie dotychczasowej roli staromodnego obrazoburcy na rzecz postawy pełnej desperacji, pozbawionej jakichkolwiek skrupułów wobec młodego mężczyzny.

- Ależ, proszę mi wybaczyć. Nie chciałem w żaden sposób sugerować, że cokolwiek z tego, o czym mówimy, jest tylko w pańskiej głowie. Jakże to by mogło być prawdą, jeśli sam dobrze wiem, że coś takiego zamieszkuje właśnie ten dom?

- On jest we wszystkich domach - powiedział młody człowiek. - We wszystkich miejscach.

- Tak, tak. Ale coś takiego jest szczególnie obecne właśnie tutaj.

Podejrzewałem, że ojciec czyni aluzję do nawiedzenia naszego wynajętego domu, chociaż ów stan ledwie zasługiwał na aż tak dosadne określenie. Sam niedawno pomagałem ojcu w małym projekcie odnoszącym się do tego stanu i jego rzeczywistego znaczenia, przynajmniej w takim zakresie, w jakim ojciec zechciał mi wytłumaczyć w czym rzecz. Pozwolił mi nawet zachować pamiętkę po „eksperymentach pierwszego stopnia”, jak go określił. Byłem prawie pewien, że gdy ojciec mówił o piwnicy, miał na myśli ni mniej, ni więcej, tylko

nawiedzenie.

- W piwnicy? - spytał młody człowiek.

- Tak - rzekł ojciec. - Mogę panu pokazać.

- Nie w mojej głowie, ale w pańskiej piwnicy... - powtórzył mężczyzna, usiłując rozjaśnić sobie znaczenie słów ojca.

- Tak, tak. Pozwoli pan, że mu pokażę. Po wszystkim wesprę pańską organizację naprawdę hojnym datkiem. Co pan na to?

Młody człowiek nie odpowiedział od razu i być może dlatego ojciec prędko mnie zawołał. Cofnąłem się o kilka kroków, odczekałem chwilę, po czym zszedłem po schodach, udając, że nie podsłuchiwałem.

- To mój syn - powiedział ojciec do młodego człowieka, który wstał i podał mi rękę. Był chudy i ubrany w znoszoną marynarkę, zupełnie tak, jak sobie wyobrażałem, podsłuchując u szczytu schodów.

- Danielu, ja i ten dżentelmen mamy pewną sprawę do omówienia. Dopilnuj proszę, aby nikt nam nie przeszkadzał.

Stałem przed nimi, jakbym zamierzał posłusznie zastosować się do poleceń. Wówczas ojciec odwrócił się w stronę młodego człowieka, wskazując mu drogę do piwnicy.

- To nie potrwa długo.

Bez wątpienia moja obecność, a właściwie normalność mojej obecności, stanowiła czynnik, który skłonił młodego człowieka do zgody na zejście do piwnicy. Ojciec z pewnością wiedział, że tak będzie. Nie wiedział natomiast (i zapewne w ogóle by się tym nie przejął), że kiedy tylko zamknął za sobą i gościem drzwi piwnicy, cicho opuściłem dom. Zastanawiałem się, czy nie poczekać i spróbować dowiedzieć się, w jaką fazę weszły eksperymenty ojca, tym bardziej, że uczestniczyłem w

nich na wczesnych etapach. Jednakże tego wieczora chciałem zobaczyć się z przyjaciółką, która mieszkała w okolicy.

Ścisłej rzecz ujmując, przyjaciółka nie mieszkała w tym nie najlepszym sąsiedztwie, w którym moja rodzina wynajmowała dom, ale w jeszcze gorszym, znajdującym się nieopodal. Leżało ono zaledwie kilka ulic dalej, lecz różnica pomiędzy okolicą, gdzie niektóre domy miały zakratowane drzwi i okna a okolicą, w której nie istniało już nic, co można by chronić, ratować, lub o co można by zatroszczyć się w jakikolwiek sposób, rzucała się w oczy. Był to zupełnie inny świat... Zdeformowany raj niebezpieczeństwa i rozpadu... walących się domów stojących zbyt blisko siebie... wypalonych domów, chylących się ku zupełnej zagładzie... domów straszących wyrwami w miejscach drzwi i okien... oraz pustych pól, nad którymi świecił księżyc, w jakiś sposób odmienny od widzianego z każdego innego miejsca na Ziemi.

Czasami można było tam zobaczyć dom na uboczu, zawieszony na krawędzi otwartego pola cieni oraz potłuczonego szkła. Dom ten mógł być tak wykoślawiony postępującym rozkładem, iż możliwość zamieszkiwania go przez kogokolwiek rzucała wyobraźnię w wir niosący ku otchłani czarnych tajemnic. Podchodząc bliżej, widziało się zamiast zasłon cienkie, złachmanione prześcieradła. Po dostatecznie długiej kontemplacji dostrzegało się dobywający z wnętrza domu cud migocącej, łagodnej poświaty.

Wkrótce po wprowadzeniu się przez moją rodzinę do okolicy, w której takie miejsca stanowiły normalność, znalazłem dom będący idealnym okazem budynku opisanego przed chwilą. Skupiłem na nim spojrzenie, jakbym był świadkiem cudownej wizji. Wtedy jedno z prześcieradeł zakrywających frontowe okno poruszyło się nieznacznie i

kiedy tak stałem, chybcząc się na pozostałościach popękanych płyt chodnikowych, usłyszałem wołanie kobiety:

- Hej, ty! Chłopcze! Masz jakiś pieniądz?

- Trochę - odpowiedziałem potężnemu głosowi.

- Zrobiłbyś coś dla mnie?

- Co? - spytałem.

- Idź do sklepu i przynieś mi paluszki salami, dobrze?

Tylko te długie, nie krótkie. Pieniądze oddam, jak wrócisz.

Kiedy wróciłem ze sklepu, kobieta ponownie zawołała do mnie zza podświetlonego prześcieradła.

- Tylko uważaj na schodkach werandy - powiedziała. - Drzwi są otwarte.

Jedyne światło wewnątrz domu pochodziło z małego telewizora na metalowym stojaku. Urządzenie stało naprzeciwko sofy, którą od jednego krańca do drugiego zajmowała czarnoskóra kobieta w nieokreślonym wieku. W lewej ręce trzymała słoik majonezu, w prawej surową parówkę, ostatnią z pustej paczki leżącej na nagiej podłodze. Kobieta zanurzyła mięso w majonezie, po czym wyjęła i zjadła nie odwracając wzroku od ekranu. Oblizawszy palce z resztek majonezu zakręciła słoik i położyła go na krawędzi sofy, najwidoczniej jedyne mebla w pokoju. Podałem jej paluszki salami, a ona włożyła mi do ręki pieniądze. Była to dokładnie suma zapłacona przeze mnie w sklepie plus jeden dolar.

Nie mogłem uwierzyć, że właśnie znajduję się w jednym z domów bardzo podziwianych przeze mnie, odkąd wprowadziliśmy się z rodziną w tę okolicę. Noc przejmowała zimnem, a dom nie miał ogrzewania. Telewizor musiał działać na baterie, gdyż nie miał kabla. Czułem, jakbym przekroczywszy jakąś wielką barierę dostał się w miejsce od dawna porzucone przez świat, odcięte wręcz od

rzeczywistości. Miałem ochotę zapytać kobietę, czy pozwoliłaby mi skulić się w którymś z kątów domu i nigdy już nie wychodzić. Ostatecznie zapytałem, czy mógłbym skorzystać z toalety.

Przez chwilę spoglądała na mnie bez słowa, po czym sięgnęła za poduszki sofy. Wyjęła latarkę. Podała mi ją i powiedziała:

- Weź i uważaj na siebie. Drugie drzwi w głębi korytarza. Nie pierwsze, ale drugie. I nie wpadnij do dziury.

Kiedy szedłem korytarzem, skupiałem snop światła latarki kilka stóp przed sobą, na zniszczonej i brudnej podłodze z drewna. Otworzywszy drugie drzwi, nie pierwsze, wszedłem do środka, po czym zamknąłem je za sobą. To nie była toaleta, lecz obszerna garderoba. Na jej końcu w podłodze ziała dziura. Zaświeciłem latarką do środka - otwór prowadził wprost do piwnicy. Na samym dole leżały kawałki roztrzaskanej umywalki i komody, które musiały wpaść tam razem z podłogą łazienki, znajdującej się zapewne za pierwszymi drzwiami, które minąłem w korytarzu. Ponieważ noc była zimna, a dom nie miał ogrzewania, nie śmierdziało tak bardzo. Ukląkłem na krawędzi otworu, świecąc latarką do środka tak daleko, jak tylko sięgał cienki snop światła. Ale widziałem jedynie porozbijane butelki pomiędzy warstwami ludzkich odchodów. Zastanawiałem się, co jeszcze mogło znajdować się w piwnicy i - zatraciłem się w tych myślach.

- Hej, chłopcze... - usłyszałem wołanie kobiety. - Wszystko dobrze?

Kiedy wróciłem na przód domu, zauważyłem, że odwiedzili ją jacyś ludzie. Dopiero gdy zasłonili twarze dłońmi, zdałem sobie sprawę, że trzymam wciąż włączoną latarkę. Zgasiłem ją i oddałem kobiecie.

- Dziękuję - powiedziałem, manewrując między gośćmi w stronę drzwi. Zanim wyszedłem, odwróciłem się ku gospodyni i zapytałem, czy będę mógł wrócić do tego domu.

- Jak chcesz - powiedziała. - Pamiętaj tylko, żebyś przyniósł mi te paluszki salami.

W taki sposób poznałem moją przyjaciółkę, Candy, której dom odwiedziłem jeszcze wiele razy od naszego pierwszego spotkania tamtej ekscytującej nocy. Podczas niektórych wizyt, które nie zawsze odbywały się nocą, Candy zajmowała się swoimi sprawami, a ja nie wchodziłem jej w drogę, podobnie jak nieustający korowód innych ludzi - młodych i starych czarnych i białych, przychodzących i wychodzących. Gdy Candy nie była bardzo zajęta, wciskałem się na sofę obok niej i razem oglądaliśmy telewizję. Od czasu do czasu rozmawialiśmy, choć nasze konwersacje, krótkie i powierzchowne, urywały się niemal natychmiast, gdy docieraliśmy do oddzielającej nasze istnienia przepaści, niemożliwej do przebycia przez którekolwiek z nas. Na przykład, kiedy powiedziałem jej o cuchnących europejskich papierosach matki, Candy miała problem ze zrozumieniem idei „europejskości”, a nawet samego słowa. Podobnie ja okazywałem się niezdolny odnaleźć w pamięci kontekst z życia, który umożliwiłby mi zrozumienie tego, co Candy wtrącała czasami do rozmowy podczas wspólnego oglądania telewizji. Odwiedzałem ją tak przynajmniej od miesiąca, kiedy Candy, zupełnie niespodziewanie, powiedziała:

- Wiesz, miałam kiedyś chłopczyka, był mniej więcej w twoim wieku

- Co się z nim stało? - zapytałem.

- Och, zamordowano go - odparła, jak gdyby taka

odpowieź sama w sobie była wyjaśnieniem i nie wymagała uzupełnienia. Nigdy nie nakłaniałem Candy, by rozwinęła temat, choć nie mogłem zapomnieć jej słowami pełnego rezygnacji, nieobecnego głosu, jakim je wypowiedziała.

Później odkryłem, że w sąsiedztwie jej mieszkania zabito kilkoro dzieci, a niektóre z nich okazały się ofiarami mordercy grasującego w najgorszych częściach miasta na lata przed sprowadzeniem się tutaj mojej rodziny. (Tak naprawdę przed tym osobnikiem ostrzegła mnie matka, z wyjątkowo nieszczera troską wspominając o „niebezpiecznym zbrodźcu, podrzynającym bezszelestnie od ucha do ucha dziecięce gardelka w tej strasznej okolicy, w której mieszkają twoi przyjaciele”.) Tego wieczora, kiedy opuściłem dom po tym jak ojciec zamknął się w piwnicy z młodym mężczyzną w znoszonej marynarce, rozmyślałem o mordercy idąc ulicą prowadzącą do domu Candy. Odkąd dowiedziałem się o zabójstwach, ulice pochwyciły mnie jeszcze mocniej w swoje objęcia, niczym koszmar rozwijający nieubłagane hipnotyczną moc, przymuszającą umysł do oglądania raz za razem tych samych obrazów i zdarzeń bez względu na to, jak mocno pragniemy o nich zapomnieć. Mimo że w żaden sposób nie starałem się paść ofiarą seryjnego mordercy, groźba, iż mogło się to przytrafić właśnie mnie, pogłębiała tylko moją fascynację stłoczonymi domami i wąskimi prześwitami między nimi, które rzucały jeszcze więcej cieni na już i tak spowitą ciemnościami okolicę.

Idąc do domu Candy z dłońmi kieszeni kurtki, coś co ojciec skonstruował na wypadek, gdyby, parafrazując moje niepohamowane pomysły rodzica, ktokolwiek usiłował wyrządzić mi krzywdę. Siostra otrzymała identyczny gadżet, który przypominał wieczne pióro. (Ojciec przykazał nam,

abyśmy nikomu nie wspominali o tych urządzeniach nawet matce, która zresztą kupiła sobie kiedyś dla samoobrony małokalibrowy automatyczny pistolet.) Kilkukrotnie czułem pokusy aby pokazać urządzenie Candy, lecz ostatecznie nie złamałem przyrzeczenia danego ojcu. Poza tym, ojciec dał mi coś jeszcze, co trzymałem obecnie w małej huśtającej się z boku papierowej torbie i co bardzo chciałem pokazać Candy tego wieczora. Z przedstawieniem komuś tego przedmiotu nie wiązały się żadne ograniczenia, choć prawdopodobnie ojcu nawet nie przyszło do głowy, że mógłbym chcieć to zrobić.

To, co niosłem, zawierało się w małym, pękatym słoiczku w papierowej torbie i było, można powiedzieć, produktem ubocznym pierwszej fazy eksperymentu, w którym asystowałem ojcu wkrótce po wprowadzeniu się do nowego domu. Zdążyłem wspomnieć, że jak w przypadku wielu innych domów zamieszkiwanych przez naszą rodzinę na przestrzeni lat mojego dzieciństwa, jednym z aspektów obecnego było nawiedzenie, jakkolwiek tym razem dość łagodne. Obecność w wyczuwalny sposób manifestowała się na strychu domu, gdzie spędzałem mnóstwo czasu, nim zacząłem regularnie odwiedzać Candy. Szczerze mówiąc, z doświadczeń nie wnosiłem, by w tejże obecności było coś szczególnie godnego uwagi. Wydawała się koncentrować gdzieś przy biegnących przez długość strychu drewnianych belkach, które, jak sobie wyobrażałem, jeden z poprzednich lokatorów być może wykorzystał do popełnienia samobójstwa przez powieszenie. Tego rodzaju spekulacje w ogóle nie interesowały ojca, wyrażał stanowczy sprzeciw nie tylko wobec możliwości istnienia wszelkiego rodzaju zjaw i duchów, lecz w ogóle wobec stosowania tych określeń.

- Na strychu nic nie ma - wyjaśniał. - Po prostu w ten

sposób twoja głowa wchodzi w interakcję z jego przestrzeni. Są tam pewne pola sił, które występują wszędzie. I te siły, z przyczyn jeszcze mi nieznanymi, w niektórych miejscach wykazują się większą intensywnością niż w innych. Rozumiesz? To nie strych nawiedza twoją głowę, ale twoja głowa nawiedza strych. Niektóre głowy są bardziej nawiedzone niż inne i nie jest ważne, czy nawiedzające duchy, bogowie, czy stwory z kosmosu. To nie są prawdziwe rzeczy. Tym niemniej, wskazują one na rzeczywiste siły; ożywcze, a nawet twórcze siły, które twoja głowa postrzega jako zjawy lub cokolwiek bądź. Pomożesz mi to udowodnić, jeśli pozwolisz użyć na sobie aparatury znajdującej się w piwnicy, aby usunąć z twojej głowy wszystkie rzeczy nawiedzające według ciebie strych. Wypłukiwanie odbędzie się w bardzo drobnej części twojej głowy, bo gdybym wypłukał całą głowę... Cóż, mniejsza z tym. Wierz mi, nic nie poczujesz.

Kiedy już było po wszystkim, nie odczuwałem żadnej obecności na strychu. Ojciec wypłukał ją i umieścił w słoiczku, który wręczył mi kiedyś przy okazji przeprowadzania owego „eksperymentu pierwszego stopnia” w dziedzinie, w której, nieznanym innym naukowcom zajmującym się od tamtego czasu podobnymi sprawami, był najprawdziwszym Kopernikiem bądź Galileuszem, lub kimś równie ważnym. Jest już chyba oczywiste, że nie odziedziczyłem po ojcu naukowego temperamentu. I choć już nie odczuwałem niczyjej obecności na strychu, nadal nie mogłem uwolnić się od obrazu kogoś wieszającego się na biegnącej przez całą jego długość drewnianej belce i zostawiającego za sobą niewidzialny drogowskaz do innego świata. Dlatego byłem zachwycony, gdy poczucie obecności ze strychu wróciło do mnie w przenośnej postaci, zamknięte w słoiczku, który, trzymany mocno w

rękach, dawał mi jeszcze mocniejsze poczucie nadprzyrodzonego niż to, którego doświadczałem uprzednio. Właśnie ten słoik niosłem do Candy owego późnojesiennego wieczoru.

Kiedy wszedłem do jej domu, nie działało się nic mogącego odwrócić naszą uwagę od przedmiotu, który chciałem jej pokazać. Wprawdzie po drugiej stronie pokoju siedziały pod ścianą dwie osoby, ale wydawały się zupełnie bierne, by nie powiedzieć: całkowicie nieświadome spraw dziejących się wokół.

- Co masz dla Candy? - zapytała, spoglądając na papierową torbę w moich rękach. Usiadłem na sofie, przysunęła się do mnie.

- To coś... - zacząłem, chwytając słoik za wieczko i wyjmując z torebki. Wtedy zdałem sobie sprawę, że nie sposób wyjaśnić, czym jest to, co przyniosłem. W żadnym wypadku nie chciałem sprawiać jej przykrości, ale nie było słów, które mogłyby ją odpowiednio przygotować.

- Nie otwieraj, po prostu potrzymaj.

- Wygląda jak galaretką - rzekła, gdy umieściłem słoiczek w jej mięsistych dłoniach.

Na szczęście, zawartość pojemnika nie przedstawiała nieprzyjemnych widoków, a w blasku telewizora zdawała się przybierać kojącą postać. Candy delikatnie ujęła słoiczek, jakby świadoma cennej zawartości. Ani trochę nie wyglądała na zalęknioną, zdawała się wręcz zrelaksowana. Nie miałem pojęcia, jaka będzie jej reakcja. Wiedziałem tylko, że chcę się podzielić z nią czymś, czego w inny sposób nigdy by nie doświadczyła, tak jak ona podzieliła się ze mną cudownością swojego domu.

- O Boże... - wykrzyknęła delikatnie - Wiedziałam!

Wiedziałam, że nigdy ode mnie nie odszedł! Wiedziałam, że przez ten czas nie byłam sama!

Później uzmysłowiłem sobie, że to, czego byłem świadkiem zgadzało się z twierdzeniami ojca. Tak jak moja głowa na nawiedzała strych obecnością wisielca, tak teraz Candy nawiedzała słoik obecnością mającą źródło w niej samej, obecnością jakże odmienną od tej rojonej przeze mnie. Wyglądała jakby chciała zatrzymać słoiczek na zawsze. Jak zwykle, „na zawsze” miało skończyć się szybko. Przed domem Candy zatrzymał się samochód. Kierowca wysiadł pośpiesznie i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Candy - powiedziałem - szykują się interesy.

Próbowałem wyszarpnąć słoiczek z jej rąk, w końcu puściła go i spojrzała w stronę drzwi. Jak zwykle powędrowałem do jednego z pokoi na tyłach; do pustej sypialni, w której lubiłem kulić się w rogu i rozmyślać o wszystkich śpiących ciałach, które śniły tutaj przez niezliczone noce. Jednak tym razem nie schowałem się w rogu, lecz obserwowałem uważnie, co działo się z przodu domu. Samochód na zewnątrz zatrzymał się zbyt agresywnie, w zbyt ostentacyjny sposób, również człowiek w długim płaszczu szedł w stronę domu zbyt agresywnym i ostentacyjnym krokiem. Pchnął drzwi domu Candy i wszedł do środka, nie zamykając ich.

- Gdzie biały dzieciak? - zapytał człowiek w długim płaszczu.

- Nie ma tu białych - odparła Candy, patrząc na telewizor. - Nie licząc ciebie. Przemknąwszy przez pokój, człowiek zbliżył się do dwóch postaci, a następnie każdą z nich szturchnął stopą.

- Pamiętaj, że to ja pozwalam ci robić interesy.

- Wiem, kim pan jesteś, panie detektyw. Pan zabrałeś mojego chłopczyka. Inne dzieci też pan zabrałeś, wiem o tym.

- Stul pysk, gruba babo. Przyszedłem po białego dzieciaka.

Wyciągnąłem pióro z kieszeni i zdjąłem końcówkę, odsłaniając krótką, grubą igłę przypominającą ostrze pinezki. Trzymając pióro przy boku, lecz dyskretnie schowane, wróciłem korytarzem.

- Czego chcesz? - zapytałem mężczyznę w długim płaszczu.

- Przyjechałem, żeby zabrać cię do domu, mały.

Jeżeli odczułem kiedykolwiek w życiu coś, co mógłbym nazwać zimną abstrakcyjną wręcz pewnością, to było właśnie to: wiedziałem, że jeśli pójdę z tym człowiekiem, już nigdy nie wrócę do domu.

- Łap! - powiedziałem, rzucając słoiczek w jego stronę.

Chwycił go w obie dłonie, a jego twarz na moment rozjaśnił uśmiech. Nigdy wcześniej nie widziałem, aby uśmiech zamierał tak szybko i tak całkowicie. Gdybym mrugnął, przeoczyłbym tę bolesną przemianę. Wówczas słoiczek jakby sam wyskoczył z jego rąk wprost na podłogę. Otrząsnąwszy się, mężczyzna zrobił krok w moją stronę i chwycił mnie. Nie mam powodów wierzyć, że Candy lub pozostali w pokoju ujrzeni, jak wbijam ostrze pióra w jego nogę. Natomiast z pewnością zobaczyli, jak człowiek w długim płaszczu puszcza mnie i zwała się bezwładnie na ziemię. Bez wątplenia efekt był natychmiastowy. Jedna z dwóch postaci wyszła z cienia i szturchnęła stopą leżącego w ten sam pogardliwy sposób, którego sama niedawno doświadczyła.

- Nie żyje, Candy - rzekła postać.

- Serio?

Drugi człowiek wstał i z całej siły kopnął głowę mężczyzny.

- Na to wygląda - rzekł.

- A niech mnie - powiedziała Candy, spoglądając w moją stronę. - Jest wasz. Nie chcę nic od niego.

Znalazłem słoiczek, na szczęście niestłuczony, po czym usiadłem na sofie obok Candy. W ciągu kilku minut postaci rozebrały trupa do spodenek. Wtedy jedna z nich zaczęła ściągać i tę część ubrania, mrużąc: „Wyglądają na nówki”. Jednakże natychmiast przestała, widząc, co znajduje się pod spodem. Wszyscy to ujrzeliśmy, nie ma wątpliwości. Zastanawiałem się tylko, czy inni byli tak samo zmieszani jak ja. Zawsze myślałem o tych sprawach w pewien idealistyczny sposób, niczym o mitycznej koncepcji przekazywanej przez stulecia z pokolenia na pokolenie. Ale to nie było to.

- Wrzucie go do dziury! - krzyknęła Candy, wstając z sofy i wskazując na korytarz. - Wrzucie go do tej przeklętej dziury!

Zaciągnęli zwłoki do garderoby i cisnęli do piwnicy. Rozległo się plaśnięcie nagiego ciała uderzającego o podłogę. Kiedy postaci wyszły z garderoby, Candy powiedziała:

- A teraz jego rzeczy mają stąd zniknąć, jego samochód też ma stąd zniknąć i wy też macie stąd zniknąć!

Przed wyjściem jedna z postaci odwróciła się.

- Tu jest kupa forsy, Candy. Możesz potrzebować na podróż. Nie powinnaś tu zostać.

Ku mojej uldze Candy wzięła część pieniędzy. Wstałem z sofy i położyłem słoik na poduszce obok przyjaciółki.

- Gdzie teraz pójdziesz? - zapytałem.

- W mieście jest dużo takich miejsc. Bez ogrzewania, bez prądu, bez kanalizacji. I bez czynszu. Dam sobie radę.

- Nikomu nie powiem.

- Wiem, że nie powiesz. Do zobaczenia, chłopcze.

Pożegnawszy się, powędrowałem powoli w stronę domu, rozmyślając o tym, co leżało w piwnicy u Candy.

Zanim dotarłem na miejsce, wybiła północ. Matka i siostra najwyraźniej również wróciły - ledwie wszedłem do środka, poczułem odór europejskich papierosów matki. Ojciec leżał w salonie na kanapie, całkowicie wyczerpany po wielu dniach pracy w piwnicy. Wydawał się także czymś poruszony: szeroko otwartymi oczami patrzył przed siebie, ciągle kręcąc głową, zdegustowany lub czemuś przeczący, albo jedno i drugie, zaś jego głos bez przerwy powtarzał: „Beznadziejne nieczystości, beznadziejne nieczystości”. Słowa te pomogły mi uwolnić myśli od rzeczy widzianych u Candy. Przypomniały mi również, że chciałem ojca zapytać o to, co powiedział młodemu człowiekowi w znoszonej marynarce, który tego wieczoru zawitał do naszego domu. Jednakże stan ojca sugerował, że nie jest to najlepsza pora na takie rozmowy. Tak po prawdzie, sprawiał raczej wrażenie, jakby w ogóle nie był świadomy mojej obecności. Jako że na razie nie miałem ochoty spotykać się z matką i siostrą, które, jak słyszałem, hałasowały na piętrze (prawdopodobnie wciąż rozpakowując bagaże po podróży), zdecydowałem się skorzystać z okazji i złamać ojcowski zakaz wchodzenia do piwnicy bez jego wyraźnej zgody. Byłem przekonany, że dzięki temu oderwę się od nieprzyjemnych wydarzeń tego wieczoru.

Jednak gdy tylko zszedłem po schodach, mój umysł i zmysły ponownie został zaciągnięte w mroczne rejony podziemi domu Candy. Jeszcze zanim osiągnąłem dół schodów, przytłoczyła mnie atmosfera spustoszenia, rozpadu i bezdennego chaosu, która, co z wdzięcznością stwierdziłem,

wciąż była dla mnie zniewalająca. I kiedy zobaczyłem, w jakim stanie znajdowały się rzeczy na dole, wstrząsnęła mną trwoga, jakiej nie doświadczyłem nigdy wcześniej.

Wszystko było potrzaskane. Wyglądało tak, jakby ojciec wziął siekierę i porąbał aparaturę, w której pokładał wszystkie nadzieje na ukończenie zadania, jakie jedynie on pragnął urzeczywistnić. Z sufitu zwisały druty i kable, pocięte i opadające niczym pnącza w dżungli. Po podłodze płynęła tłusta, zielonkawa substancja, sącząca się do odpływu. Przedzierałem się po poszyciu z tłuczonego szkła i potarganych papierów. Sięgnąłem po kilka wściekle wyrwanych stron z opasłych notatników ojca. Szczegółowe wykresy i diagramy zamazane zostały słowami i zdaniami wypisanymi grubym, czarnym markerem. Strona po stronie - na każdej wybazgrano słowo „NIECZYSTE”, niczym graffiti na ścianach publicznej toalety. Inne powtarzające się wykrzyknienia głosiły: „NIC, TYLKO NIECZYSTOŚCI”, „NIECZYSTE GŁOWY”, „ŻADNYCH NOWYCH ODKRYĆ”, „ŻADNEJ CZYSTEJ KONCEPCJI”, „NIEMOŻLIWE NIECZYSTOŚCI”, i wreszcie: „POTĘGI NIECZYSTEGO WSZECHŚWIATA”.

W odległym kącie piwnicy zobaczyłem hybrydowe urządzenie, wyglądające niczym połączenie królewskiego tronu i krzesła elektrycznego. Na urządzeniu, przypięty pasami zaciśniętymi wokół rąk i nóg oraz głowy, siedział młody mężczyzna w znoszonej marynarce. Miał otwarte oczy, lecz nie było w nich przytomności. Spostrzegłem, iż tłusty, zielonkawy płyn wyciekał ze stojącego obok krzesła zbiornika o rozmiarze butli z dystrybutora. Pojemnik oznaczono etykietą z taśmy maskującej, na której napisano „DRENAŻ”. Jakiegokolwiek zjawy, duchy lub inne byty zamieszkiwały głowę

młodego człowieka - a wyglądało na to, że ojcu udało się spuścić znaczną ich ilość - wszystkie spływały właśnie do kanalizacji. Musiały coś utracie, uwolnione z pojemnika, być może zwietrzały, gdyż nie wyczuwałem żadnej widmowej aury - ani złośliwej, ani dobrotliwej - która emanowałaby z resztek substancji. Nie byłem w stanie określić, czy młody człowiek jeszcze żył w jakimkolwiek konwencjonalnym sensie tego słowa. Niewykluczone, czy inaczej stan, w jakim się znajdował, jednoznacznie wskazywał na to, znów będziemy musieli szukać nowego domu.

- Co tu się stało? - spytała siostra z drugiej strony piwnicy. Siedziała na schodach. - Wygląda na to, że kolejny projekt taty trochę się nie udał.

- Rzeczywiście, na to wygląda - odparłem, idąc w stronę schodów.

- Myślisz, że ten facet miał ze sobą dużo pieniędzy?

- Nie wiem. Możliwe. Zbierał datki na jakąś organizację.

- To dobrze, bo mama i ja wróciłyśmy kompletnie splukane. Nie to, żebyśmy tyle wydały...

- Gdzie byliście? - zapytałem, siadając obok siostry.

- Wiesz, że nie wolno mi o tym rozmawiać.

- Musiałem spytać.

Po chwili siostra szepnęła:

- Danielu, wiesz, co to hermafrodyta?

Starłem się ukryć reakcję na pytanie siostry, nawet jeśli wywołało ono we mnie najprawdziwszą burzę obrazów i emocji. Właśnie to skonfundowało mnie tak bardzo w ciele detektywa. Zawsze wyobrażałem sobie schludne oddzielenie poszczególnych części. Ale, jak już wspomniałem, to nie było to. Wszystko łączyło się ze sobą. Dziękuję, Eliso. Pomimo wprowadzonego przez matkę nakazu całkowitego milczenia,

siostra zawsze znajdowała sposób, żeby zasugerować, czym się zajmowały.

- Dlaczego o to pytasz? - rzekłem, również szeptem. - Spotkałyście z mamą kogoś takiego?

- Nigdy w życiu - odparła.

- Elisa, musisz mi powiedzieć... Czy mama... czy rozmawiała o mnie... czy rozmawiała o mnie z kimś takim?

- Nawet jeśli, to nie wiedziałabym o tym, naprawdę - odpowiedziała Elisa, po czym wstała i zaczęła wchodzić na górę. Kiedy znalazła się na szczycie, obróciła się i zapytała:

- Jak skończy się ta sprawa między tobą a matką? Za każdym razem, gdy wspominam twoje imię, ona nie chce mówić. Bez sensu.

- Potęgi nieczystego wszechświata - odparłem wzniośle.

- Co takiego? - zapytała siostra.

- Nic, co kieruje ludźmi, nie ma najmniejszego sensu, jakbyś jeszcze nie zauważyła. To tylko nasze głowy, jak powtarza tata.

- Cokolwiek to znaczy. W każdym razie trzymaj buzię na kłódkę, nic ci nie mówiłam. Nigdy więcej ci nic nie powiem - zakończyła, po czym poszła na górę.

Wyszedłem za nią do salonu. Ojciec siedział na sofie obok matki zajętej otwieraniem pudełek i wyciąganiem z toreb różnych rzeczy, pewnie aby pokazać, co kupiła podczas wyjazdu z Elisą. Usiadłem na krześle naprzeciw nich.

- Cześć, kochanie - powiedziała matka.

- Cześć, mamó - odparłem, po czym zwróciłem się do ojca. - Tato, mogę o coś zapytać?

Wciąż wydawał się nieobecny.

- Tato?

- Twój ojciec jest bardzo zmęczony, skarbie.

- Wiem, przepraszam. Chciałem tylko zapytać o jedną rzecz. Tato, kiedy rozmawiałeś z tamtym człowiekiem, wspomniałeś coś o trzech... nazwałeś je „pryncypiami”.

- Państwa, bóstwa - powiedział ojciec z otchłani przygnębienia. - Przeszkody na drodze ku czystej koncepcji.

- Tak, ale czym jest trzecie z pryncypiów? Nigdy o nim nie mówiłeś.

Ojciec rozkojarzył się i zapatrzył, niepocieszony, w podłogę. Tymczasem uśmiech zagościł na twarzy matki. Bez wątpienia słyszała wszystko, co ojciec mówił, wiele, wiele razy.

- Trzecie pryncypium? - rzekła, wydmuchując kłęb papierosowego dymu w moją stronę. - No cóż, skarbie, to rodziny.

Przeł. Wojciech Gunia

ZARZĄDCA MIASTA

Pewnego szarego poranka, niedługo przed nastaniem zimy, w mgnieniu oka rozeszły się wśród nas kłopotliwe wieści: zarządcy miasta nie zastano w biurze i wydawało się, że przepadł. Sytuacja nie była jasna, staraliśmy się więc pozostawić ją nierozstrzygniętą tak długo jak się dało. Dawniej zawsze tak postępowaliśmy w podobnych okolicznościach.

To przede wszystkim motorniczy Carnes, który jeździł tramwajem w tę i z powrotem po Main Street, zwrócił uwagę na ewentualność, że zarządcy miasta może nie być już z nami. To on, chodząc na pętlę tramwajową po drugiej stronie miasta z domu położonego na jego krańcu, jako pierwszy spostrzegł, że nikłe światło lampy, zawsze rozpraszające mrok w biurze zarządcy miasta, przestało się palić.

Naturalnie nie można było wykluczyć, że w lampce na rogu biurka po prostu przepaliła się żarówka, lub że w sieci elektrycznej niedużego biura przy Main Street doszło do krótkiego spięcia. Mogła też nastąpić poważniejsza przerwa w dostawie energii, która dotknęła także pomieszczenia nad biurem, gdzie zarządca miasta zamieszkiwał, odkąd przybył do nas, by wykonywać swoje obowiązki. Wszyscy z pewnością znaliśmy go jako człowieka, który nie przywiązywał wielkiej wagi do stanu ani swojego biura, ani prywatnego mieszkania.

Dlatego właśnie ci spośród nas, którzy zebrali się tłumnie przed biurem i domem zarządcy miasta, brali w pewnym stopniu pod rozwagę zarówno teorię przepalonej żarówki, jak i awarii elektryczności. Mimo to, z czasem rosło nasze zaaferowanie. Najbardziej niepokoił się Carnes, gdyż obecny stan rzeczy oddziaływał na niego dłużej niż na

kogokolwiek, nawet jeśli to „dłużej” oznaczało parę minut. Jak już dałem do zrozumienia nie pierwszy raz stykaliśmy się z podobnym rozwojem wydarzeń. Tak więc Carnes stwierdził, że trzeba coś zrobić, reszta z nas wkrótce opuściła azył teoretyzowania.

- Pora działać - rzekł motorniczy. - Trzeba wiedzieć, co się dzieje.

Ritter, właściciel miejscowego sklepu metalowego, wyważył łomem drzwi do biura zarządcy i niebawem w kilku zaczęliśmy przeszukiwać wnętrze. Pomieszczeniu nie można było odmówić schludności, nawet jeśli na dobrą sprawę brała się ona z niemal całkowitego braku mebli. Stały tam tylko krzesło, biurko oraz lampa na blacie. Resztę dopełniały gołe podłogi i ściany. Jak zauważyli niektórzy bardziej ciekawscy członkowie naszej ekipy, szuflady również świeciły pustkami. Ritter sprawdzał gniazdko w ścianie, do którego podłączono kabel lampy, inny badał skrzyknę z bezpiecznikami na tyłach biura. Ale wszystko to było zaledwie grą na zwłokę. Nikt nie zamierzał sięgnąć pod abażur i nacisnąć włącznik, żeby sprawdzić, czy to żarówka się przepaliła, czy, co bardziej złowieszcze, pomieszczenie z rozmysłem oddano we władzę ciemności. Wszyscy mieli świadomość, że gdyby okazało się prawdą to ostatnie, nie ulegałoby wątpliwości, że urządzenie obecnego zarządcy miasta dobiegło końca.

Niegdyś ośrodkiem władz miejskich oraz służb publicznych był tradycyjny ratusz na południowym krańcu Main Street. Budzącą podziw budowlę rozświetlała nie mała lampka, przylegająca do rogu sfatygowanego biurka, a wspaniały żyrandol. To olśniewające urządzenie sygnalizowało, że naczelnny urzędnik miasta przebywa z nami. Kiedy ratusz popadł w ruinę i ostatecznie przestał nadawać

się do użytku, swojego światła użyczały inne budowle - począwszy od górnych pięter starej opery (z czasem również porzuconej), po obecne biuro od ulicy, które jeszcze niedawno służyło za siedzibę administracji miejskiej. Jednakże zawsze nadchodził dzień, gdy postrzeżenie dla mieszkańców miasta gasło światło.

- Nie ma go na górze - krzyknął do nas Carnes z prywatnej kwatery zarządcy miasta. W tym momencie postanowiłem wziąć na siebie próbę włączenia światła. Żarówka rozbłysła, w pomieszczeniu zapadła cisza. Po pewnym czasie ktoś - do dziś nie przypominam sobie kto - stwierdził zrezygnowanym głosem:

- Opuścił nas.

Słowa te zaczęły krążyć wśród tłumu zebranego przed biurem zarządcy miasta, aż w końcu nie został nikt, kto nie poznał prawdy. Nawet nie śmiano zasugerować, że taki rozwój sytuacji to żart lub pomyłka. Wniosek był jeden: dawny zarządca nie kierował już miastem i jeżeli jeszcze do tego nie doszło, to wkrótce dojdzie do nowego mianowania.

Mimo wszystko trzeba było zachować pozory. Prowadziliśmy poszukiwania przez resztę szarego poranka i później, aż do popołudnia. Było to preludium do osadzenia na stanowisku nowego funkcjonariusza i za mojego życia poszukiwania przeprowadzano coraz zwawiej, coraz skuteczniej, wraz ze znikaniem kolejnych zarządców. Budynki i domy, z których składało się miasto, nie były tak liczne jak w czasach mojego dzieciństwa i młodości. Niestłuchany rozkład i zepsucie przekształciły dzielnice niegdyś tętniące życiem w puste parcele, gdzie tylko pojedyncze cegły i potłuczone szkło dawały do zrozumienia, że kiedykolwiek istniało tam cokolwiek prócz chwastów i zeszcłej ziemi. Gdy byłem młody i

ambitny postanowiłem sobie, że zamieszkać w domu w bogatej dzielnicy znanej jako Wzgórze. Miejsce wciąż określano tą nazwą, choć kryła się w niej pewna ironia, bowiem nieruchomości - obecnie nierówny, pusty spłacheć ziemi - nie wznosiła się wyżej niż tereny ją otaczające.

Kiedy już przyjęliśmy do wiadomości fakt, że zarządcy miasta nie ma nigdzie w obrębie miasta, przenieśliśmy poszukiwania w szczerze pole. Dokładnie tak, jak zachowywaliśmy pozory przeszukując tereny miasta, tak nie przestaliśmy zachowywać pozorów włączając się po dzikich terenach poza nim. Jak już wspomniałem, zbliżała się zima i w którąkolwiek stronę nie wędrowaliśmy po zbitej ziemi, widok przesłaniały nam co najwyżej nieliczne nagie drzewa. Mieliśmy oczy szeroko otwarte, ale nie można powiedzieć, byśmy szczególnie przykładali się do poszukiwań.

W biurach zarządców w przeszłości wiele razy gościło światło, lecz wszczynane poszukiwania nigdy nie przynosiły rezultatu - zarządców nie odnajdywano ani żywych, ani martwych. Obchodziło nas tylko, aby nowy zarządca, kiedy już się zjawi, usłyszał od nas, iż zrobiliśmy wszystko w naszej mocy, żeby odszukać jego poprzednika. Rytuał ten wydawał się tracić na znaczeniu z każdym nowym zarządcą, przy czym ostatni ledwo przyjął do wiadomości, że staraliśmy się znaleźć martwe albo żyjące ciało poprzedniego administratora.

- Co takiego? - spytał, gdy w końcu ocknął się z drzemki za biurkiem w sekretariacie.

- Zrobiliśmy co w naszej mocy - powtórzył jeden z nas, który przewodził poszukiwaniom odbywającym się wczesną wiosną.

- Cały czas szalała burza - oznajmił inny.

Wysłuchawszy naszego raportu, zarządca miasta

zaledwie odparł:

- Ach, rozumiem. Tak, dobra robota. - Potem odprawił nas i wrócił do spania.

- Po co tak się staramy? - powiedział balwierz Leeman, gdy staliśmy przed biurem zarządcy miasta. - Nigdy niczego nie znajdujemy.

Odesłałem jego i innych do fragmentu statutu miasta, co by nie mówić krótkiego dokumentu, który wymagał od obywateli „rzetelnych poszukiwań na terenie miasta oraz okolic” za każdym razem, gdy dochodziło do zaginięcia zarządcy. Przepis ten stanowił część porozumienia, jakie zawarli założyciele, i pozostawał w mocy przez kolejne pokolenia. Niestety, w dokumentach złożonych ostatecznie w nowym gmachu opery, a następnie unicestwionych w pożarze, który parę lat temu strawił właśnie ów po partacku skonstruowany budynek, nie podano jawnie, z kim zawarto to porozumienie. (Sam statut miasta składał się obecnie z kilku nędznych uwag zebranych ze wspomnień i przekazywanej ustnie wiedzy, aczkolwiek rzadko kiedy omawiano szczegóły tego szczątkowego dokumentu.) Bez wątplenia założyciele obrali w tamtym czasie kierunek rozwoju zdający się najlepiej sprzyjać przetrwaniu oraz dobrobytowi miasta i stopniowo wprowadzili w życie porozumienie, które wyznaczało tę samą drogę potomkom. W takich posunięciach i porozumieniach nie kryło się nic nadzwyczajnego.

- Ale to było wiele lat temu - odrzekł Leeman w to deszczowe, wiosenne popołudnie. - Ja na ten przykład uważam, że najwyższy czas dowiedzieć się, z kim mamy do czynienia.

Pozostali zgadzali się z nim. Ja nie oponowałem. Niemniej nigdy nie udało nam się poruszyć tego tematu w

rozmowie z poprzednim zarządcą. Kiedy jednak w owym dniu zapowiadającym nadejście zimy kroczyliśmy przez bezdroża, mówiliśmy między sobą i zarzekaliśmy się, że zadamy pewne pytania nowemu zarządcy miasta, który z reguły przybywał niedługo po zniknięciu, czy też ustąpieniu z urzędu poprzedniego administratora, czasami nawet tego samego dnia.

Pierwsza kwestia, jaką zamierzaliśmy poruszyć, dotyczyła powodu dla którego wymagano od nas i tak bezowocnych poszukiwań zaginionych zarządców miasta. Niektórzy żywili przekonanie, że poszukiwania miały na celu odciągnąć naszą uwagę, aby nowy zarządca miasta mógł objąć stanowisko, zanim ktokolwiek miałby szansę zauważyć, w jaki sposób oraz z którego kierunku do nas przybył. Inni byli zdania, że wyprawy faktycznie czemuś służyły, chociaż czemu - nie mieliśmy pojęcia. Tak czy inaczej, wszyscy zgadzaliśmy się co do tego, że nadszedł czas, by miasto - a raczej to, co z niego zostało - wkroczyło w nową, bardziej oświeconą epokę swojej historii. Kiedy jednak dotarliśmy do zrujnowanego gospodarstwa, nasze postanowienia zlały się z szarą mgiełką, która spowijała tamten dzień.

Zazwyczaj zniszczone gospodarstwo wespół ze stojącą nieopodal drewnianą szopą wyznaczały miejsce, w którym kończyliśmy poszukiwania i wracaliśmy do miasta. Zbliżał się zachód słońca, a to oznaczało, że gdybyśmy bezzwłocznie zabrali się do pobieżnej inspekcji gospodarstwa i szopy, zostałyby nam akurat dosyć czasu, by wrócić do domów przed zapadnięciem ciemności. Lecz nie zabraliśmy się do przeszukiwania. Tym razem trzymaliśmy się z dala od gospodarstwa, które rysowało się nieregularną sylwetką o licznych stromiznach na tle szarego nieba, jak również od

szopy, wąskiego budynku, który ktoś dawno temu zbił z tarcicy. Na zwietrzałych deskach było coś napisane i nikt z nas wcześniej nie widział tych symboli. Wycięto je w drewnie, jakby ostrym narzędziem. Brakowało niektórych liter, a inne, wyżłobione w oderwanych deskach, były niemożliwe do odczytania. Motorniczy Carnes stał obok mnie.

- Czy to oznacza co myślę? - powiedział do mnie prawie szeptem.

- Tak mi się wydaje.

- A to światło ze środka?

- Jakby żarzyły się polana - powiedziałem, mając na myśli czerwoną poświatę dobywającą się spomiędzy desek.

Rozpoznavszy przybycie nowego zarządcy, mniejsza o to, z której strony i jakimi środkami się dokonało – odwróciliśmy się wszyscy i ruszyliśmy w milczeniu w stronę miasta, stąpając powoli przez szarą głuszę, którą dzień po dniu obejmowała w posiadanie nadchodząca zima.

Niebawem pogodziłem się z tym, co odkryliśmy w czasie poszukiwań, a przynajmniej osiągnęliśmy stan, w którym przestaliśmy otwarcie wyrażać nasz niepokój. Czy miał jakiegokolwiek znaczenie fakt, że zamiast zajmować budynek przy Main Street, gdzie nad drzwiami wisiała tabliczka z napisem ZARZĄDCA MIASTA, osobnik obecnie piastujący to stanowisko wybrał na siedzibę szopę, której przegniłe deski nosiły te same słowa wykrojone ostrym narzędziem? Od dawna do tego zmierzało. Dawniej zarządca miasta sprawował urząd w jednym z licznych biur w ratuszu oraz mieszkał w eleganckiej rezydencji na Wzgórzu. Teraz urzędnik ten będzie wykonywał pracę w wysmaganej przez wiatr szopie, w pobliżu obróconego w ruinę gospodarstwa. Nic nie trwało niezmiennie przez długi czas. Zmiana stanowiła

istotę naszych egzystencji.

Moja własna sytuacja życiowa należała do typowych. Jak już wspomniałem, miałem ambicje posiadać rezydencję na Wzgórzu. Jakiś czas kierowałem przedsiębiorstwem spedycyjnym, które niemal bez wątpienia zaprowadziłoby mnie do upragnionego celu. Jednak stało się tak, że w momencie przybycia poprzedniego zarządcy miasta zamiatałem podłogi u balwierza Leemana i podejmowałem się różnych nieregularnych prac. W każdym razie mój pęd do zbudowania prężnej firmy spedycyjnej wygasł, odkąd erozja spłaszczyła Wzgórze.

Być może ogólne pogorszenie warunków panujących w mieście, a także sytuacji życiowej mieszkańców, można było przypisać miernemu pełnieniu obowiązków przez zarządców, którzy z czasem stawali się coraz mniej kompetentni. Jakichkolwiek byśmy nie mieli obaw w odniesieniu do naszego nowego zarządcy, nie można powiedzieć, by poprzedni był modelowym administratorem. Całe dni robocze poprzedzające koniec jego kadencji spędzał na spaniu za biurkiem.

Z drugiej strony, każdemu zarządcy miasta należy poczytać za zasługę wprowadzenie pewnego elementu zmiany, urzędowego projektu takiego czy innego rodzaju, który ciężko było uznać za szkodliwy. Nawet jeśli nowy budynek opery zdawał się nędznie skonstruowaną podpałką, to jednak reprezentował próbę postawienia miasta na nogi, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Poprzedni zarządca odpowiadał za linię tramwajową na Main Street W pierwszych dniach administrowania sprowadził robotników spoza miasta, by wznieśli ów pomnik ducha innowacji. Nie to, żeby stanowczo domagano się takich udogodnień w naszym

mieście, które wszak bez trudu dawało się przebyć pieszo lub rowerem bez szczególnego zmęczenia ze strony tych, którzy cieszyli się stosunkowo dobrym zdrowiem. A jednak, odkąd uruchomiono linię tramwajową, większość z nas jeździła nią od czasu do czasu, choćby z uwagi na jej nowatorstwo. Niektórzy z różnych powodów korzystali z nowego środka transportu regularnie, a nawet zdawali się być uzależnieni od niego, mimo że miewali do pokonania zaledwie parę przecznic. Tak czy inaczej, tramwaj dawał przynajmniej Carnesowi stałe zatrudnienie, którego wcześniej nie mógł znaleźć.

Krótko mówiąc, zawsze staraliśmy się dopasować do decyzji przysyłanych do nas zarządców miasta. Najtrudniejsze było oczekiwanie, aż nowi administratorzy odkryją przed nami naturę swoich planów, a potem dostosowanie się do form, jakie te zmiany przyjmą. Według takich mechanizmów funkcjonowaliśmy od pokoleń. Taki porządek rzeczy zastaliśmy podczas narodzin i jemu oddaliśmy się na drodze ustępstwa. Ryzyko sprzeciwienia się schematowi, skoku w nieznaną, było po prostu zbyt wielkie, byśmy je poważniej rozważali. I choć byliśmy świadkami sceny przed szopą opodal podupadłego gospodarstwa, nie przewidzieliśmy, że miasto właśnie wkracza w całkowicie odmienną epokę w swojej historii.

Pierwszą dyrektywę nowego zarządcy miasta przekazano nam na wydartym skrawku papieru, który pewnego dnia, podrywany podmuchami wiatru, przybył chodnikiem na Main Street, gdzie znalazła go pewna stara kobieta, niezwłocznie dzieląc się z nami nową informacją. Brązowawy papier wykonano z pulpy drzewnej. Napis na strzępie wyglądał na wykonany zwęglonym kawałkiem

drewna i charakterem przypominał słowa wykreślone na starych deskach szopy zarządcy miasta. Przekaz brzmiał następująco: SNISZCIE TRAMAJ.

Choć znaczenie słów było dla nas jasne, nie spieszyliśmy z reakcją na żądanie tak niepojęte i bezzasadne. Już wcześniej zdarzało się, że nowy zarządca miasta usuwał budowlę czy symbol upamiętniające rządy któregoś z poprzedników, aby zrobić miejsce na budowlę lub symbol określające jego własną postać albo po prostu wymazać jakiegokolwiek dobitne oznaki poprzedniego porządku; w ten sposób obwieszczał nadejście nowej epoki. Tak więc nie czuliśmy się bardzo zaskoczeni, jednak zwykle przedstawiano powód czy wymówkę dla podjęcia podobnych działań. Wyglądało na to, że w wypadku niniejszego poruczenia nowego zarządcy miasta, które nakazywało zniszczyć tramwaj, nie było o tym mowy. Postanowiliśmy zatem zachować bierność, dopóki nie otrzymamy uzupełnień odnośnie do tej kwestii. Ritter zaproponował sporządzenie naszej własnej wiadomości z prośbą o dalsze instrukcje. Taką wiadomość pozostawilibyśmy pod drzwiami szopy zarządcy miasta. Nic dziwnego, że nie znaleźli się ochotnicy. Mieliśmy zostawić tramwaj w spokoju, dopóki nie otrzymamy bardziej szczegółowych informacji.

Następnego ranka pojazd wyruszył z dźwiękiem klaksonu na swój pierwszy przejazd Main Street tego dnia. Lecz nie zatrzymał się ani razu, aby zabrać czekających na chodniku.

- Popatrz na to - powiedział do mnie Leeman, wyglądając przez okno frontowe swojego zakładu fryzjerskiego. Następnie wyszedł na zewnątrz. Oparłem miotłę o ścianę i dołączyłem do niego. Inni stali już na ulicy, obserwując tramwaj, który zatrzymał się po drugiej stronie

miasta.

- Nikt go nie prowadził - oznajmił Leeman, a spostrzeżenie to powtórzyła pewna grupa osób. Kiedy wydawało się, że tramwaj nie rozpocznie drogi powrotnej, kilku z nas ruszyło ulicą, żeby zbadać maszynę. Wszedłszy do środka, odkryliśmy na podłodze nagie ciało motorniczego Carnesa. Ktoś go bestialsko okaleczył, na piersi wypalając słowa: SNISZCIE TRAMAJ.

Parę następnych dni spędziliśmy wypełniając to zadanie. Zerwaliśmy również szyny biegnące przez miasto i zrównaliśmy z ziemią linie elektryczne, które zasilają tramwaj. Gdy zbliżaliśmy się do końca pracy, ktoś zauważył kolejny strzęp brązowego papieru. Targał nim wiatr, wywijając jak latawcem. W końcu sfrunął między nas. Stojąc w kole wokół kartki, odczytaliśmy nabazgrane słowa. „DBRZE”, było napisane. „TRAZ WASZE PRCE SIE ZMNIĄ”.

Zmieniły się nie tylko prace, ale i oblicze miasta. Kolejny raz z zewnątrz przybyli robotnicy z poleceniem przeprowadzenia różnorodnych prac budowlanych, wyburzeniowych oraz dekoracyjnych, które rozpoczęły się na Main Street, a wkrótce objęły sąsiednie tereny. Za pomocą tych samych środków co zawsze, poinstruowano nas, abyśmy nie przeszkadzali tym ludziom. Całą zimową szarugę spędzili oni na robocie wewnątrz budynków miasta. Z nadejściem wiosny zakończyli prace nad fasadami i zniknęli. Zostawili po sobie coś, co nie przypominało już miasta, tylko lunapark. Natomiast my, zamieszkujący te tereny, otrzymawszy standardowym sposobem informacje o zmianie naszych prac, zostaliśmy cudakami rodem z dziwowiska.

Na przykład Sklep Metalowy Rittera opróżniono ze zwykłych towarów i przebudowano, aby służył jako wymyślny

labirynt toalet. Po wejściu przez drzwi frontowe natychmiast trafiało się pomiędzy sedes a umywalkę. W jedną ze ścian niewielkiego pomieszczenia wbudowano drzwi, które otwierały się na kolejną, nieco większą toaletę. Z kolei to pomieszczenie posiadało dwa wejścia do następnych toalet, spośród których do jednych można było dostać się wyłącznie przy pomocy spiralnych schodów, do innych zaś dzięki długim, wąskim korytarzom. Każda toaleta różniła się nieco rozmiarami oraz wystrojem. Żadne z pomieszczeń nie nadawało się do użytku. Zewnątrz Sklepu Metalowego Rittera otrzymało nową fasadę z wielkich kamiennych bloków oraz z każdej strony po jednej sztucznej wieży, które wyrastały nieco ponad budynek. Szyld nad drzwiami frontowymi określał dawny sklep metalowy mianem ZAMKU WYGODY. Nowa praca Rittera sprowadzała się do przesiadywania na krześle na chodniku przed dawną siedzibą swojego interesu i noszenia prostego munduru ze słowem OBSŁUGA wyszytym w widocznym miejscu pod lewym barkiem.

Balwierz Leeman miał mniej szczęścia w nowym zawodzie. Jego zakład, przemianowany na „Miasto Bobasów”, przekształcono w olbrzymi kojec dziecięcy. Leeman zmuszony był mordować się pośród wypchanych zwierząt i zwałów zabawek w ubranku noworodka o rozmiarach dorosłego człowieka.

Wzdłuż Main Street nie ostało się przedsiębiorstwo, które w jakiś sposób nie uległoby metamorfozie, choć zmiany nie zawsze miały wydźwięk tak cudaczny, jak w przypadku Zamku Wygody Rittera czy Miasta Bobasów Leemana. Pewna liczba budynków straszyła pustymi witrynami - lecz gdyby komuś zdarzyło się wejść do środka, odkryłyby na zapleczu

miniaturowe kino, gdzie na nagiej ścianie wyświetlano zagraniczne filmy animowane, lub też natknąłby się na galerię sztuki całkowicie wypełnioną malowidłami oraz szkicami o dyskusyjnej wartości. Niekiedy ciemne witryny okazywały się tym, na co wyglądały, tyle że w chwilę potem drzwi zatrzaśkiwały się za tobą i musiałeś wychodzić przez zaplecze budynku.

Za sklepami przy Main Street istniała dziedzina zaułków ogarniętych wieczną nocą, tuneli o arkadowych sklepieniach. W strategicznych miejscach tych korytarzy rozmieszczono lampy dające nikłe światło, tak że wędrując między wysokim drewnianym płotem a ceglana ścianą w żadnym miejscu nie natrafiało się na całkowitą ciemność. Wiele spośród zaułków prowadziło do czyjejś kuchni, albo salonu, co umożliwiało ucieczkę z powrotem do miasta. Niektóre zwęzały się coraz bardziej i bardziej, aż dalsze podążanie nimi stawało się niemożliwe i należało wycofać się po własnych śladach. Inne zaułki w czasie wędrówki ulegały stopniowej przemianie, aż wreszcie przestawały przypominać scenę z małego miasteczka i stawały się niby obraz wielkiej metropolii, z dobiegającymi z oddali krzykami oraz syrenami, choć dźwięki te w rzeczywistości puszczano z nagrań przez ukryte głośniki. Właśnie w takiej okolicy, otoczonej dekoracjami o namalowanych kamienicach ze schodami pożarowymi wspinającymi się zygzakiem na ostatnie piętra, pracowałem w swoim nowym zawodzie.

Umieszczono mnie w budce na końcu ponurego zaułka, gdzie z krat oszukanego systemu kanalizacji dobywała się pompowana para - tam właśnie sprzedawałem zupę w papierowych kubkach. A raczej, mówiąc ściślej, nie zupę polecono mi sprzedawać, lecz coś w rodzaju bulionu. Za

kontuarem na przedzie mojej budki leżał na podłodze cienki materac, na którym mogłem spać w nocy, a w zasadzie kiedykolwiek poczułem się śpiący, bowiem wydawało się mało prawdopodobne, by ktoś miał przedrzeć się przez labirynt uliczek i pozwolić się obsłużyć. Żywiłem się własnym bulionem oraz wodą, z której przygotowywałem tę nieużyteczną strawę. Wydawało się, że nowy zarządca miasta osiągnie wreszcie to, do czego tak leniwie dążyli jego poprzednicy: wykrwawi całkowicie miasto i pozbawi je tych niewielu zasobów, jakie mu zostały. Nie mogłem się bardziej mylić.

W przeciągu paru tygodni rozpoczął się równomierny napływ klientów, którzy wystawali przed moją koncesjonowaną budką z bulionem, chętni płacić absurdalne kwoty za wodnisty, żółtawy płyn. Nie byli to mieszkańcy, lecz ludzie z zewnątrz. Zauważyłem, że niemal wszyscy trzymali w dłoniach lub mieli wciśnięte w kieszenie zwinięte broszury. Jedną z nich ktoś pozostawił na kontuarze z przodu mojej budki i zaraz gdy w interesie zrobił się mniejszy ruch, siadłem i przeczytałem ją. Na okładce widniał napis: BAW SIĘ DOBRZE W POCIESZNYM MIASTECZKU. Wewnątrz znalazłem kilka podpisanych fotografii różnych „atrakcji”, jakie nasze miasto miało do zaoferowania ciekawemu turyście. Byłem pełen podziwu dla planów zarządcy miasta. Ów anonimowy osobnik nie tylko zabrał nam ostatnie grosze, by sfinansować najszerzej zakrojone przedsięwzięcie budowlane, jakie widziało to miejsce, do tego bez wątpienia wymagające znacznych łapówek, ale jego zmyślne marnotrawstwo wywołało niespotykany dotąd w naszym mieście przychód finansowy.

Lecz jedyną osobą, której się powodziło, był zarządca

miasta. Codziennie, czasem nawet co godzinę, w każdym z punktów z atrakcjami i koncesjonowanych miejsc w mieście pobierano opłaty. Zbierali je nieznajomi o posępnych twarzach, niekryjący się z faktem, że są uzbrojeni we wszelkiego rodzaju bron. Ponadto zauważyłem, że w tłum turystów często wmieszani byli szpiedzy, którzy trzymali nas na oku i sprawdzali, czy aby nie zachowujemy dla siebie więcej niż przykazany skromny udział w zyskach z nowej przedsiębiorczości miasta. Mimo wszystko, podczas gdy pod przewodnictwem zarządcy miasta mieliśmy wszelkie powody spodziewać się co najwyżej całkowitej biedy, to jednak wyglądało na to, że przynajmniej przetrwamy.

Niemniej któregoś dnia tłumy turystów zaczęły rzednąć. Wkrótce po nowym biznesie miasta zostało wspomnienie. Mężczyźni o posępnych twarzach nie kłopotali się pobieraniem opłat, a my zaczęliśmy spodziewać się najgorszego. Z wolna opuszczaliśmy nasze stanowiska i gromadziliśmy się na Main Street pod obwisłym transparentem z napisem WITAMY W POCIESZNYM MIASTECZKU.

- To by było na tyle - powiedział Ritter, wciąż mając na sobie mundur obsługi toalet.

- Jest tylko jeden sposób, aby się przekonać - oznajmił Leeman, ubrany już w strój dorosłego.

Kilka tygodni przed nastaniem zimy ponownie ruszyliśmy w szczerze pole, mając nad sobą szare niebo. Nadchodził zmierzch, dzięki czemu, na długo zanim dotarliśmy do szopy zarządcy miasta, dostrzegliśmy, że już nie dochodzi z niej czerwona poświata. Mimo to przeszukaliśmy szopę. Następnie zbadaliśmy gospodarstwo. Nie było zarządcy miasta. Nie było pieniędzy. Nie było nic.

Kiedy reszta odwróciła się i zaczęła zmierzać w stronę miasta, ja zostałem z tyłu. Wkrótce miał przybyć nowy zarządca, a ja nie zamierzałem patrzeć, jaką formę przybierze jego nowa administracja. Zawsze tak było - jeden zarządca za drugim, każdy przejawiający oznaki coraz większego zepsucia, jakby tą degeneracją zmierzali do konkretnego celu, kto wie jakiego. Nie dało się powiedzieć, dokąd to wszystko zmierza. Ilu jeszcze ich przyjdzie i odejdzie, zabierając kolejne części miejsca, w którym się urodziłem i zaczynałem się starzeć? Pomyślałem o tym, jak bardzo miejsce to było inne, gdy byłem dzieckiem. Pomyślałem o dziecięcym marzeniu posiadania domu w dzielnicy zwanej Wzgórzem. Pomyślałem o mojej dawnej firmie spedycyjnej.

Po czym ruszyłem w kierunku przeciwnym. Szedłem, póki nie dotarłem do drogi. Następnie drogą tą doszedłem do innej miejscowości. Mijałem liczne osady i wielkie miasta, sprząając i wykonując inne nieregularne prace, żeby się utrzymać. Wszystkie te miejsca działały na identycznych zasadach, jak moje rodzinne miasto, aczkolwiek nigdy nie dotarłem do takiego, które przejawiałoby równie zaawansowany stopień rozkładu. Uciekłem stamtąd w nadziei odnalezienia miejsca opartego na innych zasadach i działających według odmiennych reguł. Ale nie było takiego, a przynajmniej ja nie byłem w stanie go znaleźć. Wydawało się, że pozostało mi skończyć z tym wszystkim.

Któregoś razu, niedługo po zdaniu sobie sprawy ze wspomnianych uwarunkowań mojego istnienia, siedziałem przy kontuarze nędznej, maleńkiej kawiarni. Było późno w nocy, jadłem zupę. Rozmyślałem, jak skończyć z tym wszystkim. Kawiarnia mogła znajdować się zarówno w małym miasteczku, jak i wielkim mieście. Teraz, gdy o tym myślę,

przypominam sobie, że stała pod szosą międzymiastową, więc musiało to być w tym drugim. Jedyne oprócz mnie, dobrze ubrany mężczyzna, siedział przy dalszym krańcu kontuaru. Popijał kawę z filiżanki i raz po raz zerkał na mnie z ukosa. Odwróciłem głowę w jego stronę i obdarzyłem długim spojrzeniem. Uśmiechnął się i zapytał, czy może dołączyć do mnie po mojej stronie kontuaru.

- Może pan robić, co chce. Wychodzę.

- Nie tak prędko - powiedział, siadając na stołku barowym obok mnie. - Czym pan się zajmuje?

- Niczym szczególnym. Czemu pan pyta?

- A nie wiem. Po prostu wygląda pan na kogoś, kto z niejednego pieca chleb jadł. Widział pan trochę miejsc w życiu, mam rację?

- Można tak powiedzieć - odrzekłem.

Tak też myślałem. Pan posłucha, nie jestem tu, żeby urządzić pogaduchy. Pracuję na zlecenie, szukając ludzi takich jak pan. Wydaje się pan mieć co trzeba.

- Do czego? - spytałem.

- Zarządzania miastem - odparł.

Zjadłem ostatnie łyżki zupy. Wytarłem usta papierową serwetką.

- Zamieniam się w słuch - powiedziałem.

Pozostało mi albo to, albo skończyć z tym wszystkim.

Przeł. Mateusz Kopacz

DZIWOWISKO I INNE OPOWIADANIA

Przedmowa

Autora prezentowanych tu opowiadań poznałem w czasie, kiedy przechodziłem kryzys własnej twórczości literackiej. Był to człowiek zdecydowanie ode mnie starszy i jako twórca znacznie przewyższał mnie doświadczeniem. „Od zawsze pragnąłem wyrwać się - rzekł - z *uchwyty show-biznesu*”. Słowa te powiedział do mnie przy stoliku w narożnej łoży taniej kawiarni, w której odbywały się wszystkie nasze nocne spotkania.

Po raz pierwszy przedstawiła nas sobie kelnerka pracująca na nocną zmianę. Domyśliła się, że obaj cierpimy na bezsenność, gdyż przesiadywaliśmy w tym miejscu całymi godzinami, paląc przy tym papierosy (identycznej marki), pijąc okropną, podawaną tu kawę bezkofeinową, raz na jakiś czas zapisując coś w trzymany pod ręką notatnikach.

- Wszystkie mity ludzkości to nic innego jak show-biznes powiedział mi mężczyzna, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. - Wszystko, w imię czego rzekomo żyjemy i za co umieramy - czy to księgi religijne, czy zstępujące je slogany - wszystko to show-biznes. Nauka filozofia, wszystkie dyscypliny pod słońcem, nawet samo słońce i inne bryły materii kolebiące się w ciemności, gdzieś tam w górze... - rzekł do mnie wskazując palcem za okno obok kawiarnianej łoży, w której siedzieliśmy - show-biznes, show biznes, show-biznes.

- A sny? - zapytałem, uznając, że może odnalazłem wyjątek w jego dogmatycznym (jak sam przyznawał)

poglądzie.

- Masz na myśli sen, jaki śnimy teraz, czy ten, który się przydarza, kiedy udaje nam się zasnąć? - Przyznałem, że to dobry argument i wycofałem pytanie, zresztą od początku zadawałem je bez specjalnego przekonania. Ostatecznie rozmowa wróciła na poprzedni tor - mój towarzysz podawał kolejne przykłady *zjawisk show-biznesu*, a ja próbowałem przedstawić jakieś przekonywujące wyjątki od tej specyficznej doktryny, na punkcie której zdawał się mieć beznadziejną obsesję - aż w końcu rozeszliśmy się na krótko przed świtem, każdy w swoją stronę.

To pierwsze spotkanie w kawiarni z owym człowiekiem, w którym zacząłem widzieć utraconego ojca w dziedzinie literatury, nadało ton kolejnym. Powinienem dodać, że celowo podsyciałem jego manię i robiłem co mogłem, aby skupić na niej naszą rozmowę. Czułem bowiem, że wspomnianą obsesję na punkcie show-biznesu cechował bardzo bliski związek z moim własnym zwątpieniem czy kryzysem twórczości. Co dokładnie miał na myśli mówiąc „show-biznes”? Dlaczego uznawał, że „zasadniczo show-biznesowy charakter” wszelkich zjawisk to coś problematycznego? W jaki sposób jego twórczość literacka zbiegała się albo może stała w opozycji do tego, co nazywał „światem show-biznesu”?

- Niczego nie obiecuję po moich tekstach, nie robię też sobie nadziei, by umożliwiły wyrwanie się z uchwytu show-biznesu - powiedział. - Pisanie to po prostu kolejna czynność, której podejmuję się *na sygnał*. Zamawiam tę okropną kawę, ponieważ jestem w drugorzędnej kawiarni. Zapalam kolejnego papierosa, ponieważ moje ciało mówi, że na to czas. Dlatego też piszę, ponieważ coś mnie do tego *nakłania* - i nie ma w tym nic więcej.

Jako że dotknął w ten sposób problemu związanego blisko z moimi aktualnymi poszukiwaniami, zwątpieniem czy kryzysem, zadałem mu pytanie o jego twórczość, a konkretnie o to, jak można by opisać jej punkt skupienia, jej „centrum zainteresowania”, jak to wtedy ująłem.

- Moim punktem skupienia, czy też centrum zainteresowania - powiedział - był od zawsze nędzny show-biznes, jakim jest moje życie, autobiograficzne nędzarstwo, nawet nie show-biznes pierwszej klasy, a seria drugorzędnych dziwowisk, bezsensownych epizodów pozbawionych ciągłości, czy konsekwencji, za wyjątkiem tych, którym sam *przypisuję* te cechy na mocy bycia aranżerem tego isticie cyrkowego programu, co robię zresztą w typowo oszukańczym, show-biznesowym stylu i czego efekt oczywiście nie może być ani trwały, ani autentyczny. Zrozumiałem jednak, że na tym właśnie polega show-biznes - cały ten interes to po prostu pokaz *dziwowisk*. Nagłe mutacje absolutna bezpodstawność istnienia, niestabilność wszystkich zjawisk... Z konieczności żyjemy w świecie z *dziwowiska*, gdzie ostatecznie wszystko jest w najwyższym stopniu dziwaczne i niedorzeczne.

- Według jakiej normy? - wtrąciłem, zanim zdążył zmienić temat, a słowa te trafiły w samo apogeum mojego kryzysu i zwątpienia, duszącego impasu w mojej egzystencji jako autora prozy. - Powiedziałem: według jakiej normy - powtórzyłem - uznajesz, że wszystko jest dziwaczne i niedorzeczne?

Przez chwilę na mnie spoglądał, jakby nie tylko zastanawiał się nad moim pytaniem, ale również próbował wycenić mnie i cały mój świat, po czym odparł:

- Według nienazywalnej, niepoznawalnej i bez wątpienia

nieistniejącej normy, którą show-biznes *nie jest*.

Nie dodając ani słowa, wysunął się z narożnej łoży, zapłacił swój rachunek przy ladzie i wyszedł.

Rozmawiałem z nim wtedy po raz ostatni. Kiedy następnym razem odwiedziłem kawiarnię, zasiadając w tej samej narożnej łoży, kelnerka pracująca na nocną zmianę przekazała mi niewielki plik kartek.

- Powiedział, żeby je panu przekazać i że nie będzie po nie wracał.

- Nie mówił nic więcej? - spytałem.

- Nie, tylko tyle - odparła.

Podziękowałem, zamówiłem kawę bezkofeinową, zapaliłem papierosa i zacząłem czytać poniższe opowiadania.

I. Chorobliwa macierz

Od wielu lat miałem przywilej otrzymywać częste i szczegółowe komunikaty dotyczące rezultatów najbardziej zaawansowanych naukowych i metafizycznych badań. Informacje te odznaczały się wysoce specjalistycznym charakterem, obcym naukowcom i metafizykom głównego nurtu pozostawały jednak w zasięgu zapalonych amatorów jak ja – oczywiście zakładając, że miało się wrażliwe usposobienie oraz gotowość, by z własnej woli otworzyć się na określone kanały myśli i doświadczenia.

Pewnego dnia otrzymałem bardzo szczególny komunikat, dzięki któremu dowiedziałem się, że dokonano zdumiewającego i dość nieoczekiwanego przełomu -

zwieńczenia, jak się zdawało, wielu lat intensywnych badań naukowych i metafizycznych. Przełomem tym było odkrycie niczego innego, jak samej genezy wszystkich egzystencjalnych fenomenów, zarówno fizycznych, jak i metafizycznych - na ile rozumiałem oświadczenie - samego źródła egzystencji w jej najszerszym możliwym znaczeniu. Komunikat głosił ponadto, że dano mi przywilej uczestnictwa w pokazie, na którym zostaną zaprezentowane wszystkie szczegóły owego zdumiewającego, przełomowego odkrycia, i gdzie uzyskam rzadką możliwość wglądu w prawdziwą genezę wszystkiego, co istnieje. Jako że byłem osobą o usposobieniu bardzo wrażliwym na te zagadnienia, nie mogłem nie zjawić się we wskazanym miejscu, gdzie dokonał się ów niezwykle postępowy w naukowej i metafizycznej wiedzy.

Ruszyłem w drogę, skrupulatnie trzymając się otrzymanych wskazówek, choć z niewyjaśnionych powodów nie zawierały one informacji, dokąd dokładnie zmierzam. Chcąc nie chcąc, wyobrażałem sobie, że zostanę przyjęty w jakimś zaawansowanym kompleksie badawczym, lśniącym labiryncie, pełnym najnowocześniejszych urządzeń i aparatury o niezwyklej złożoności. Tymczasem miejsce, do którego ostatecznie dotarłem, w żaden sposób nie pasowało do moich naiwnych, żałośnie konwencjonalnych oczekiwań. Budynek, gdzie znajdowała się ta naukowa i metafizyczna instalacja, jak o niej wtedy myślałem, był wielki, ale bardzo stary. Zgodnie z instrukcją wszedłem do niego przez małe drzwi, które odnalazłem na końcu ciemnej, ciasnej uliczki, biegnącej wzdłuż ściany tej starej konstrukcji. Otworzyłem je i wszedłem do środka, ledwie widząc dalej niż na dwa kroki, jako że był już środek nocy. Rozległ się cichy klik - drzwi za moimi plecami zamknęły się, mogłem teraz tylko czekać, aż

mój wzrok przyzwyczai się do ciemności.

Światło księżycy wpadało przez okno gdzieś nade mną, rozlewając się mętnie na brudną, betonową posadzkę. Zobaczyłem, że stoję na dnie pustej klatki schodowej. Wtedy rozległ się słaby dźwięk, jakby coś czołgało się w moim kierunku. Ujrzałem, jak z cieniściego kąta wyłania się kształt - głowa umocowana na krótkiej szyi, na której sunęła jak ślimak, centymetr po centymetrze przemierzając betonową posadzkę. Rysy jej twarzy były nieokreślone, zdawała się jednak zdeformowana bądź okaleczona; sunąc tak otwierała i zamykała mechanicznie kanciastą szczękę, wydobywając przy tym niezrozumiałe dźwięki. Zanim jeszcze znalazła się obok mnie, zauważyłem, że w innym, bardziej zacienionym kącie ponurej, rozświetlonej księżycem klatki schodowej, również coś było. Ów obiekt zdawał się niewiele większy od zmierzającej ku mnie głowy i wyglądał jak zupełnie bezkształtna, blada masa. Poznałem, że była to ożywiona tkanka, jako że raz na jakiś czas rozwierała się niczym olbrzymia, dwuskorupowa małża z wielkiej, oceanicznej głębi. Wydawała z siebie ten sam dźwięk, co pełzająca głowa, wtórując jej zawodzeniu na dnie ciemnej, pustej klatki schodowej, gdzie, jak mnie poinformowano, miałem ujrzeć źródło wszystkich egzystencjalnych fenomenów.

„Może wprowadzono mnie w błąd” - pomyślałem, stojąc i słuchając zawodzenia tych istot na dnie pustej klatki schodowej, po czym wyszedłem tym samym przejściem, którym się tu dostałem. Lecz w momencie, gdy zamykały się za mną drzwi, zdałem sobie sprawę, jak bardzo dźwięki te przypominały mi cienkie głosy bytów dopiero co wypchniętych - nieważne w jak niedoskonałej formie - do świata fenomenalnej egzystencji.

II. Przedwczesny komunikat

Był wczesny, zimowy poranek z okresu mojego dzieciństwa. Leżałem w łóżku na piętrze, przyglądając się nielicznym płatkom śniegu unoszącym się za oknem sypialni, kiedy usłyszałem głos dobiegający z parteru, który wymówił następujące słowa: „Na rzece pęka lód”. Głos ten był inny niż wszystkie, jakie znałem - bardzo szorstki, a jednocześnie bardzo cichy, jakby sterta zardzewiałej maszynerii zaszepotała z ocienionej głębi starej fabryki. Wypowiedziawszy te słowa, głos zamilkł.

Opuściłem pokój i zszedłem na dół do kuchni, gdzie, jak zwykle w zimowe poranki, zastałem rodziców. Ojciec czytał gazetę, matka robiła śniadanie, a za oknem unosiły się te same piątki, które wcześniej widziałem za oknem mojej sypialni. Nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, matka oznajmiła nagle, że do końca dnia będę musiał pozostać w domu - nie podała jednak żadnego powodu tej decyzji. Zapytałem więc na swój dziecięcy sposób, czy zamknięcie mnie w domu miało jakiś związek z tym, co powiedział głos - że „na rzece pęka lód”. Ojciec spojrział na matkę z drugiego końca kuchni, lecz żadne z nich nie powiedziało słowa. Wtedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, jak wiele rzeczy było mi zupełnie nieznanymi, a także jak bardzo skryci, często zaś zupełnie milczący byli ludzie i miejsca w małym świecie mojego dzieciństwa.

Nie pamiętam, czy któryś z rodziców ostatecznie podał powód, dlaczego do końca dnia miałem zostać w

domu. Prawdę mówiąc, tamtego poranka wcale nie miałem ochoty nigdzie wychodzić - nie, kiedy głos, którego tajemnicy nie zdradziła mi ani moja matka, ani mój ojciec, nadal szeptał do mnie z każdego zacienionego rogu domu. Płatki śniegu unosiły się za wszystkimi oknami, a szorstki, cichy i odległy głos w kółko powtarzał, że na rzece pęka lód.

Już po kilku dniach od tamtego zdarzenia rodzice zawieźli mnie do szpitala, gdzie zaaplikowano mi kilka mocnych leków i różne inne formy leczenia. W drodze samochód prowadziła matka, ojciec zaś przytrzymywał mnie na tylnym siedzeniu. Uspokoilem się tylko na krótki moment, kiedy przejeżdżaliśmy po starym moście nad nieznaną mi wcześniej, szeroką rzeką.

Leżąc w szpitalu odkryłem, że podawane tam leki (nie zaś pozostałe formy leczenia) pozwalają mi zrozumieć istotę głosu, który słyszałem owego zimowego poranka. Wiedziałem, że rodzice, ilekroć zechcą mnie tu odwiedzić, będą przekraczać tamten stary most, więc dnia, w którym lekarz oraz pewien mój bliski krewny pojawili się, by opowiedzieć mi o szczegółach pewnego „tragicznego zdarzenia”, odezwałem się pierwszy. Zanim zdążyli opisać los matki i ojca oraz okoliczności zdarzenia, powiedziałem im: „Na rzece pękł lód”.

Głos, który wypowiedział te słowa, nie należał do dziecka - był szepczący i szorstki zarazem, wydobywał się z głębin wielkiej, starożytnej maszyny, która swoimi wadliwymi, nieznanymi mechanizmami napędzała najmniejsze nawet ruchy całego znanego mi świata. Kiedy więc lekarz wraz z moim bliskim krewnym wyjaśniali dalej, co się stało rodzicom, spoglądałem tylko przez

okno, obserwując, jak maszyna (której od tamtej chwili byłem częścią) wytwarza każdy z płatków śniegu, jakie jeden za drugim spadały za oknem mojego szpitalnego pokoju.

III. Astronomiczne rozmycie

Przy ulicy ciągnącej się wzdłuż rzędu bardzo starych domów stał pewien budynek, który był nie tyle domem, co raczej małym sklepikiem, otwartym dla klientów przez całą dobę, dniem i nocą, przez wszystkie dni roku. Na pierwszy rzut oka sklepik ten wyglądał jak prymitywna pozostałość z czasów, kiedy jeszcze dało się prowadzić interesy w dzielnicach mieszkalnych - nawet jeśli domy z sąsiedztwa wyglądały na podupadłe. Ów sklep nie był jednak prymitywny w zwykłym tego słowa znaczeniu, nie nosił bowiem żadnej nazwy, nie miał też żadnego szyldu, dzięki któremu wskazywałby swoje istnienie otaczającemu go światu. Mianem „mały sklepik” określali go tylko okoliczni mieszkańcy, o ile w ogóle o nim rozmawiano.

Przy ciemnych, drewnianych drzwiach do tego budynku znajdowało się niewielkie okienko, kiedy jednak zaglądało się do środka przez jego mętną szybę, nie dało się niczego rozpoznać - widać było jedynie rozmyty wir nieokreślonych kształtów. Choć lampy wewnątrz zawsze się paliły, także w środku nocy, zdawało się, że przez jego okna nie przenika jednostajne światło elektryczności, a nikła, migotliwa poświata. Nigdy nie widziano osoby, którą można by było uznać za właściciela małego sklepiku, nie widziano też, aby ktokolwiek do niego wchodził lub zeń wychodził, a przynajmniej nikt z

sąsiedztwa. Nawet jeśli czasem zatrzymał się przed nim jeden z przejeżdżających samochodów, z którego wysiadł ktoś z widocznym zamiarem wejścia do środka, nigdy nie docierał dalej, niż do chodnika - zaraz potem zawracał, ponownie wsiadał do samochodu i odjeżdżał. Okoliczne dzieci zawsze omijały sklepik, przechodząc drugą stroną ulicy.

Oczywiście budynek ten ciekawił mnie, odkąd tylko wprowadziłem się do jednego ze starych, okolicznych domów - natychmiast dostrzegłem w nim coś, co wtedy uznawałem za jego prymitywną, czy wręcz pierwotną naturę. Ilekroć późną nocą wychodziłem na spacer - a robiłem to często - bardzo długo przyglądałem się jego konstrukcji i tej nikłej poświacie. Powtarzałem to przez pewien czas, nigdy jednak nie zauważyłem, aby sklepik w jakikolwiek sposób się zmieniał - nigdy nie ujrzałem nic, czego bym nie dostrzegł już pierwszej nocy, kiedy zacząłem go obserwować.

Pewnej nocy coś się jednak zmieniło - zarówno w samym sklepiku, jak i w całym jego sąsiedztwie. Nikła poświata płonąca wewnątrz budynku rozblęsnęła jedynie na krótką chwilę, by moment później wrócić do stanu zwyczajnego, ledwie tłącego się migotania. Tyle tylko widziałem. Mimo to tam tej nocy nie wróciłem już do domu, ponieważ teraz biła z niego ta sama pierwotna poświata, co z wnętrza małego sklepiku. Tak rozświetlone były obecnie wszystkie domy w sąsiedztwie - każde z ich małych okien tliło się migotliwie mimo późnej pory. „Już nikt się z tych domów nie wyłoni - pomyślałem, opuszczając ulice osiedla. - Ani też nikt nie zapragnie, by do nich wejść”.

Być może wejrzałem zbyt głęboko w naturę małego sklepienia i po prostu mnie ostrzegł, abym nie zaglądał dalej. Chociaż z drugiej strony, mogłem być przypadkowym świadkiem czegoś zupełnie innego - jakiegoś planu lub procesu, którego finału nie sposób przewidzieć. Lecz w niektóre noce nawiedza mnie uporczywy sen, czy też mentalny obraz ciemnego nieba, gdzie nawet same gwiazdy płoną przyćmionym migotaniem - nikłym blaskiem oświetlającym nieokreślony, rozmyty wir, w którym nie daje się rozpoznać żadnych kształtów ani znaków.

IV. Otchłań form organicznych

Od wielu lat mieszkałem z przyrodnim bratem, który w dzieciństwie został przykuty do wózka z powodu wrodzonej choroby kręgosłupa. Choć spokojny przez większość czasu, niekiedy spoglądał na mnie gorzkim i jakby brutalnym spojrzeniem. Jego oczy miały tak dziwny odcień szarości, jednocześnie blade i świetliste, że zwykle stanowiły pierwszą rzecz, jaką ludzie w nim zauważali - fakt, że poruszał się na wózku, zawsze schodził na drugi plan, pozostając w cieniu tych niezwykłych, prawdziwie demonicznych oczu, w których było coś, czego nigdy nie odważyłem się nazwać.

Mój przyrodni brat bardzo rzadko opuszczał zamieszkiwany przez nas dom. Zdarzało się to niemal wyłącznie wtedy, kiedy za jego namową wybieraliśmy się na miejscowy tor wyścigowy, gdzie popołudniami w sezonie odbywały się wyścigi konne. Patrzyliśmy, jak zwierzęta zajmują miejsca na torach, potem zaś

śledziliśmy każdy wyścig danego dnia, od pierwszego aż po ostatni, nie obstawiając jednak żadnego - choć zawsze zabieraliśmy do domu program zawierający imiona i statystyki wszystkich widzianych przez nas koni. Od wielu lat obserwowałem, jak brat siedzi w wózku za przy siatce oddzielającej go od toru; widziałem, jak intensywnie wpatruje się w te konie, a kiedy to robił, jego szare oczy wyrażały zupełnie coś innego niż gorycz i brutalność, jaką emanowały w domu. W dni, podczas których nie odwiedzaliśmy toru wyścigowego, zwykł zgłębiać programy przeszłych wyścigów, zawierające imiona niezliczonych koni, złożone statystyki ich osiągnięć, a także informacje na temat ich natury fizycznej, jak wiek albo umaszczenie - siwe czy gniade, kare czy srokate.

Kiedy pewnego dnia wróciłem do domu, gdzie od wielu lat mieszkalem z moim przyrodnim bratem, zastałem jego wózek pusty, porzucony na środku salonu. Otaczał go krąg ze skrawków papieru wydartych ze starych programów wyścigów, które zbierał. Na każdym z kawałków tworzących spory stos wokół wózka brata, czy też, dokładnie mówiąc, przyrodniego brata, wydrukowane było imię jednego z wielu koni, jakie widzieliśmy podczas naszych wizyt na torze. Znałem te imiona bardzo dobrze: Avatara, Królewski Trubadur, Duch Hallview, Mechaniczny Harry T, i tak dalej. Chwilę później zauważyłem, że strzępki papieru układają się w trop prowadzący od wózka aż do drzwi wejściowych. Podążyłem za nim na zewnątrz i na werandzie odnalazłem kilka kolejnych skrawków. Trop urwał się jednak, zanim dotarłem do chodnika, jako że zimny, wrześniowy wiatr rozrzucił papier. Mimo trwających

pewien czas poszukiwań, nie udało się odnaleźć żadnych wskazówek co do losu mojego brata - to znaczy, mojego przyrodniego brata. Nikt ani nic nie wyjaśniło nigdy powodu bądź sposobu jego zniknięcia.

Krótko po tym zdarzeniu po raz pierwszy w życiu wybrałem się sam na ów tor, który wcześniej tak wiele razy odwiedzaliśmy z bratem. Obejrzałem, jak konie zajmują swoje miejsca przed każdym z biegów, od pierwszego aż po ostatni.

Po finałowym wyścigu tamtego dnia zauważyłem, że oczy jednego ze zwierząt - wracającego do stajni dereszowatego ogiera - miały bardzo blady, niezwykle odcień szarości. Kiedy koń ten mijał miejsce, gdzie stałem, jego oczy zwróciły się ku mnie patrząc prosto w moje, a ich spojrzenie zdawało się gorzkie i na wskroś brutalne, niosąc poczucie czegoś niezwykle i prawdziwie demonicznego, czegoś, czego nigdy nie odważyłem się nazwać.

V. Szał fenomenalny

Przez pewien czas chciałem kupić dom, gdzie planowałem spędzić resztę życia, pomijając nieprzewidziane okoliczności. Poszukiwania takiego domu wiodły mnie do posiadłości położonych coraz to dalej od innych zabudowań, aż w końcu zacząłem je prowadzić na obszarach zupełnie oddalonych, odległych mile od nawet najbardziej odizolowanych miast. Dziwiły mnie czasem odludne krajobrazy, na jakie trafiałem jadąc pobocznymi drogami ku któremuś ze starych miejsc wskazanych przez agenta nieruchomości, albo na które po

prostu wpadałem, błakając się coraz to dalej od obszarów zagospodarowanych czy choćby okolic jakichkolwiek zabudowań.

Pewnego wietrznego, listopadowego popołudnia przejeżdżałem jedną z pobocznych dróg przez taki właśnie odludny krajobraz, kiedy odkryłem odizolowany dom, który w owym czasie stanowił jedyne miejsce, gdzie w moim odczuciu mógłbym spędzić resztę życia, mając jakąkolwiek szansę na zaznanie spokoju na tym świecie. Choć dwupiętrowa, ramowa konstrukcja domu wyrastała ze względnie płaskiego, surowego krajobrazu - między budynkiem a rozmytym, jesiennym horyzontem stało zaledwie kilka bezlistnych drzew oraz zrujnowana wieża ciśnień - to jednak zauważyłem go dopiero gdy prawie go minąłem. Nic nie świadczyło, aby ktokolwiek próbował adaptować czy zmieniać teren otaczający budynek; rosła przy nim tylko szarawa, licha trawa - ta sama, która porastała tutejszą ziemię wszędzie, jak okiem sięgnąć. Sama konstrukcja domu zdawała się jednak względnie nowa - w każdym razie nie było to miejsce tak podniszczone, jak to sobie wyobrażałem, planując swoje zepsute odosobnienie.

Jak już wspominałem, był to wietrzny dzień. Kiedy tak stałem, kontemplując ów spektakularnie odizolowany dom, pogoda na rozległych przestrzeniach odludnego krajobrazu nabrała niemal cyklonicznego charakteru. Niebo na horyzoncie zaczęło ciemnieć, choć nie było widać żadnych chmur, a do zmierzchu pozostało kilka godzin. W miarę jak wzmagał się wiatr, jedyne elementy otoczenia - kilka bezlistnych drzew i zrujnowana wieża ciśnień - zdawały się uciekać w dal, podczas kiedy dom,

przed którym stałem, jawił się coraz to bliżej i bliżej. W odruchu bezmyślnej paniki pobiegłem z powrotem do samochodu i zacząłem szarpać się z drzwiami, siłując się z uderzającym w nie wiatrem. Kiedy tylko udało mi się wsiąść, zapaliłem silnik i odjechałem tak szybko, jak pozwalały na to warunki. Mimo to zdawało się, że stoję w miejscu: horyzont przede mną nadal ciemniał, odsuwając się coraz dalej, podczas kiedy dom w tylnym lusterku stał w miejscu, niezmienny w swej przytłaczającej perspektywie. W końcu jednak widok zaczął się zmieniać, a odludny krajobraz z odizolowanym, dwupiętrowym domem zniknął za moimi plecami.

Dopiero później zadałem sobie pytanie - gdzie miałbym spędzić resztę życia, jeśli nie pośród tego odludnego krajobrazu, w tym oddalonym rajku, gdzie wzniesiono dom zaprojektowany jakby specjalnie dla mnie? Teraz jednak to miejsce, ten punkt spoczynku, w którym zapewne mógłbym spędzić resztę życia we względny spokoju, był tylko kolejną rzeczą, której musiałem się bać.

Posłowie

Oprócz pięciu przedstawionych opowiadań odnalazłem notatki - głównie w formie luźnych, niepowiązanych ze sobą wyrażen - dotyczące szóstego tekstu o roboczym tytule: *Dziwowisko*. Tak jak pozostałe opowiadania, miał on być jedynie obrazkiem ze snu, wykwitem „dziwaczego i niedorzecznego show-biznesu”, że posłużę się cytatem z notatek autora. Podobnie jak to zdanie, wiele z zawartych tam zwrotów i pomysłów

powstało podczas rozmów z autorem, jakie przeprowadziłem w ciągu kilku nocy w narożnej łoży taniej kawiarni. Takie wyrażenia jak na przykład „nagle mutacje” czy „niestabilność zjawisk” padały wielokrotnie, jak gdyby miały stanowić zasadę przewodnią tego przypuszczalnie porzuconego opowiadania.

Pewnie nie powinno mnie zaskoczyć, że autor przerwane opowiadanie poczynił w nim pewne odniesienia do mojej osoby - w końcu wyraźnie opisał mi swoją prozę jako „autobiograficzne nędzarstwo”. Odwołuje się do mnie uczciwym mianem „tego drugiego człowieka z kawiarni” oraz „godnej pożałowania ofiary bezsenności, zajmującej umysł tworzeniem artystycznych łamigłówek dla odwrócenia uwagi od miasta z dziwowiska, w którym spędził całe swoje życie”. Słowa „miasto z dziwowiska” pojawiły się już wcześniej w innym zdaniu, które najwyraźniej miało otwierać to porzucone, a może celowo przerwane opowiadanie. Jest ono o tyle interesujące, że bezpośrednio sugeruje ciągłość z jednym z innych jego tekstów - co zdaje się wyjątkiem wśród tych wyraźnie pomylnych, gorączkowych urywków. „Po tym, jak poszukiwania domu, w którym mógłbym spędzić resztę życia, zakończyły się porażką”, rozpoczynało się zdanie, „zaczęłam gorączkową tułaczkę od jednego miasta z dziwowiska do drugiego, zaś każde z tych miast było coraz to bardziej pogrążone w odmętach show-biznesu”.

Biorąc pod uwagę urywkowy charakter notatek do opowiadania *Dziwowisko*, nie wspominając o niedomówieniach, w które obfitowały nawet i ukończone teksty tego autora, jakie miałem okazję przeczytać, nie szukałem długo choćby drobin „ciągłości i

konsekwencji”, które rzekomo przypisywał „bezsensownym epizodom”, tworzącym fundamentalną warstwę zarówno jego prozy, jak i sposobu doświadczania świata. W pewnym momencie notatki te przestały przypominać zarys czy szkic tekstu, przyjęły zaś ton osobistego wyznania albo pamiętnika. „Powiedziałem X [było to jak sądzę, odwołanie do mnie], że piszę, kiedy coś mnie do tego *nakłania*” napisał. „Nie wspomniałem, skąd się mogła brać taka skłonność, a on nie pytał. Bardzo dziwne - w końcu przejawiał wszystkie subtelne rysy, właściwe osobie o wysoce wrażliwym usposobieniu, nie wspominając już o jego mniej subtelnych cechach, widocznych od naszego pierwszego spotkania. Jakbym spoglądał w krzywe zwierciadło: uderzające podobieństwa naszych literackich poszukiwań, nękająca nas obu bezsenność, a nawet ta sama marka palonych przez nas papierosów, po które sięgaliśmy często w tym samym momencie. Ja nie zamierzałem wskazywać na te wszystkie szczegóły, ale dlaczego nie zrobił tego on?”

Pamiętam, że pewnej nocy podważyłem jedno z jego twierdzeń - że wszystko (to znaczy, wszystko w „świecie z dziwowiska”) jest „w najwyższym stopniu dziwaczne i niedorzeczne”. W swych wyznaniach czy też notatkach napisał: „Nie istnieje żadna norma dla niedorzeczności i zdziwaczenia, nawet gdyby miała być nienazywalna czy niepoznawalna - te określenia to tylko fasada i wykręt. Owe jakości - dziwaczność i niedorzeczność - są immanentne i absolutne dla wszelkiego istnienia, i byłyby takie również w każdym innym, wyobrażalnym porządku rzeczy...”. To ostatnie zdanie, przepisane dokładnie z notatek, ucięte było wielokropkiem, po którym autor

natychmiast przeskoczył do kolejnej myśli, zapisanej w tej samej linii: „Dlaczego X nie podważył *tego* twierdzenia? Dlaczego pozwolił, aby tak wiele spraw pozostało poruszonych tylko powierzchownie, choć można było zająć o wiele głębiej?” W linii poniżej napisał: „Taki to już dziwny i nedorzeczny los w miasteczku z dziwowiska”.

Przeczytawszy pięć ukończonych opowiadań oraz pamiętnik - czy też wyznania - związane z szóstym tekstem, opuściłem kawiarnię, nie chcąc, aby nadchodzący świt zastał mnie siedzącego w narożnej łoży z jakiegoś powodu perspektywa ta była dla mnie zawsze ogromnie przygnębiająca. Zmierzałem do domu zwyczajną trasą prowadzącą przez zaułki i alejki, raz na jakiś czas zatrzymując się, by podziwiać sugestywny blask w oknie małego sklepiku albo porozwieszaną wszędzie nade mną, zwisającą ociężałe sieć przewodów - zdawało się, że kipiąca w niej moc ciągnie mnie i prowadzi każdy mój krok. To rzeczywiście było miasteczko z dziwowiska, w samej swej istocie dziwaczne i nedorzeczne, choć nie bardziej niż jakiegokolwiek inne miejsce. Mój towarzysz z kawiarni mógł niegdyś darzyć ten stan rzeczy głębokim uznaniem, jednak z jakiegoś powodu je utracił. Pod koniec zaś najwyraźniej nie potrafił zdobyć się choćby na rezygnację, nie wspominając nawet o sile, jaka była potrzebna, aby dać się ponieść immanentnym i absolutnym rzeczywistościom, sprawom wielkim i nieuchronnym, w które miał przywilej wejrzeć na dnie, by tak rzec, tamtej ciemnej i pustej klatki schodowej.

Byłem już niemal w domu, kiedy w jednej z alejek usłyszałem szamotaninę w stercie śmieci, oświetlanej

srebrzyście jarzącą się na niebiesko lampą. Zaglądając głęboko w hałdę pustych puszek po farbie, kół rowerowych pozbawionych opon, zardzewiałych karniszy i innych, tym podobnych przedmiotów, ujrzałem małą istotę. Było to coś, co mogłoby pochodzić ze słoika z muzealnej wystawy albo dziwowiska w lunaparku. Najbardziej utkwiło mi w pamięci wrażenie, jakie zrobiły na mnie jej blade, szare oczy, będące, jak wcześniej przypuszczałem, cechą rodzinną, i które w przeszłości spoglądały na mnie wielokrotnie z drugiego końca narożnej łoży tamtej kawiarni. Teraz oczy te patrzyły na mnie oskarżycielsko znad sterty starych gazet, tych spiętrzonych kronik świata z dziwowiska. Kiedy odchodziłem, pokurczona istota usiłowała mnie zawołać, ale jedynym dźwiękiem, jaki się z niej wydobył, był szorstki, zachrypnięty odgłos, niesiony przez chwilę echem po alejce. „Nie,” napisał w notatkach do niedokończonego, szóstego opowiadania. „Odmawiam dalszego bycia skrybą na usługach show-biznesu”. Ja zaś, z drugiej strony, odniosłem triumf nad własnym literackim kryzysem i niczego nie pragnąłem bardziej, niż wrócić za biurko - teraz, kiedy mój mózg niemal wibrował od niezwyklej energii, mimo kolejnej nocy bez snu.

Przeł. Aleksander Więckowski

MARIONETKA BŁAZNA

Zdawało mi się od zawsze, że moje istnienie składało się wyłącznie i niepodzielnie z niczego więcej, jak jakiejś skandalicznej bezsensowności. Odkąd pamiętam, każde pojedyncze zdarzenie i tchnienie mojej egzystencji służyło wyłącznie dopełnianiu następujących po sobie epizodów skrajnego bezsensu, z których każdy był w swej bezsensowności całkowicie skandaliczny. Bez względu na punkt widzenia - niezmiernie bliski, nieskończenie odległy, czy jakkolwiek pomiędzy nimi - wszystko zawsze wydawało się przypominać szereg dziwacznych przypadków, rozgrywających się w boleśnie powolnym tempie. Niejednokrotnie do utraty tchu doprowadzał mnie ten nieskazitelny chaotyzm - absolutnie doskonały bezsens jakiegoś przedstawienia mającego miejsce wokół mnie lub z drugiej strony - przedstawienia równie skandalicznego w swej bezsensowności, a rozgrywającego się wewnątrz mnie. Obrazy nieskończenie zniekształconych form i linii przepływały przez moje myśli - *bazgroły obłąkanego epileptyka* jak zwykłem je nazywać. Jeżeli miałbym uczynić jakkolwiek wyjątek od owego skandalicznie bezsensownego stanu, który opisałem - a nie uczynię *żadnego* - dotyczyłby on *widzeń*, których doświadczałem w porzrzucanych odstępach mej egzystencji, a w szczególności tego, które miało miejsce w aptece pana Vizniaka.

Pewnej nocy przesiadywałem za ladą skromnej apteki Vizniaka do bardzo późna. O tamtej porze nie było tam ani jednej żywej duszy, co nie powinno nikogo dziwić, biorąc pod

uwagę fakt, że znajdująca się na tyłach ulicy apteka była rozmiaru szafy, a ja utrzymywałem to miejsce zarówno od wewnątrz, jak i z zewnątrz, w niemal całkowitych ciemnościach. Sam Vizniak zajmował mieszkanie znajdujące się nad apteką, jednak nie miał nic przeciwko, bym przebywał tam również po pracy. Zdawał się wiedzieć, że przesiadywanie za ladą do późnych godzin nocnych w niemal kompletnej ciemności, rozświetlanej jedynie delikatnym światłem lamp ściennych, pozwalało zaznać mojemu umysłowi pewnej formy wytchnienia od owej skandalicznej bezsensowności, która w przeciwnym wypadku, mogłaby mi dokuczać. Późniejsze wydarzenia bardziej lub mniej potwierdziły, że pan Vizniak rzeczywiście posiadał szczególną *wiedzę*, jak również, że między mną, a tym starszym mężczyzną istniała pewna specyficzna syntonია. Odkąd apteka znalazła się w mrocznym zaułku na końcu ulicy, okolica zawsze świeciła pustkami, zwłaszcza w późnych godzinach nocnych. Ponieważ większość pobliskich latarni była niesprawna lub w jakiś sposób uszkodzona, jedyną rzeczą, którą mogłem dostrzec przez małe, frontowe okno był neonowy napis zakładu mięsnego, znajdującego się naprzeciwko. Te blade, neonowe litery, zapalone przez całą noc, składały się jedynie na trzy słowa: wołowina, wieprzowina, koźlina. Czasami wpatrywałem się w nie i rozmyślałem tak długo, że mój umysł przepętniał się mięsnym bezsensem - bezsensem wołowym, wieprzowym i kozim - aż odwracałem się szukając nowego zajęcia na zapleczu apteki, gdzie ani nie było okien, ani tym samym widoku na zakład mięsny. Gdy znajdowałem się tam, wszystkie zbiory leków, które były tam składowane - butelki, słoje i pudła poukładane od podłogi po sufit na niezmiernie ciasnej przestrzeni - wnet absorbowały moją uwagę. Sporo

nauczyłem się na ich temat od pana Vizniaka, mimo że nie posiadałem uprawnień do ich przygotowywania, czy też sprzedaży bez jego nadzoru. Doskonale znałem te, które z łatwością mogły zostać wykorzystane do uśmiercenia kogoś, jeśli tylko zostałyby spożyte w odpowiedni sposób i w odpowiedniej ilości. Tak więc, ilekroć przychodziłem tu, by pozwolić umysłowi odetchnąć od mięsnego bezsensu, będącego skutkiem zbyt długich rozmyślań nad wołowo-wieprzowo-koźlęcym sklepem, moją uwagę niemal natychmiast zapełniały śmiertcionośne leki - innymi słowy, stawałem się opętany bezsensem śmierci, który z kolei jest jedną z najgorszych i najbardziej skandalicznych form wśród wszystkich bezsensów. Wycofywałem się wtedy do małej toalety za zapleczem, gdzie mogłem zebrać się w sobie i oczyścić umysł przed powrotem na stanowisko pracy w aptece pana Vizniaka.

To właśnie tam - za ladą - doświadczyłem jednego spośród *widzeń*, które mógłbym uznać za wyjątek od skandalicznego bezsensu mojego istnienia, a które w istocie były, co muszę rzec, nadirem tej bezsensowności. To było *widzenie z apteki*, jak je nazwałem, jako że doświadczałem ich w danym miejscu tylko raz - po czym wyczekiwałem zdarzeń podobnych, możliwie najbliższych tym poprzednim. Każda z sytuacji mających miejsce przed tą w aptece pana Vizniaka była w swej istocie analogiczna do powyższej, bez względu na to, czy doświadczałem jej jako nocny stróż pilnujący opustoszałej posiadłości, ogrodnik cmentarny w jakimś odległym miasteczku, czy też spędzając niekończące się szare popołudnia na przesiadywaniu w bezużytecznej bibliotece lub błakając się pośród korytarzy równie bezużytecznego klasztoru. Wszystkie bez wyjątku były w swojej naturze

zdarzeniami przypominającymi to z apteki, a każde z nich, prędzej czy później, wiązało się z *widzeniem* - widzeniem z klasztoru, albo widzeniem z biblioteki, widzeniem z cmentarza, czy też widzeniem przy dostarczaniu przesyłek z jednej części miasta do drugiej w śmiertelnej głuszy nocy. Niemniej, widzenie z apteki miało pewne cechy, które wyróżniały je na tle pozostałych - pewne nowe i niespotykane elementy, które czyniły je wyjątkowym na tle wszystkich, które wydarzyły się przed nim.

Zaczęło się to od dobrze znanego mi ciągu bezsensowności. Pewnej nocy, stałem za ladą, kiedy światło emanujące z lamp wzdłuż ścian stopniowo zaczęło zmieniać kolor, przechodząc od przygaszonej żółci ku głębokiemu, czerwonemu złotu. Nie było mi wcześniej dane wykształcić intuicji, która pozwoliłaby przewidywać ten ciąg wydarzeń, tak, abym mógł sam do siebie powiedzieć: „To będzie tej nocy, gdy światła przybiorą kolor czerwonego złota. To będzie ta noc, gdy nadejdzie kolejne widzenie”. W tym świetle (czerwono-złotym) wewnątrz apteki nabierało osobliwego wyrazu, przypominającego swą wspaniałością stare obrazy, a wszystko przemieniało się pod grubym pokostem iskrzącej niejednoznaczności. Choć często zastanawiałem się, jak moja twarz wygląda w tym nowym świetle, nie byłem w stanie skupić się na niczym innym, niż na tym, co miało nadejść, zaś jedyne, co mogłem uczynić, to mieć nadzieję, że wkrótce się skończy.

Zwykle upływa kilka chwil, nim po przygasającym tańcu światła ujawnia się, zwiastująca początek widzenia, manifestacja. Najpierw światło zmienia odcień na czerwonozłoty, później następuje widzenie. Nigdy nie udało mi się ustalić przyczyny istnienia tej prawidłowości, jakby w

ogóle mógł istnieć jakiś powód takiego bezsensu, jakim były owe widzenia lub jakakolwiek ich część. Pewne jest, że gdy światło zmienia odcień na czerwonożółty, jestem uprzedzany o nadchodzącej manifestacji, aczkolwiek nigdy nie dane było mi być jej bezpośrednim świadkiem, zaś do czasu widzenia ze apteki przestałem chcieć próbować. Doskonale wiedziałem, że gdybym spoglądał w lewą stronę, manifestacja ukazałaby się w obrębie pola widzenia po prawej stronie i na odwrót - spoglądając na skraj pola widzenia z prawej, manifestacja ukazałaby się w mgnieniu oka, po mojej lewej. Rzecz jasna, gdybym utkwiał wzrok w punkcie bezpośrednio przed sobą, manifestacja ujawniłaby się dokładnie poza polem mego widzenia z lewej i prawej strony - bezzwłocznie i bezszelestnie. Dopiero wtedy wydałaby jakikolwiek dźwięk, zmierzając kłokoczącym ruchem w moją stronę, po czym, jak zawsze, moim oczom ukazałaby się istota z wyglądu przypominająca we wszystkich swych cechach archaiczną i kukłową figurę przestarzałej marionetki.

Była niemal naturalnych rozmiarów, a unosiła się nad podłogą apteki tak, by jej twarz znajdowała się na tej samej wysokości, co moja. Opisałem tę kukłową istotę w taki sposób, w jaki ukazała się podczas mego widzenia w aptece, a przybierała zawsze tę samą formę - przestarzałej marionetki wiszącej tuż przede mną w czerwono-żółtej poświacie. Jej strój przypominał błazna ubranego w wyblakłe pantalone zachodzące pod równie wyblakły kaftanik, o wyszczupiałych, sinych dłoniach wystających spod potarganych mankietów i porcelanowo bladej głowie wyłaniającej się znad wymiętego kołnierza. Jej wyraz twarzy był jednocześnie tak bezbarwny i beznamiętny, jak przesiąknięty zepsuciem i złem, że ilekroć owa kukłowa istota się ukazywała, z trudem utrzymywałem

na niej wzrok. Z punktu widzenia (przynajmniej jednego) interpretatora teatru kukielkowego, cała ekspresja marionetki zawiera się w ruchach ramion, dłoni i nóg, jednakże nigdy w mimice twarzy, czy poruszeniach głowy, jak ma to miejsce w przypadku gry aktorskiej. Jednak w tym konkretnym wypadku - w przypadku kukły unoszącej się przede mną w aptece - było inaczej. Jej ekspresyjność była w całości wypisana na jej bladej fizjonomii - lekko spiczastym nosie, delikatnych ustach i nieruchomych, martwych oczach - oczach niezdolnych do samodzielnego odwrócenia się i spojrzenia w jakimkolwiek kierunku, lecz uśpionych w niezmiennym wyrazie sennej wrogości, w ostatecznie bezsensownej ekspresji oszalałej wrogości i okrucieństwa. Ilekroć więc ukazywała się ta kukłowata istota, starałem się uniknąć jej spojrzenia, wpatrując w dyndające nad podłogą małe stopki, obute w parę znoszonych pantofli. Później wodziłem wzrokiem za przyczepionymi do jej korpusu sznurami, starając się dopatrzeć miejsca, z którego się wyłaniały. Jednak z pewnej odległości wzrok mnie zawodził; byłem w stanie prześledzić ich uporządkowane ślady biegnące pionowo w górę, niknące jednak w gęstych, zamazanych zniekształceniach światła i cieni formujących się w pewnej odległości nad głową kukłowatej istoty, jak i mojej, ponad którymi nie sposób było dojrzeć żadnego spójnego obrazu - niczego poza subtelnym, powolnym ruchem, niczym warstwą kłębiastych chmur widzianych z daleka przez mglisty, czerwonożłoty mrok. To niezwykle zjawisko sznurów niknących w dali, obserwowane przez lata, utwierdziło mnie ostatecznie w przekonaniu, że to coś, ta kukła, nie była samodzielnie żyjącym tworem. Jedynie dzięki sznurom, jak sądzę, istota była zdolna wykonywać typowe dla siebie ruchy. (Termin „ruch”, który odkryłem w

toku swych bezużytecznych dociekań, był niegdyś powszechnie używany w odniesieniu do różnych rodzajów kukieł; za twierdzeniem: „Oglądane ostatnio na jarmarku św. Bartłomieja ruchy ujawniały wątpliwej przyzwoitości błazeństwa, zgromadzeni bowiem skorzystaliby lepiej na kontemplacji losu swych nieśmiertelnych dusz - marnego i dalece niepewnego”.) Kukła odwróciła się w kierunku lady aptecznej, za którą stałem, a części jej ciała w swojej bezwładności zaklekotały hałaśliwie pośród nocnej ciszy, nim ostatecznie spoczęły w bezruchu. Wyciągnęła jedną z dłoni w moim kierunku, z ledwością utrzymując w palcach pomięty strzep papieru.

Wziąłem, rzecz jasna, tę kartkę - wyglądała na wydarty fragment starego bloczka do wypisywania recept. Przez lata nauczyłem się już, że należy posłusznie podążać za wskazówkami kukłowatej istoty. Jednego razu, na długo przed pierwszym widzeniem w aptece, będąc głupim, czy wręcz szalonym, ośmieliłem się nazwać tę kukłę i jej wizyty dokładnie tym, czym były - skandaliczną bezsensownością. Mówiłem to, patrząc tej błazeńskiej marionetce prosto w oczy: „Zabieraj się stąd z tymi bzdurami!”, czy nawet: „Mam powyżej uszu ciebie i tych pożałowania godnych, odrażających bzdur!”. Ten poryw na nic się zdał. Kukła czekała stoicko, aż popis mojego lekkomyślnego szaleństwa dobiegnie końca, po czym kontynuowała swój taniec *ruchów*, przygotowany specjalnie na to konkretne widzenie. Przejrzałem więc świstek recepty otrzymany przez ladę od owej istoty, wnet spostrzegając, że zamiast pisma, zawierała wyłącznie stertę chaotycznych bazgrołów - bezsensu tego dokładnie rodzaju, jakiego mogłem spodziewać się podczas *widzenia* w aptece. Doskonale wiedziałem, że do mnie należało zabawianie tej błazeńskiej

marionetki, jakkolwiek nigdy nie miałem pewności, czego oczekuje. Z poprzednich doświadczeń nauczyłem się jedynie tyle, że rzeczą daremną było dociekanie, co wydarzy się podczas następných *widzeń* - kukłowata istota zdolna była praktycznie do wszystkiego. Jednego razu nawiedziła mnie w środku nocy, gdy pracowałem jeszcze w małym lombardzie. Rzekłem bez ogródek, że bez pięknego, doskonale oszlifowanego diamentu wielkości jo-ja, marnuje tylko mój czas. Sięgnęła więc pod swoje wyblakłe, przypominające kaftanik ubranko, przebierając ręką w poszukiwaniu czegoś w głębi kieszeni. „No, pokażże co tam masz” - krzyczałem na nią, „Tak wielki jak jo-jo” - domagałem się. Pokazała mi więc diament zręcznego i wyborczego szlif, który nie tylko był tak wielki jak jo-jo i lśnił wspaniałością, trzymany w rękach kukły w ciemnościach lombardu tuż przed moimi oczami, lecz również miał *kształt* jo-jo. Istota zaczęła leniwie bawić się tym przedmiotem, tuż przede mną; trzymając go na jednym ze swych malutkich kukłowatych palców, puszczała w górę i w dół, w górę i w dół, raz za razem, a ścianki tego jakże idealnego diamentu lśniły w każdym zakątku lombardu, niczym błysk fajerwerków.

Teraz zaś stałem za ladą apteczną wpatrzony w bazgroły na strzępie wyrwanym ze starego bloczka do wypisywania recept. Wiedziałem, że ze wszech miar bezcelowe było zarówno wystawianie błazeńskiej kukły na próbę, co przewidywanie kolejnych kroków jej *nawiedzenia* - i tak będą inne od poprzednich, na wiele różnych sposobów. Pozostało mi więc wyłącznie ogrywać swoją rolę - rolę w aptece - tak wiernie względem scenariusza, jak tylko mogło to zostać spisane, choć sam nie wiedziałem przez co lub kogo.

- Byłabyś tak dobra i dała mi jakąś sensowną

wskazówkę? - zapytałem istotę, jednocześnie trzymając wzrok z dala od jej porcelanowo bladej kukłowatej twarzy i tych martwo nieruchomych oczu, wpatrujących się przez okno apteki w znak znajdujący się przy zakładzie mięsnym po drugiej stronie ulicy. Bez przerwy czytałem tamtejsze słowa, raz za razem, w kółko i bez wytchnienia: „wołowina, wieprzowina, koźlina, wołowina, wieprzowina, koźlina”, wypełniając myśli mięsnym bezsensem, co i tak było nieskończenie mniej niedorzeczne, niż kukiełkowy bezsens, z którym musiałem się teraz zmierzyć.

- Niestety, nie mogę zrealizować takiej recepty - mówiłem wpatrując się jednocześnie za okno apteki - Przynajmniej dopóki nie przedłożysz właściwie wypisanej. - Przez cały ten czas nie miałem pojęcia jak reagować na zachowanie kukły, która sięgnęła teraz do kieszeni spodni, wyciągając dokładnie to, czego żądałem.

Wypatrywałem więc dalej za okno, pogrążony w myślach o mięsnym bezsencie, ciągle obserwując błazeńską marionetkę wirującą w czerwono-złotym świetle, klekoczącą swymi drewnianymi kończynami - jedną o drugą - jakby próbowała dobyć coś schowanego głęboko w swych pantalonowych kieszeniach. Sztywnymi, choć wprawnymi palcami, wydobyła przedmiot przypominający jakąś cienką książeczkę i tak długo wodziła nim przed moją twarzą, póki go nie wziąłem. Otworzywszy ją, spostrzegłem, iż był to stary paszport, mówiąc dokładniej - paszport zagraniczny, podpisany nazwiskiem nikogo innego, tylko znanego mi dobrze Ivana Vizniaka. Adres umieszczony w rubryce zameldowania był już od lat nieaktualny, a pochodził jeszcze z czasów, zanim Vizniak wyemigrował z ojczyzny i założył aptekę, nad którą obecnie mieszkał. W oczy rzucał się również

fakt, że miejsce, w którym powinna znajdować się jego fotografia, było puste.

Coś takiego jak to, nigdy jeszcze nie wydarzyło się podczas *widzeń* z udziałem kukły, a dokładniej - treść manifestacji, których doświadczałem w ciągu minionych lat, nigdy wcześniej nie była związana z jakąkolwiek osobą z *zewnątrz*. Nie wiedziałem, co robić, ani co mówić. Jediną rzeczą, która teraz zalewała me myśli był fakt, że choć Vizniak mieszkał w pokojach tuż nad apteką, jego paszport w jakiś sposób znalazł się w moich rękach, wydobyty przez ową kukłową istotę jako odpowiedź na żądanie uwiarygodnienia wręczonej mi wcześniej recepty, czy raczej jako teatr *ruchów* mających nawiązywać do tej recepty, gdyż bez względu na wszystko nadal nie miałem najmniejszych szans rozszyfrować znajdujących się tam bazgrołów. To wszystko nic więcej, jak kolejny skandaliczny bezsens, największy spośród wszystkich mi znanych z przeszłości. W tamtej chwili byłem na skraju wytrzymałości, o włos od wybuchu panicznej hysterii, która być może położyłaby kres, jakkolwiek żałosny, całej tej nieznośnej sytuacji. Oczy kukłowej istoty były tak ciemne i jednocześnie tak martwo nieruchome w czerwono-złotym świetle, że przytłaczały całe apteczne pomieszczenie, zaś głowa kiwała się ruchem tak niewyraźnym i jednocześnie drżącym, że moje myśli pognały bezwładnie i bez kontroli, zaplątując się w mrocznym zamęciu. Jednocześnie, w ostatnim momencie jasności mojej świadomości, głowa kukły odwróciła się ode mnie, jak mi się wydawało, w stronę oddzielonych zasłoną drzwi, prowadzących na zaplecze apteki. I rzeczywiście, jej ruchy skierowały się w tamtą stronę, to jest w stronę owych oddzielanych zasłoną drzwi, a jej usta kolebały się w spazmatycznych i całkowicie bezmyślnych ruchach, w

tak dziwnej wesołości, jaką tylko marionetka jest w stanie oddać. Coś takiego jak to, w toku wszystkich wcześniejszych nawiedzeń, nie miało jeszcze miejsca - nigdy bowiem nie pozostawiło mojej bytności w takim stanie. Gdy tylko jej cień zniknął za kurtyną na zapleczu, usłyszałem wzywający mnie głos - na zewnątrz, z ulicy. To był Vizniak.

- Otwieraj drzwi! - krzyczał - Coś się stało!

Dostrzegłem go przez żaluzje w przeszkleniu drzwi wejściowych, jego wychudzoną twarz i oczy wpatrujące się w ciemność apteki. Kiwał do mnie pośpiesznym ruchem dłoni, zupełnie jakby tym gestem chciał sprawić, że szybciej otworzę drzwi. „Kolejna osoba zjawiała się w miejscu, gdzie właśnie trwa nawiedzenie” - mruknąłem w myślach. Nic jednak nie mogłem zrobić, ani nic powiedzieć - nie z marionetką błązna znajdującą się ledwie kilka kroków za mną w sąsiednim pomieszczeniu. Wyszedłem więc zza lady i otworzyłem drzwi, wpuszczając go do środka. Gdy tylko staruszek wczłapał do wnętrza, mój wzrok przykuł stary płaszcz o rozdartych kieszeniach i znoszone pantofle, które miał na nogach.

- Wszystko jest w najlepszym porządku, może pan wracać do łóżka. Porozmawiamy jutro - wyszeptałem nagabująco. Vizniak wydawał się jednak nie słyszeć wypowiedzianych przeze mnie słów. Zdawało się, że w chwili, w której przekroczył próg apteki, zapadł w bliżej nieokreślony, acz odmienny stan świadomości. W jego gestykulacji nie było już śladu tej samej żwawości i zniecierpliwienia, co jeszcze przed chwilą, gdy ponaglał mnie, stojąc przed drzwiami. Wtem uniósł dłoń, wskazując swym nieco koślawym palcem ku górze. Rozglądając się ostrożnie, wyszeptał:

- To światło... Światło...

Czerwono-złota luna spowijająca pomieszczenie

sprawiła, że jego wychudzona, pomarszczona twarz przypominała w tym świetle maskę wykutą z nieznanego metalu - starodawną maskę pod którą jego wiekowe oczy wypełniał wszechogarniający strach.

- Niech mi pan powie, co się stało - spytałem, próbując odwrócić jego uwagę, a musiałem powtarzać to wiele razy, nim ostatecznie ocknął się i odpowiedział:

- Wydawało mi się, że w pokoju na górze kogoś słyszę - stwierdził kompletnie beznamiętnym tonem. - Głosy te przenikały przez wszystkie rzeczy. Myślałem początkowo, że śnię, lecz nie: byłem na jawie. Usłyszałem również coś z dołu, jednak nie były to kroki. To raczej jak szelest przemykający po schodach. Trudno powiedzieć. Nie wychodziłem od razu - mówił.

- Nie słyszałem, by ktokolwiek schodził po schodach - odpowiedziałem, jednak Vizniak wydawał się być głęboko zamyślony. - Nie widziałem też nikogo na ulicy. Na pewno się to panu śniło. Może pan spokojnie wracać do łóżka i zapomnieć o wszystkim - kontynuowałem, jednak Vizniak już mnie nie słuchał, wpatrywał się bowiem w drzwi prowadzące na zaplecze.

- Muszę skorzystać z toalety - rzekł, wpatrując się w to samo miejsce.

- Może pan jednak wróci do swojego pokoju na górę... - nalegałem.

- Nie. Przejdźże, przecież chcę skorzystać z toalety! - wymamrotał, człapiąc wolno posuwistymi ruchami. Nawoływałem go wielokrotnie i w cichym szepcie, jednak nie reagował - szedł przed siebie, niczym w transie.

Przez chwilę przemknęła mi myśl, że Vizniak może nie znajdzie niczego niezwykłego na tym zapleczu, że wszystkim

co ujrzy po przejściu przez kurtynę, będą butle, słoje i stopy pudeł z lekami. „Być może widzenie właśnie się zakończyło” - myślałem. Być może widzenie skończyło się już w chwili, gdy kukła schowała się na zapleczu, tuż za kurtyną? Być może Vizniak wróci po skorzystaniu z toalety z zaplecza dosłownie za chwilę i uda się do swych pokoi nad apteką? Gdybałem gorączkowo nad każdym możliwym scenariuszem bezsensów tego zdarzenia.

Pod wieloma istotnymi względami widzenie to nie przypominało żadnego innego, które już miało miejsce w przeszłości. Miałem powody przypuszczać, że to nie ja byłem osobą, którą marionetka chciała tym razem nawiedzić, a przynajmniej - nie jedyną. Mimo silnego wrażenia, że wszystkie moje dotychczasowe *spotkania* z tą istotą były niczym innym, jak tylko skandaliczną bezsensownością, właściwie - nadirem bezsensowności, jak zwykłem mawiać - nie opuszczało mnie przekonanie, że jestem w bliżej nieznanym sposobie wyróżniony spośród wszystkich, wręcz przeznaczony do jakiegoś konkretnego celu. Jednak, gdy tylko Vizniak zniknął za kurtyną, poznałem, w jak strasznym byłem błędzie. Któż wie, ilu jeszcze mogło istnieć ludzi twierdzących, że ich istnienie składa się wyłącznie z skandalicznej bezsensowności - bezsensowności niewyróżniającej się zupełnie niczym szczególnym, i w której, przed którą oraz za którą nie było nic innego ponad kolejne poziomy bezsensowności - zupełnie jak nowy rodzaj bezsensu, być może jakiejś nowej, dotąd nieznannej bezsensowności, lecz nadal całkowicie bezsensownej - wyłącznie i ostatecznie.

We wszystkie miejsca, które odwiedziłem w czasie swego życia, od zawsze wpisana była ta kukłowata bezsensowność - apteka była jedynie kolejnym z nich.

Siedziałem tam i pracowałem za ladą, wyczekując kolejnego *widzenia*, jednak nie miałem pojęcia, że Vizniak również. Po namyśle zrozumiałem, że Vizniak był doskonale świadom tego, co znajdowało się za kurtyną, w przejściu wiodącym na zaplecze apteczne, tak samo jak był świadomy, że nie istniało żadne inne miejsce, w które powinien się udać, jak właśnie tam - za kurtynę... Być może dlatego, że każde kolejne miejsce w jego życiu było kolejnym miejscem kukłowego *widzenia*. Nie zmienia to nadal faktu, że zdawał się być wystarczająco zdziwiony tym, co tam zaszło. Właśnie to było w tym wszystkim najbardziej bezsensowne - jego przemożne zdumienie, z jakim wykrzyczał, przekroczywszy próg zaplecza: „Odejdźże ty ode mnie!” Były to jednocześnie jego ostatnie słowa, jakie dane mi było słyszeć. Ich dźwięk zanikł, przepadając gwałtownie z olbrzymią prędkością, jakby unoszony w dal - na niewyobrażalną wysokość. „Teraz wreszcie zobaczy...” - przemknęło mi przez głowę. - „Zobaczy, co tak naprawdę pociągało za sznurki tej błazeńskiej kukły”.

Gdy nastał poranek, uchylilem kurtynę i zajrzałem do środka, jednak nikogo tam już nie było. Jakby próbując dodać sobie otuchy, stwierdziłem, że nie będę zdziwiony, gdy *mój* czas wreszcie nadejdzie. Nie ulegało wątpliwości, że Vizniak, w którymś momencie własnego życia również wypowiedział takie, ostatecznie bezsensowne zdanie.

Przeł. Filip Skutela

CZERWONA WIEŻA

Zrujnowana, trzykondygnacyjna fabryka wznosiła się na terenie pozbawionym innych cech charakterystycznych. Choć w pewien sposób majestatyczna, zajmowała jednak szczególnie niepozorne miejsce pośród szarej pustki otoczenia, ledwie rysując się na osamotnionym horyzoncie. Do fabryki nie wiodła żadna droga, nie istniały też najmniejsze ślady czegoś, co w odległej przeszłości stanowić mogło jakikolwiek dojazd do budowli. Jeśli ongiś była tu droga, zapewne wyszła z użycia zaraz po doprowadzeniu pod jedną z czterech zbudowanych z czerwonej cegły ścian fabryki, nawet gdy mowa o czasach pełnej aktywności zakładu. Powód takiego stanu rzeczy był nader prosty: w murach nie wybito żadnych wejść, żadne platformy załadunkowe, czy drzwi nie zezwalały na przeniknięcie poza wzniesione z litej cegły ściany budynku, bez jednego choćby okna poniżej pierwszego piętra. Fenomen wielkiej fabryki, odciętej w ten sposób od świata zewnętrznego, wzbudzał we mnie krańcową fascynację. Ostatecznie niemal z żalem przyjąłem prawdę, iż do środka wiedzie podziemne wejście. Oczywiście jednak również to odkrycie w końcu przerodziło się we mnie w źródło naprawdę zwyrodniałego poczucia zachwyty, zgniłej fascynacji.

Fabryka od dawna trwała pogrążona w ruinie, z wytartymi, skruszałymi cegłami, z oknami o wytłuczonych szybach. Żadna z trzech wyniesionych ponad poziom gruntu

kondygnacji nie chowała we wnętrzu nic prócz kurzu i ciszy. Powiada się, że maszyneria niegdyś wypełniająca gęsto trzy piętra fabryki, a także znaczną część przestrzeni pod ziemią, przepadła w wyniku ulotnienia - powtarzam, ulotniła się - zaraz po tym, kiedy fabryka zaprzestała pracy, pozostawiając po sobie zaledwie parę widmowych obrysów głębokich kadzi i cystern, powykręcanych rur i lejów, przenikliwie zgrzytających kół zębatych i lewarów, gigantycznych pasów i kół. Obrysy te najlepiej było widać o zmroku - później znikwały w ogóle. Jak głośiły te niewątpliwe urojenia, od czasu do czasu pewnym zanikiem podlegała również całość Czerwonej Wieży, pod którą to nazwą znana była niegdyś fabryka. Zjawisko to, jeśli wierzyć słowom pogrążonych w delirium lub też spoczywających na łożu śmierci nielicznych świadków, następowało na skutek szczególnej wrogości pomiędzy hałaśliwymi, cuchnącymi działaniami fabryki a nieskalaną pustką otoczenia, konfliktu okazjonalnie skutkującego tymczasowym wymazaniem, czy też zanikiem Czerwonej Wieży w wyniku posunięć pustkowie.

Pomimo najwidoczniej obłąkańczego, a co najmniej mało wiarygodnego pochodzenia, owe zeznania, w moim odczuciu, zasługiwały na coś więcej niż wysłuchanie jednym uchem. Fakt, legendarny konflikt pomiędzy fabryką a szarawym, otaczającym ją terytorium, mógł zostać całkowicie zmyślony przez osobników w zaawansowanych stadiach zaburzeń, bądź to fizycznych, bądź psychicznych, niemniej moja opinia brzmiała - i nadal ją podtrzymuję - następująco: Czerwona Wieża nie zawsze miała szczególny kolor, dzięki któremu stała się znana. Zeszkarałatnienie fabryki w pewnym sensie oznaczało zdradę czy też zerwanie stosunków, twierdząc bowiem, iż pradawna budowla w dawno zapomnianych

czasach miała tę samą bladą barwę, co świat, w którym się zawierała i który ją otaczał. Co więcej, w przypiływie przecucia zrodzonego przez zubożenie graniczące z zupełną rozpaczą, wyobraziłem sobie, że Czerwona Wieża nie zawsze wykonywała przyziemne cele przeciętnej fabryki.

Pod wyniosłą, trzykondygnacyjną górną częścią Czerwonej Wieży, znajdowały się dwa, być może trzy inne poziomy. Ten położony bezpośrednio pod parterem fabryki stanowił węzeł wyjątkowego systemu dystrybucji towarów produkowanych na wszystkich trzech piętrach powyżej. Pierwszy poziom podziemny pod wieloma względami, również funkcjonalnymi, przypominał staroświecką kopalnię głębinową. Kabiny wind, otulone ciężką siecią poskręcanych i rdzewiejących kabli, docierały daleko w podziemia, aż po przestronną komnatę topornie wydrążoną w skale i utrwaloną na chybił trafił gęstą strukturą podpór, siatką słupów oraz kolumn, belek oraz krokwi, a wszystkie sporządzone z różnorodnych materiałów - drewna, metalu, betonu, kości, a także najwyższej klasy pasów parcianych, włóknistych i trwałych. Z owej centralnej komnaty rozbiegały się promieniście tunele, które z podziemi opustoszałego regionu otaczającego Czerwoną Wieżę czyniły istny plaster miodu. Tunele służyły do transportu towarów wytwarzanych w fabryce. Czasem niesiono je w rękach, częściej jednak przemieszczano przy pomocy małych wózków i wagoników, w miejsca bliskie i dalekie, w najbardziej tajemnicze i niesłychane punkty docelowe.

Towar wytwarzany w Czerwonej Wieży w pewnym sensie rzeczywiście stanowił coś godnego uwagi, lecz zrazu nie miał w sobie nic nad wyraz niezwykłego ani specjalnie ambitnego.

Były to makabryczne produkty i prawdopodobnie najlepiej określić je mianem „gadżetów”. Z początku w obiektach i tworach wypuszczanych przez maszynię Czerwonej Wieży dostrzegało się chaotyczność, losowość ujawniającą się w braku ustalonych kształtów, wielkości czy jednolitego wzorca. Raz mogła pojawić się osobliwa, popielata bryła, zdradzająca podobieństwo do twarzy czy zgiętych palców, innym razem gruda wyglądająca niczym trumna z maleńkimi, nieregularnie rozmieszczonymi kólkami, lecz w większości wczesne twory zdawały się stosunkowo neutralne. Jednak z czasem, gdy wszystko jak zwykle zaczęło sprawnie funkcjonować, porzucono nieszkodliwy, a tym samym nieinteresujący nieporządek - stan, który nigdy nie trwa wiecznie - po czym przyjęto spójny plan i rozpoczęto proces złośliwie świadomej kreacji.

W ten sposób Czerwona Wieża rozpoczęła produkcję nowej, jeszcze straszliwszej i bardziej zdumiewającej linii unikalnych gadżetów. Pośród obecnie tworzonych obiektów znalazło się kilka niemalże niewinnej natury. Do tych zaliczały się drobne, delikatne kamee, cięższe, dużo cięższe niż sugerowałby ich rozmiar, a także medaliony, których błyszczące wieko otwierało się gwałtownie, odsłaniając węglową, dudniącą otchłań; głęboką, huczącą echem czerń. Z tej samej linii pochodziły realistyczne repliki organów wewnętrznych oraz struktur fizjologicznych, spośród których wiele zdradzało daleko zaawansowane stany chorobowe, wszystkie zaś bez wyjątku były nieprzyjemnie ciepłe i miękkie w dotyku. Pojawiła się sztuczna odcięta dłoń, u której nocą wyrastały długie na kilka cali paznokcie, wrastające z powrotem za każdym razem, gdy ktoś próbował je obciąć. Opracowano liczne obiekty naturalne, głównie bulwiaste

tykwy, które miały wydawać przeciągły, ogłuszający krzyk, kiedykolwiek ktoś je podnosił lub w inny sposób próbował zakłócić ich warzywny bezruch. Do mniej czytelnych rzeczy zaliczały się utwardzane kule lawy, w których surowe, magmowe formy wtapiano parę zaropiałych gałek ocznych, nieprzerwanie przenoszących spojrzenie z jednej strony na drugą, niczym w niepowstrzymanym wahadle. Był też drobny okruch zaprawy, fragment jakby odłamany z pierwszej lepszej szosy czy chodnika, pozostawiający na każdej powierzchni, na której spoczął, trudną do usunięcia, tłustą, zieloną plamę. Wkrótce po tego typu dosyć prostych przedmiotach pojawiły się, zastępując ostatecznie te wcześniejsze, obiekty oraz twory o bardziej złożonej strukturze. Jednym z przykładów tego rodzaju skomplikowanych gadżetów była ozdobna pozytywka, która po otwarciu wydawała urywany odgłos bulgotania lub też zasysania, jakby w próbie dorównania rżęzieniom konającego. Innym towarem wytwarzanym w wielkich ilościach w Czerwonej Wieży był kieszonkowy zegarek w złotej obudowie, który po otwarciu ukazywał osobliwą tarczę z cyframi reprezentowanymi przez drobne, drgające owady, podczas gdy wskazówkami były jaszczurze języki, wysmukłe i różowe. Przykłady te dają niewielkie pojęcie o zakresie towarów pochodzących z fabryki z okresu, kiedy produkowała gadżety. Powinienem przynajmniej wspomnieć jeszcze o egzotycznych dywanach, tkanych w zawiłe, abstrakcyjne wzory, które, gdy skupić na nich wzrok, układały się w ulotne, fantasmagoryczne sceny z rodzaju przemykających przez zmożony gorączką lub nawet na stałe uszkodzony mózg.

Jak zostało mi to ujawnione, i jak ja zdążyłem to ujawnić tobie, do rozprowadzania osobliwych dóbr wytwarzanych w Czerwonej Wieży służył system tuneli zlokalizowanych nie na

drugim (ani też trzecim) poziomie spośród wydrążonych pod trzykondygnacyjnym budynkiem fabryki, ale na pierwszym. Wydaje się, że owe podziemne warstwy nie stanowiły fundamentów uwzględnionych w pierwotnym planie fabryki, lecz w istocie były zwyrodniałymi i nieoczekiwanymi dodatkami, które rozwinęły się z czasem, gdy budowla znana jako Czerwona Wieża uległa mutacji i z pewnego wcześniejszego stadium istnienia przemieniła się w zwyczajne miejsce produkcji. Mutacja ta najwidoczniej wymagała wykopania - czy to od góry, czy też od dołu, nie jestem w stanie stwierdzić rozstrzygająco - układu tuneli jako środka dystrybucji gadżetów, które przez pewien czas produkowała fabryka.

Wygląda na to, że kiedy unikalne wynalazki Czerwonej Wieży osiągały ostateczną postać, wyznaczano dla nich lokalizacje, w które miały być dostarczone czy to przy pomocy rąk, czy też wózków, bądź niewielkich wagoników ciągnionych na znaczne nieraz odległości systemem podziemnych tuneli. Można było tylko zgadywać, w którym miejscu się wyłonią. Obiekt szczególnie gadżeciarski mógł trafić na dno ciemnej szafy, zagrzebany pod stertą nieokreślonych rupieci, gdzie odkryto by go czystym przypadkiem lub nieszczęśliwym zrządzeniem losu. Z drugiej strony, ten sam wynalazek, jak również zupełnie inny, mógł znaleźć się na stoliku nocnym obok czyjegoś łóżka w celu niemal natychmiastowego odkrycia. Każdy punkt docelowy wchodził w grę; nic nie pozostawało poza zasięgiem Czerwonej Wieży. Pojawiło się nawet świadectwo osoby w stanie silnej hysterii czy też częściowej utraty świadomości, zgodnie z którym istniały przedmioty z fabryki odkrywane w zakamarkach żywego lub najwyżej niedawno zmarłego ciała. Jestem przekonany, że

leżało to w możliwościach fabryki, zwłaszcza biorąc pod uwagę historię jej późniejszej produkcji. Jednak moją własną, zwyrodniałą wyobraźnię najbardziej pociąga myśl o tym, ile to spośród potwornych gadżetów wytworzonych w Czerwonej Wieży pedantycznie i z nabożnością dostarczono - tylko i wyłącznie przy pomocy tych bezkresnych, podziemnych tuneli - w zuchwale odległe miejsca, w których nikt tych obiektów nigdy nie odkryje ani nie będzie w stanie odkryć. Zaprawdę, Czerwona Wieża działała tajemniczymi drogami.

Jak ów system tuneli rozprowadzających powstał za sprawą fabryki, kiedy ta przekształciła się w wytwórcę gadżetów, tak wraz z powolnym nadejściem nowej ery produkcji pojawiła się konieczność dalszego rozrostu. Wewnątrz otulonej kablami windy, stanowiącej komunikację pomiędzy górnymi rejonami fabryki a podziemnymi tunelami, zainstalowano specjalną dźwignię, która, szarpnięta do siebie, a może też pchnięta do przodu (nie znam takich szczegółów), pozwalała zjechać na drugi poziom podziemi. Ten niedawno wydrążony obszar był dużo mniejszy, o wiele bardziej kameralny niż rejon znajdujący się bezpośrednio ponad nim, co stawało się jasne w chwili, gdy winda stawała, a przed obserwatorem roztaczał się pełen obraz poziomu. Scena, z jaką w tym momencie musiały się zmierzyć chwiejne umysły świadków, pod wieloma względami przypominała odosobniony cmentarz, otoczony lekko powyginanym ogrodzeniem ze stojących w szerokich odstępach słupków szczepionych zardzewiałą siatką. Wszystkie nagrobki znajdowały się po wewnętrznej stronie ogrodzenia, ściśnięte przy sobie, i choć z lekka archaiczne, wyglądały nad wyraz pospolicie. Na płytach nie widniały żadne nazwiska ani daty, w ogóle nic za wyjątkiem nieskomplikowanych i abstrakcyjnych

zdobień. O istnieniu tych ostatnich można było się przekonać wyłącznie z bliskiej odległości, gdyż nikłego i nietypowego oświetlenia na tym poziomie dostarczały emanujące poświata, zamykające obszar ze wszystkich stron kamienne ściany. Zdawały się one pokryte farbą fosforyzującą, która nurzała cmentarzysko w zawieszistej, szarawej mgle. Moje chorobliwe marzenia najdłużej - jak długo, nie jestem w stanie stwierdzić - krążyły właśnie wokół posępnej wizji cmentarza pod fabryką, podziemnego cmentarza otoczonego krzywym ogrodzeniem z siatki, wypełnionego ułomną fosforescencją farby na ścianach. W tej chwili zmuszony jestem zaledwie eksponować samą wizję miejsca, bez zagłębiania się w problem jego użyteczności, to jest funkcji, jaką sprawowało wobec fabryki nad nim.

Po prawdzie, w którymś momencie nadszedł czas, kiedy na poziom cmentarza zostały przeniesione wszystkie funkcje fabryki. Na długo przed zupełnym ulotnieniem maszynierii Czerwonej Wieży wydarzyło się coś, co wymusiło zaprzestanie wszelkich prac na trzech piętrach budynku znajdujących się powyżej poziomu gruntu. Przyczyny tego posunięcia pozostają w dużej mierze niejasne - są kwestią do przemyślenia na czas, gdy beznadziejna, pochłaniająca ciekawość sięga wyżyn, kiedy palący blask domysłów nabiera takiej intensywności, że grozi spopieleniem wszystkiego wokół. W moim mniemaniu słusznie jest przypomnieć teraz o długotrwałych napięciach, jakie istniały pomiędzy Czerwoną Wieżą, która według mnie nie zawsze była naznaczona taką barwą i takim przydomkiem, a szarawym krajobrazem kompletnej pustki, ze wszech stron otaczającym budowlę i mającym wokół niej i ponad nią na niepoliczalną odległość. Lecz obszar pod poziomem gruntu fabryki to zupełnie co innego: to właśnie tutaj przeniesiono po

pewnym czasie wszelką działalność zakładu; to tutaj, dokładnie na poziomie cementarza, wciąż przeprowadzano wszelkie operacje.

Niewątpliwie Czerwona Wieża dopuściła się była pewnego pogwałcenia, czy przewinienia, wszak jej hałaśliwa działalność oraz niekonwencjonalne produkty - a może i sama egzystencja - stanowiły afront dla niezmiennego spokoju świata wokół. W moim osobistym odczuciu w grę wchodziła tu zdrada, niegodziwe zerwanie więzów. Potrafiłem sobie wyobrazić czas poprzedzający istnienie fabryki, zanim jeszcze którykolwiek z jej atrybutów zaczął szpeciść pozbawione cech charakterystycznych tereny z taką szarością i opustoszeniem rozciągające się we wszystkich kierunkach. Kiedy marzę o szarawym pustkowiu, całkiem nietrudno jest mi sobie wyobrazić, że mogło dojść do załamania tej kolosalnej nudy, mógł pojawić się spontaniczny i niepojęty impuls, który nakazał odstąpienie od nużącej perfekcji, nieposkromione pragnienie podjęcia ryzyka, aby zbliżyć się do kuszącej ułomności. Proces stwórczy dokonał się jako ustępstwo wobec owego pochodzącego znikąd impulsu czy chęci, jako minimalna kapitulacja - budowla nabrała kształtów tam, gdzie wcześniej nie istniało nic tego typu. Jej początki maluję sobie jako ledwie widoczne wdarcie się w krajobraz, prosty zarys być może półprzezroczystego na samym początku budynku, szare zagęszczenie wynurzające się z szarości, wytłaczane zgodnie z najbardziej wysmakowanym i harmonijnym wzorcem. Ale przecież takie budowle czy struktury posiadają własne pragnienia, własne przeznaczenie, za którym podążają, własne tajemnice oraz mechanizmy, które muszą realizować niezależnie od ryzyka.

Z szarego, opustoszałego oraz całkowicie pozbawionego

cech charakterystycznych krajobrazu wyłoniła się nijaka budowla, blada, być może półprzezroczysta wieża, która z czasem przekształciła się w fabrykę i zaczęła wypuszczać, niby w duchu najwyższej miary zacietrizewienia, serię patologicznych, cudownie odrażających gadżetów. W pewnym momencie, pełna enigmatycznej namiętności do zdrady i perwersji, poczerwieniała w wyrazie buntu. Z pozoru Czerwona Wieża mogła wydawać się znakomitym uzupełnieniem szarej pustki otoczenia, unikalną, malowniczą kompozycją, nadającą wyraz znakomitej esencji obydwu. W rzeczywistości jednak istniała między nimi głęboka oraz niewysłowiona wrogość. Podjęto próbę zatrzymania Czerwonej Wieży, a co najmniej wyparcia jej ku bezkształtnym pierwocinom jej istnienia. Mówię oczywiście o pokazie siły, który zaowocował ulotnieniem liczego arsenału maszynierii fabryki. Każdą z trzech kondygnacji oczyszczono, wypleniono z drażniących środków produkcji gadżetów, zaś część fabryki wyrastającą ponad poziom gruntu porzucono, aby popadła w ruinę.

Jestem przekonany, że gdyby maszynieria Czerwonej Wieży nie ulotniła się, i tak podziemny cmentarz lub coś bardzo podobnego zaistniałoby po pewnym czasie. Fabryka od dawna zmierzała w tym kierunku, co sugerowały niektóre z późniejszych modeli gadżetów. Maszyny coraz bardziej wymagały modernizacji, w miarę jak chorobliwa mania Czerwonej Wieży nabierała intensywności i objawiała się w jeszcze bardziej eksperymentalnych, wręcz wizjonerskich projektach. Zdążyłem wspomnieć, że nagrobki na podziemnym cmentarzu fabryki nie nosiły żadnych nazwisk pochowanych tam zmarłych, jak również dat narodzin oraz śmierci. Potwierdzały to liczne historie, opowiadane w

pogranicznym żargonie. Powód ogołocenia płyt nagrobnych z napisów staje się zrozumiałą, jeśli przyjrzeć się jak stoją, pokrzywione i ściśnięte obok siebie, w fosforyzującej mgiełce kamiennych ścian pokrytych świecąca farbą. W zasadzie nie można powiedzieć, by w którymkolwiek spoczywał ktokolwiek, kto wymagał uwiecznienia nazwiska oraz dat urodzin i śmierci w postaci inskrypcji na nagrobku. Nie były to z pewnością miejsca pochówku. Innymi słowy, w tych grobach nie grzebano zmarłych. Wręcz przeciwnie: w grobach tych o wysoce eksperymentalnej konstrukcji miały się rodzić najnowsze wyroby Czerwonej Wieży.

Fabryka po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia produkcji ekstrawaganckich gadżetów przystąpiła do tworzenia przedmiotów określanych mianem „hiperorganizmów”. Nowe produkty także wyróżniały się z gruntu nietuzinkowym charakterem, jeszcze mocniej podkreślającym rozdźwięk między Czerwoną Wieżą a mdłym, szarym pustkowiem, pośrodku którego wznosiły się jej mury. Jak wskazywała nazwa, hiperorganizmy charakteryzowały się zasadniczymi cechami natury organicznej, co rzecz jasna oznaczało przenikliwą żywotność we wszelkich aspektach ich formy oraz funkcjonowania; z drugiej strony, w tych samych dziedzinach ujawniał się immanentny element rozkładu. Żeby rzecz ująć w przejrzysty sposób: każdy z hiperorganizmów, nawet jeśli w plugawie wysokim stopniu tętnił impulsami witalnymi, miał zakodowane w sobie degenerację oraz śmierć. Aby pozostać w zgodzie z tradycją milczącego obłędu: im mniej słów na temat potomstwa rodzących grobów lub podobnych stworzeń, tym lepiej. Mnie samego niemal całkowicie pochłaniały palące domysły związane ze szczegółami zjawisk hiperorganicznych, jakie zachodziły na podziemnym cmentarzu Czerwonej Wieży.

Wprawdzie możemy bez ryzyka założyć, że takich stworzeń nie można było nazwać pięknymi, niemniej sami z siebie nie jesteśmy w stanie poznać tajemnic oraz mechanizmów na przykład poruszania się owych bytów pośród mglistej poświaty podziemnego dominium; ich chybotliwych, spazmatycznych gestów, o ile były w stanie je wykonywać; dźwięków, jakie mogły wydawać lub organów do tego celu służących; ich wyglądu, kiedy tak niezgrabnie wynurzały się z gęstych cieni lub przysiadały pod anonimowymi nagrobkami; poszczególnych faz pełnej drgawek mutacji, której niemal z pewnością podlegały na jałowej ziemi cmentarza po przeżyciu stadium larwalnego; tego, co ich ciała były w stanie produkować lub ronić na podobieństwo płynów bądź wydzielin; ich ewentualnej reakcji na okaleczanie z powodów natury eksperymentalnej bądź zgoła bestialskiej. Częstość wyobrażam sobie szaleńcze przebieranie pazurami, jakie być może wykonywały te stworzenia w staraniach wygrzebania się z niewolącego środowiska, którego ich wadliwe bądź nieistniejące mózgi nie były w stanie nawet zacząć pojmować. Nie mogły zrozumieć, nie bardziej niż ja, w jakim celu zrodzono je z tych grobów, tych inkubatorów hiperorganizmów, miniaturowych fabryk ciała, zawierających się całkowicie wewnątrz i daleko w głąb dużo większej fabryki, jaką była Czerwona Wieża.

Żadna to niespodzianka, iż niedługo tolerowano proces produkcji hiperorganizmów, nim fabrykę nawiedziła druga fala zniszczenia. Tym razem nie wystąpił po prostu zanik i ostateczne ulotnienie maszynierii; tym razem zaszło coś daleko bardziej brutalnego. Siły zniszczenia po raz kolejny zwróciły się przeciwko fabryce, szczególnie przeciw podziemnemu cmentarzowi zlokalizowanemu na drugim poziomie poniżej

gruntu, bowiem trzykondygnacyjna struktura nadziemna już wcześniej przekształciła się w rozbrzmiewającą echem ruinę. Wiedza o tym, co pozostało z cmentarza oraz jego błyskotliwie bluźnierczych dzieł, dostępna jest mojemu poznaniu jedynie przez drżące, w dużej mierze fragmentaryczne szepty, opisujące niewysłowione chaos, dewastację, a także doszczętną ruinę. Te same źródła zdają się uważać ten incydent za punkt kulminacyjny, jeśli wręcz nie za zakończenie długotrwałej wrogości pomiędzy Czerwoną Wieżą a szarym widmem jałowości, jakie wisiało nad nią ze wszech stron. Wyglądało na to, że ów druzgocący epizod zakończył aktywność Czerwonej Wieży.

Mimo to istnieją przesłanki, iż fabryka nadal działa, bez względu na jej stan milczącej ruiny. W końcu przecież ulotnienie maszynerii, która we właściwej, trzykondygnacyjnej części fabryki z czerwonej cegły wyprodukowała niezliczoną ilość gadżetów, a także wynikające z tego wyjście z użytku zawiłego układu tuneli na pierwszym poziomie podziemi, nie powstrzymały fabryki przed kontynuacją działalności innymi, bardziej przebiegłymi metodami. Przez pewien czas prace na drugim poziomie poniżej gruntu (na obszarze cmentarza) przebiegały nadzwyczaj sprawnie. Po okrutnym zdziesiątkowaniu błyskotliwych, płodnych grobów oraz wyrabianego przez nie towaru, wydawało się, że historia produkcji Czerwonej Wieży dobiegła końca. Istnieją jednak wskazania, iż pod trzykondygnacyjną, powierzchniową częścią fabryki, pod pierwszym oraz drugim poziomem podziemi istnieje jeszcze trzeci, dodatkowy rejon utajonej działalności. Być może do rozpowszechnienia pogłosek o trzecim poziomie przyczyniło się po prostu pragnienie symetrii, głód strukturalnego

zrównoważenia wszechrzeczy, chęć wprowadzenia swego rodzaju uzupełniającej proporcji dla trzech kondygnacji fabryki, które wznoszą się ponad szary i pozbawiony cech szczególnych krajobraz. Pogłoski te utrzymują, iż na trzecim poziomie podziemi w pewien nowy i osobliwy sposób jest wciąż realizowany plan produkcji fabryki, stanowiąc najambitniejszą spośród prób wytwórczości zepsutych bytów, osiągając wyżyny tradycji degeneracji oraz dobijając doskonałości defektu i beżładu, zgodnie z tym co mówią splugawione i mgliste plotki dotyczące sprawy.

Może wydawać się, że powiedziałem za dużo o Czerwonej Wieży. Być może brzmiało to nazbyt dziwacznie. Proszę nie myśleć, że jestem tego nieświadom. Jednakże, jak wielokrotnie podkreślałem to w niniejszym dokumencie: zaledwie powtarzam zasłyszane rzeczy. Ja sam nigdy nie widziałem Czerwonej Wieży - nikt jej nigdy nie widział i prawdopodobnie nie zobaczy. Ale gdziekolwiek się nie znajdę, ludzie o niej mówią. W ten czy inny sposób wspominają o koszmarnych gadżetach, bądź tajemniczych i odrażających hiperorganizmach, podobnie gędzą bez końca o podziemnym systemie tuneli oraz odosobnionym cmentarzu, którego nagrobki nie ukazują nazwisk ani dat narodzin czy śmierci. Wszystko, co mówią, w ten czy inny sposób dotyczy Czerwonej Wieży, niczego innego jak tylko Czerwonej Wieży. Wszyscy rozmawiamy i myślimy o Czerwonej Wieży na nasz własny, zwyrodniały sposób. Ja tylko zrelacjonowałem to, co mówią ludzie (choć sami mogą nie wiedzieć, że to mówią), a niekiedy również to, co widzieli (choć sami mogą nie wiedzieć, że to widzieli). Tak czy inaczej, nic, tylko gadają w ten pomyłony sposób o Czerwonej Wieży. Każdego dnia mojego życia słyszę, jak o niej mówią. Chyba że, rzecz jasna,

zaczynają opowiadać o szarym krajobrazie, tej mglistej pustce, w której tak niepewnie zagnieżdżona jest Czerwona Wieża - wielka i pracowita Czerwona Wieża.

Wówczas głosy cichną, aż w końcu ledwie słyszę, jak próbują porozumieć się ze mną za pomocą duszących strzępów pokoszmarowej traumy. Nastał czas gdy muszę wyteżać się, aby usłyszeć głosy. Czekam, aż ujawnią mi nowe przedsięwzięcia Czerwonej Wieży, kiedy ta zagłębi, się w jeszcze bardziej zepsute stadia produkcji, szczególnie te, które mają miejsce w cienistym warsztacie trzeciego poziomu podziemi. Muszę siedzieć spokojnie i nasłuchiwać głosów; być cicho przez jedną, przerażającą chwilę. Wówczas usłyszę nowiny o fabryce kolejny raz wznawiające, działania. Wówczas ponownie będę w stanie mówić o Czerwonej Wieży.

Przeł. Mateusz Kopacz

ZDEFORMOWANIA

MOTYWY MOICH DZIAŁAŃ ODWETOWYCH

Był to mój pierwszy dzień pracy w roli osoby przetwarzającej formularze w biurze od ulicy. Dopiero co wszedłem, nie zdążywszy nawet zamknąć za sobą drzwi czy choćby wykonać krok w głąb, gdy zza biurka w podskokach podfrunął witać się ze mną ów rachityczny osobnik w niedopasowanym ubraniu i okularach z oprawkami zdecydowanie zbyt wąskimi jak na jego łysiejącą głowę. Mówił z ekscytacją, słowa zlewały się ze sobą, waliły jedno na drugie:

- Witamy, witamy. Nazywam się Ribello. Pan pozwoli, że oswoję go nieco z biurem. Proszę wybaczyć, ale nie mamy wieszaka na płaszcze, ani nic podobnego. Może pan skorzystać z tego pustego biurka.

Przyjacielu, znasz mnie wystarczająco długo, aby dobrze wiedzieć, że nie jestem snobem i nie należę do tych, którzy z poczuciem wyższości obnoszą się wśród innych, choćby z tego powodu, że nie mam dość siły na tego typu zachowania. Dlatego uśmiechnąłem się i spróbowałem przedstawić. Ribello jednak nie dopuszczał mnie do głosu:

- Czy może przyniósł pan, co panu polecili? - zapytał, zerkając na walizkę, którą trzymałem w prawej ręce. - Sami się zaopatrujemy, jestem pewien, że przekazano to panu - podjął, zanim zdołałem wtrącić choć słowo. Wówczas obrócił nieco głowę, aby rzucić okiem na kancelarię, na którą składało się osiem biurk - z czego zajętych była ledwie połowa - a także rzędy wysokich szaf na akta, które od sufitu dzieliło ledwie parę stóp.

- I niech pan nie planuje nic na lunch - rzekł. - Zamierzam pana dokądś zabrać. Pewnie chciałby się pan

czegoś dowiedzieć. Informacje, historie. Jest jedna szczególna historia... Ale niech poczeka. Trzeba będzie pana oswoić z biurem.

Następnie Ribello upewnił się, że wiem, które biurko zostało mi przydzielone, wskazując to najbliższej witryny biura od ulicy. - Niegdyś należało do mnie. Teraz, kiedy jest pan z nami, mogę przenieść się do jednego z biurków wgłąbi. - Uprzedzając pytanie Ribella, oznajmiłem, że otrzymałem już wskazówki dotyczące obowiązków, na które składało się niemal wyłącznie przetwarzanie rozmaitych formularzy dla Organizacji Quine, przedsiębiorstwa, i którego interesy oraz działalność swoim zasięgiem obejmują wszelkie przedsięwzięcia publiczne, jak i prywatne po tej stronie granicy. Główna siedziba korporacji mieści się daleko od miasta, w którym zdobyłem pozycję w jej szeregach, od tej szarej placówki, można by rzec, oddalonej znacznie nawet od regionalnych ośrodków operacyjnych przedsiębiorstwa. Organizacja Quine utrzymuje zakłady również w takich miejscach, nawet jeśli są to obskurne biura od ulicy przesiąknięte cierpką, słonawą wonią. Nie dało się zlekceważyć tego zapachu, który skłaniał do wiary, że na długo zanim zakład ten przejęto, aby przetwarzać w nim rozmaite formularze dla monopolisty Org Q., jak czasem skrótowo nazywano firmę, mieścił się w nim sklep z piklami. Być może wyda ci się interesujące, iż przypuszczenie to potwierdził później Ribello, który wziął na siebie zadanie oswojenia mnie z nową pracą, pierwszą od czasu mojego przyjazdu do tego złożonego z dwóch ulic miasteczka.

Usiadłszy przy biurku, na którym górował stos formularzy czekających na przetworzenie, próbowałem wyrzucić z głowy wymianę zdań z Ribellem. Denerwowałem

się z powodów, które dobrze znasz (moje problemy z nerwami i tak dalej), lecz cierpiałem dodatkowo z braku odpoczynku. Wielką winę za pozbawianie mnie snu ponosiła właścicielka kamienicy, gdzie mieszkałem w kawalerce na najwyższym piętrze. Tygodniami próbowałem ubłagać ją, aby poradziła coś na hałasy dochodzące z przestrzeni tuż pod dachem, to jest bezpośrednio nad sufitem mojego lokum. Pomieszczenie było niewielkie a sprawiało wrażenie jeszcze mniejszego przez pochyłość po jeden ze stron, równoległą do pochyłości dachu. Nie chciałem otwarcie dać do zrozumienia kobiecie, że pod dachem budynku zamieszkują myszy lub inne szkodniki, ale to właśnie starałem się jej zasugerować wzmiankami o „hałasach”. Po prawdzie hałasy przywodziły na myśl coś zdecydowanie pokaźniejszego, a zarazem trudniejszego do zidentyfikowania niż banda pospolitych szkodników. Powtarzała, że zajmie się problemem, nigdy jednak do tego nie doszło. Wreszcie, rankiem dnia, który miał być moim pierwszym w nowej pracy - po kilku tygodniach zmagania z niedostatkami snu i pobudzeniem wynikającym z lichego stanu układu nerwowego - uznałem, że skończę z tym wszystkim zaraz w kawalerce na najwyższym piętrze kamienicy w miasteczku o dwóch ulicach, tuż po drugiej stronie granicy od miejsca, w którym przeżyłem całe życie i do którego, zdawałoby się, nie będę w stanie powrócić. Przez czas zdający się wiecznością siedziałem na brzegu łóżka z buteleczką leku na nerwy, przerzucając ją z lewej do prawej dłoni i zastanawiając się: „Kiedy przestanę przerzucać buteleczkę - co przychodziło mi najwyraźniej bez udziału i władzy umysłu — to jeśli znajdzie się w mojej lewej dłoni, połknę zawartość i skończę z tym wszystkim, jeśli natomiast znajdzie się w mojej prawej dłoni, to pójdę i zacznę pracę dla

Organizacji Quine w biurze od ulicy”.

Właściwie nie przypominam sobie, w której dłoni skończyła buteleczka, ani czy upuściłem ją na podłogę podczas tego przerzucania, ani w ogóle co się wydarzyło. Wiem tylko, że pojawiłem się w biurze od ulicy, a gdy tylko wszedłem, Ribello zarzucił mnie bzdurną gadaniną o tym, jak to pomoże mi się oswoić. Niebawem niczym maszyna przetwarzałem jeden formularz za drugim, zmuszony czekać na lunch z tym osobnikiem. Żadna z trzech pozostałych osób w biurze - dwóch mężczyzn w średnim wieku oraz podstarzała kobieta siedząca w dalszym rogu - nie dopuszczała się takich natręctw w moim kierunku jak Ribello, którego zdążyłem uznać za osobę wręcz nie do zniesienia. Czułem wdzięczność dla reszty za ich powściągliwość oraz wrażliwość, choć, rzecz jasna, mogły istnieć niezliczone powody, dla których tego ranka zostawili mnie w spokoju. Przypomina mi się jak doktor, który leczył mnie i ciebie, a twoją osobą, jak mniemam, dalej się zajmuje, lubił powtarzać, jakby komuś udzielał porady: „Choćby nie wiem jak bardzo był pan przekonany do zdania przeciwnego, nic na tym świecie nie jest nie do zniesienia - nic”. Gdyby mnie wówczas nie przekonał, byłbym podchodził do tej kwestii z większym dystansem i nie tkwił w miejscu, w którym znajduję się dziś, wygnany na drugą stronę granicy, gdzie mgły zbierają się w zdumiewająco regularne kształty. Opary te gęste są i szare; wpełzają mi do gardła, lecz nie odcinają tchu.

- Powinien pan, zwłaszcza jeśli nie pija pan kawy. Hatcher palił papierosy, choć bardzo łagodne. To chyba nie ma już znaczenia, znaczy to, że pan nie pali, i tak nie pozwalają nam palić w biurze. Otrzymaliśmy notę służbową z centrali. Twierdzili, że dym dostaje się do formularzy. Co za różnica?

- A co z wonią pikli? - spytałem.

- Z jakiegoś powodu nie mają nic przeciwko.

- Czemu nie wychodzi pan w uliczkę zapalić?

- Za dużo roboty. Każda minuta się liczy. Widzi pan, brakuje nam ludzi Nigdy nie mieliśmy dostatecznej liczby rąk do pracy, a ta sama się nie robi. Nie wyjaśnili panu kwestii godzin pracy?

Niespieszno mi było ujawniać, że zdobyłem posadę nie poprzez aplikowanie, lecz wpływy mojego lekarza, który jest jedynym lekarzem w tym mieście o dwóch ulicach. Zapisał adres biura od ulicy na bloczku z receptami, jakby praca w Org Q. była kolejnym lekarstwem, którym zamierzał mnie leczyć. Dręczyły mnie podejrzenia, zwłaszcza po tym co spotkało doktora, który zajmował się nami od tak dawna. Jak wiesz z mej poprzedniej korespondencji, jego terapia polegała na wepchnięciu mnie do pociągu, który zmierzał prościutko przez kraj za granicę. To miało niby pomóc przezwyciężyć mój strach przed zbyt dalekim oddalaniem się od domu, a tym samym przełamać pozostałe lęki nieodstępujące mnie w stanach pobudzenia nerwowego. Próbowałem wyjaśnić mu, że najpewniej nie zniosę takiego wysiłku, on jednak powtórzył tylko tę niedorzeczną maksymę, że nie ma na świecie rzeczy nie do zniesienia. Na dodatek zabronił mi zabrać lekarstwa, chociaż naturalnie nie posłuchałem. Nie pomogły mi ani trochę, nie kiedy jechałem przez góry z przepaściami bez dna po obu stronach torów i bezkresnym niebem w górze. W takich momentach, które - możesz mi wierzyć - ciągnęły się w nieskończoność, traciłem poczucie miejsca we wszechświecie, nie miałem czego się chwycić, aby zachować minimum bezpieczeństwa, którego każde stworzenie na świecie potrzebuje, aby egzystować i nie cierpieć przez wrażenie, że

wszystko wiruje coraz szybciej na karuzeli kosmosu, kiedy za burtą kipi wyłącznie ciemność bez końca. Zdaję sobie sprawę, iż twój stan różni się mojego, a tym samym nie masz żadnych szans, by w pełni zrozumieć gehennę, przez jaką przechodzę, tak samo jak ja nie mam szans pojąć twojej, przyznaję: stany nas obu są nie do zniesienia, wbrew wyświechtanemu banałowi doktora, w myśl którego nic na świecie nie jest nie do zniesienia. Doszedłem wręcz do wiary, iż świat z natury jest nie do zniesienia. Tylko nasze akcje na ten fakt różnią się od siebie: u mnie jest to przeważnie bierna zgroza na granicy totalnej paniki; u ciebie przeważnie makabryczne obsesje oraz towarzysząca im obawa, że tych obsesji usłuchasz. Kiedy pociąg, do którego wsadził mnie lekarz, wreszcie zatrzymał się na pierwszym przystanku, za granicą miasteczka o dwóch ulicach, przysiągłem sobie, że prędzej zabiję się niż odważę się udać w podróż powrotną. Na szczęście, a przynajmniej tak wówczas wydawało, wkrótce znalazłem lekarza, który zajął się moimi stanami ciężkiej dezorientacji oraz gwałtownej paniki. Pomógł mi także uzyskać wizę oraz dokumenty pracy. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, ostatecznie przyznałem się przed Ribellem, że na stanowisko w biurze od ulicy polecił mnie mój lekarz.

- To by wiele wyjaśniało - powiedział.

- Wyjaśniało co?

- Wszyscy lekarze pracują dla Organizacji Quine. Prędzej czy później by pana przyprowadził. W ten sam sposób pojawił się Hatcher. Lecz nie wytrwał. Nie potrafił pogodzić się z faktem, że brakowało nam rąk do pracy i że zawsze będzie nam ich brakować. A kiedy dowiedział się o nieokreślonych godzinach... Cóż, zareagował wybuchem w samym biurze.

- Doznał załamania? - zapytałem.

- Tak, chyba można tak to ująć. Któregoś dnia zerwał się znad biurka i zaczął tyradę o tym jak to zawsze brakuje nam rąk do pracy... No i o tych nieokreślonych godzinach. Zrobił się agresywny, przewracał niektóre puste biurka i krzyczał: „Już nie będziemy ich potrzebować”. Wyciągnął również kilka szuflad z dokumentami, rozrzucając po biurze ich zawartość. Na koniec jął drzeć formularze, których dotąd nie przetworzono. Wtedy do akcji przystąpił Pilsen.

- Który to?

- Ów postawny jegomość z wąsem, który siedzi w dalszej części biura. Pilsen chwycił Hatchera i cisnął go na ulicę. I to było na tyle, jeśli chodzi o Hatchera. W ciągu kilku dni został oficjalnie zwolniony ze stanowiska. Osobiście przetworzyłem jego formularz. Dla niego nie było szans na powrót. Był zrujnowany - rzekł Ribello, po czym pociągnął łyk kawy i zapalił kolejnego papierosa.

- Nie rozumiem. W jakim sensie zrujnowany? - zapytałem.

- To wszystko nie zdarzyło się tak od razu - wyjaśnił Ribello - Takie rzeczy nigdy nie dzieją się w ten sposób. Wspomniałem panu, że Hatcher palił papierosy. Bardzo łagodne, które specjalnie zamawiał. Cóż, któregoś dnia poszedł do sklepu, w którym zwykł się zaopatrywać w swoje papierosy, a tam powiedziano mu, że palony przez niego gatunek, jedyny jaki tolerował jego organizm, nie jest już dostępny.

- Nie taki znowu koniec świata - rzekłem.

- Nie, w rzeczy samej - odpowiedział Ribello. - Ale to był dopiero początek. To samo co z papierosami powtórzyło się, gdy próbował zdobyć pewne artykuły spożywcze niezbędne dla swojej diety. Tych również nie mieli. A co najgorsze, w

całym miasteczku nie mógł dostać również żadnego ze swoich lekarstw, przynajmniej tak twierdził. Hatcher nie był w stanie funkcjonować bez całej półki farmaceutyków, i to dużo dłuższej niż u kogokolwiek, kogo znałem. Najważniejsze były lekarstwa powściągające jego lęki. Cierpiał zwłaszcza na poważną arachnofobię. Pamiętam, jak któregoś dnia zauważył pająka drepczącego po suficie biura. Zawsze rozglądał się w poszukiwaniu najdrobniejszych choćby pajęczków. No i wpadł w histerię, można powiedzieć, nalegał, by ktoś z nas zabił tego pająka, bo inaczej przestanie przetwarzać formularze. Kazał nam pełzać po szafach na akta i próbować dorwać stworzenie. Kiedy Pilsenowi udało się w końcu złapać pająka i go zabić, Hatcher zażądał, abyśmy mu pokazali martwe ciało, a potem wyrzucili je na ulicę. Potem musieliśmy wzywać tępicielei na koszt firmy, żeby nakłonić Hachera do powrotu do pracy. Ale gdy go zwolniono, nie był w stanie zaopatrzyć się w żaden z dawnych medykamentów, które jako tako trzymały jego nerwy na wodzy. Rzecz jasna, lekarz nie mógł mu pomóc, bo wszyscy doktorzy pracują dla Org Q.

- A co z lekarzami z za granicy? - zapytałem. - Oni także pracują dla firmy?

- Nie jestem pewien - odparł Ribello. - Niewykluczone. W każdym razie, któregoś razu spotkałem Hachera, gdy zmierzałem do pracy. Spytałem, jak mu się powodzi, choć jedno spojrzenie upewniło mnie, że to kompletny wrak człowieka, niemal totalna ruina. Przyznał, że poddaje się pewnej formie leczenia fobii u starej kobiety mieszkającej na obrzeżach miasteczka. Nie sprecyzował charakteru terapii, a ponieważ spieszyłem do biura, nie dopytywałem. W późniejszym czasie dowiedziałem się, że stara kobieta, gotująca wywary z ziół i innych roślin, leczy arachnofobię

Hatchera za pomocą czegoś na kształt lekarstwa destylowanego z pajęczego jadu.

- Homeopatyczna namiastka lekarstwa - rzekłem.

- Być może - powiedział Ribello nieobecny głosem.

W tym momencie do stolika podszedł nieogolony mężczyzna i oznajmij że zamykają na dziś. Skoro Ribello zaprosił mnie na lunch, bo przecież tak było, uznałem, że zapłaci za kawę, tym bardziej że nawet nie umoczyłem ust.

Spostrzegłem jednak, że położył na stoliku pieniądze tylko za siebie, poniekąd zostałem więc zmuszony uczynić to samo. Nagle, gdy mieliśmy iść, sięgnął po moją nietkniętą filiżankę i jednym haustem wypił całą jej zawartość.

- Nie ma sensu, żeby się zmarnowała - oświadczył.

Wracając do biura wąskim zaułkiem zaścielonym mgłą, zachęciłem Ribella, aby opowiedział mi coś jeszcze o człowieku, którego posadę w biurze od ulicy miałem przejąć. Lecz jego odpowiedź trudno było uznać za rozjaśniającą wątpliwości, zapuszczała się bowiem w dziedzinę plotek i pogłosek. Sam Ribello nie zobaczył więcej Hatchera po spotkaniu na ulicy. Prawda, to właśnie wówczas Hatcher najwyraźniej całkowicie zniknął — co, zdaniem Ribella, stanowiło zwieńczenie rujnacji tego mężczyzny. Później po miasteczku zaczęły krążyć opowieści, które odnosiły się do sprawy Hatchera, choć były strasznie dziwaczne. Nie ulega wątpliwości, iż o leczeniu Hatchera przez starą kobietę z krańca miasteczka wiedzieli również inni. Ten fakt stanowił podatny grunt dla niesamowitych opowieści, wymyślanych w większości wśród dzieci i nieznajdujących wiary u przeciętnych obywateli. Przeważały opowieści o „pajęczaku” wielkości kota. To niespotykane stworzenie dzieci rzekomo widywały bawiąc się na ulicach i w zaułkach miasteczka.

Wołały na nie „głowiasty potwór”, które to przezwisko wzięło się (poza faktem, iż stworzenie wyglądało niczym potworny pająk) od budzącego skojarzenia z gałką u drzwi wypustka wyrastającego z jego ciała, który do złudzenia przypominał ludzką głowę. Tę część historii potwierdzało kilka starszych osób, ale ich zeznania niezmiennie zbywano jako skutek działania przepisanych im medykamentów, nawet jeśli, praktycznie rzecz biorąc, wszystkim można było zarzucić to samo, gdyż wszyscy oni - to znaczy, wszyscy my - braliśmy to czy owo lekarstwo, które umożliwiała nam w miarę normalne funkcjonowanie. Jednak nadszedł w końcu czas, kiedy zarówno dzieci jak i starsi, solidnie faszcerowani lekami, przestali widywać tak zwanego głowiatygo potwora. Podobnie Hatcher nie pojawił się więcej w pobliżu miasteczka.

- Porzucił mieszkanie, tak po prostu, i nic ze sobą nie zabrał - powiedział Ribello, gdy dotarliśmy do drzwi biura wychodzących na zaułek. - Jestem pewien, że mieszkał blisko pana, może nawet w tym samym budynku. Ludzie mówią, że właścicielka kamienicy nie płakała specjalnie na wieść o zniknięciu Hachera, gdyż zawsze domagał się od niej, aby zważała na jego fobie i co najmniej raz na tydzień sprowadzała tępicielei.

Przytrzymałem drzwi dla Ribella, lecz on nie wszedł do budynku.

- O nie - odezwał się. - Moja robota na dzisiaj skończona. Wracam do domu zażyć nieco snu. Czasem musimy odpocząć, jeśli mamy przetwarzać w efektywnym tempie formularze korporacji. Ale niebawem się zobaczymy.

Kilka chwil później Ribello zniknął we mgle. Wróciłem do biura z umysłem zafiksowanym na jednym: jedzeniu schowanym w walizce. Nie zdążyłem jednak uczynić dwóch

kroków, a przy toalecie drogę zastąpił mi Pilsen.

- Co ci powiedział Ribello? — zapytał. — Mówił o rzeczach związanych z Hatcherem, co?

- Wyszliśmy tylko na filiżankę kawy — odpowiedziałem, z jakiegoś powodu starając się nie wyjawiać tajemnic Ribella.

- Ale nie przyniosłeś lunchu. Pracowałeś cały dzień, a nie masz nic do jedzenia. W zasadzie jest już ciemno, to twój pierwszy dzień w pracy. Ribello nie uświadomił cię, byś zabrał lunch?

- Skąd pan wie, że nie poszliśmy czegoś zjeść?

- Ribello chodzi do jednego lokalu - odparł Pilsen. - A tam nie dają jedzenia.

- Tak, przyznaję. Poszliśmy do miejsca, w którym nie serwują jedzenia, w związku z czym teraz umieram z głodu. Jeśli więc pozwoliliby mi pan wrócić do biurka...

Tym niemniej Pilsen, wielki facet z wielkim wąsem, złapał mnie za kołnierz płaszcza i pociągnął w stronę toalety.

-Co Ribello powiedział ci w sprawie Hachera?

- Dlaczego nie zapyta pan jego?

- Bo to urodzony kłamca. To jego choroba - jedna z wielu. Widzisz, jak się ubiera, jak wygląda. To szalenie, nawet jeśli bardzo dobry pracownik. W każdym razie cokolwiek ci powiedział na temat Hachera, to wierutne bzdury.

- Istotnie, część z jego słów wydawała się naciągana - rzekłem, uchwycony w kleszcze między tajemnice Ribella, który mógł być zaledwie urodzonym kłamcą, a Pilsena, z którego był rosły mężczyzna i najprawdopodobniej ktoś, kogo nie chciałbym urazić.

- „Naciągane” to właściwe słowo - powiedział Pilsen. - Prawda jest taka, że Hatcher awansował i został przeniesiony do jednego z regionalnych ośrodków firmy. W tej chwili może

zasiadać w siedzibie głównej. Nie można mu było odmówić ambicji.

- Nie pozostaje zatem nic do dodania. Doceniam, że wyjaśnił mi pan sprawę Hatchera. A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko, chciałbym wrócić do biurka. Naprawdę, jestem bardzo głodny.

Pilsen nie rzekł już słowa, tylko obserwował, jak podążam do biurka.

Czułem, że wciąż na mnie patrzy z miejsca na tyłach biura. Spożywając wiktuały z walizki, starałem się dać wszystkim do zrozumienia, że jednocześnie przetwarzam formularze, że nie opóźnim się z robotą. Jednakże nie miałem pewności, czy ten dziki pokaz sztuki przetwarzania formularzy jest w ogóle konieczny, jak sugerował Ribello, wskazując na potworną ilość pracy do wykonania przy nieustannie ograniczonym personelu. Zastanawiałem się, czy czasem Pilsen nie miał słuszności co do Ribella. W szczególności zastanawiało mnie, czy w zapewnieniu Ribella, że harmonogram pracy jest „nieokreślony”, tkwiło ziarno prawdy. Lecz minęło kilka kolejnych godzin i oprócz Ribella nikt nie udał się do domu, odkąd dotarłem do biura tego ranka. W końcu usłyszałem jak jedna z trojga osób za moimi plecami wstaje. Chwilę później minął mnie Pilsen ubrany w płaszcz. W ręku miał sporej wielkości walizkę, uznałem więc, że nastał wieczór, a on zakończył dzień pracy i właśnie wychodzi przez drzwi frontowe do domu. Odczekawszy chwilę, zrobiłem to samo.

Nie uszedłem odległości jednego budynku od biura od ulicy, gdy zobaczyłem jak w moją stronę zmierza Ribello. Miał na sobie inny zestaw niepasujących do siebie ubrań.

- Już pan wychodzi? - zapytał, stanąwszy przede mną na

chodniku.

- Wydawało mi się, że idzie pan do domu przespać się trochę - powiedziałem.

- Bo naprawdę byłem w domu i spałem. A teraz wracam do pracy.

- Rozmawiałem z Pilsenem, czy raczej to on rozmawiał ze mną.

- Rozumiem - rzekł Ribello. - W zupełności rozumiem. Jak mniemam pytał, co powiedziałem na temat Hatcherera.

- Nie inaczej - odparłem.

- Przekonywał pana, że wszystko co powiedziałem to bzdury, że zdeklarowany malkontent ze mnie, który wymyśla historyjki, żeby ukazać w złym świetle przedsiębiorstwo.

- Coś w ten deseń - przyznałem.

- Tak właśnie podejrzewałem.

- Czemu?

- Bo to szpieg firmy. Nie chce, żeby pan już pierwszego dnia dowiedział się, o co w tym wszystkim chodzi. A już szczególnie nie uśmiecha mu się, żeby wiedział pan o Hatcherze. To on doniósł na Hatcherera i wszystko zaczął. To on zrujnował Hatcherera. Stara kobieta mieszkająca na obrzeżach miasteczka, o której panu opowiadałem, pracuje dla oddziału chemicznego firmy – na nią też ma oko. Dowiedziałem się od kogoś pracującego w jednym z ośrodków regionalnych przedsiębiorstwa, że staruszka otrzymała przydział do jednego z największych projektów firmy - linii lekarstw na bardzo osobliwe przypadłości, takie jak arachnofobia Hatcherera. Przedsięwzięcie to uczyniłoby Org Q. dwakroć taką firmą, jaką jest w tej chwili, i to po obu stronach granicy. Ale pojawił się problem.

- Nie wiem, czy chcę słuchać dalej.

- Powinien pan. Starszej kobiety omal nie zdjęto z listy płac firmy, ponieważ zaczęła korzystać z czegoś więcej niż swojej ezoterycznej wiedzy o ziołach i roślinach. Inżynierowie chemiczni przedsiębiorstwa w siedzibie głównej przekazali jej szczegółowe instrukcje, jak ma zmodyfikować ich podstawową formułę. Ona jednak zmierzała w zupełnie innym kierunku oraz dopuszczała się nieusankcjonowanych praktyk, głównie natury okultystycznej.

- Wspomniał pan, że omal jej nie zdjęto z listy płac firmy.

- Tak właśnie. Obwiniali ją o zniknięcie Hatchera. Hatcher był dla nich bardzo ważny jako obiekt eksperymentów. Wszystko ukartowano, żeby zrobić z niego królika doświadczalnego - odmówiono mu papierosów, które zwykle palił, uniemożliwiono stosowania specjalnej diety i odebrano lekarstwa. Mieli z tym wiele zachodu. Hatchera poddano oczyszczeniu, aby starsza kobieta wraz z inżynierami chemicznymi przedsiębiorstwa mogli mu podawać nowe środki. Jad pająka brzmiał sensownie. Jednak tak jak powiedziałem: kobieta dopuszczała się ponadto praktyk niezatwierdzonych przez korporację. Poza tym, kogoś musieli obwinić za zniknięcie Hatchera. Dlatego omal nie zdjęto jej z listy płac.

- A zatem Hatcher stanowił eksperyment - rzekłem.

- Tak właśnie się dzieje, kiedy wybuchasz jak on, narzekając na niekończący się nawał pracy, z którym, zgodnie z oczekiwaniami firmy, mamy się uporać, a także na to, że firma zostawia nas z niewystarczającą liczbą rąk do pracy. Ale pytanie zostaje. Czy eksperyment z Hatcherem powiódł się, czy też nie?

Ribello spojrział na zegarek na ręce i oznajmił, że porozmawiamy później na temat Hatchera, Organizacji Quine

oraz masy innych rzeczy, którymi pragnąłby się ze mną podzielić.

- Tak się ucieszyłem, widząc jak wchodzi pan do biura tego ranka. Mamy tyle formularzy do przetworzenia. No to co, zobaczymy się za parę godzin, czy jak? - Nie czekając na odpowiedź, Ribello pospieszył chodnikiem w stronę biura od ulicy.

Kiedy dotarłem do drzwi kawalerki, wszystko we mnie wołało o sen i lekarstwa. Zawahałem się jednak, gdyż z końca korytarza pogrążonego w półmroku usłyszałem kroki. Była to kobieta zajmująca się kamienicą, niosła coś, co wyglądało na kłęb brudnej pościeli.

Pajęczyny wyjaśniła, zanim zdążyłem zapytać. Odwróciła się i skinęła głową do tyłu, w stronę schodów, swego rodzaju spuszczonej konstrukcji wiodącej na poddasze. - Dbamy o czystość naszych budynków, nieważne co myślą sobie ludzie zza granicy. Dużo z tym zachodu, ale przynajmniej napoczęłam robotę.

Byłem tylko w stanie patrzeć w milczeniu jak kobieta znosi dalej po schodach niesamowitą watolinę pajęczyn. Nagle przyszły mi do głowy pewne niewyraźne myśli i zawołałem kobietę:

- Jeśli na razie skończyła pani, mogę wciągnąć te schody na poddasze.

- To miło z pana strony, dziękuję - zawołała z dołu klatki schodowej. - Wkrótce wezwę tępicieła, tak jak pan prosił. Nie wiem właściwie, co tam siedzi, ale na pewno coś, z czym sama sobie nie poradzę.

Pojałem, co miała na myśli, dopiero kiedy sam wspiąłem się na strych. Pojedyncza żarówka nie była w stanie oświetlić wielgachnej i osnutej cieniami przestrzeni. Udało mi się

jednak dojrzeć martwe ciała kilku szcurów, a raczej ich fragmenty. Niektóre ze stworzeń sprawiały wrażenie, jakby dopiero co uwolniły się z grubego skupiska pajęczyn, takich samych, jakie niosła kobieta zarządzająca budynkiem. Nici przywierały do ciał gryzoni tak, jak szara mgła przywierała do wszystkiego w miasteczku. Co więcej, wszystkie truchła znajdowały się w stanie deformacji... lub też przemiany. Kiedy się im przyjrzałem, zauważyłem, że oprócz czterech łap, którymi obdarzyła je natura, z brzuchów kiełkowały im cztery dodatkowe kończyny. Cokolwiek zabiło te gryzonie, zaczęło je również zmieniać.

Jenak nie wszystkie dotknięte przemianą stworzenia zginęły lub zostały częściowo zjedzone. Późniejsze przeczesywanie strychu, po tym jak przekonałem właścicielkę kamienicy, by na razie nie wzywała tępicieła, ujawniły szczury oraz inne gryzonie w bardziej zaawansowanych stadiach przemiany fizycznej. Zmiany te zdawały się wyjaśniać nieokreślone hałasy, dobiegające z przestrzeni tuż pod dachem i słyszane przeze mnie, odkąd wprowadziłem się do kawalerki.

Niektóre ze stworzeń miały osiem łap równej długości, dzięki którym mogły wspinać się na ściany strychu, a nawet chodzić po pochyłej po wierzchni tuż pod dachem. Inne wręcz zaczęły wic własne sieci. Zdaje mi się, przyjacielu, że rozpoznałbyś w wielu spośród tych obiektów elementy z własnych, okropnych myśli prześladowczych. Szczęściem moje własne lęki nie obejmują arachnofobii, czego nie można było powiedzieć w przypadku Hachera. (Choć i tak przed wejściem na poddasze przyjąłem znaczną dawkę leków.) Kiedy w końcu odnalazłem go w najdalszym kącie strychu, ujrzałem podobną do gałki u drzwi ludzką głowę, wyrastającą

z bladego, napuchniętego ciała wielkiego pająka, czy też pająkopodobnego monstrum. Przyłapałem go na wstrzykiwaniu jadu w kolejnego szkodniczego mieszkańca strychu. Gdy jego oczy wielkości główek od szpilek napotkały mój wzrok, wypuścił stworzenie, które czmychnęło z piskiem, by ulec transformacji.

Nie wyobrażam sobie, by Hatcher pragnął nadal żyć w tym stanie. Podszedłem, lecz on ani nie zamierzył się do ataku, ani nie zerwał do ucieczki. Kiedy wyjąłem nóż do mięsa, odniosłem wrażenie, że uniósł głowę i nadstawił drobną szyję. Podjął decyzję, podobnie jak ja podjąłem swoją: nigdy już nie powróciłem do biura od ulicy, by przetwarzać formularze dla Organizacji Quine, na której usługach działają wszyscy lekarze po tej stronie granicy... a pewnie i po twojej. Jestem przekonany, że nasz doktor od dawna pracował dla korporacji. W najlepszym razie winię go za to moje wygnanie do tego oddalonego miasteczka o dwóch ulicach, wypełnionego mgłą i koszmarami. W najgorszym przypadku jego zamiarem było przetransportowanie mnie za granicę, żebym stał się kolejnym niewolnikiem lub obiektem do eksperymentów firmy, której służy.

Przygotowałem dwie fiołki z jadem uzyskany z ciała Hatchera. Pierwszą zużyłem na lekarza, który leczył mnie po tej stronie granicy, nawet jeśli punktem kulminacyjnym jego terapii było zaledwie zniewolenie mnie w biurze od ulicy, gdzie przetwarzałbym formularze przez nieokreśloną liczbę godzin mojej nieokreślonej egzystencji. Patrząc na niego w tej chwili, jak mutuje w boleściach, a przy okazji częstuję się każdym lekarstwem, na jakie najdzie mnie ochota spośród tych, które trzymał w gablotkach swego biura. Zanim nadejdzie poranek, wybawię go z męki, a jego lekarstwa

wybawią mnie z mojej.

Drugą fiołkę przekazuję tobie, przyjacielu. Od tak dawna cierpisz na potworne obsesje, z których nasz lekarz nie mógł, a może i nie chciał cię wybawić. Zrób z tym lekarstwem, co tylko zapragniesz. Zrób z nim, co tylko podszeptą ci obsesje. Mógłbyś nawet rozważyć przekazanie doktorowi, w bardzo odpowiednim momencie, moich pozdrowień... I nie omieszkaj przypomnieć mu przy tym, że nic na tym świecie nie jest nie do zniesienia – nic.

Przeł. Mateusz Kopacz

NASZ TYMCZASOWY NADZORCA

Wysyłam Ci niniejszy rękopis, abyś opublikował go za granicą (o ile w ogóle do Ciebie dotrze), ponieważ wierzę, że konsekwencje opisanej tu historii dotyczą nawet ludzi spoza mojej ojczyzny, a tym samym - o ile mi wiadomo - ludzi spoza strefy wpływów Organizacji Quine. Ktoś o takim rozeznaniu dziennikarskim jak Ty zapewne wie, że te dwa byty, z których jeden może być określony jako jednostka polityczna, drugi zaś jako jednostka czysto komercyjna, są w zasadzie tożsame. Dlatego też po mojej stronie granicy można równie dobrze nazywać się *obywatelem* Organizacji Quine, jak i rodakiem Org Q., chociaż sądzę, że nawet Ty nie jesteś w stanie pojąć pełnych wymiarów tego pokrewieństwa, które za mojego życia przekroczyło punkt identyczności obu bytów i zbliżyło się do stanu, w jakim jednostki te zlały się ze sobą. Takie twierdzenie może wydawać się przesadzone lub historyczne po twojej stronie granicy, gdzie jesteśmy postrzegani często - jestem tego pewien - jako ludzie nieco uwstecznieni, zamieszkujący małe, rozkładające się miasteczka, porozrzucane w nizinym krajobrazie, przez niemal cały rok zasnute gęstą, szarawą mgłą. W ten sposób Organizacja Quine, będąca jednocześnie moją ojczyzną, zwodniczo przedstawia się światu i właśnie dlatego spieszno jest mi opowiedzieć tę historię. Na wstępie powiem, że pracuję w fabryce zaraz obok jednego z tych małych, rozkładających się miasteczek niemal przez cały rok osnutych mgłą. Budynek fabryki jest nijaką parterową konstrukcją, wykonaną w całości z betonowych pustaków. Powierzchnia robocza wnętrza dzieli się na pojedynczą halę oraz niewielkie, umiejscowione w rogu biuro

z oknami o matowym szkle. W owym biurze znajduje się kilka szafek na akta oraz biurko, przy którym zasiada nadzorca fabryki. Pozostali pracownicy stoją przy kilku kwadratowych „stanowiskach montażowych” - po cztery osoby, po każdej stronie jedna - a ich wyłącznym zadaniem jest ręczne składanie metalowych części dostarczanych nam przez inną fabrykę. Nikt, kogo bym nie spytał, nie miał najmniejszego pojęcia, do jakiej maszyny - o ile to w ogóle była maszyna - służyły te części.

Kiedy podejmowałem pracę w fabryce, nie zamierzałem trzymać się jej zbyt długo - niegdyś bowiem miałem większe oczekiwania od życia, lecz ich obraz w moim młodym umyśle był raczej mętny. Mimo iż praca nie była uciążliwa, a współpracowników miałem przyjaznych, nie wyobrażałem sobie, bym miał już na zawsze zostać przy wyznaczonym mi stanowisku montażowym, dopasowując do siebie kawałki metalu, z nielicznymi przerwami na odpoczynek w ciągu dnia, które miały odrywać nasze umysły od monotonii pracy bądź dawać czas na posiłek na pokrzepienie ciał. Jakoś nigdy do mnie nie dotarło, że miasto, w którym żyłem ja oraz inni robotnicy fabryki, podróżujący do miejsca pracy i z powrotem tą samą osnutą mgłą drogą, nie oferowało żadnych szczególnych możliwości ani mnie, ani nikomu innemu; zapewne właśnie w tym leżały przyczyny mętnego, mglistego charakteru moich młodzieńczych oczekiwań.

Tak się złożyło, że w ciągu tych kilku miesięcy, kiedy pracowałem w fabryce, zaszła jedyna zmiana, jaka kiedykolwiek naruszyła codzienną rutynę funkcjonowania owej montażowni, jedyne odchylenie od trwającego niezliczone lata rytuału. To odstępstwo od naszej robotniczej codzienności nie dawało początkowo szczególnego powodu do

obaw czy niepokoju. Nie zaszło nic, co mogłoby skłonić pracowników fabryki do zmiany dawki czy rodzaju leków, które były im wszystkim zapisane, a po tej stronie granicy wszyscy, włącznie ze mną, biorą jakieś leki, co wynika zapewne częściowo z układu, jaki został zawarty w moim kraju, na mocy którego wszyscy doktorzy i farmaceuci opłacani są przez Organizację Quine - firmę posiadającą duży wydział farmaceutyczny.

Tak czy inaczej, w dniu, w którym została ogłoszona wspomniana wcześniej zmiana, nadzorca fabryki wyszedł ze swego biura i - co stanowiło rzadkość - ukazał się na hali, gdzie staliśmy ścieśnieni wokół przypisanych nam bloków montażowych. Pierwszy raz, odkąd tu pracowałem, nasza praca została wstrzymana *pomiędzy* chwilami przerwy, które robiliśmy dla orzeźwienia umysłu lub odżywienia naszych ciał. Nasz nadzorca, pan Frowley, był człowiekiem potężnie zbudowanym, ale niegroźnym. Poruszał się i mówił w sposób letargiczny, co mogło być spowodowane masą jego ciała, a może zażywaniem przez niego lekami - ich efektem ubocznym, czy może raczej tym właściwym. Pan Frowley z mozołem dotarł na środek hali, po czym zwrócił się do nas ociężałym tonem.

- Wezwano mnie w sprawach firmowych - poinformował. - Na czas nieobecności zostanę tymczasowo zastąpiony przez nowego nadzorcę. Będzie tak od jutra, kiedy przyjdziecie do pracy. Nie jestem w stanie powiedzieć, jak długo to potrwa.

Następnie spytał, czy ktoś z nas ma do niego jakieś pytania związane z tą doniosłą sytuacją. Wtedy pracowałem w fabryce jeszcze zbyt krótko, aby w pełni pojąć niezwykłość tego zdarzenia. Nikt nie miał pytań do pana Frowleya, a

przynajmniej nikt nie wypowiedział żadnych na głos; pan Frowley ruszył więc z powrotem do swojego biura o matowych szybach, umiejscowionego w rogu hali.

Gdy tylko ogłosił, że został wezwany w sprawach firmowych i że w tym czasie fabryka zarządzana będzie przez tymczasowego nadzorcę, wśród współpracowników oczywiście podniósł się szmer - cóż to wszystko mogło właściwie oznaczać? Według pracowników o dłuższym stażu coś takiego nie wydarzyło się w tej fabryce nigdy wcześniej. Mówili tak nawet ci, którzy, jak przypuszczałem, osiągnęli już taki wiek, że mogliby zostawić pracę i przejść na dobrze zasłużoną emeryturę, po tym jak spędzili całe dorosłe życie przy tym samym bloku montażowym na składaniu kawałków metalu. Szemranie dawno ucichło, gdy pod koniec dnia wychodziliśmy z fabryki, idąc mglistą drogą z powrotem ku miastu, do naszych domów.

Z nieznanego mi powodu nie mogłem zasnąć tej nocy. Zwykle po całym dniu układania na stojąco jednego kawałka metalu za drugim, niezmiennie w tej samej konfiguracji, zasypianie przychodziło mi z łatwością. Teraz jednak przewracałem się w łóżku, a czynności te ciążyły na moim umyśle pełnią swojej powtarzalności, bezkresności i całkowitego oderwania od jakiegokolwiek wyobraźnego celu. Pierwszy raz w życiu zaczęło mnie zastanawiać, w jaki sposób powstają składane przez nas części. Moje myśli na próżno próbowały sięgnąć aż do ich początków w najsurowszej postaci - do substancji wydobywanej przypuszczalnie z ziemi, poddawanej pewnemu procesowi obróbki, a następnie kształtowanej w jakiejś fabryce albo serii fabryk, która w końcu dociera na miejsce, gdzie byłem zatrudniony. Z jeszcze większym poczuciem daremności

próbowałem wyobrazić sobie, gdzie owe metalowe kawałki trafiają po tym, jak zostaną już przez nas, zgodnie z wyszkoleniem, złożone. Mój umysł gnał wśród ciemności pokoju, próbując pojąć ich ostateczny cel i przeznaczenie. Nigdy wcześniej nie nurtowały mnie tego rodzaju pytania. Nie było sensu zajmować się takimi rzeczami, gdyż zawsze miałem większe oczekiwania od życia, które czekało na mnie po godzinach pracy w fabryce. W końcu wstałem z łóżka i wziąłem dodatkową porcję leków. Dało mi to chociaż kilka godzin snu przed czasem, kiedy ponownie musiałem stawić się w pracy. Zawsze, kiedy wchodziliśmy rano do fabryki, pierwszy mężczyzna przekraczający drzwi zgodnie z procedurą zapalał stożkowe lampy zwisające z sufitu na długich, metalowych prętach. Druga grupa świateł mieściła się w biurze nadzorcy i włączał je pan Frowley, który przychodził do pracy o podobnej porze, co my. Jednakże tego ranka w biurze nadzorcy było ciemno. Jako że był to pierwszy dzień, w którym nowy nadzorca miał - choćby tylko tymczasowo - przejąć obowiązki pana Frowleya, założyliśmy, że z jakiegoś powodu nie było go jeszcze w fabryce. Kiedy jednak światło dnia w końcu przebiło się przez mgłę za wąskimi, prostokątnymi oknami fabryki, zaczęliśmy podejrzewać, że nowy nadzorca - czy raczej, nasz tymczasowy nadzorca - cały ten czas przebywał w biurze. Mówię „podejrzewać”, gdyż przy zgaszonych lampach pomieszczenie rozświetlane było jedynie światłem dnia i nie sposób stwierdzić, czy po drugiej stronie matowych szyb biura nadzorcy rzeczywiście ktoś się znajdował. Jeżeli wysłany przez Organizację Quine w chwilowym zastępstwie pana Frowleya nowy nadzorca rzeczywiście przebywał w biurze w rogu fabryki, nie poruszał się w żaden sposób, który pozwoliłby nam odróżnić jego

postać od innych rozmytych kształtów, widocznych przez matową szybę tamtego pomieszczenia.

Choć nikt nie powiedział nic, co odwoływałoby się wprost do obecności lub nieobecności nowego nadzorcy w fabryce, widziałem, że niemal każdy z pracowników stojących przy blokach montażowych zerkał w kierunku biura pana Frowleya. Mój blok był jednym z najbliższych biura i mogłoby się wydawać, że wraz z innymi stojącymi tu ludźmi widzieliśmy lepiej niż pozostali, czy w środku rzeczywiście ktoś jest. Lecz pracownicy stojący przy blokach położonych jeszcze bliżej biura nadzorcy, podobnie jak my wymieniali między sobą jedynie ukradkowe spojrzenia, jakby pytali jeden drugiego: „Co myślisz?”. Nikt nie był niczego pewien - przynajmniej czegoś, co dałoby się wyrazić w jakikolwiek sensowny sposób.

Mimo to, wszyscy zachowywaliśmy się tak, jak gdyby w narożnym biurze rzeczywiście ktoś przebywał, a nasze działania były poddawane starannej analizie i rygorystycznemu nadzorowi. Z upływem kolejnych godzin stawało się coraz bardziej oczywiste, że w biurze nadzorcy jednak ktoś przebywa, choć natura tego lokatora pozostawała niejasna. Podczas pierwszej przerwy w dniu roboczym niektórzy mówili, że nie dało się stwierdzić, czy postać za matowymi szybami w ogóle miała określony kształt, albo czy posiadała jakąkolwiek stałą, trwałą formę. Kilku moich współpracowników mówiło o czymś na kształt ciemnej fali sunącej za nierówną szybą otaczającą biuro nadzorcy lub wewnątrz niej. Twierdzili, że ilekroć skupiali wzrok na tym ruchu, zamierał on nagle albo po prostu rozpraszał się jak mgła. Kiedy nadeszła przerwa na posiłek, wymienialiśmy się kolejnymi obserwacjami. Wielu mówiło, że widziało wolno

przesuwający się zarys, ciemną, kulistą formę wyglądającą jak burzowe chmury kłębiące się na niebie. Dla innych była ona niematerialna jak cień, bo zapewne to był cień, jak przekonywali, ale zaraz dodając, że cień inny niż wszystkie, jakie dotąd widzieli; czasem poruszał się w sposób, zdawałoby się, celowy, kreśląc w powietrzu za matową szybą w kółko tę samą trasę, jakby było zwierzęciem kręcącym się po klatce. Inni zarzekali się, że to co widzieli miało formę cielesną, lecz całkiem nieuchwytną, dziwną. Mówili jedynie o „obszarze głowy” albo „odnodze”, dodając jednak od razu, że partii tych nie można było jednoznacznie uchwycić.

- Nie wydaje mi się, żeby to coś siedziało za biurkiem - twierdził jeden z mężczyzn. - Wygląda raczej, jakby zwisało z góry, nawet trochę pod skosem. - Widziałem to i ja, stojąc przy swoim bloku montażowym, widziały również osoby pracujące po mojej lewej i prawej stronie. Jedynie pracownik o nazwisku Blecher, przebywający dokładnie po drugiej stronie tego samego bloku, młodszy od większości osób zatrudnionych w fabryce, choć pewnie starszy ode mnie o kilka lat, ani słowem nie opisał tego, co mógł widzieć w biurze nadzorcy. Co więcej, przez cały dzień pracował ze wzrokiem spuszczone i utkwionym w kawałkach metalu - nawet gdy odchodził od bloku montażowego, by skorzystać z przerwy lub udać się do toalety. Ani razu nie przyłapałem go na spoglądaniu w stronę rogu fabryki, od którego reszta z nas ledwie mogła oderwać wzrok. Dopiero pod koniec dnia roboczego, kiedy atmosfera w fabryce ciążyła od wypowiedzianych słów i niewypowiedziane poczucie nadzoru (jakby założono mi wewnętrzne kajdany, nie pozwalając odejść ciału i myślom zbyt daleko od stanowiska przy bloku montażowym), Blecher w końcu się złamał.

- Dość - powiedział jakby do siebie. Później powtórzył to słowo głośniejsz z gwałtownością sugerującą wszystko to, co tłamsił w sobie przez cały dzień - Dość! - krzyknął, odchodząc od bloku montażowego i obracając się, by spojrzeć prosto w drzwi biura nadzorcy, które, tak jak okna, były tylko matową szybą zamkniętą w ramie.

Blecher ruszył szybko w kierunku drzwi biura. Nie zatrzymując się ani na chwilę, nawet nie pukając, aby zapowiedzieć wejście, wpadł do sześciennego pokoju i trzasnął za sobą drzwiami. Oczy całej fabryki spoczęły na położonym w rogu biurze. Choć nie byliśmy pewni co do fizycznej natury tymczasowego nadzorcy, to jednak widzieliśmy wyraźnie za matowymi szybami zarys Blechera i śledziliśmy jego ruchy. Od tego momentu wydarzenia przyspieszyły; staliśmy ogarnięci paralizem, jakiego czasem można doświadczyć podczas snu.

Z początku, po wejściu do pomieszczenia, Blecher stał sztywno przed biurkiem, lecz trwał tak tylko przez moment. Chwilę później gnał dokoła pokoju, jakby przed czymś uciekał, aż w końcu uderzył w szafki i upadł na ziemię. Kiedy wstał, zaczął się opędzać jakby przed rojem owadów - wymachując na ślepo ramionami, odpierał nawałnicę mętnej, ruchomej masy, unoszącej się nad nim niczym drżące fluidy. Jego ciało huknęło z impetem w matową szybę drzwi. Przez moment pomyślałem, że przez nią przeleci, odbił się jednak, by chwilę później wytoczyć się z biura. Przystanął na sekundę i spojrzał na nas, a my patrzyliśmy na niego - w jego oczach był obłęd i wyraz niezrozumienia, a jego ręce drżały.

Blecher zostawił za sobą na wpół otwarte drzwi, lecz nikt nie próbował zajrzeć do środka. Wyglądał, jakby nie był w stanie ruszyć się z miejsca, zaledwie parę stóp przed

uchylonymi drzwiami. Wreszcie zaczęły się powoli za nim zamykać - mimo że nie było widać siły sprawczej. Kiedy drzwi znalazły się z powrotem we framudze, usłyszeliśmy ciche kliknięcie. Odgłos przekręcanego po drugiej stronie zamka wybudził Blechera ze stuporu - zerwał się i wybiegł z fabryki. Nie minęło kilka sekund i rozległ się przenikliwy, ostry dzwonek sygnalizujący koniec dnia roboczego, choć dokładna pora opuszczenia bloków montażowych jeszcze nie nadeszła.

Niczym wyrwani ze snu, ruszyliśmy ku wyjściu z fabryki. Idąc grupą, poruszając się jednostajnie i bezgłośnie, opuściliśmy budynek. Na zewnątrz nie było śladu po Blecherze. Nie sądzę jednak, aby ktokolwiek z nas spodziewał się go tam zobaczyć.

Tak czy inaczej, szarawa mgła w drodze do miasta była tego dnia wyjątkowo gęsta i idąc do domu ledwie się nawzajem widzieliśmy. Nikt z nas nie powiedział słowa na temat tego, co się wydarzyło, jakby wiązał nas pakt milczenia. Jakakolwiek wzmianka na temat incydentu z Blecherem sprawiłaby, że powrót do fabryki stałby się niemożliwy, przynajmniej w moim mniemaniu, a nie było innego miejsca, gdzie mógłbym zarobić na utrzymanie.

Tego wieczoru poszedłem spać wcześniej, biorąc uprzednio solidną dawkę leków, aby mieć pewność, że natychmiast zapadnę w sen, a nie jak ubiegłej nocy będę leżał godzinami, zaprzątany gonitwą myśli o pochodzeniu (skądś z ziemi) i dalszym przeznaczeniu (do fabryki lub serii fabryk) metalowych kawałków, które składałem całymi dniami. Obudziłem się wcześniej niż zwykle, lecz zamiast pozostać w pokoju, gdzie najprawdopodobniej zacząłbym myśleć o wczorajszym dniu, poszedłem do małego baru w mieście, gdzie o tej porze serwowali śniadania.

Kiedy wszedłem do środka, okazało się, iż jest tam wyjątkowo tłoczno - stoliki, ławki i stołki barowe zajmowali głównie pracownicy fabryki. Choć raz ucieszyłem się na widok tych ludzi, mając ich dotąd za „dożywotników” w pracy, w której sam nigdy nie zamierzałem zbyt długo pozostać - w końcu nadal miałem niejasne, większe oczekiwania związane z przyszłością. Idąc w kierunku wolnego stolika przy ladzie, powitałem kilku z nich, ale nie otrzymałem lepszej odpowiedzi niż kiwnięcie głową, sami też nie rozmawiali ze sobą ze szczególnym zaangażowaniem.

Usiadłem przy ladzie i zamówiłem śniadanie, po czym zorientowałem się, że mężczyzna siedzący z mojej prawej strony to pracownik fabryki, który dzień w dzień stoi przy tym samym bloku montażowym, co ja. Byłem przekonany, że nazywał się Nohls, nie posłużyłem się jednak tym nazwiskiem, powiedziałem po prostu, najciszej jak się da: „Dzień dobry”. Przez chwilę Nohls nie odpowiadał, wpatrując się w stojący przed nim w talerz, z którego powoli i mechanicznie wybierał widelcem małe kawałki jedzenia, a następnie wkładał je sobie do ust. Nie odwracając do mnie twarzy, powiedział jeszcze ciszej niż ja:

- Słyszałeś o Blecherze?

- Nie - wyszeptałem. - Co z nim?

- Nie żyje - powiedział Nohls.

- Nie żyje? - odpowiedziałem na tyle głośno, że wszyscy w barze obrócili się i spojrzeli w moją stronę. Dużo cichszym głosem spytałem Nohlsa co się stało.

- Ten pensjonat, w którym mieszka... Kobieta prowadząca to miejsce powiedziała, że dziwnie się zachowywał po tym, jak... Po tym, jak wrócił wczoraj z pracy.

Później - poinformował mnie Nohls - Blecher nie zjawił

się na obiad. Kobieta zarządzająca pensjonatem postanowiła do niego zajrzeć i sprawdzić co się stało, lecz Blecher nie odpowiadał na jej pukanie. Zaniepokojona, poprosiła jednego z mieszkańców, by wszedł do jego pokoju. Znaleźli go na łóżku, leżał twarzą w dół, a obok niego, na nocnym stoliku, stało kilka pustych opakowań po różnych zapisanych mu lekach. Nie spożył całej zawartości opakowań, ale i tak przyczyną zgonu było przedawkowanie. Być może chciał po prostu wyrzucić z głowy wydarzenia tamtego dnia i porządnie się wyspać w nocy.

- Sam tak zrobiłem - powiedziałem Nohlsowi.

- Może tak było - odparł Nohls. - Wątpię, aby ktokolwiek uzyskał w tej sprawie pewność.

Po zjedzeniu śniadania raz po raz dolewałem sobie kawy, podobnie zresztą jak pozostali, z Nohlsem włącznie. Zostało nam trochę czasu do stawienia się w fabryce. W końcu zaczęli przychodzić inni bywalcy baru, ruszyliśmy więc jedną grupą do pracy.

Do świtu zostało parę godzin - droga do fabryki była ciemna i osnuta mgłą. Gdy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że pod drzwiami stało już kilku innych pracowników. Wyglądało na to, że nikt nie chciał wejść do budynku pierwszy i włączyć światła. Dopiero gdy zebraliśmy się wszyscy, odważyliśmy się wejść do środka. Odkryliśmy wówczas, że tego ranka ktoś nas uprzedził i zapalił lampy przed nami. Jego twarz była dla nas nowa. Stał na starym miejscu Blechera, dokładnie naprzeciw mnie, przy moim bloku montażowym. Zdążył wykonać sporo pracy; jego ręce poruszały się wściekle, składając zacięcie małe kawałki metalu.

Idąc halą w kierunku naszych stanowisk i odpowiednich bloków montażowych, niemal każdy z nas zerkał podejrzliwie

w kierunku tej nowej, stojącej na miejscu Blechera postaci, pracującej, jak już wspominałem, we wściekłym tempie. Tak naprawdę wściekle pracowały wyłącznie jego ręce, które wyglądały jak dwa duże pająki uplatające wspólną sieć. Poza tym mężczyzna stał spokojnie i wyglądał jak typowy pracownik fabryki. Ubrany w przepisową, dobrze dopasowaną szarą odzież roboczą, nie był ani zauważalnie starszy, ani wyraźnie młodszy od pozostałych pracowników. Jediną wyróżniającą go cechą stanowiła wściekłość, z jaką pracował, poświęcając temu zajęciu całą uwagę. Nawet kiedy fabryka wypełniła się innymi ludźmi ubranymi w szarą odzież roboczą, z których niemal każdy spoglądał podejrzliwie na nowego pracownika, ten ani razu nie podniósł oczu znad swego bloku montażowego, gdzie układał kawałki metalu z taką zaciętością i w tak całkowitym pochłonięciu, że nie zwrócił na nikogo wokół najmniejszej uwagi.

O ile obecność nowego pracownika wydawała się czymś niepokojącym przez to, że zjawił się następnego ranka po tym, jak Blecher przedawkował leki i zajął jego miejsce dokładnie naprzeciwko mnie, przy moim bloku montażowym, to przynajmniej odciągał uwagę od zaciemnionego biura zajmowanego przez naszego tymczasowego nadzorcę. Tak jak dzień wcześniej nadzorująca postać absorbowwała nas całkowicie, tak dziś całą naszą uwagę przyciągał ów nowy pracownik. Choć z jego powodu nasze umysły wręcz kipiały od spekulacji i podejrzeń, to przynajmniej jego obecność nie wywoływała atmosfery upiornych myśli i wrażeń, przez które Blecher popadł w totalny obłęd i postąpił jak wczoraj.

Oczywiście, ktoś w końcu musiał spytać nowego pracownika, skąd się wziął w fabryce. Jako że pracownicy stojący po obu moich stronach robili co mogli, aby nie zwracać

uwagi na zaistniałą sytuację, czułem, że zadanie uzyskania odpowiedzi spadło na mnie.

- Skąd jesteś? - spytałem mężczyznę stojącego dokładnie naprzeciw mnie, po drugiej stronie bloku montażowego, na miejscu, gdzie kiedyś stał Blecher.

- Firma mnie przysłała - odpowiedział mężczyzna zaskakująco otwartym i swobodnym tonem, lecz ani na sekundę nie oderwał wzroku od pracy.

Wówczas przedstawiłem siebie oraz dwóch pozostałych mężczyzn przy bloku montażowym, którzy w odpowiedzi skinęli głowami i wymamrotali w kierunku obcego słowa pozdrowienia. Zorientowałem się wtedy, że nowy pracownik nie jest zbyt skory odsłonić się przede mną.

- Bez urazy - powiedział - ale jest tu cała masa pracy do wykonania.

W czasie naszej krótkiej rozmowy nowy pracownik ani na chwilę nie przestał pracować nad kawałkami metalu. Zauważyłem, że choć jego głowa była cały czas pochylona - tak samo jak głowa Blechera poprzedniego dnia - to oczy od czasu do czasu przeskakiwały bardzo szybko w kierunku biura nadzorcy. Widząc to, postanowiłem mu więcej nie przeszkadzać, uznawszy, że może będzie bardziej rozmowny podczas zbliżającej się przerwy. Tymczasem pozwoliłem mu pracować we wściekłym tempie, znacznie przekraczającym wydajność któregośkolwiek z pracowników fabryki.

Po chwili dostrzegłem, że mężczyźni stojący po mojej lewej i prawej stronie próbują naśladować zręczny styl składania kawałków metalu, a nawet konkurować z niesamowicie wydajnym tempem nowego pracownika. W końcu zacząłem robić to samo. Początkowo nasze wysiłki były godne pożałowania - bezskutecznie próbowaliśmy zmusić

ręce do naśladowania jego ruchów tak szybkich, że nie nadążały nasze oczy. Nasze umysły nie były w stanie rozpracować techniki jego pracy, tak odmiennej od stosowanej przez nas do tej pory. Mimo to w niepojęty dla nas sposób, stopniowo osiągnęliśmy podobną prędkość i styl składania kawałków metalu. Nasze wysiłki i nowa metoda pracy nie pozostały niezauważone przez innych pracowników. Stopniowo nowa technika była przekazywana coraz to dalej, w całej fabryce. Do czasu pierwszej przerwy już wszyscy stosowali metodę nowego pracownika.

Jednakże nie przerwaliśmy pracy na długo. Gdy stało się jasne, że nowy pracownik nie zatrzyma się ani na sekundę, by dołączyć do nas na planową przerwę, powróciliśmy do bloków montażowych, by kontynuować pracę - z taką zaciętością, na jaką tylko było nas stać. Nasza wydajność zaskoczyła nas samych - to, co kiedyś wydawało się czynnością prostą i nużącą, nabrało teraz wirtuozerii zbliżonej do prezentowanej przez mężczyznę o nieznanym nam imieniu. Czekałem z niecierpliwością, żeby porozmawiać z nim o wniesionej przez niego zmianie, licząc, że będzie ku temu sposobność podczas zbliżającej się przerwy na posiłek. Nikt jednak nie spodziewał się czekającego nas spektaklu, kiedy ta chwila w końcu nadeszła.

Okazało się bowiem, że zamiast opuścić stanowisko przy bloku montażowym na czas sankcjonowanej dotąd przez firmę przerwy, nowy pracownik pracował dalej. Spożywał posiłek jedną ręką, a kawałki metalu składał drugą, choć w nieco wolniejszym tempie niż dotąd. Spektakl ten ukazał nieznaną nam dotąd poziom wirtuozerii w służbie wydajności. Początkowo widoczna była niechęć przed tym nowym stopniem poświęcenia dla pracy, ku któremu bez ostentacji

prowadził nas nowy pracownik. Bardzo szybko stało się jednak jasne, co nim powodowało. Rzecz była prosta - pracownicy niepracujący w czasie przerw na posiłek zaczęli odczuwać lęk, a nawet udrękę spowodowaną niepokojącą atmosferą w fabryce, której źródło przypisywano tymczasowemu nadzorcy, zajmującemu biuro za matowymi szybami. Z drugiej strony, pracownicy zajęci pracą przy blokach montażowych zdawali się zapominać o obrazach i okolicznościach, które jeszcze wczoraj nękały nas wszystkich, mimo iż nie doszliśmy do porozumienia w kwestii ich dokładnej natury. Ostatecznie więc wszyscy szybko nauczyliśmy się jedną ręką spożywać posiłki, a drugą pracować dalej. Nie trzeba dodawać, że na czas ostatniej przerwy nikt nie ruszył się sprzed bloku montażowego ani o centymetr.

Dopiero gdy rozległ się dźwięk dzwonka sygnalizującego koniec dnia pracy, co zresztą nastąpiło kilka godzin później niż zwykle, miałem okazję porozmawiać z nowym pracownikiem. Po wyjściu z fabryki, kiedy wszyscy w niemym wyczerpaniu zmiierzali z powrotem w kierunku miasta, postanowiłem go dogonić - szedł szybkim krokiem w gęstej, szarawej mgłę. Nie przebierałem w słowach.

- Co się dzieje? - domagałem się wyjaśnień.

Mężczyzna niespodziewanie zatrzymał się i odwrócił w moją stronę, choć przez gęstą mgłę ledwie się nawzajem widzieliśmy. Zauważyłem wtedy, że nieznacznie zwraca głowę w kierunku fabryki, której budynek był już dość daleko za nami.

- Słuchaj, kolego - powiedział zupełnie szczerym tonem.

- Nie chcę kłopotów. Mam nadzieję, że ty również.

- Czy nie pracowałem równo z tobą? - powiedziałem. -

Czy nie pracowaliśmy tak wszyscy?

- Tak. To był dobry początek.

- Rozumiem więc, że pracujesz razem z nowym nadzorcą.

- Nie - powiedział stanowczo. - Nic mi o tym nie wiadomo. Nie mogę ci nic na ten temat powiedzieć.

- Ale pracowałeś już wcześniej w podobnych warunkach, prawda?

- Pracuję dla firmy, tak jak ty. Firma mnie tu przysłała.

- Ale coś musiało się w firmie zmienić - powiedziałem. - Dzieje się coś nowego.

- Nie do końca - odparł. - Organizacja Quine ciągle reguluje i udoskonala sposoby prowadzenia interesów. Po prostu minęło trochę czasu, zanim dotarło to tutaj, do was. Jesteście bardzo daleko od głównej siedziby firmy, a nawet od najbliższej siedziby regionalnej.

- To nie koniec zmian, prawda?

- Możliwe. Ale naprawdę nie ma sensu o tych sprawach dyskutować, a przynajmniej jeśli chcesz dalej pracować dla firmy. Jeżeli chcesz trzymać się z dala od kłopotów.

- Jakich kłopotów?

- Muszę iść. Proszę, nie próbuj rozmawiać o tym ze mną ponownie.

- Chcesz powiedzieć, że złożysz na mnie raport?

- Nie - powiedział z oczami zwróconymi w kierunku fabryki. - W tych czasach to już nie jest konieczne.

Wówczas odwrócił się i ruszył szybkim krokiem, po czym zniknął we mgle.

Następnego ranka wróciłem z pozostałymi pracownikami do fabryki. Pracowaliśmy jeszcze szybciej i jeszcze wydajniej. Było tak po części dlatego że tego dnia

dzwonek sygnalizujący koniec pracy rozległ się jeszcze później niż wczoraj. Stopniowe wydłużanie się czasu spędzanego w fabryce, wraz ze wzrastającym tempem pracy, stało się normą. Nie trzeba było długo czekać, aż poza terenem fabryki mogliśmy spędzać zaledwie kilka godzin - jedyne kilka godzin dla nas na własność, choć czas ten i tak poświęcaliśmy na odpoczynek przed powrotem do krańcowo wyczerpujących prac, jakich żądała od nas firma.

Niemniej zawsze miałem większe oczekiwania od życia, oczekiwania, które z każdym dniem stawały się coraz bardziej mętne. „Muszę złożyć rezygnację ze stanowiska w fabryce”. Słowa te tłukły się po mojej głowie, kiedy usiłowałem zyskać kilka godzin snu przed powrotem do pracy. Nie wiedziałem zupełnie, co taki krok by dla mnie oznaczał, jako że nie miałem innych perspektyw własnego utrzymania, nie miałem też odłożonych pieniędzy, by opłacić pokój w zamieszkiwanej kamienicy. Do tego wszyscy lekarze i farmaceuci wydający leki, dzięki którym egzystencja moja, jak i innych ludzi po tej stronie granicy, stawała się w ogóle do zniesienia, zatrudniani byli przez Organizację Quine. Mimo tych przeciwności wciąż czułem, że nie mam wyjścia i muszę złożyć rezygnację ze stanowiska w fabryce.

Na końcu korytarza, za drzwiami do mojego mieszkania, znajdowała się malutka nisza, w której zamontowano telefon do użytku lokatorów budynku. Musiałem złożyć rezygnację korzystając właśnie z tego telefonu, gdyż wykonanie tego osobiście było dla mnie zupełnie nie do wyobrażenia. Nie byłbym w stanie wejść do biura tymczasowego nadzorcy, tak jak to zrobił Blecher. Nie mógłbym wejść do tamtego pomieszczenia otoczonego matowymi szybami, przez które ja i moi współpracownicy obserwowaliśmy coś, co ukazywało się

w rozmaitych postaciach i formach, od nieokreślonego kształtu, który zdawał się kotłować i kłębić jak czarna chmura, po coś bardziej określonego, co zdawało się mieć „obszar głowy” oraz „odnogi”. Biorąc to wszystko pod uwagę, zdecydowałem się zadzwonić do najbliższego centrum regionalnego i złożyć rezygnację telefonicznie, rozmawiając z odpowiednią osobą zajmującą się takimi sprawami.

Nisza z telefonem na końcu korytarza za drzwiami mojego mieszkania była tak wąska, że musiałem wsuwać się do niej bokiem. Ledwie starczyło tam miejsca na wykonanie ruchu, aby wrzucić monetę do wiszącego na ścianie telefonu, w panującej ciemności z trudem mogłem też dojrzeć wykręcane na tarczy cyfry. Pamiętam, jak bardzo się przejmowałem, aby nie wykręcić złego numeru i nie utracić części pieniędzy, jakie mi zostały. Upewniwszy się na wszelkie możliwe sposoby, że uda mi się prawidłowo wykręcić numer — co zdawało się trwać godzinami — zadzwoniłem w końcu do najbliższego centrum regionalnego firmy. Sygnał pobrzmiwał tak długo, że obawiałem się, iż nikt nie odbierze. W końcu jednak ucichł i po krótkiej przerwie rozległ się ledwie słyszalny głos. Brzmiał słabo i jakby z dużej odległości.

- Organizacja Quine, Północno-Zachodnie Centrum Regionalne.

- Tak - zacząłem. - Chciałbym złożyć rezygnację ze swojego stanowiska w firmie - powiedziałem.

- Przepraszam, czy powiedział pan, że chce odejść z firmy? Brzmi pan jakby z bardzo daleka - powiedział głos.

- Tak, chcę złożyć rezygnację - krzyknąłem do słuchawki. - Chcę złożyć rezygnację. Czy mnie słyszać?

- Tak, słyszę pana. Jednak firma obecnie nie przyjmuje rezygnacji. Przełączę pana do naszego tymczasowego

nadzorcy.

- Proszę poczekać - powiedziałem, ale rozmowę przełączono i ponownie usłyszałem przerywany sygnał powtarzający się tak długo, że wystraszyłem się, iż nikt nie odbierze.

Wtedy sygnał ucichł, ale nie odezwał się też żaden głos. „Halo” - powiedziałem. W odpowiedzi usłyszałem tylko nieokreślony, odbijający się echem hałas - niski ryk, naprzemiennie cichy i głośny, dudniący, jakby niósł się po przepastnych przestrzeniach głęboko w jaskiniach ziemi albo po zachmurzonym niebie. Hałas ten - niskie, bestialskie ryczenie - zdjął mnie grozą, której nie potrafię wyrazić. Cofnąłem słuchawkę od ucha, jednak ryk nadal huczał w mojej głowie. Poczułem wtedy, że słuchawka zaczyna drżeć w mojej dłoni, pulsować jak żywa istota. A kiedy trzasnąłem nią o widełki, to drzenie i pulsowanie zaczęło wspinać się po mojej ręce, wypełniać całe moje ciało, by w końcu dosięgnąć mózgu, gdzie zsynchronizowało się z niskim rykiem, który narastał i narastał, rozbijając moje myśli do stanu tętniącego obłędu, paraliżując moje ruchy tak, że nie byłem w stanie nawet wołać o pomoc.

Nigdy nie byłem pewien, czy rzeczywiście kiedykolwiek zadzwoniłem, aby złożyć rezygnację ze stanowiska w firmie. Nawet jeśli rzeczywiście się to zdarzyło, nigdy nie będę miał pewności, czy to, czego doświadczyłem - co usłyszałem i poczułem w tamtej niszy na końcu korytarza przy moim mieszkaniu - w jakikolwiek sposób przypominało sny nawiedzające mnie każdej nocy, odkąd przestałem zjawiać się w fabryce. Żadna dawka leków nie była w stanie powstrzymać tych snów, żadna dawka leków nie była też w stanie wymazać ich z mojej pamięci. Po krótkim czasie zażywałem ich już takie

ilości, że miałem za mało, żeby przedawkować jak Blecher. Jako że nie byłem już zatrudniony, nie było mnie stać na realizowanie recept i pozyskiwanie leków, dzięki którym mogłem ścierpieć swą egzystencję. Oczywiście gdybym był ku temu skłonny, mógłbym skończyć ze sobą w inny sposób. Nadal jednak miałem większe oczekiwania od życia - dlatego też wróciłem sprawdzić, czy mogę odzyskać pracę w fabryce. W końcu osoba z centrum regionalnego, z którą rozmawiałem, mówiła, że Organizacja Quine obecnie nie przyjmuje rezygnacji.

Oczywiście nie mogłem być pewien, co naprawdę powiedziano mi podczas tej rozmowy, ani czy w ogóle zadzwoniłem, aby złożyć rezygnację ze stanowiska w firmie. Do chwili, kiedy nie stanąłem ponownie w fabryce, nie wiedziałem, czy była tam dla mnie jeszcze praca, w razie gdybym zechciał wrócić. Okazało się jednak, że miejsce przy moim bloku montażowym, gdzie wystawałem długimi godzinami, nadal było wolne. Ubrany w szary strój roboczy, podszedłem do bloku i we wściekłym tempie zacząłem składać małe kawałki metalu. Nie przerywając zadania, zerknąłem znad bloku montażowego na osobę, o której kiedyś myślałem jako o „nowym pracowniku”.

- Witam z powrotem - powiedział zwyczajnym głosem.

- Dziękuję - odpowiedziałem.

- Powiedziałem panu Frowleyowi, że wrócisz lada dzień.

Na wieść, że tymczasowy nadzorca odszedł i fabryką znów zarządzał pan Frowley, ogarnęła mnie przez chwilę wielka radość. Kiedy jednak spojrzałem w kierunku biura w rogu, zauważyłem, że światła za matowymi szybami były zgaszone, chociaż dało się dojrzeć masywną sylwetkę pana Frowleya siedzącą za biurkiem. Jak się później okazało, był to

już inny człowiek. Nikt ani nic w fabryce nie mogło być takie, jak dawniej. Pracowaliśmy teraz właściwie bez przerwy. Niektórzy zaczęli zostawać w fabryce na noc, przesypiając może godzinę w którymś z kątów, by zaraz potem dalej pracować przy wyznaczonym bloku montażowym.

Po tym jak wróciłem do pracy, przestały mnie nękać koszmary, z powodu których znów znalazłem się w fabryce. Nadal jednak dało się odczuć atmosferę tych koszmarów, niewyraźnych i tak podobnych to atmosfery, którą nasz tymczasowy nadzorca sprowadził ze sobą do fabryki. Przypuszczam, iż wzbudzanie w nas poczucia, że jesteśmy nieustannie nadzorowani przez tymczasowego nadzorcę, stanowiło wyrachowane posunięcie ze strony

Organizacji Quine, która to ciągle reguluje i udoskonala sposoby prowadzenia interesów.

Firma utrzymała politykę nieprzyjmowania rezygnacji. W pewnym momencie rozszerzono ją nawet o zakaz przechodzenia na emeryturę. Wszystkim przepisano nowe leki, aczkolwiek nie potrafię powiedzieć dokładnie, ile lat temu to się stało. Nikt w fabryce nie pamięta, jak długo tu pracujemy ani w jakim jesteśmy wieku. Nasze tempo i produktywność jednak rosną. Zdaje się, że ani firma, ani nasz tymczasowy nadzorca nigdy z nami nie skończą. Jednak przecież jesteśmy tylko ludźmi lub przynajmniej istotami materialnymi i pewnego dnia musimy umrzeć. To jedyna emerytura, jakiej możemy się spodziewać, chociaż nikt z nas nie wyczekuje jej nadejścia. Nie przestajemy sobie wyobrażać, co nas po niej czeka - jakie jeszcze plany ma wobec nas firma i jaką rolę gra w tym nasz tymczasowy nadzorca. Praca we wściekłym tempie i składanie tych małych kawałków metalu pozwalają nam trzymać myśli z dala od tych spraw.

Przeł. Aleksander Więckowski

W OBCYM MIEŚCIE, NA OBCEJ ZIEMI

Cień jego wzniesie się do wyższego domu

Leżałem w łóżku, przytomny, w środku nocy, nasłuchując monotonnego, nienawistnego szumu wiatru za oknem i dźwięku nagich gałęzi, drapiących o gonty dachu wprost nade mną. Niebawem moje myśli skupiły się j na mieście i wyobrażaniu sobie jego różnych stron oraz widoków, na odległym mieście blisko północnej granicy. Przypomniałem sobie, że na szczycie pagórka niedaleko krańca tego miasta wznosił się cmentarz. Nie mówiłem o nim nikomu, choć swego czasu miejsce to było źródłem ogromnej udręki dla tych, którzy zamieszkali pośród opustoszałego krajobrazu ziem pod północną granicą.

Na tym właśnie cmentarzu - miejscu bardziej wypełnionym niż miasto, nad którym się unosił - pochowano ciało Ascrobiosa. Miejscowi znali go jako samotnika o głęboko refleksyjnym usposobieniu, wiadano też, że dotknięty był chorobą, która poddała okropnej deformacji większą część jego ciała. Mimo to, śmierć Ascrobiosa pozostała niemal całkowicie niezauważona, Cały rozgłos, jakiego nabrał ten samotnik, wszystkie komentarze, jakie usłyszałem pod jego imieniem, powstały jakiś czas po tym, jak jego wykręczone przez chorobę ciało zostało pochowane pośród innych, na cmentarzu wieńczącym pagórek.

Z początku nie wspomniano o Ascrobiusie

bezpośrednio. Zaczęło się od plotek po zmroku - ponurej, wszechobecnej szeptaniny, uporczywie obracającej się wokół tematu podmiejskiego cmentarza, często dotyczącej przy tym bardziej ogólnych, niezdrowych zagadnień, do których zaliczyć można abstrakcyjny dyskurs o, jak rozumiałem, naturze grobu. Nie ważne, czy szło się po mieście, czy skrywało w jego obrzeżnych dzielnicach — rozmowy po zmroku słychać było coraz częściej, aż stały się wręcz natarczywe. Dobiegały z zaciemnionych progów wzdłuż wąskich uliczek, z na wpół otwartych okien najwyższych pokoi starych domów, niosły się pogłosem z odległych rogów labiryntowych korytarzy. Wszędzie dało się słyszeć głosy, które do historii opętał jeden temat: „zaginiony grób”. Jak każdy wiedział, określenie to nie miało wskazywać, że grób został po prostu zdewastowany, że wykopano i usunięto jego zawartość, albo że zabrano gdzieś sam kamień nagrobny, pozostawiając rezydenta jednej z cmentarnych parceli w stanie anonimowości. Chociaż nie rozumiałem w pełni wszystkich niuansów miasteczka spod północnej granicy, dobrze wiedziałem, co kryło się pod słowami „zaginiony” albo „nieobecny grób”. Cmentarz na szczycie góry był tak gęsto pokryty nagrobkami, a liczne pochówki tak bardzo nasyciły jego ziemię, że sytuacja była jednoznaczna: gdzie kiedyś stał kamień nagrobny jakich wiele, tam teraz, dokładnie na tej samej, cennej przestrzeni, widniała tylko łąka dziewiczej ziemi.

Po pewnym czasie nasiliły się spekulacje na temat tożsamości lokatora zaginionego grobu. Ponieważ nie prowadzono żadnego rejestru pogrzebów przeprowadzonych na cmentarzu na szczycie pagórka - to znaczy kiedy, gdzie ani kogo tam chowano - dyskusje na temat lokatora zaginionego grobu, albo raczej *byłego* lokatora, prędkiej czy później staczały

się do poziomu niekontrolowanych potoków dzikiego absurdu, albo też zamierały w mętym, posępnym zmieszaniu. Jedna z takich scen rozegrała się w piwnicy opuszczonego budynku, gdzie pewnego wieczoru zebraliśmy się w kilka osób. To właśnie wtedy pewien dżentelmen przedstawiający się jako dr Klatt po raz pierwszy zasugerował, że imię wyryte na zaginionym nagrobku brzmiało „Ascrobius”. Był niemalże napastliwy w pewności, jaką okazywał względem tego założenia - tak jakby cmentarz na szczycie pagórka nie był pełen - albo wcale nie zawierał - nagrobków z błędnymi lub nieczytelnymi nazwiskami.

Przez pewien czas Klatt reklamował się w mieście jako ktoś, kto posiadał znakomite wykształcenie w pewnej niesprecyzowanej dziedzinie nauki. Tego rodzaju postacie czy oszuści, o ile było to oszustwo, nie stanowiły rzadkości w historii miasteczka spod północnej granicy. Kiedy jednak Klatt określił ostatnią anomalię nie jako *zaginiony*, ani też nawet *nieobecny* grób, lecz jako grób *odistniały*, ludzie zaczęli słuchać. Nie trzeba było długo czekać, nim zaginiony, czy odtąd *odistniały* lokator grobu zaczął być najczęściej określany imieniem Ascrobius. Jednocześnie reputacja dra Klatta powiązała się ściśle ze zmarłym człowiekiem znanym z okropnie zdeformowanego ciała i głęboko refleksyjnego usposobienia.

W tym okresie miało się wrażenie, że gdziekolwiek by nie pójść, był tam i Klatt, dywagujący na temat swojej relacji z Ascrobiusem, którego zaczął teraz nazywać swoim „pacjentem”. W zagraconych zapleczach dawno zamkniętych sklepów, albo w innych, równie ustronnych lokacjach, jak na przykład na rogu pobocznej ulicy, Klatt opowiadał o swoich wizytach w wysokim, położonym w zaułku domu Ascrobiusa,

gdzie próbował leczyć chorobę dręczącą tego samotnika już od wielu lat. Klatt przechwalał się też wglądem, jaki posiadał w głęboko refleksyjną osobowość Ascrobiosa, z którym większość z nas nigdy nie rozmawiała, ani którego nawet nie spotkała. Chociaż można było odnieść wrażenie, że Klattowi podoba się uwaga, jaką zaczęli go darzyć ludzie wcześniej go lekceważący, biorąc go uprzednio - choć może i nadal to czynili - za kolejnego oszusta z miasteczka spod północnej granicy, to jednak sędzę, że nie był świadomy głębokiej nieufności, a może nawet lęku, jaki powodował swoim, jak to określiły pewne osoby, „wtrącaniem się” w sprawy Ascrobiosa. „Nie będziesz się wtrącać” było niewypowiedzianym, choć rzadko widzianym w działaniu przykazaniem tego miasta, a przynajmniej tak mi się zdawało. Zaś wielu jego długoletnich mieszkańców uznawało, że wydobywanie na światło dzienne skrytej uprzednio egzystencji Ascrobiosa - nawet, jeśli anegdota rozpowiadane przez doktora były zwodnicze lub całkowicie zmyślane - stanowiło wysoce ryzykowną formę wtrącania się.

Mimo to, ilekroć Klatt wspominał schorowanego samotnika o refleksyjnym usposobieniu, nikt nie przestawał słuchać - nikt nie próbował ani uciszać, ani nawet podważać żadnego z twierdzeń, jakie wygłaszał o Ascrobiosie.

- Był potworem - powiedział nam doktor podczas nocnego zebrania w zrujnowanej fabryce na obrzeżach miasta. Klatt wielokrotnie stygmatyzował Ascrobiosa jako „potwora” albo „dziwadło”, choć epitety te nie miały odnosić się wyłącznie do groteskowej fizyczności niesławnego samotnika. Według Klatta, Ascrobios winien być postrzegany jako indywidualum potworne i dziwaczne w sensie ściśle metafizycznym - cechy te miały być wynikiem jego głęboko

refleksyjnego usposobienia.

- Dysponował niesłychaną mocą - powiedział doktor. - Kto wie, może nawet byłby zdolny sam się wyleczyć ze swej fizycznej choroby? Jednak cała moc, jaką czerpał ze swej refleksji, nieustająca *medytacja*, jaką utrzymywał swym wysokim domu na zaułku, nakierowane były na zupełnie inny cel.

To powiedziawszy, Klatt zamilkł, rozświetlany migotaniem prowizorycznego oświetlenia zrujnowanej fabryki. Zupełnie jakby czekał, aż ktoś z nas zachęci go, by mówił dalej, czyniąc nas współwinnym tworzenia się tych niezwykłych plotek o jego zmarłym pacjencie, Ascrobiusie.

W końcu ktoś rzeczywiście spytał o medytacje i moc, jaką samotnik czerpał ze swej refleksji, a także o cel, na jaki mogły być nakierowane.

- To, czego Ascrobius poszukiwał - wytłumaczył doktor - nie miało być lekarstwem na jego fizyczną chorobę, ani żadnym innym remedium w zwyczajnym tego słowa znaczeniu. To, czego szukał, było absolutnym *anulowaniem* - nie tylko choroby, ale całej jego egzystencji. W rzadkich chwilach opowiadał mi nawet - kontynuował doktor - o dążeniu do *odistnienia* całego swojego życia. - Gdy Klatt wypowiedział te słowa, głęboka cisza spowiła zrujnowaną fabrykę. Bez wątplenia wszystkich, w tym i mnie, porwała refleksja na temat jednego obiektu - nieobecnego grobu, opisywanego przez Klatta jako grób odistniały, na cmentarzu na szczycie pagórka za obrzeżem miasta.

- Widzicie, co się stało - powiedział do nas Klatt. - Anulował swą chorą, koszmarną egzystencję, zostawiając na naszych głowach swój odistniały grób.

Nikt, kto tej nocy był obecny w zrujnowanej fabryce, ani

zresztą żaden inny mieszkaniec miasteczka spod północnej granicy, nie miał wątpliwości - przyjdzie nam zapłacić za to, co ujawnił dr Klatt. Tamtej nocy wszyscy staliśmy się współwinni wtrącania się w wydarzenie, które później określano eufemistycznie jako „eskapada Ascrobiusa”.

Trzeba przyznać, że to miasto od zawsze było pełne różnego rodzaju histeryków. Jednak zaraz po eskapadzie Ascrobiusa rozlała się po nim prawdziwa plaga plotek po zmroku o „nienaturalnych konsekwencjach”, które albo będą, albo już zaczęły na nas spadać. „Ktoś będzie musiał zadośćuczynić za tą odistniałą egzystencję” - takie było ogólne odczucie, wyrażane w rozmaitych, raczej niejasnych okolicznościach i sytuacjach. Pośród nocy dało się słyszeć niesione echem wrzaski, dobiegające w nieregularnych odstępach z każdej części miasta, szczególnie zaś z zaułków - znacznie głośniejsze, niż zwyczajne nocne hałasy. W ciągu kilku następnych, pochmurnych dni, ulice całkowicie opustoszały. Jakiegokolwiek rozmowy o szczegółach koszmaru, jaki w nocy ogarniał miasto, stały się rzadkie, albo w ogóle ustały - rzekłbym, że uległy odistnieniu, jak sam Ascrobius - przynajmniej na jakiś czas.

Pewnego późnego popołudnia z cienia starego magazynu wyłonił się nikt inny, jak dr Klatt, by zwrócić się do małej grupy zgromadzonych tu osób. Jego sylwetka była ledwie widoczna w nikłym świetle przenikającym przez zakurzone szyby, kiedy ogłosił, że być może znalazł rozwiązanie na nowe kłopoty dręczące miasteczko spod północnej granicy. Chociaż wszyscy obecni na zebraniu doskonale rozumieli zagrożenie, z jakim wiązało się dalsze wtrącanie się w sprawy Ascrobiusa, Klatt został wysłuchany, choć nie bez zastrzeżeń. Pośród zebranych obecna była

kobieta znana jako pani Glimm, prowadząca pensjonat - w rzeczywistości zaś dom publiczny - odwiedzany głównie przez zamiejscowych, a zwłaszcza tych podróżujących w interesach, zatrzymujących się po drodze do ich celu za północną granicą. Chociaż Klatt nie zwrócił się bezpośrednio do pani Glimm, to jednak wyraził się jasno, że będzie potrzebował asystenta ściśle określonego typu, aby móc zrealizować środki, jakie przewidział do wyzwolenia wszystkich od dręczącej nas ostatnio nieokreślonej traumy.

- Asystent ten - podkreślał doktor - nie powinien być zbyt wrażliwy lub inteligentny. Jednocześnie - kontynuował - winna być to osoba o wyraźnie urodziwej aparycji, czy nawet delikatnym pięknie.

Dalsze instrukcje Klatta określały, że wymagany asystent winien udać się na cmentarz na pagórku jeszcze tego wieczoru, gdyż doktor był przekonany, iż chmury duszące niebo owego dnia będą wisieć w górze jeszcze długo przez wieczór, skutecznie odcinając światło księżyca, jakie często oświetlało ciasno upakowane groby. Zdawało się, że to pragnienie osłony ciemności jawnie demaskowało doktora. Oczywiście, każdy z obecnych w starym magazynie wiedział, że „środki”, jakie proponował Klatt, to znowu wtrącanie się i to kogoś, kto niemal na pewno był najgorszego rodzaju oszustem. Wplątaliśmy się jednak tak głęboko w eskapadę Ascrobiosa, nie mając jednocześnie żadnych własnych rozwiązań, że nikt nie próbował zniechęcić panią Glimm przed zrobieniem co w jej mocy, aby pomóc doktorowi zrealizować swój plan.

Bezksiężycowa noc nastąpiła i minęła, a asystent wysłany przez Panią Glimm na cmentarz na pagórku nigdy nie wrócił. Natomiast w miasteczku spod północnej granicy nie zmieniło

się nic. Chór nocnych wrzasków nadal niósł się po ulicach, zaś plotki po zmroku wspominały teraz zarówno o „grozie Ascrobiusa”, jak i „szarlatananie, doktorze Klattcie”, którego nie udało się odnaleźć, mimo, że przeszukano każdą ulicę i każdy dom w mieście - oczywiście z wyjątkiem wysokiego domu w zaułku, gdzie mieszkał straszliwy samotnik. W końcu niewielka grupa najmniej histerycznych mieszkańców miasta postanowiła udać się na cmentarz. Gdy dotarli do nieobecnego grobu, natychmiast stało się jasne, jakiego rodzaju „środki” podjął Klatt i w jaki sposób asystent wysłany przez panią Glimm został wykorzystany do zakończenia eskapady Ascrobiusa.

Wiadomość, jaką przynieśli miastu członkowie wyprawy na cmentarz głosiła, że Klatt to zwykły rzeźnik.

- Cóż, może nie *zwykły* rzeźnik – pani Glimm, która przebywała tam wśród nich. Wyjaśniła szczegółowo jak ciało asystenta doktora, z oddzielonymi wieloma jego częściami i skórą drobno pociętą przez niezliczone nacięcia, zostało ułożone zgodnie z pewnymi obliczeniami w miejscu grobu: głowę i nagi tors postawiono pionowo w ziemi tak, jakby miały stanowić nagrobek, zaś ręce i nogi umieszczono wzdłuż granic prostokątnej, cmentarnej parceli.

Ktoś zasugerował, że należałoby by odpowiednio pochować zbezczeszczone ciało w jego własnym grobie, lecz pani Glimm, z powodów nieznanych jej same, - jak przynajmniej twierdziła - przekonała pozostałych, że należy to wszystko pozostawić tak, jak jest. Być może jej intuicja w tej sprawie była trafna, gdyż kilka dni później cała groza związana z eskapadą Ascrobiusa ustała, jakkolwiek nieokreślone, albo od początku nieistniejące mogły być to wydarzenia. Dopiero później, pośród niekończącej się

szeptaniny i plotek po zmroku, stało się jasne, dlaczego dr Klatt mógł opuścić miasto mimo tego, że ostre środki, jakie przedsięwziął, dały obiecany rezultat.

Choć sam nie byłem tego świadkiem, to jednak inni donosili o znakach „nowego zajęcia” - nie miejsca grobu Ascrobiosa, lecz wysokiego domu w zaułku, gdzie ów samotnik spędzał swe dni i noce, pogrążony w głębokiej refleksji. Zza zasłon w oknach czasem przebijało światło - mówili obserwatorzy - a zarys przechodzącej za nimi postaci był bardziej groteskowy, niż wszystko, co widzieli za życia lokatora tego miejsca. Jednak nikt się tam nigdy nie zbliżył. Później zaś wszelka spekulacja na temat tego, co zaczęto określać jako „wskrzeszenie odistniałego”, przeszła w domenę plotek opowiadanych po zapadnięciu zmierzchu. Mimo to, kiedy leżę tak w łóżku, nasłuchując szumu wiatru i skrobania gołych gałęzi o dach nad moją głową, wizje zdeformowanej zjawy Ascrobiosa nie pozwalają mi zasnąć, a moje myśli zaprzęta pytanie, na jakich niewyobrażalnych płaszczyznach kontemplacji śni ona swój sen o kolejnym akcie odistnienia, nowym, dalekosiężnym czynie ogromnej mocy i tym razem większej trwałości. Wzdrygam się także na myśl, że któregoś dnia ktoś może zauważyć zaginięcie czy nieobecność pewnego domu w miejscu, jakie zajmował niegdyś w zaułku miasta nieopodal północnej granicy.

Przeł. Aleksander Więckowski

Dźwięk dzwonek będzie nieść się bez końca

Zdarzyło się to pewnego ponurego ranka wczesną wiosną. Tkwiłem na ławce w niewielkim parku, kiedy to przysiadł się do mnie mężczyzna, wyglądający jakby jego miejsce było w szpitalu. Przez pewien czas obaj w milczeniu spoglądaliśmy na bezbarwną, podmokłą ziemię, która tajała; oznaki odnawiającego się życia wyglądały na niepewne, a kontury nagich gałęzi drzew odcinały się wyraźnie na tle szarego nieba. Widywałem tego człowieka bywając tu wcześniej, a kiedy przedstawił się po imieniu, przypomniałem sobie, że był to jakiś biznesmen. Patrząc w górę na cienkie, ciemne gałęzie i szare niebo nad nimi, przyszły mi na myśl słowa: „przedstawiciel handlowy”. Nasza cicha i nieco kulejąca rozmowa zesłała na temat pewnego miasta niedaleko północnej granicy, gdzie niegdyś mieszkałem.

- Minęło wiele lat, odkąd byłem tam po raz ostatni - rzekł mężczyzna. Opowiedział mi potem o czymś, czego doświadczył, kiedy podróżował do odległych miejsc, załatwiając interesy dla firmy, której był - aż do wtedy - wieloletnim, oddanym przedstawicielem.

Była, jak opisywał, późna noc, a on potrzebował noclegu przed dalszą podróżą do miejsca leżącego za północną granicą. Jako niegdysiejszy mieszkaniec tego miasta, wiedziałem, że mógł się zatrzymać w dwóch miejscach. Jednym z nich był pensjonat położony w zachodniej dzielnicy, który w rzeczywistości stanowił dom publiczny, odwiedzany głównie przez podróżujących przedstawicieli handlowych. Drugie z tych miejsc, położone w dzielnicy wschodniej - niegdyś bogatej, obecnie niemal całkowicie opustoszałej - stanowił, według plotek, opuszczony niegdyś dom, który przerobiono na hostel prowadzony przez starszą kobietę zwaną panią Pyk. Krążyły słuchy, że zanim osiedliła się w mieście pod północną

granicą, występowała na rozmaitych widowiskach karnawałowych - z początku jako tancerka egzotyczna, później zaś jako wróżbiarka. Przedstawiciel handlowy powiedział mi, że nie potrafił stwierdzić, czy fakt, że trafił do wschodniej części miasta, gdzie tylko w nielicznych oknach paliły się światła, był wynikiem błędnych wskazówek, czy też raczej czyjejś celowej złośliwości. W każdym razie bez trudu zauważył szyld PUSTE POKOJE, ustawiony obok schodów prowadzących do olbrzymiego domu. Budynek ten miał liczne, drobne wieżyczki, które wyrastały z jego fasady jak brodawki, a nawet wynurzały się bezpośrednio ze strzelistego dachu. Mimo ponurego wyglądu konstrukcji („zrujnowanego, miniaturowego zamku”, jak ją określił mój towarzysz z parku) i opustoszałej okolicy nie zawahał się ani na moment i wszedł po schodach prowadzących do przedsionka, po czym nacisnął znajdujący się przy drzwiach dzwonek. Jego dźwięk był, jak to opisał, z rodzaju „tych brzęczących”, nieprzypominających bicia dzwonów. Dodał jednak, że oprócz hałaśliwego brzęczenia, po ściśnięciu przycisku słychać było „podzwanianie”, bliskie dźwiękowi małych dzwonek przy saniach. Kiedy w końcu otworzyły się drzwi, ukazując twarz pani Pyk pokrytą grubą warstwą makijażu, przedstawiciel handlowy zapytał zwyczajnie:

- Czy są wolne pokoje?

Kiedy wszedł do przedsionka, kobieta zatrzymała go, wskazując chudą, drżącą dłonią otwartą księgę rejestracji, leżącą na pulpicie w rogu pomieszczenia. Na liście gości nie było ani jednego nazwiska, mimo to przedstawiciel handlowy bez wahania sięgnął po pióro leżące między stronami otwartej książki i wpisał: Q. H. Crumm. Zwróciwszy się w stronę pani Pyk, pochylił się, by sięgnąć po swoją małą walizkę. Wtedy to

po raz pierwszy dojrzał lewą dłoń pani Pyk, niedotkniętą starczym drżeniem. Dłoń ta była równie wątpa jak prawa, stanowiła jednak protezę - wyglądała jakby należała do starego manekina, z odklejającymi się w kilku miejscach płatami lakierowego naskórka. Dokładnie w tym momencie pan Crumm zdał sobie sprawę z „upajająco nedorzecznego” położenia, w jakim się znalazł, czuł przy tym jednak wielką ekscytację, której źródła nie potrafił nazwać - dotyczyła ona rzeczy, których nigdy wcześniej sobie nie wyobrażał, ani nawet nie był w stanie sobie wyobrazić w tamtym czasie.

Starsza kobieta wiedziała, że Crumm zauważył jej sztuczną dłoń.

- Jak pan widzi - powiedziała powolnym, ochryplym głosem - potrafię doskonale o siebie zadbać, mimo że pewni głupcy próbują mnie wykiwać. Co prawda - dodała - nie odwiedza mnie tylu podróżnych jak dawniej, ale gdyby to zależało od niektórych ludzi, na pewno nie miałabym już żadnych gości.

„Upajająco nedorzeczne”, pomyślał pan Crumm. Niemniej, kiedy pani Pyk poprowadziła go do wnętrza domu, pobiegł za nią jak mały piesek. Budynek był tak słabo oświetlony, że nie sposób było dojrzeć jakichkolwiek elementów wystroju, przez co Crumm miał odurzające wrażenie, że otulają go kunsztowne cienie tego miejsca. Uczucie to wzmogło się, gdy starsza kobieta sięgnęła po małą, ledwie żarzącą się w ciemnościach lampkę i podkręciła knot palcem prawdziwej dłoni. Światło odepchnęło część cieni, groteskowo powiększając liczne pozostałe. Następnie kobieta poprowadziła Crumma schodami na górę w stronę jego pokoju, niosąc lampkę w prawdziwej ręce, a protezę trzymając bezwładnie u boku. Z każdym krokiem pani Pyk,

przedstawiciel handlowy słyszał niewyraźnie to samo podzwanie, które po raz pierwszy zarejestrował stojąc przed domem w oczekiwaniu na otwarciu drzwi. Dźwięk był jednak na tyle słaby i przytłumiony, że Crumm wolał uznać go za echo wspomnienia albo wytwór błędzącej wyobraźni.

Pokój, w którym pani Pyk w końcu ulokowała gościa, znajdował się na najwyższym piętrze domu, tuż obok krótkiego, wąskiego korytarzyka prowadzącego na strych.

- Wtedy jeszcze nie widziałem w tym ulokowaniu nic dziwnego - powiedział pan Crumm, siedząc przy mnie na ławce w parku, wpatrując się w bezbarwny, wczesnowiosenny poranek. Odparłem, że tego rodzaju zaćmienia rozsądku nie były rzadkością w pensjonacie pani Pyk, a przynajmniej takie dochodziły mnie słuchy w czasach, kiedy mieszkałem w mieście niedaleko północnej granicy.

Gdy wreszcie dotarli do korytarza na najwyższym piętrze domu - opowiadał dalej Crumm - pani Pyk odstawiła lampkę na stoliku znajdującym się nieopodal szczyt u ostatniego rzędu schodów. Wyciągnęła dłoń, by wcisnąć mały przycisk na jednej ze ścian, włączając tym samym oświetlenie zamontowane po obu stronach korytarza. Światło było posępne - napastliwie posępne, jak określił je Crumm - starczyło jednak, by wyłonić gęste wzory pokrywające tapetę i wykładzinę na podłodze. Jeden z końców korytarza prowadził na strych, drugi zaś do pokoju, w którym przedstawiciel handlowy miał spędzić noc. Kiedy pani Pyk otworzyła drzwi i wcisnęła kolejny niewielki przycisk znajdujący się na ścianie wewnątrz, Crumm zauważył, jak ciasne i surowe było pomieszczenie, w którym go ulokowano. Pomyślał, że zupełnie niepotrzebnie, biorąc pod uwagę przestronność bądź „ciemny przepych” tego domu. Nie wyraził jednak sprzeciwu

(podkreślał, że wcale go nie odczuwał) i z cichym posłuszeństwem położył walizkę obok malutkiego łóżka, które nie miało nawet zagłówka.

- Łazienka jest kilka kroków w głąb korytarza - powiedziała pani Pyk, nim opuściła pomieszczenie, zamykając za sobą drzwi. Przebywając w ciszy, Crummowi zdało się, że znów słyszy dźwięk dzwoneczków zanikający w ciemnościach wielkiego domu.

Choć przedstawiciel handlowy miał za sobą dość długi dzień, nie czuł się ani trochę zmęczony. Zapewne przekroczył już stan całkowitego wyczerpania, jak sam rozważał, siedząc przy mnie na ławce w parku. Przez pewien czas leżał na przykrótkim łóżku, nadal ubrany, wpatrując się w pokryty zaciekami sufit. Pomyślał, że najwyraźniej umieszczono go w pokoju położonym blisko dachu i dach ten był uszkodzony, przepuszczając w czasie burzowych dni deszcz do wnętrza strychu. Nagle w dziwny sposób jego myśli przylgnęły do owego strychu oraz drzwi znajdujących się zaraz na końcu korytarza, naprzeciwko jego pokoju. „Tajemnica starego strychu” - szepnął do siebie Crumm, leżąc na miniaturowym łóżku na piętrze ogromnego domu otulających cieni. W miarę jak narastała w nim ekscytacja strychem i jego tajemnicami, budziły się także uczucia i impulsy, których istnienia nawet nie podejrzewał. Był podróżnym przedstawicielem handlowym, potrzebującym odpoczynku przed nadchodzącym dniem, lecz myślał wyłącznie o tym, by wstać z łóżka i pójść słabo oświetlonym korytarzem w kierunku drzwi zagadkowego domu pani Pyk. Jak sam siebie przekonywał, szedł tym korytarzem wyłącznie po to, aby skorzystać z łazienki, Crumm minął ją jednak, by chwilę później obserwować bezradnie, jak zmierza na strych i otwiera

prowadzące doń, pozostawione bez zamknięcia drzwi.

Powietrze wewnątrz pomieszczenia pachniało słodko i zatechłe. Światło księżycy wpadało przez małe ośmiokątne okienko, prowadząc przedstawiciela handlowego przez ciemne pobojuwisko w kierunku żarówki wiszącej na grubym, czarnym kablu. Sięgnął w górę i przekręcił mały przełącznik wystający z boku jej mocowania. Widział teraz otaczające go skarby, których odkrycie przyprawiało o dreszcz ekscytacji. Crumm opowiadał, że miejsce to wyglądało jak sklep z kostiumami albo garderoba teatru. Otaczał go świat dziwacznych strojów, które wysypywały się z głębin uchylonych, wielkich kufrów oraz wisały w ciemnościach wysokich, otwartych szaf. Po chwili zdał sobie sprawę, że większość tych ubrań stanowiła pozostałość czasów, kiedy pani Pyk była tancerką egzotyczną, a później wróżbiarką na różnego rodzaju drugorzędnych widowiskach karnawałowych. Crumm pamiętał zresztą, że widział rozwieszane na ścianach wyblakłe plakaty, przedstawiające dwa etapy dawnego życia tej starszej kobiety. Jeden z plakatów przedstawiał tańczącą dziewczynę, uchwyconą w połowie obrotu, w wirze otaczających ją jedwabiów, z twarzą odwróconą od znajdującego się niżej zarysu głów reprezentujących publiczność - stłoczonego zbiorowiska łysin i meloników. Inny plakat przedstawiał parę czarnych, wpatrzonych oczu o długich, pajęczych rzęsach. Nad nimi znajdowały się wydrukowane serpentynową czcionką słowa: Pani Fortuny. Poniżej oczu, przy użyciu tej samej groteskowej stylizacji napisane było proste pytanie. JAKA JEST TWOJA WOLA?

Oprócz porzuconych elementów garderoby egzotycznej tancerki i tajemniczej wróżbiarki leżały tam inne ubrania i

kostiumy. Porozrzucano je po całym strychu, tym „raju przeszłości”, jak zaczął określać go Crumm. Jego dłonie drżały, chwytając walające się po podłodze lub zarzucone na lustro szafy wszelkiej maści stare przebrania, kunsztowne stroje klaunów, szyte z drogiego aksamitu i błyszczącego, kolorowego jedwabiu. Błądząc po delirycznym świecie tego strychu, Crumm odnalazł wreszcie coś, czego szukał, choć wcześniej ledwie zdawał sobie z tego sprawę. Oto i on - pogrzebany na dnie jednej z największych skrzyń kompletny strój białego z miękkimi trzewikami o zawiniętych końcówkach i rozwidlającą się na dwie części czapką, której dzwonki podzwaniały, kiedy zakładał ją na głowę. Cały kostium był szaloną, wielobarwną łataniną. Gdy zdjął ubranie, które nosił jako przedstawiciel handlowy, okazało się, że nowy kostium pasuje na niego idealnie. Podwójne zwieńczenie czapki białego przypominało bliźniacze rogi ślimaka - zauważył Crumm, spoglądając na swoje odbicie w lustrze - z tą różnicą, że te u jego czapki opadały w dół i dzwoniły za każdym razem, kiedy potrząsał głową. Dzwonki przyszyte były również do skierowanych w górę czubków trzewików; wisały także poprzyczepiane tu i ówdzie na całej długości stroju. Crumm wprawiał je wszystkie w dźwięczący taniec, podskakując przed lustrem zamocowanym w szafie, wpatrując się w postać, w której nie potrafił już rozpoznać siebie - tak bardzo zagubił się w nieznanym mu dotąd świecie odczuć i impulsów. Powiedział mi, że nie zostało w nim zupełnie nic z dawnego życia przedstawiciela handlowego. W tym momencie istniały dla niego wyłącznie: kostium białego przylegający do ciała, dźwięk dzwoneczków, oraz odbijająca się przed nim w lustrze zwiotczała twarz głupca.

Chwilę później, opowiadał, osunął się twarzą w dół na

zimną posadzkę, leżąc w całkowitym bezruchu, wycieńczony zadowoleniem, jakie odnalazł w tym zateęchłym raj. Wtedy ponownie rozległ się dźwięk dzwonek, Crumm nie potrafił jednak określić dokładnie jego źródła. Słyszał je, mimo że jego ciało wciąż leżało nieruchomo, pogrążone w stanie sennego paraliżu. Pomyślał, że gdyby tylko mógł otworzyć oczy i obrócić się, zobaczyłby, skąd dochodzi to dzwonięcie. Wkrótce porzucił tę myśl, gdyż całkowicie przestał czuć swoje ciało. Dźwięk dzwonek stawał się coraz głośniejszy i rozbrzmiewał tuż koło jego uszu - mimo że nie był w stanie poruszać głową, na której znajdowały się dzwonki jego rozwidlonej czapki błazna. Wtedy też usłyszał głos mówiący do niego: „Otwórz oczy... twój widok cię zaskoczy”. Kiedy uniósł powieki, zobaczył w lustrze szafy własną twarz: malutką twarz malutkiej głowy błazna, zatkniętej na pasiastym jak cukierkowa laska kijku lub buławie, trzymanej w drewnianej dłoni pani Pyk. Potrząsała nią jak dziecięcą grzechotką, a dzwoneczki na malutkiej głowie pana Crumma dźwięczały opętańczo. Spoglądając w lustro, widział swoje bezradne ciało leżące bez ruchu na podłodze strychu, zaś jego umysł wypełniła jedna, nieokiełznana myśl: „Być głową zatkniętą na patyku w drewnianej dłoni pani Pyk. Na zawsze... Na zawsze”. Kiedy Crumm obudził się następnego ranka, pierwszym wrażeniem, jakie do niego dotarło, był dźwięk deszczu bębniącego o dach nad jego pokojem. Leżał na łóżku, nadal ubrany, a pani Pyk potrząsała nim delikatnie prawdziwą dłonią, mówiąc:

- Proszę wstać, panie Crumm. Jest późno i musi pan udać się w dalszą podróż. Ma pan interesy do załatwienia za granicą. - Crumm chciał coś odpowiedzieć, jakoś przedstawić jej to, co opisał jako swoją „przygodę na strychu”, lecz szorstki,

formalny i niezdradzający żadnych nadzwyczajnych cech ton głosu pani Pyk dawał mu wyraźnie do zrozumienia, że nie otrzyma odpowiedzi na żadne z dręczących go pytań. Tak czy inaczej, bał się poruszyć otwarcie tę kwestię. Czuł, że jeśli chce pozostać z kobietą w dobrych stosunkach, nie powinien tego robić. Niedługo później stał z walizką w ręce w progu ogromnego domu, przeciągając swoje odejście, by raz jeszcze spojrzeć na mocno umalowaną twarz pani Pyk i zapamiętać widok sztucznej dłoni zwisającej u jej boku.

- Mógłbym zatrzymać się tu kiedyś ponownie? - spytał.

- Jak pan sobie życzy - odpowiedziała pani Pyk, przytrzymując drzwi przed wychodzącym gościem.

Po zejściu z ganka, Crumm odwrócił się szybko i dodał:

- A mógłbym dostać ten sam pokój?

Jednak pani Pyk zamknęła już drzwi, a jedyną odpowiedzią, jeśli można to za nią uznać, był ledwie słyszalny dźwięk dzwonek.

Po załatwieniu interesów po drugiej stronie północnej granicy, pan Crumm powrócił do domu pani Pyk, lecz odkrył, że w czasie jego krótkiej nieobecności miejsce to doszczętnie spłonęło. Powiedziałem mu, kiedy siedzieliśmy na ławce w parku, wpatrując się w ponury, wczesnowiosenny poranek, że o pani Pyk i jej domu od zawsze krążyły różnego rodzaju pogłoski. Pewni historycy sugerowali, że za podpaleniem, kończącym działalność pani Pyk w dzielnicy wschodniej, stała pani Glimm, prowadząca pensjonat w dzielnicy zachodniej. Kobiety podobno były współpracownikami czy partnerkami w interesach, a ich domy, odpowiednio we wschodniej i zachodniej dzielnicy miasta spod północnej granicy, działały wówczas dla ich obopólnej korzyści. Musiało jednak dojść do jakiegoś rozłamu, gdyż w pewnym momencie wytworzyli się

między nimi zaciekle wrogość. Pani Glimm, opisywana czasem jako „osoba niezwykle chciwa”, przestała tolerować konkurencję dawnego sprzymierzeńca. W mieście spod północnej granicy panowało przekonanie, że pani Glimm zleciła napaść na panią Pyk w jej własnym domu, w wyniku czego ta straciła lewą dłoń. Ostatecznie okazało się jednak, że plan podkopania ambicji konkurentki obrócił się przeciw pomysłodawczyni. Po ataku pani Pyk przeszła dramatyczną przemianę - podobnie zresztą jak metody, jakimi prowadziła dom we wschodniej dzielnicy. Owa niegdysiejsza tancerka egzotyczna, później zaś Pani Fortuny, od zawsze była znana jako kobieta o niezwykłej woli i nadzwyczajnych talentach, jednak po tym, jak jej odciętą dłoń zastąpiono protezą z drewna, najwyraźniej zyskała niewyobrażalną moc, którą w całości ukierunkowała na jeden cel - wykluczenie z interesu byłej partnerki, pani Glimm. To właśnie wtedy zmieniła sposób prowadzenia pensjonatu.

Za pomocą pewnych niezwykłych metod pani Pyk sprawiała, że ilekroć zatrzymywali się u niej podróżujący przedstawiciele handlowi, którzy uprzednio gościli w pensjonacie pani Glimm, zawsze wracali do niej, nigdy zaś do położonego w zachodniej dzielnicy domu konkurentki.

Wspomniałem panu Crummowi, że żyłem w mieście pod północną granicą dostatecznie długo, by przy różnych okazjach słyszeć, iż goście powracali do pani Pyk aż do chwili, gdy odkrywali, że nie są już w stanie jej opuścić. Pogłoskę tę do pewnego stopnia potwierdziło coś, co po pożarze odnaleziono w ruinach domu pani Pyk. Cały dom, wliczając najgłębsze rogi przepastnej piwnicy, pełen był pokoi, w których odnaleziono zwęglone ludzkie szczątki. To, co po nich zostało - a siła pożaru była ogromna - wskazywało, że ciała

miały na sobie cudaczne stroje, jakby budowla stanowiła gniazdo przebierańców. W świetle wszystkich opowieści krążących po mieście, nikt nie kwapił się nawet wspomnieć, jak nieprawdopodobny, a nawet niedorzeczny zdawał się fakt, że żadnemu z lokatorów domu pani Pyk nie udało się uciec. Niemniej, jak wyjaśniłem Crummowi, mimo najstaranniejszych poszukiwań, nadzorowanych przez panią Glimm, nigdy nie odnaleziono ciała samej pani Pyk. Przedstawiłem Crummowi do rozważenia wszystkie te fakty, siedząc z nim na ławce w parku - jednak w pewnym momencie zaczął sprawiać wrażenie, jakby jego umysł odpłynął gdzieś w dal i jeszcze bardziej wyglądał, jak by jego miejsce było w szpitalu. Niemniej w końcu odezwał się, prosząc, bym potwierdził co powiedziałem o braku ciała pani Pyk pośród innych zwłok wydobytych z popiołów. Tak też zrobiłem, nalegając przy tym, aby zastanowił się nad miejscem i okolicznościami leżącymi u źródła tych zdarzeń, jak i wszystkim innym, co zostało powiedziane przez nas obu tego wczesnowiosennego poranka.

- Przypomnij sobie własne słowa - powiedziałem do Crumma.

- Które słowa? - spytał.

- Upajająco niedorzeczne - odparłem, starając się wyciągnąć brzmienie każdej sylaby, jakbym chciał nasycić je prawdziwym sensem albo przynajmniej jakoś je udramatyzować. - Byłeś tylko pionkiem - powiedziałem. - Ty i cała reszta byliście ledwie pionkami w starciu sił, których nie potrafiliście pojąć. Twoje pobudki nie brały się z ciebie. Były równie sztuczne jak drewniana dłoń pani Pyk.

Przez moment odniosłem wrażenie, że Crumm wraca do przytomności, ale chwilę później rzekł jakby do siebie:

- Nigdy nie odnaleziono jej ciała.
 - Nie, nie odnaleziono - odparłem.
 - Nawet jej dłoni - powiedział retorycznym tonem.
- Znów potwierdziłem.

W tym momencie Crumm zamilkł, a kiedy opuszczałem go tamtego ranka, nadal wpatrywał się w szarobrązową, podmokłą ziemię parku spojrzeniem osoby, która popadła w histeryczny trans, czekając w milczeniu na dźwięk bądź znak, który sięgnąłby jego świadomości. Wtedy widziałem go po raz ostatni.

Zdarzają się bezsenne noce, kiedy rozmyślam o przedstawicielu handlowym Crummie i o rozmowie, którą odbyliśmy tamtego dnia w parku. Myślę również o pani Pyk i jej domu we wschodniej dzielnicy miasta pod północną granicą, w którym kiedyś żyłem. W takich chwilach sam niemal słyszę cichy dźwięk dzwonek w ciemności, a mój umysł wyrusza na poszukiwanie straceńczego snu, który nie jest mój. Niewykluczone, że ten sen ostatecznie nie ma właściciela, chociaż wiele osób, wliczając w to przedstawicieli handlowych, stało się jego własnością.

Przeł. Aleksander Więckowski

Łagodny głos szepcze: nic

Można powiedzieć, że zostałem mieszkańcem miasteczka pod północną granicą na długo, zanim zacząłem podejrzewać, że to odległe i opustoszałe miejsce w ogóle istnieje. Wskazują na to liczne oznaki, choć niektóre mogą

pozornie nie mieć związku ze sprawą. Większa ich część sięga mojego dzieciństwa - łagodnie szarych lat, kiedy ciągle dotykała mnie raz ta, raz inna wycieńczająca choroba. To właśnie wtedy, na tym wczesnym etapie rozwoju, przypieczętowałem swoje przymierze z zimą, z każdym jej etapem i przejawem. Nic nie zdawało mi się bardziej naturalne, niż podążanie ścieżką wśród ośnieżonych dachów i zwieńczonych lodem płotów, gdyż i ja w mojej chorobie trwałem niejako w stanie bliskim hibernacji. Błady i zmarznięty leżałem pod miękkimi kocami mojego łóżka, ze skroniami połyskującymi od pokrywających je kropel potu. Z okropnym oddaniem wypatrywałem przez oszronione ramy okna sypialni, jak po ospałych, zimowych dniach nadchodzą oślepiające, zimowe noce. Byłem stale świadom możliwości nadejścia tego, co mój młody umysł nazywał wówczas „lodowatą transcendencją”. Nawet podczas nawiedzających mnie często majaków nie mogłem pozwolić sobie na zwyczajny sen - wyłączając może śnienie wiodące w głąb tego krajobrazu, gdzie słabnący wiatr porywał mnie w pustkę najgłębszej hibernacji.

Nikt nie liczył, że będę żył długo, nawet zajmujący się mną lekarz, wdowiec w późnym wieku średnim, doktor Zirk. Sprawiał wrażenie, jakby był głęboko oddany sprawie dobrej kondycji ciała, które miał pod swą opieką; od zawsze jednak podejrzewałem, że i on skrycie pielęgnował więź z najodleglejszymi, opustoszałymi miejscami pod władaniem zimowego ducha, więc także on musiał zawrzeć przymierze z miasteczkiem spod północnej granicy. Ilekroć mnie badał, siedząc przy moim łóżku, zdradzał się jako fanatyczny współwyznawca tej wiary bez pocieszenia, okazując liczne jej stygmaty. Jego sztywne, przeplatane siwizną włosy i broda -

niegdyś bujne - obecnie były tylko rzedziejącą pozostałością dawnej czupryny i zarostu, całkiem jak nagie, pokryte szadzią gałęzie drzew za oknem. Cerę miał szorstką i chropowatą jak zamarznięta ziemia, a jego oczy zasnuwała chmurna aura grudniowego popołudnia. Jakże lodowate zdawały mi się jego palce, kiedy badał tętno na mojej szyi, albo łagodnie odciągał powieki moich oczu.

Pewnej nocy, zapewne w przeświadczeniu, że śpię, doktor Zirk odkrył przede mną głębię swego wtajemniczenia w nieurodzajne tajemnice zimowego świata, chociaż mówił tylko zagadkowymi urywkami, jakie wydzierają wycieńczonej duszy, stojącej u swego kresu. Głosem czystym i zimnym jak arktyczny wiatr doktor opowiadał o doświadczeniu „pewnych przepraw” i groteskowych zaburzeń w przyrodzonym porządku rzeczy”. Jego drżące słowa przywoływały epistemologię „nadziei i grozy”, całkowitego, ostatecznego obnażenia natury tego „wielkiego, szarego rytuału egzystencji” oraz karkołomnego skoku w „oświecenie w próżni”. Miałem wrażenie, że mówił bezpośrednio do mnie, gdy w przyпіływie desperacji westchnął cicho:

- Skończyć z tym, mała marionetko, *własnym sposobem*. Zamknąć drzwi jednym zdecydowanym ruchem, zamiast serią małych, zląknionych posunięć. Gdyby tylko ten lekarz mógł cię poprowadzić ku takiemu zimnemu wyzwoleniu! - Ton i powaga jego słów wprawiły moje powieki w drżenie, na widok którego doktor Zirk natychmiast zamilkł. Zaraz potem do pokoju weszła moja matka, co dało pretekst do pokazania, że się ocknąłem. Nigdy jednak nie zawiodłem zaufania i szczerości, jakie doktor okazał mi tamtego dnia. Musiało jednak upłynąć wiele lat, nim po raz pierwszy trafiłem do miasteczka spod północnej granicy, i to właśnie tam przyszło

mi zrozumieć źródło i znaczenie słów, które doktor Zirk mamrotał owego niemal absolutnie cichego, zimowego dnia. Gdy dotarłem do miasteczka, zauważyłem, jak bardzo było podobne do zimowego krajobrazu mojego dzieciństwa, chociaż nie była to jeszcze ta sama pora roku. Tamtego dnia wszystko wokół mnie - ulice miasteczka i nieliczni idący nimi ludzie, okna sklepowe i wystawiany w nich skromny towar, kawałki śmieci ledwie poruszane przez na wpół martwy wiatr - wszystko wyglądało, jakby zostało wyprane z barw, jak gdyby ogromna lampa dopiero co błysnęła w spłoszoną twarz tego miasta. Gdzieś pod tą bladą powierzchnią wyczuwałem coś, co nazwałem „wszechogarniającą atmosferą miejsca, które stworzyło bezpieczną przystań dla bezkresnego ciągu rojeń”.

Nad tą sceną istotnie zawisła wyraźna aura delirium, sprawiając, że wszystko w polu mego widzenia lśniło mgliście, jakbym spoglądał przez rozmytą poświatę szpitalnej sali; mętność bez substancji, zniekształcająca, choć w żaden sposób nieograniczająca widoczności znajdujących się w niej i za nią przedmiotów. Na ulicach miasta panowała chorobliwa atmosfera poruszenia, jak gdyby deliryczna aura stanowiła jedynie cichą zapowiedź nadciągającego pandemonium. Słyszałem dźwięk czegoś, czego nie potrafiłem określić: nadciągającą wrzawę, przed którą musiałem skryć się w wąskim przejściu między parą wysokich budynków. Wciśnięty w tę ciemną kryjówkę, spoglądałem na ulicę, nasłuchując narastania tego nienazwanego zgiełku. Była to kotłowanina łomotu i zgrzytu, jęku i rechotu, głuchy brzęk czegoś nieznanego, przemierzającego miasto po omacku, bezładny pochód na cześć szczególnej okoliczności obłąkania.

Ulica, na którą spoglądałem przez prześwit między

dwoma budynkami, była teraz zupełnie pusta. Widziałem jedynie zarysy budynków o różnej wysokości, drżące lekko w narastającym dudnieniu nadciągającego pochodu. Beładny łomot zdawał się pochłaniać wszystko wokół, kiedy nagle zobaczyłem jakąś postać przechodzącą przez ulicę. Była ubrana w luźny biały strój, miała jajowatą, całkowicie nieowłosioną i białą jak klej głowę - jakiś klaun, poruszający się w sposób jednocześnie swobodny i mozolny, jak gdyby szedł pod wodą lub pod silny wiatr, kreśląc dziwaczne wzory swymi bladymi dłońmi i bufiastymi rękawami. Zdawało się, że minęła wieczność, nim widmo w końcu zniknęło mi z oczu. Jednak w ostatniej chwili postać obejrzała się, by spojrzeć w wąskie przejście, w którym stałem ukryty; jej blada, tłusta twarz miała wyraz tępej nienawiści.

Po postaci prowadzącej pochód nadeszła grupa zaprzęgniętych jak bestie nędzarzy, ciągnących długie, szczeniaste liny. Po chwili oni także zniknęli z widoku, pozostawiając za sobą jedynie bezwładnie kołyszące się sznury. Były one przywiązane za pomocą olbrzymich haków do pojazdu, który wtaczał się teraz na widoczny w prześwicie fragment ulicy, szorując głośno o chodnik wielkimi drewnianymi kołami. Pojazd stanowiła platforma, z której wystawały ogromne drewniane pale, tworzące pionowe kraty klatki. Nic nie przytrzymało ich od góry, więc pale chybotwały się w rytm ruchu procesji.

O kraty klatki obijał się, pobrzękując, szereg przedmiotów zwisających z ich szczytu, przypadkowo uwiązanych wszelkiego rodzaju szmatami, sznurkami i drutem. Widziałem maski i buty, przybory domowe i nagie lalki, duże wyblakłe kości i szkielety małych zwierząt, butelki z barwionego szkła, głowę psa owiniętą kilkukrotnie

zardzewiałym łańcuchem wokół szyi, rozmaite strzępy, odpadki oraz inne rzeczy, których nie byłem w stanie nazwać, a wszystko to obijało się o siebie w szalonym łomocie. Patrzyłem i nasłuchiwałem, jak ten absurdalny pojazd przemierzał ulicę. Nic już po nim nie nadeszło, a zagadkowa procesja zdawała się dobiegać końca, pozostawiając za sobą zaledwie rozmywający się w oddali chorobliwy szmer. Wtedy usłyszałem za sobą głos:

- Co tu robisz?

Odwróciłem się i ujrzałem starszą, otyłą kobietę nadciągającą w moim kierunku, która wynurzyła się z cienia tego wąskiego przejścia między dwoma wysokimi budynkami. Nosila bogato zdobiony kapelusz, prawie tak szeroki jak ona sama, a jej i tak obfitą sylwetkę powiększały liczne warstwy korowych chust i szali. Jej postać dodatkowo obciążało kilka przypominanych pętlę naszyjników, parę bransolet pobrząkujących na obu pulchnych nadgarstkach oraz cały asortyment tandetnie krzykliwych pierścieni, pobłyskujących na grubych palcach jej dłoni.

- Oglądałem paradę - powiedziałem. - Nie mogłem tylko dojrzeć, co znajdowało się w tamtej klatce, czy co to było. Zdawała się pusta.

Przez jakiś czas kobieta tylko patrzyła na mnie i badała wzrokiem moją twarz, być może domyślając się, że dopiero niedawno przybyłem do miasteczka spod północnej granicy. Potem przedstawiła się jako pani Glimm i oznajmiła, że prowadzi pensjonat.

- Masz się gdzie zatrzymać? - spytała napastliwie, natarczywym tonem.

- Niedługo będzie ciemno - powiedziała, zerkając lekko w górę. - Dni robią się coraz krótsze.

Zgodziłem się pójść za nią do pensjonatu. Po drodze spytałem o paradę.

- To wszystko jakieś głupoty - powiedziała, prowadząc mnie ciemniejszymi ulicami miasteczka. - Widziałeś to? - spytała, podając mi wymięty kawałek papieru, wyciągnięty spomiędzy warstw chust i szali.

Prostując kartkę, którą pani Glimm wcisnęła mi do ręki, próbowałem odczytać widniejące na niej słowa mimo pogłębiającego się zmroku. Na górze strony znajdował się wydrukowany wersalikami tytuł: WYKŁAD METAFIZYCZNY I, a pod nim krótki tekst, który czytałem, idąc za panią Glimm. „Ktoś kiedyś powiedział”, rozpoczynał się tekst, „że niektóre przeprawy życiowe - czy to ekstatyczne, czy koszarne - winny nakładać na nas obowiązek zmiany imienia, jako że po ich przejściu nie jesteśmy już tym, czym byliśmy wcześniej. Obowiązuje jednak odwrotna zasada: nasze imiona wloką się za nami, nawet gdy nie zostało w nas już choćby najmniejszego śladu po tym, czym byliśmy wcześniej, albo czym się sobie wydawaliśmy. Nie żebyśmy mieli wiele za punkt wyjścia - jedynie kilka wątpliwych wspomnień i impulsów, unoszących się w przestrzeni jak płatki śniegu podczas szarej, niekończącej się zimy. Ostatecznie jednak każdy z płatków opada, osuwając się w zimną, nienazwaną otchłań”.

Po przeczytaniu krótkiego „wykładu metafizycznego” spytałem panią Glimm, skąd wzięła się ta kartka.

- Były porzucane po całym mieście - odpowiedziała. - Jakieś głupoty, jak cała ta reszta. Osobiście uważam, że takie rzeczy szkodzą interesom. Dlaczego mam się włóczyć po mieście i szukać klientów na ulicach? Jednak dopóki ktoś płaci moją cenę, zakwateruję go w takim stylu, jakim sobie zażyczy.

Mam licencję nie tylko na prowadzenie jednego czy dwóch pensjonatów, ale także na występowanie jako asystent przedsiębiorcy pogrzebowego czy reżyser sceny kabaretowej. No cóż, dotarliśmy. Możesz wejść, ktoś tam się tobą zajmie. Ja mam teraz umówione spotkanie gdzie indziej.

To powiedziawszy, pani Glimm odeszła, z każdym krokiem pobrząkując swoją biżuterią.

Pensjonat pani Glimm był jednym z kilku wielkich obiektów położonych przy ulicy. Każdy z nich wyglądał podobnie i - jak się później dowiedziałem - znajdował się w posiadaniu bądź pod nadzorem jednej i tej samej osoby - to jest właśnie pani Glimm. Ulica obsadzona była niemal równym rzędem wysokich, nijakich domów o bladoszarych, marmurowych fasadach typowych dla urzędu i ogromnych, ciemnych dachach. Mimo znacznej szerokości ulicy, chodnik przed budynkami był tak wąski, że dachy sięgały lekko poza jego brzeg, tworząc wrażenie zamknięcia, jak w tunelu. W zasadzie każdy z tych budynków był podobnego typu, co dom z mego dzieciństwa, który ktoś kiedyś opisał jako „architektoniczny jęk”. Myślałem o tym wyrażeniu, kiedy rezerwowałem pokój w pensjonacie pani Glimm, nalegając, by okna wychodziły na ulicę. Gdy już znalazłem się w swoim lokum - właściwie pojedynczej, całkiem przestronnej sypialni - stanąłem przed oknem, wodząc wzrokiem po ulicy szarych domów. Zebrane razem, zdawały się tworzyć procesję, jakby zamarznięty kondukt pogrzebowy. W kółko powtarzałem sobie w myślach wyrażenie „architektoniczny jęk”, aż w końcu wyczerpanie zmusiło mnie do odejścia od okna i wsunięcia się pod zatechłe koce łóżka. Nim zasnąłem, przypomniałem sobie, że osobą, która użyła tego określenia, by opisać mój dom, był jakże częsty jego gość - doktor Zirk.

Tak więc właśnie doktor Zirk pojawił się w moich myślach, kiedy zasypiałem w przestronnej sypialni pensjonatu pani Glimm. Myślałem o nim nie tylko dlatego, że nazwał „architektonicznym jękiem” dom z czasów mego dzieciństwa, tak podobny do tych budowli o wysokich dachach ciągnących się wzdłuż ulicy, ale także - a może przede wszystkim - z powodu słów krótkiego wykładu metafizycznego, które przeczytałem parę godzin wcześniej. Tak bardzo przypominały urywany szept doktora siedzącego na moim łóżku, dogładającego mnie pogrążonego w wycieńczających chorobach, które, według powszechnej opinii, miały mnie zabić w bardzo młodym wieku. Leżąc pod zatęchłymi kocami w tym dziwnym pensjonacie, przy odrobinie księżycowego światła padającego na rozległą, senną przestrzeń pokoju, raz jeszcze poczułem ciężar kogoś siedzącego na łóżku, pochylającego się nad moim śpiącym ciałem, dbającego o nie niewidocznymi gestami i łagodnym głosem... i wtedy, udając, że śpię - tak jak w dzieciństwie - usłyszałem słowa drugiego „wykładu metafizycznego”, wypowiedziane powolnym, wyraźnym, monotonnym szepem.

„Powinniśmy być wdzięczni”, rzekł do mnie głos, „że brak wiedzy na tyle ogranicza nasze postrzeganie rzeczy, iż nadal możemy coś do nich czuć. Skąd wzięlibyśmy pretekst, by na cokolwiek reagować, gdybyśmy rozumieli... wszystko? Jedyne umysł nieobecny pada ofiarą intensywnych emocji. Gdyby nie trzymająca nas w zawieszeniu niepewność, wynikająca z tego, że trwamy w mrokach niewiedzy - jako istoty opętane przez nasze ciała i płynący z nich obłęd - któż zainteresowałby się tym kosmicznym przedstawieniem choćby na tyle, aby zdobyć się na najśłabsze ziewnięcie na jego widok, a co dopiero na bardziej dramatyczne gesty, dzięki

którym ten świat, złożony zasadniczo z odcieni szarości na tle czerni, nabiera jakże rzadkich kolorów? Nadzieja i groza - by wymienić choćby dwa z niepoliczalnych stanów, wynikających z niepełnego wglądu - co by z nich zostało w obliczu ostatecznego objawienia, obnażającego jak bardzo są zbędne? Dla kontrastu, zarówno nasze najwznioślejsze, jak i najokrutniej doświadczające nas emocje otrzymują doskonałą pożywkę, ilekroć trafiamy na pojedynczy promień wiedzy, oddzielamy go od pełnego spektrum zrozumienia, a następnie całkowicie o nim zapominamy. Wszystkie nasze uniesienia, święte czy unurzane w błocie, opierają się na odmowie poznania nawet najbardziej powierzchownych prawd oraz na naszej obłąkańczej woli podążania ścieżką zapomnienia. Amnezja stanowi prawdopodobnie najwyższy sakrament tego wielkiego szarego rytuału egzystencji. Pełnia wiedzy i zrozumienia oznacza skok ku oświeceniu w próżni, w zimowy krajobraz pamięci, którego istotę stanowią tylko cienie i głęboka świadomość otaczającej nas ze wszystkich stron bezkresnej przestrzeni. Wisimy w niej jedynie dzięki sznurkom drżącym z nadziei i grozy, i trzymającym nas w zawieszeniu nad szarą nicością. Jak to możliwe, że bronimy tego marionetkowego teatrzyku, potępiając wszelkie próby wyrwania sobie tych sznurków? Przypuszczalnie stoi za tym fakt, że nic nie jest równie pociągające, nic nie jest tak przemożnie idiotyczne, jak nasze pragnienie posiadania imienia - nawet jeśli jest to imię małej głupiej marionetki - oraz trzymania się go przez całą przeprawę naszego życia, zupełnie jakby było nam dane na zawsze. Gdybyśmy tylko mogli zapobiec strzępieniu i plątaniu się tych jakże drogich nam sznurków, gdybyśmy tylko mogli zapobiec upadkowi w puste niebo, byłibyśmy w stanie dalej zgrywać się pod

przybranymi imionami i kontynuować nasz marionetkowy taniec przez całą wieczność...”

Głos szeptał kolejne słowa, więcej słów, niż umiem sobie przypomnieć, jakby zamierzał głosić swój wykład bez końca. Jednak w pewnym momencie odpłynąłem w sen, jakim nigdy wcześniej nie spałem - spokojny, szary, pozbawiony marzeń.

Następnego ranka zbudził mnie hałas za oknem. Była to ta sama szaleńcza kakofonia, którą słyszałem poprzedniego dnia, kiedy przybyłem po raz pierwszy do miasteczka spod północnej granicy i ujrzałem przemarsz niezwyklej parady. Wstałem z łóżka i podszedłem do okna - nie zobaczyłem jednak nic, co mogłoby zwiastować ponowne nadejście tamtej hałaśliwej procesji. Wtedy moją uwagę przykuł dom naprzeciw mnie - jedno z jego najwyższych okien było szeroko otwarte. Tuż pod parapetem dojrzałem ciało zwisające na grubym, białym sznurze oplatającym szyję. Lina była mocno napięta i prowadziła przez okno w głąb pokoju. Z jakiegoś powodu widok ten nie zdał mi się w żaden sposób niespodziewany czy nie na miejscu - nawet gdy dudnienie parady nasiliło się, ani nawet kiedy dotarło do mnie, kim był ten niezwykle wątły wisielec o niemal dziecięcej sylwetce. Mimo że wyglądał na znacznie starszego, niż kiedy widziałem go po raz ostatni, a jego włosy i broda jaśniały teraz lśniąca bielą, było to bezspornie ciało mojego dawnego lekarza, doktora Zirka.

Mogłem teraz ujrzeć nadciągającą paradę. Z odległego końca szarej, przypominającej tunel ulicy, wyłoniła się jajogłowa, podobna do klauna istota, ubrana w luźny biały strój, mierząca wzrokiem wysokie domy po obu stronach. Mijając moje okno, spojrzała na mnie przez chwilę z tym samym wyrazem tępej nienawiści, po czym ruszyła dalej.

Podążał za nią szereg nędzarzy zaprzęgniętych w liny przychepione do przypominającego klatkę pojazdu, który toczył się na swych drewnianych kołach. Niezliczone przedmioty stukotały o jego kraty - było ich znacznie więcej niż poprzedniego dnia. Groteskowy inwentarz obejmował teraz również grzechocące zawartością butelki z pigułkami, błyszczące skalpele i narzędzia do cięcia kości, zwisające jak ozdoby choinkowe, powiązane w pęki igły ze strzykawkami, oraz stetoskop owinięty wokół odciętej głowy psa. Drewniane pale klatki chygotały się tak mocno, jakby miały się zaraz złamać od dodatkowego ciężaru tych porzuconych rupieci. Jako że klatka nie miała przykrycia, spoglądając ze swego okna mogłem zajrzeć do jej wnętrza, niczego tam jednak nie było, a przynajmniej jeszcze nie wtedy. Kiedy pojazd sunął bezpośrednio pode mną, spojrzałem na przeciwległy brzeg ulicy, na wisielca i grubą linę, na której dyndał jak marionetka. Spomiędzy cieni pomieszczenia za oknem wyłoniła się dłoń trzymająca błyszczącą, prostą brzytwę; na jej pulchnych palcach widać było liczne, tandetnie krzykliwe pierścienie. Gdy dłoń skończyła pracować nad węzłem, ciało doktora Zirka spadło z wysokości kilku pięter i wylądowało prosto w mijającym szarym domem otwartym pojeździe. Procesja, dotąd ospała pod każdym względem, zaczęła znikać szybko z widoku, a przytłumiona kotłowanina jej dźwięków rozmywała się w oddali.

„Skończyć z tym - pomyślałem. - Skończyć z tym w takim stylu, w jakim zapragniesz”.

Spojrzałem na dom po drugiej stronie ulicy. Otwarte jeszcze przed chwilą okno było teraz zamknięte i zakryte zasłoną. Przypominająca tunel ulica szarych domów zastygła w absolutnej ciszy i bezruchu. Wtedy, jakby w odpowiedzi na

moje najskrytsze życzenie, pojedyncze płatki śniegu zaczęły opadać z szarego porannego nieba, każdy z nich z cichym, szepczącym głosem. Patrzyłem dalej, wyglądając bez końca z okna na ulicę i miasto, i wiedziałem, że tu jest mój dom.

Przeł. Aleksander Więckowski

Kiedy usłyszysz śpiew, będziesz wiedzieć, że nadszedł czas

Mieszkałem w miasteczku pod północną granicą wystarczająco długo by wraz z tajemnym upływem czasu zacząć zakładać, że już nigdy nie opuszczę tego miejsca, a już z pewnością nie opuszczę go żywy.

Mogłem wierzyć, że sam odbiorę sobie życie lub, co bardziej prawdopodobne, zginę wskutek nieszczęśliwego wypadku bądź wyniszczającej choroby. Z pewnością jednak zacząłem zakładać, że mój żywot, niczym na mocy jakiegoś prawa, dokona się bądź w miasteczku, bądź w pobliżu jego peryferii, gdzie wąskie uliczki oraz budowle zaczynają się przerzedzać, ostatecznie rozpraszając się pośród opustoszałego i pozornie nieskończonego krajobrazu. Pomyślałem, choć może zacząłem jedynie bezwiednie zakładać, że zostanę pochowany na cmentarnym wzgórzu za miastem. Nie miałem pojęcia, że byli inni, którzy mogli mi powiedzieć, że równie dobrze zginę gdzieś poza miastem i nigdy nie zostanę pogrzebany czy też złożony w jakikolwiek sposób na cmentarnym wzgórzu. Tego typu osoby można było określić mianem szczególnego rodzaju historyków lub pewnego typu hochsztaplerów, jako że każdy spośród stałych

mieszkańców miasteczka pod północną granicą zdawał się jednym bądź drugim, a czasami jednym i drugim jednocześnie. Ci osobnicy mogli mi ponadto sugerować, iż całkowicie możliwe, że ani nie umrę w tym mieście, ani go nie opuszczę. Zacząłem rozumieć, jak coś takiego było możliwe w czasie, gdy zamieszkiwałem w małym mieszkaniu schowanym na tyłach parteru w dużym domu czynszowym, ulokowanym w jednej z najstarszych dzielnic miasteczka.

Był środek nocy, kiedy obudziłem się w swoim łóżku. Ścisłej rzecz ujmując, *zerwałem się w stan czuwania*, tak jak robiłem to wielokrotnie w życiu. Dzięki nawykowi zrywania się w stan czuwania, tamtej szczególnej nocy mogłem uświadomić sobie, że moje małe mieszkanie wypełnia łagodny, buczący dźwięk, którego prawdopodobnie nigdy bym nie usłyszał, gdybym należał do osób przesypiających całą noc. Dźwięk dobywał się spod podłogi, wznosił i rezonował pośród księżycowej ciemności w całym pokoju. Po kilku chwilach spędzonych na siedząco w łóżku i kilku następnych poświęconych cichemu stapaniu po małym mieszkaniu, zaczęło mi wydawać się, że źródłem buczącego dźwięku był głos, bardzo głęboki głos, brzmiący jakby ktoś dokonywał jakiegoś odczytu lub przemawiał do publiczności tonem pełnym władczej pewności siebie. Jednakże nie byłem w stanie rozróżnić choćby pojedynczego słowa z tego, co było mówione, słyszałem jedynie buczącą intonację i głęboki pogłos, dobywające się spod podłogi mojego małego mieszkania schowanego na tyłach domu czynszowego.

Aż do tamtego czasu nawet nie podejrzewałem istnienia piwnicy w domu, na parterze którego mieszkałem. Jeszcze mniej przygotowany byłem na dokonane w końcu odkrycie, że pod niedużym, wytartym dywanem, stanowiącym jedyne

przykrycie podłogi w moim pokoju, kryła się klapa - otwór prowadzący, jak się wydawało, do piwnicy lub sutereny istniejącej (poza wszelkimi moimi podejrzeniami) pod dużym domem czynszowym. Lecz było coś dodatkowo niezwykłego w tej klapie poza jej obecnością w moim małym mieszkaniu oraz faktem, iż implikowała istnienie jakiejś piwnicy w domu. Choć klapę osadzono w deskach podłogi, w żadnym wypadku nie wydawała się *ich częścią*. Gdy tak się zastanawiałem, nie sprawiała wrażenia wykonanej z drewna, ale z czegoś o skórzastej fakturze, uschłej i nierównej, spękanej w niektórych miejscach, jak gdyby nie pasowała do z grubsza równych desek podłogi, wyraźnie kontrastując z nią kształtami i kątami, całkowicie pozbawionymi jakichkolwiek regularności mieszczących się w standardach właściwych kłapom podłogowym domów czynszowych. Nie potrafiłem nawet ocenić, czy ta skórzasta klapa ma cztery boki, czy pięć, czy jeszcze więcej, tak bardzo bezkształtna i zdeformowana była jej toporna i pomarszczona powierzchnia, a przynajmniej na taką wyglądała w księżycowej poświacie, po tym jak zerwałem się w stan czuwania w moim małym mieszkaniu schowanym na tyłach kamienicy. Jednakże byłem całkowicie pewien, że głęboki głos, buczący i buczący przez cały czas, gdy badałem klapę, dobywał się z miejsca, piwnicy bądź sutereny, znajdującej się bezpośrednio pod moim mieszkaniem. Byłem tego pewien, ponieważ wystarczyło na moment przyłożyć dłoń do skórzastej, nieregularnej powierzchni, by przez ten moment poczuć, jak *pulsuje* w sposób odpowiadający sile i rytmowi głosu, którego nierozpoznawalne słowa rozbrzmiewały przez resztę nocy, słabnąc dopiero przed nastaniem świtu.

Ponieważ tamtej nocy już nie usnąłem, zimnego i

pochmurnego późnojesiennego poranka opuściłem moje mieszkanie schowane na tyłach domu czynszowego i zacząłem błąkać się po ulicach miasteczka spod północnej granicy. Tego dnia zacząłem postrzegać miasteczko, w którym mieszkałem już od jakiegoś czasu, z perspektywy, jakiej nie znałem do tej pory. Wspomniałem już, że miasteczko pod północną granicą było miejscem, w którym, jak zakładałem, przyjdzie mi pewnego dnia umrzeć; co więcej, mogę powiedzieć, że było miejscem, w którym pragnąłem skończyć z tym wszystkim, i tą intencją bądź życzeniem cieszyłem się w niektórych momentach i niektórych miejscach, wliczając w to moje mieszkanie w jednej z najstarszych dzielnic miasteczka. Jednakże kiedy zimnego, chmurnego późnojesiennego poranka, a następnie przez resztę dnia błąkałem się ulicami, całe poczucie otoczenia, jak i przeczucie, że moja egzystencja zostanie zakończona w tym właśnie otoczeniu, zaczęły przeobrażać się w zupełnie nieoczekiwany sposób. Miasteczko, rzecz jasna, zawsze przejawiało pewne osobliwe i często głęboko zaskakujące właściwości oraz cechy. Prędzej czy później każdy z jego stałych mieszkańców stawał w obliczu czegoś niemal nieznośnie dziwnego i zwyrodniałego.

Błąkając się tą czy inną uliczką w ciągu tamtego ranka aż do późnego popołudnia, przypomniałem sobie pewną szczególną ulicę niedaleko rogatek miasta, pewną ślepą ulicę, gdzie wszystkie domy i budynki zdawały się wrastać w siebie, łącząc różne materiały z jakich je zbudowano w dziwny, wyszczerbiony konglomerat o masywnych proporcjach architektonicznych, pełen szpiczastych dachów i strzelistych kominów lub wieżyczek, które kołysały się i pojękiwały wyraźnie nawet podczas łagodnych zmierzchów wczesnego

lata. Pomyślałem, że więcej nie należy się spodziewać, że to absolutna granica niezwykłości, tymczasem dokładnie w chwili, gdy zrodziła się we mnie ta myśl, zorientowałem się, że z tą ulicą wiązało się coś jeszcze, coś, co sprawiało, że mieszkańcy okolicy powtarzali każdemu, kto ich słyszał, pewne szczególne hasło bądź inkantację. „Kiedy usłyszysz śpiew - mówili - będziesz wiedzieć, że nadszedł czas”. Słowa te wymawiano, co sam słyszałem, jakby osoby je wygłaszające usiłowały się usprawiedliwić lub ochronić w sposób niemożliwy do dokładniejszego wytłumaczenia. I niezależnie od tego, czy ktoś słyszał ten śpiew, czy to, co nazywano *śpiewem*; niezależnie od tego, czy ten niejasny i niewypowiedziany czas kiedykolwiek nadszedł lub miał nadejść dla tych, którzy przybyli na ulicę, której domy i inne budynki łączyły się ze sobą, wystrzelając w niebo, zawsze trwało w tobie uczucie, że to jest wciąż to miejsce - miasteczko pod północną granicą - do którego przybyłeś żyć i którego, w twoim przekonaniu, zostaniesz stałym mieszkańcem aż do dnia, gdy zdecydujesz się odejść lub umrzesz, być może wskutek nieszczęśliwego wypadku albo wyniszczającej choroby, jeżeli nie z własnej ręki. Lecz tamtego pochmurnego późnojesiennego poranka nie potrafiłem utrzymać w sobie tego uczucia; nie po tym, jak zerwałem się w stan czuwania ubiegłej nocy, nie po tym, jak usłyszałem buczący głos wygłaszający przez kilka godzin z rzędu niezrozumiałe kazanie, i nie po tym, jak ujrzałem tę skórzastą klapę, na której położyłem dłoń jedynie na chwilę, by niemal natychmiast wycofać się w najdalszy kąt małego mieszkania, gdzie pozostałem aż do świtu.

Nie ja jeden zauważyłem zmianę, jaka dokonana się w miasteczku. Zdałem sobie z tego sprawę, kiedy nadciągnął

zierzch i coraz więcej spośród nas zaczęło gromadzić się na rogach ulic, w zaułkach i opuszczonych witrynach lub starych biurkach, w których większość mebli była zniszczona, a nieaktualne kalendarze zwisały krzywo ze ścian. Niektórym osobom trudno było powstrzymać się od zwracania innym uwagi na fakt, że z czasem jak cienie zmierzchu zagarniały dzień, jakby robiło się nas mniej. Nawet pani Glimm, której pensjonat i dom publiczny w jednym jak zawsze zaludniała klientela z zewnątrz, przyznała, że wśród stałych mieszkańców miasteczka spod północnej granicy doszło do „zauważalnego ubytku” w liczbie osób.

Pewien człowiek, pan Pell (czasami *doktor Pell*), o ile wiem jako pierwszy użył słowa „zniknięcia”, by podczas jednego z naszych wieczornych spotkań objaśnić przyczynę lekkiego spadku populacji miasteczka. Siedział w cieniu, po drugiej stronie przewróconego biurka lub regału, więc jego słowa, szeptane w stronę zacienionego przejścia, być może do kogoś stojącego lub leżącego w ciemnościach po drugiej stronie, nie były do końca zrozumiałe. Jednakże kiedy wprowadzono to pojęcie - „zniknięcia”, ma się rozumieć - okazało się, że kilka osób, szczególnie tych zamieszkujących miasto dłużej niż większość z nas lub żyjących w najstarszych jego dzielnicach dłużej niż ja tam żyłem, ma coś do powiedzenia na ten temat. Od jednego z tych ostatnich, weterana wszelkiej histerii, dowiedziałem się o demonicznym kaznodziei, wielebnym Corku, którego kazanie, rozbrzmiewające spod skórzastej kłapy w moim mieszkaniu, prawdopodobnie słyszałem ubiegłej nocy.

- Ale nie otworzyłeś tych drzwi? - zapytał nieco bojaźliwym głosem stary histeryk. Siedzieliśmy we dwójkę na drewnianych skrzyniach znalezionych przy wejściu do wąskiej

uliczki. - Powiedz - nalegał, podczas gdy światło latarni spływało na jego chudą twarz pośród zmierzchu. - Powiedz, że nawet nie zerknąłeś na ułamek sekundy na to, co znajduje się po drugiej stronie klapy. - Wówczas odparłem, że nie uczyniłem niczego takiego. Nagle roześmiał się histerycznie głosem jednakowo piskliwym, co niezwykle szorstkim.

- Oczywiście, że nie zerknąłeś na drugą stronę klapy - powiedział, kiedy w końcu się uspokoił. - Gdybyś to zrobił, nie byłoby cię *tutaj ze mną*, byłbyś *tam*, razem z *nim*.

Pomijając błazenadę i bojaźliwy ton głosu starego histeryka, w jego słowach krył się pewien sens, korespondujący z tym, czego doświadczyłem w mieszkaniu oraz z doznanyim tego dnia wrażeniem dogłębnej przemiany, jaka zaszła w miasteczku spod północnej granicy. Z początku jałem wyobrazić sobie postać wielebnego Córka jako ducha zmarłego, kogoś, kto „zniknął” w całkowicie naturalny sposób. W tym kontekście mogłem uważać się za ofiarę nawiedzenia w dużym domu czynszowym, gdzie bez cienia wątpliwości wiele osób w taki czy inny sposób zakończyło swój żywot. Ta metafizyczna podbudowa zdawała się doskonale wpasowywać w moje niedawne doświadczenia i w żaden sposób nie była sprzeczna z tym, co zostało mi powiedziane w wąskiej uliczce, kiedy zmierzch przedzierzgnął się w wieczór. Wszak byłem *tutaj*, w miasteczku pod północną granicą, w towarzystwie starego histeryka, nie zaś *tam*, w krainie zmarłych, z demonicznym kaznodzieją, wielebnym Corkiem.

Jednakże im dłużej trwała noc, a ja spotykałem kolejnych mieszkańców miasta, którzy żyli w nim o wiele dłużej ode mnie, stawało się jasne, że zarówno wielebny Cork, którego głos wygłaszający „kazanie” słyszałem uprzedniej nocy, nie był wcale martwy, przynajmniej w powszechnym

znaczeniu tego słowa, jak i że spośród osób, które zniknęły w ostatnim czasie, jak się dowiedziałem, wiele wcale nie zniknęło w żadnych tajemniczych okolicznościach, ale po prostu wyjechało z miasteczka spod północnej granicy, nikogo o tym nie powiadamiając. Według kilku histeryków i hochsztaplerów, z którymi rozmawiałem tam tej nocy, dokonali tego pospiesznego exodusu, gdyż „ujrzeli znaki”, tak jak ja ujrzałem skórzastą klapę, której istnienia w moim mieszkaniu wcześniej całkowicie nie podejrzewałem.

Chociaż wcale w ten sposób o tym nie pomyślałem, kłapa zdająca się prowadzić do piwnicy zamieszkiwanego przeze mnie domu czynszowego, okazała się jednym z najbardziej typowych tak zwanych „znaków”. Każdy z nich, jak historycznie przyznawało wiele osób, stanowił swego rodzaju *próg* - bramę lub przejście, do którego lepiej było nie wchodzić ani w ogóle się doń nie zbliżać. Wiele spośród tych znaków przybrało w istocie formy rozmaitych rodzajów drzwi, szczególnie takich, które można było odnaleźć w dziwnych, ustronnych miejscach, jak na przykład miniaturowe drzwi z tyłu schowka na miotły lub drzwi pojawiające się na wewnętrznej ścianie kominka, a nawet drzwi, które zdawały się nie prowadzić w żadne konkretne miejsce, jak w wypadku kłapy w mieszkaniu na parterze czynszowego domu, który nie posiadał piwnicy, przynajmniej takiej, do której można było się dostać. Słyszałem także o innych „znakach - progach”, wliczając w to ramy okienne wstawione w najbardziej dziwaczne miejsca, klatki schodowe opadające spiralą w głąbiny poniżej poziomu zwykłych piwnic, lub wiodące pod ziemię wprost z ustronnie położonych chodników, a nawet przybierające postać wąskich, uchylających się zapraszająco bram, wiodących na ulice, o których istnieniu do tej pory nikt

nie wiedział.

Lecz wszystkie spośród znaków bądź progów zdradzały się przez charakterystyczny wygląd, który według tego, co mówiły osoby świadome tego typu spraw, w dużej mierze odpowiadał uschłej, skórzastej klapie w moim mieszkaniu, nie wspominając już o tym, że prezentowały te same rodzaje kształtów i kątów, uderzająco dziwacznych na tle otoczenia, w jakim się znajdowały.

Niemniej wciąż były osoby, które z tej czy innej przyczyny decydowały się ignorować znaki lub okazywały się niezdolne oprzeć się pokusie przekroczenia progów, jakie pojawiły się nocą w najbardziej nieoczekiwanych miejscach miasteczka spod północnej granicy. Wszystko wskazywało na to, przynajmniej w tym momencie, iż demoniczny kaznodzieja, wielebny Cork, był jednym z tych, którzy „zniknęli” właśnie w taki sposób. I kiedy wieczór przeistoczył się w noc roziskrzoną brylantami gwiazd, uświadomiłem sobie, że wcale nie padłem ofiarą *nawiedzenia*, jak wcześniej przypuszczałem, lecz byłem świadkiem zjawiska całkiem innej natury.

- Wielebny przepadł podczas ostatnich zniknięć - powiedziała stara kobieta, której twarz ledwie dostrzegałem w blasku świecy oświetlającej obszerny, rozbrzmiewający echem westybul nieczynnego hotelu, w którym niektórzy z nas zgromadzili się po północy. Niemniej ktoś nie zgodził się ze starą kobietą lub „skretyniałą wiedźmą”, jak osoba ta nazwała kobietę. Kaznodzieja, jak stwierdziła ta osoba dokładnie tymi słowami, przynależał do starego *miasta*. Wówczas po raz pierwszy usłyszałem określenie „stare miasto”, ale zanim pojąłem jego pełen sens i dalsze implikacje, zaczęło przechodzić przemianę pośród tych, którzy zebrali się po północy w nieczynnym hotelu. Podczas gdy człowiek, który

nazwał starą kobietę „skretyniała wiedźmą”, kontynuował mowę o „starym mieście”, w którym, jak powiedział, wielebny Cork rezydował lub z którego *pochodził*, stara kobieta oraz kilkoro tych, którzy wzięli jej stronę, mówili jedynie o *innym mieście*.

- Nikt nie *pochodzi* z innego miasta - powiedziała kobieta do człowieka, który nazwał ją skretyniałą wiedźmą. - Są jedynie ci, którzy przepadają w innym mieście, wśród nich demoniczny kaznodzieja, wielebny Cork, który mógł być śmiesznym hochsztaplerem, ale z pewnością nikiem *demonicznym*, przynajmniej do chwili, w której zniknął za klapą w podłodze mieszkania, w którym ten dżentelmen - rzekła, wskazując na mnie - zeszłej nocy słyszał jego nauczanie.

- Ty skretyniała wiedźmo - powiedział ten drugi - stare miasto istniało dokładnie tam, gdzie istnieje teraz miasteczko spod północnej granicy... do dnia, gdy zniknęło, wraz z tymi, którzy je zamieszkiwali, z demonicznym kaznodzieją, wielebnym Corkiem włącznie.

Wówczas ktoś jeszcze inny, kto spoczywał ukryty głęboko wśród poduszek na starej otomanie w westybulu, dodał:

- To było miasto demonów, zamieszkiwane przez demoniczne byty wszelkiego rodzaju, które uczyniły wszystko niewidzialnym. Teraz rozmieszczają *progi*, żeby zwabiać kolejnych z nas, kiedy my chcielibyśmy tylko żyć w miasteczku spod północnej granicy, a nie w nieznośnym mieście demonów.

Niemniej stara kobieta oraz kilkoro tych, którzy wzięli jej stronę, upierali się, by nie mówić o *starym mieście* lub o niewidzialnym *mieście demonów*, lecz o *innym mieście*, które,

w czym zgodzili się co do jednego, nigdy nie egzystowało w sposób, o którym można mówić, i stanowiło jedynie metafizyczne tło dla miasteczka spod północnej granicy, które wszyscy znaleźmy i w którym wielu z nas gorąco pragnęło zakończyć swoje życie. Niezależnie od tego, jakie były fakty w tej sprawie, jedna kwestia raz za razem wbijała się w mój umysł: że było możliwe uzyskanie spokoju, bez względu na to, jaką kryjówkę by się obrało. Nawet w miasteczku pod północną granicą, miejscu tak chaotycznej dziwaczności i zwyrodnienia, wciąż czaił się jeszcze większy chaos, jeszcze głębsze szaleństwo, niż ktokolwiek by się spodziewał, niż ktokolwiek brałby pod uwagę - wszędzie, gdzie istnieje cokolwiek, istnieją też chaos i szaleństwo w takim stopniu, że nikt nigdy nie będzie w stanie dojść z nimi do ładu i że jest jedynie kwestią czasu, zanim twój świat, jakikolwiek myślisz, że jest, zostanie naruszony, o ile nie kompletnie spustoszony przez inny świat.

Jeszcze długo w noc toczyły się dyskusje, omawiano teorie i wysuwano drobne zastrzeżenia odnośnie widmowych miast i zupełnie niewidmowych progów, służących zredukowaniu liczby stałych mieszkańców miasteczka spod północnej granicy, zarówno poprzez spowodowanie ich zniknięcia w ustronnie położonych drzwiach, oknach, klatkach schodowych prowadzących w głąb ziemi wprost z chodników lub w fantomowych ulicach, jak i poprzez zmuszenie ich do opuszczenia miasta, które z jakiegoś powodu stało się lub sprawiało wrażenie, że się stało, czymś zupełnie innym niż miejsce, które znali do tej pory, lub które wydawało im się, że znają od tak dawna. Nigdy nie dowiem się, czy udało się pogodzić sprzeczne stanowiska, gdyż opuściłem nieczynny hotel, gdy dyskusja dopiero przybierała na sile. Jednak nie

wróciłem do mojego małego mieszkania w jednej z najstarszych dzielnic miasteczka. Zamiast tego powlokłem się na cmentarne wzgórze i zatrzymałem między grobami, aż nadszedł zimny, pochmurny ranek, taki sam jak dzień wcześniej. Wiedziałem już, że nie umrę w miasteczku pod północną granicą, zarówno wskutek nieszczęśliwego wypadku, jak i wyniszczającej choroby, a nawet nie z własnej ręki, a tym samym nie zostanę pochowany na cmentarnym wzgórzu, z którego spoglądałem teraz na miejsce, w którym żyłem od tak dawna. Przemierzyłem tego ranka ulice miasteczka pod północną granicą po raz ostatni i odkryłem, że z jakiegoś powodu przemieniły się w coś zupełnie innego niż to, czym były dawniej lub czym wydawały się być. Była to dla mnie jedyna pewna rzecz. Przez chwilę rozważałem powrót do miasteczka, odnalezienie jednego z nowo powstałych progów i przekroczenie przezeń, nim znów wszystkie tajemniczo znikną, abym mógł zniknąć razem z nimi, trafiając do innego miasta, do starego miasta, gdzie być może odnalazłbym jeszcze więcej tego, co wydawało mi się, że straciłem w miasteczku spod północnej granicy. Być może coś tam rzeczywiście było - po tej drugiej stronie miasta - coś podobnego do ślepej uliczki, gdzie, jak zostało powiedziane, „kiedy usłyszysz śpiew, będziesz wiedzieć, że nadszedł czas”.

I choć być może nigdy nie miało być mi dane umrzeć w miasteczku pod północną granicą, również nigdy nie musiałem go opuszczać. Tego typu myśli zawierały w sobie oczywiście jeszcze więcej chaosu i szaleństwa. Jednakże nie spałem od dwóch nocy. Byłem zmęczony i bolało mnie każde złamane marzenie, jakie kiedykolwiek nosiłem w sobie. Być może pewnego dnia poszukam innego miasteczka w innym kraju, gdzie skończę z tym wszystkim lub przynajmniej

odczekam, pogrążony w fatalistycznym delirium, aż stanie się koniec. Teraz nastał czas jedynie na to, by po cichu odejść.

Lata później dowiedziałem się, że istniał pewien ruch mający na celu „wyczyszczenie” miasteczka spod północnej granicy z tego, co gdzie indziej uważano za „skażony element”. Przybywszy do miasta, wyznaczeni do prowadzenia tej sprawy śledczy odkryli jedynie opustoszałe miejsce, gdzie pozostało jedynie kilkoro mieszkańców - histeryków i hochsztaplerów, mamroczących bez końca o „innych miastach” lub „demonicznych miastach”, a nawet o „starym mieście”. Pośród tych osobników była pewna krzykliwie ubrana stara kobieta, uważająca się za właścicielkę domu czynszowego oraz kilku innych nieruchomości. Te miejsca, jak powiedziała, podobnie jak wiele innych lokalizacji w miasteczku, bez konkretnej przyczyny obróciły się w niemieszkalne i bezużyteczne budynki. Oświadczenie to wydawało się podsumowywać ustalenia śledczych, którzy ostatecznie sporządzili raport zbywający wszelkie zagrożenia, jakie mogło przedstawiać sobą miasteczko spod północnej granicy, które czymkolwiek było lub wydawało się być, stanowiło genialny wytwór najbardziej zdradzieckich iluzji.

Przeł. Wojciech Gunia

ZNISZCZENI I ZGNĘBIENI

TEATRO GROTTESCO

Pierwszą rzeczą, którą odkryłem, był fakt, że nikt *nie spodziewa się* Teatro. Nikt nie powie, ani nie pomyśli: „Skoro Teatro nie występowało jeszcze w tym mieście, wkrótce powinniśmy spodziewać się odwiedzin”, czy „Nie bądźmy zdziwieni, gdy to się stanie. Wiecie co? Minęły przecież lata od ostatniego razu.” Nawet jeżeli jakieś miasto jest miejscem szczególnie upodobanym przez Teatro, nie ma przesłanek pozwalających przewidzieć jego nadejście. Nie ma ostrzeżeń, nie ma fanfar zwiastujących, że zaczyna się kolejny sezon Teatro lub że *inny sezon* tego rodzaju już wkrótce nastanie. Jeżeli jednak w mieście funkcjonuje coś, co zwykle nazywać się „podziemiem artystycznym” i jednocześnie zainteresowana osoba ma bliski kontakt z ową społecznością, istnieją spore szanse, by odkryła, że wydarzenie to już się zaczęło. To wszystko, czego można oczekiwać.

Przez pewien czas były to wyłącznie pogłoski, porzekadła i sny. Każdy, kto przez kilka dni nie zjawił się w określonym lokalu, księgarni, czy na wernisażu, stawał się przedmiotem spekulacji. Większość zgrai, o której mówię, wiodła nieuporządkowany tryb życia, wręcz balansując na krawędzi. Każdy z nich mógł w każdej chwili zabrać rzeczy i zwyczajnie zniknąć, nie uprzedzając nikogo. Ostatecznie, wszyscy spośród rzekomo zaginionych w którymś momencie i tak się odnajdowali. Jedną z takich osób był reżyser, którego krótkometrażowy film pt. „Prywatne piekło” stanowił jedną z ciekawszych produkcji podczas jednodniowego, miejscowego festiwalu. Nikt jednak nie widział reżysera - ani w trakcie pokazów, ani na bankiecie, który odbył się potem.

- Pewnie odjechał z Teatro - rzekł ktoś zblazowanym tonem, uśmiechając się porozumiewawczo, co inni odwzajemniali, stukając się kieliszkami w sarkastycznym geście toastu pożegnalnego.

Mimo to, zaledwie tydzień później widziano go w tylnych rzędach kina pornograficznego. Zarzekał się, że jego nieobecność związana była z pobytem w szpitalu po ciężkim pobiciu przez ludzi, których filmował, a którzy sobie tego nie życzyli. Brzmiało to wiarygodnie, biorąc pod uwagę tematykę jego pracy, lecz mimo iż wciąż nosił bandażę, z jakiegoś powodu nikt nie dawał wiary jego opowieści.

- Oczywiście, że miało to związek z Teatro - przekonywała lubująca się w purpurowych strojach kobieta, będąca jednocześnie przyjaciółką filmowca. - Praca *jego*, praca *Teatro*... - dodała, pokazując wszystkim skrzyżowane palce.

Czym właściwie była „praca Teatro”? Słyszałem tę frazę wielokrotnie z ust najróżniejszych ludzi i nie zawsze byli to pretensjonalni, nadęci artyści. Z pewnością nie brakowało anegdot, których wymowa rzucała światło na charakter i działalność owej „okrutnej trupy” - określenia używanego przez ludzi przesądnych na tyle, by nie wypowiedzieć nazwy Teatro Grottesco na głos. Aczkolwiek, składanie tych wszystkich historii w spójną całość, pomijając już, czy są prawdziwe czy nie, to zupełnie osobna sprawa.

Dla przykładu, jednego wieczora kobieta w purpurze, o której wspominałem, oczarowywała nas opowieścią na temat współlokatora jej kuzynki - domorosłego artysty, pracującego na nocnej zmianie jako sprzedawca sieciowego supermarketu na przedmieściach. Pewnego grudniowego poranka, mniej więcej godzinę przed świtem, wracał z pracy wąską uliczką, równoległą do tamtejszej alei handlowej, wypełnionej

pawilonami i budkami sklepowymi. Drobne płatki śniegu pokrywały w nocy chodnik równomierną warstwą puchu, rozświetlanego teraz przez pełnię księżyca, który zdawał się unosić tuż nad krańcem alejki. Artysta ujrzał w oddali postać, jednak coś podczas tej zimowo-porannej wizji nakazało mu przystanąć i przyjrzeć się jej uważnie. Mimo oczu nawykłych do różnicowania rozmiarów, kształtów i perspektyw, uchwycenie sylwetki wydało mu się trudne, wręcz niemożliwe. Nie potrafił ocenić, czy jest wysoka, niska, czy się w ogóle przemieszcza - w jego stronę lub zupełnie przeciwną - czy stoi w miejscu. W chwili, w której pograżył się w halucynacyjnym zdumieniu, postać znalazła się tuż przed nim, na środku ulicy.

Księżyc rozświetlał drobną sylwetkę człowieka - kompletnie nagiego, wyciągającego ręce, jakby chciał pochwycić przedmiot znajdujący się poza ich zasięgiem. Było w tym coś niepokojącego. Jego skóra była blada, a dłonie czarne, nieproporcjonalnie wielkie na tle postury. W pierwszej chwili artysta pomyślał, że człowiek ten ma na sobie rękawice dużego rozmiaru. Jego ręce wydawały się być oblepione puchem - tak jak ulica oblepiona była puchem padającego tej nocy śniegu, z tą jedyną różnicą, że śnieg był biały, a dłonie czarne.

Padające światło księżyca nadawało rękawicom wygląd zwierzęcych łap. Wygląd, któremu artysta był niemal gotów uwierzyć - że była to para łap, które jedynie wydawały się parą czarnych rękawic. Wówczas obie rozszczepiły się w długie, wychudzone paluchy, wijące się wściekle w księżycowej poświacie. Jednakże, nie mogły to być palce dłoni, ponieważ było ich zbyt wiele. Tak samo, jak palce nie mogły być palcami, tak dłonie nie mogły być dłońmi, ani łapy łapami

- nie bardziej, niż rękawicami. Przez cały czas, człowiek stawał się coraz mniejszy w księżycowej poświacie, jakby oddalał się od zahipnotyzowanego wizją artysty. Jego ledwie słyszalny głos w końcu wyszeptał: „Nie jestem już w stanie utrzymać ich z dala od siebie. Staję się coraz mniejszy i słabszy.” Słowa te zmieniły rozgrywający się scenariusz zimowego poranka w coś, co okazało się zbyt przytłaczające - nawet samozwańczego „artysty trzewi”.

W kieszeni płaszcza odnalazł podręczny nożyk, którym otwierał pudełka na zmianie w supermarkecie. Tak jak w przeszłości niejednokrotnie zdarzało mu się nim zaciąć, tak teraz, w świetle księżyca, wykonał kilka cięć, które zabarwiły biały świat czerwienią. Biorąc pod uwagę rozgrywające się wydarzenia, czyn ten wydał mu się w pełni usprawiedliwiony - wręcz aktem miłosierdzia. Mężczyzna stawał się coraz mniejszy.

Artysta rzucił się wtedy biegiem przez aleję, nie zatrzymując, nim nie dotarł do wynajmowanego ze współlokatorską mieszkania. To ona zadzwoniła na policję, relacjonując, że w takim i takim miejscu w śniegu znajduje się ciało. Odłożyła słuchawkę, nie zostawiając nawet nazwiska. Od tamtej pory artysta i jego współlokatorka całymi dniami i tygodniami przeglądali lokalne gazety w poszukiwaniu wzmianki na temat niezwykłego znaleziska, jakiego policja musiała dokonać w tamtej uliczce. Żadna jednak się nie ukazała.

- Sami widzicie, jak tuszuje się niektóre wypadki - wyszeptała kobieta w purpurze.

- Policja doskonale wie, co się dzieje. Istnieje nawet *specjalny* wydział zajmujący się tymi sprawami. Nic jednak nie rozgrywa się publicznie i nikogo nie przesłuchują. Mimo to, po

wydarzeniach tamtego dnia, moją kuzynkę i jego współlokatora nieraz śledzili z nieoznakowanych pojazdów. Wydział doskonale zdawał sobie sprawę, że to właśnie do artystów - czy, mówiąc ogólniej, osób wrażliwych artystycznie - zbliża się Teatro. Dobrze wiedzą, kogo mieć na oku, kiedy coś się wydarzy. Chodzą nawet pogłoski, że ludzie z tego wydziału sami są poplecznikami „przedsiębiorstwa koszmarów”.

Nikt z nas nie dawał jednak wiary historyjkom na temat Teatro opowiadanych przez kobietę w purpurze, tak samo jak nie dawano wiary jej przyjacielowi - filmowcowi, kiedy zaprzeczał insynuacjom wiążącym jego osobę z Teatro. Z jednej strony przychylaliśmy się do relacji kobiety sugerującej istnienie koneksji jej przyjaciela - autora krótkometrażowego filmu „Prywatne piekło” - z Teatro, z drugiej zaś z pewną dozą drwiny podchodziliśmy do historyjki o współlokatorce, samozwańczym artyście i całym tym wydarzeniu na śniegu w alei.

Różnice w postrzeganiu tych dwóch opowieści nie były na tyle naturalne, na ile mogłoby się wydawać. Nie chodzi nawet o to, że sprawa filmowca była bardziej wiarygodna niż sprawa artysty, chociażby przez brak przekoloryzowanego opisu, którego obecność obciążała tę drugą. Do tego czasu bezkrytycznie chłoniliśmy wszystko, co dane nam było słyszeć na temat Teatro bez względu na to, jak dziwaczne były to relacje, ani jak bardzo przeczyły weryfikowalnym prawdom, czy nawet spójności wizerunku zjawiska. Jako artyści podejrzewaliśmy, że absorbowanie umysłów tym otaczającym Teatro obłędem, leży w naszym interesie. Nawet ja, pisarz prozy nihilistycznej, pochłaniałem niespójności wybujałych absurdów, opowiadanych za ławą w bibliotecznej ciszy, albo w restauracyjnym gwarze. Jednym słowem,

rozkoszowałem się *nierealnością* tych opowieści. Prawdy, jakie ze sobą niosły, przy założeniu, że jakiegokolwiek niosły, były niematerialne. Nigdy też żadnej nie kwestionowaliśmy - opowieść kobiety w purpurze o „artyście trzewi” i wydarzeniach w ośnieżonej alei była pierwszą, którą poddaliśmy w wątpliwość.

Należy jednak podkreślić, że natura owej wątpliwości w żaden sposób nie wynikała z naszego poczucia rzeczywistości, czy rozsądku. Wynikała jedynie ze strachu podsycanego wolą wyparcia skrywanych przez nas lęków. Pewnych rzeczy - prawdziwych lub nie - nie porzuca się do momentu, kiedy nie obrócą się przeciwko nam. W pewnym sensie, cała sprawa z Teatro ostatecznie odcisnęła piętno na naszych nerwach, równoważnie oscylując między odurzającym szaleństwem, a szaleństwem zagrażającym umysłowi. Co zaś tyczy się kobiety w purpurze... unikaliśmy jej. To typowe dla Teatro, by wysługiwać się kimś jej pokroju - twierdzili niektórzy.

Być może osąd tyczący się jej osoby nie był do końca sprawiedliwy. Nie ulega wątpliwości, że jej teorie dotyczące „zbliżania się Teatro” wprawiały nas w zakłopotanie, ale czy stanowiło to wystarczający powód, by wykluczyć ją z artystycznego podziemia - jedynej społeczności, która tak naprawdę stała przed nią otworem? Podobnie do wielu innych społeczności, nasza powstała w oparciu o podsycane strachem przesady, wystarczające by wzbudzać każde, nawet skrajne zachowania. Kobieta ta została napiętnowana z powodu zbyt bliskich powiązań z rzeczami, które były w swej naturze nieczyste. Nawet po tym, jak zdyskredytowano jej teorie związane z Teatro, jej pozycja nie uległa zmianie.

Odnoszę się w tym miejscu do opowieści, w której to nie Teatro *zbliżyło się* do artysty, lecz on sam wykonał pierwszy

krok w stronę Teatro, jak gdyby wiedziony impulsem niezawisłej woli.

Artysta, o którym mowa, był fotografem, człowiekiem pokroju tych, którzy silnie utożsamiają się z wykonywaną pracą. Jednocześnie był beznamiętnym, wyrachowanym typem, potrafiącym bez ogródek i wyraźnego powodu wpatrywać się w kogoś tak długo, aż dana osoba nie zareaguje, na ogół znikając z zasięgu wzroku lub, nierzadko, atakując fotografa, co zwykle kończyło się na ławie sądowej. Nic dziwnego, że ktoś taki jak on próbował skorzystać z usług Teatro, które, jak sam wierzył, podjęłoby się „doszczętnego zniszczenia wskazanej osoby”. Osobą tą miał być właściciel zamieszkiwanej niegdyś przez niego kamienicy - niski, łysiejący mężczyzna z wąsem, który po wyprowadzce odmawiał, z powodów słusznych lub nie, wypłacenia kaucji za najem.

W każdym razie Spence, bo tak miał na imię nasz artysta, przez kilka ostatnich miesięcy prowadził dochodzenie w związku z Teatro. Zbierane skrzętnie informacje - nieważne jak bardzo niejasne, czy podejrzane - zaprowadziły go ostatecznie do dzielnicy handlowej na starych przedmieściach, gdzie znajdował się jednopiętrowy budynek oferujący przestrzeń pod najem, wykorzystywane przez najróżniejsze osoby i zakłady: wypożyczalnię kaset wideo, stomatologa i, zgodnie ze spisem zawieszonym na fasadzie budynku, Teatr „Grottesco”. Na tyłach parteru, dokładnie pod studium tańca, znajdował się szereg pomieszczeń biurowych, opatrzonych wytłoczonym z szablonu napisem: „Przedsiębiorstwo TG”. Za przeszklonymi drzwiami, przy recepcji siedziała młoda, czarnowłosa kobieta w okularach z czarnymi oprawkami, całkowicie pochłonięta wypisywaniem jednej z kart

porozkładanych po biurku. Wszystko wskazywało na to, że Teatro, czy raczej Teatr, wcale nie był tym, za co Spence go uważał, jednak wnosząc z opowieści, wcale się tym faktem nie zraził. Wszedł do środka, zatrzymał się przy stanowisku recepcjonistki i przedstawił, wymieniając zawód w przekonaniu, że rzeczą najwyższej rangi jest zaprezentować się jako artysta, a przynajmniej jako osoba o wysokiej wrażliwości artystycznej, zresztą całkowicie zgodnie z prawdą.

- Czym mogę służyć? - zapytała recepcjonistka, poprawiając okulary.

- Byłbym zainteresowany usługami Teatro, czy też Teatru, jak pani woli - wyszeptał Spence, pochylając się w stronę kobiety. Recepcjonistka zapytała, co dokładnie go interesuje, na co ten odparł:

- Doszczętne zniszczenie pewnej osoby.

Młoda kobieta, kompletnie niewzruszona oczekiwaniami Spence'a, zaczęła zbierać porozkładane na stole karty, wyjaśniając jednocześnie, że „Przedsiębiorstwo TG” to „usługi rozrywkowe”. Odłożywszy je na bok, wydobyła broszurę prezentującą działalność teatru - występy klaunów, iluzjonistów, oprawy rozmaitych okazji, w szczególności imprez dziecięcych.

Podczas gdy Spence przeglądał broszurę, recepcjonistka siadła ze złożonymi luźno dłońmi i wpatrywała się w niego zza szkieł okularów z czarnymi oprawkami. Oświetlenie biura było mocne, ale nie rażące, bledź ścian przesadnie czysta, zaś dywany, jak opisywał Spence, całkiem nowe, w odcieniu purpury zbliżonym do rzepy. Fotograf czuł się jak w centrum mirażu.

- To tylko przykrywka - odezwał się w końcu, rzucając

broszurę na biurko recepcjonistki. Jednak kobieta podniosła ją tylko i bez pośpiechu schowała do szuflady.

- Co macie tam za drzwiami? - dopytywał Spence, wskazując na drugi koniec pomieszczenia. W tej samej chwili zza drzwi dobiegł łomot przypominający dźwięk ciężkiego przedmiotu rozbijanego o ziemię.

- Nauka tańca - odrzekła recepcjonistka, wskazując na sufit.

- Być może - przyznał Spence, niemniej jednocześnie przysięgłby, że usłyszany dźwięk przypominał „otchłanny pogłos”, przyprawiając go o nagły atak paniki. Z całych sił starał się stamtąd nie ruszać, jednak wola pozostania dłużej w tym miejscu przegrała z samozachowawczym impulsem jego jak najszybszego opuszczenia. Fotograf odwrócił się od recepcjonistki i w szklanych drzwiach ujrzał swoje odbicie. Obserwowała go zza, ujętych w czarne oprawki, szkieł okularów, a wytłoczony z szablonu napis na drzwiach był odwrócony, niczym w lustrzanym odbiciu. Chwilę później, Spence znalazł się na zewnątrz budynku na starych przedmieściach. Zapewniał, że serce łomotało mu całą drogę powrotną.

Następnego dnia, złożył wizytę właścicielowi zamieszkiwanej przez siebie kamienicy w jego miejscu urzędowania - małym, obskurnym biurze centrum miasta. Zarzucając pomysł współpracy z Teatro, musiał na własną rękę odzyskać kaucję z najmu. Zamierzał więc rozsiąść się w biurze właściciela i wpatrując się w jego oczy drażniącym, fotograficznym spojrzeniem, zmusić do uległości. Gdy dotarł na miejsce - to jest na szóste piętro doszczętnie przygnębiającego w swym wyglądzie biurowca - rozsiadł się w fotelu naprzeciw ławy i zaczął wpatrywać się w niskiego,

łysiejącego mężczyznę z wąsem. Ten jednak ledwie odwzajemniał spojrzenie. Jakby tego było mało, Herman Zick (bo tak się nazywał) raz po raz, pochylał się w jego stronę i szeptał: „Wiesz, że to wszystko jest zgodne z prawem”. Spence cały czas wpatrywał się w Zicka, ale ten nie ulegał przenikliwości jego spojrzenia - w końcu nie był ani artystą, ani wrażliwą artystycznie osobą, jak większość dotychczasowych ofiar fotografa. Pojedynek trwał bez mała godzinę - z jednej strony Zick powtarzający: „Wszystko zgodne z prawem”, z drugiej Spence, próbujący utrzymać wzrok na mężczyźnie, którego pragnął doszczętnie zniszczyć.

Ostatecznie to Spence pierwszy stracił nad sobą panowanie. Poderwał się z fotela i jął wykrzykiwać nieskładne oszczerstwa w stronę kamienicznika. Zick obszedł zwinnie biurko, pochwycił go i wyprowadził z maleńkiego biura, zamykając na korytarzu. Minęły niespełna dwie sekundy, gdy otworzyły się drzwi windy naprzeciwko biura Zicka na szóstym piętrze. Ze środka wyszedł mężczyzna w średnim wieku, ubrany w czarny garnitur i okulary w czarnych oprawkach. Miał czarną brodę, miejscami przeplatana siwizną, zaś w lewej dłoni trzymał pomietą, brązową torbę. Mijając Spencea zaledwie o krok, zbliżył się do drzwi i przekręcił kilka razy czarną gałką, w jedną i drugą stronę. Zgrzyt zamka rozległ się echem po korytarzu, mężczyzna spojrzał w stronę Spencea, uśmiechnął się przez chwilę, po czym wszedł do środka.

W tym samym momencie fotograf ponownie doświadczył przyływu paniki - takiego samego jak w dniu, gdy odwiedził podmiejskie biuro „Przedsiębiorstwa TG”. Nie czekając, nacisnął przycisk wzywający windę, jednocześnie nasłuchując dźwięków z wnętrza biura kamienicznika. Spence

utrzymywał, że usłyszał taki sam koszmarny dźwięk, przed którym ratował się ucieczką, ów „otchłanny pogłos” - jak go określił. Brodaty mężczyzna w garniturze i okularach z czarnymi oprawami niespodziewanie wyłonił się z maleńkiego biura i skierował kroki do windy, której drzwi właśnie się otworzyły. Minął Spencea i wszedł do pustej kabiny. Spence pozostał na zewnątrz, bezradnie przyglądając się rozwojowi sytuacji oraz mężczyźnie wciąż trzymającemu małą, pomiętą torbę w dłoni. Na ułamek sekundy, nim drzwi windy ponownie się zamknęły, mężczyzna spojrzał w stronę Spence'a i mrugnął. Ten przysięgłby, że owemu mrugnieniu towarzyszył dźwięk mechanicznego pstryknięcia, które rozeszło się echem w ciemnościach korytarzy. Nim opuścił budynek, co zamierzał zrobić schodami, nacisnął klamkę do biura Zicka. Drzwi były otwarte. Wszedł ostrożnie do środka, jednak nikogo tam nie było.

Finał tych wydarzeń rozegrał się tydzień później, kiedy do skrzynki listowej fotografa wrzucono małą, kwadratową kopertę bez adresu zwrotnego. W środku znajdowała się fotografia. Spence zabrał ją do domu książki Des Esseintes', miejsca wieczornych spotkań literackich, gdzie przedstawialiśmy swoją najświeższą twórczość. Wiele osób należących do lokalnego podziemia artystycznego, włączając w to mnie, widziało tę fotografię oraz słyszało związaną z nią opowieść. Zdjęcie przedstawiało Spencea wewnątrz windy, wpatrującego się poważnym, przejętym wzrokiem w obiektyw; w rogu z prawej widoczny był nawet panel wyboru pięter.

- Nie widziałem tam żadnego aparatu - powtarzał Spence. - Ale to mrugnienie... i to, co napisali z tyłu - odwróciwszy zdjęcie, przeczytał odręcznie zapisaną notatkę:

„Mały człowiek jest jeszcze mniejszy. Niebawem dowie się o delikatnych czarnych gwiazdach. Minął już termin Twojej płatności.” Ktoś ze zgromadzonych zapytał, co mieli do powiedzenia na ten temat w siedzibie „Przedsiębiorstwa TG”, jednak Spence odpowiedział jedynie przeczącym kiwaniem głowy. „Tylko nie tam” - powtarzał w kółko. Z wyłączeniem mnie, od czasu tego wieczoru w Des Esseintes’ nikt go już więcej nie widział.

Spence przestał pojawiać się na spotkaniach i okazjonalnych wydarzeniach artystycznych, jednak nikt nie robił już docinek jakoby „przepadł z Teatro”. Byliśmy już ponad takimi uwagami. Nieskrywaną dumą napawała mnie świadomość filozoficznej dojrzałości, jaką wykształciliśmy w naszym podziemiu, którego część stanowiłem. Nie ma nic gorszego od obaw przed naruszeniem obszaru czyjejs świadomości poprzez zaindukowanie uprzednio nieznanych poziomów refleksji. Pod wpływem takiego napięcia intelektualnego zacząłem porządkować obserwacje i przemyślenia związane z Teatro, w szczególności dlatego, że wszystkie wiążące się z nim zdarzenia skupiały się na nas - artystach.

Bez względu na to, czy do danej osoby *zbliżało się* Teatro, czy to ta osoba decydowała się do niego *zbliżyć*, finał był zawsze i niezmiennie ten sam - zawieszała działalność artystyczną. Mój przypadek potwierdził tę regułę pod każdym względem. Reżyser, którego film krótkometrażowy „Prywatne piekło” cieszył się wśród nas powszechnym uznaniem, przerzucił się na redystrybucję filmów pornograficznych. Fotograf - domorosły artysta - również publicznie ogłosił zakończenie swej działalności, wszak przynoszącej mu skromne uznanie w artystycznym podziemiu. Według jego

współlokatorce, a jednocześnie kuzynki „purpurowej kobiety”, zarządzał teraz supermarketem, w którym pierwotnie pracował w roli zaopatrzeniowca. Co zaś tyczy się kobiety w purpurze, której sława jako artystki zaczęła się i zakończyła na stworzeniu „konstrukcji w cygarnicy”, z niemałym sukcesem zajęła się pośrednictwem w handlu nieruchomościami. Nie ulega wątpliwości, że niniejszy przegląd eks-artystów można by znacznie rozszerzyć. Wszelako na potrzeby tego sprawozdania czy wyznania (nazywaj to, jak ci się żywnie podoba), muszę zakończyć tę listę osób nie będących już dłużej artystami sobą, żeby dać wgląd w to, jak Teatro Grottesco mogło przemienić pisarza nihilistycznej prozy w istotę nieartystyczną, a dokładniej *post-artystyczną*.

Po zniknięciu fotografa, moje przypuszczenia związane z Teatro zaczęły się krystalizować, ostatecznie osiągając wyrazistą, artykułową formę - to niejasny proces, któremu jako pisarz ulegam w sposób nieunikniony. Do tego czasu wszyscy milcząco uznali za fakt, jakoby istniała specyficzna więź między Teatro, a artystami, do których Teatro się zbliżało, albo którzy sami zbliżali się do tej okrutnej trupy - czy to w wyniku ukierunkowanych usiłowań, jak w przypadku Spencea, czy zabiegów bardziej subtelnych, powiedziałbym wręcz - czysto intelektualnych (jednocześnie wzbraniając się przed słowem „nieświadomy”, choć niektórzy mogliby mieć zarzuty do takiej powściągliwości).

Wielu z nas wypowiadało się wręcz o Teatro jako przejawie nadsztuki, którego to pojęcia wygodnie nam było nie precyzować. Aczkolwiek, po zniknięciu Spence'a, cała posiadana przeze mnie wiedza na ten temat, bardziej lub mniej szczątkowa, zaczęła układać się w zupełnie nowy

wzorzec. Przede wszystkim, nie uważałem już za możliwe istnienia powiązań Teatro z nadsztuką, czy w ogóle z jakąkolwiek sztuką - wręcz przeciwnie. Jestem głęboko przekonany, że Teatro było i jest zjawiskiem dogłębnie destruktywnym względem wszystkiego, co można postrzegać jako sztukę. A zatem, Teatro było i jest dogłębnie destruktywne wobec wszystkich artystów, a nawet osób o wrażliwości artystycznej. Nie mam pojęcia (przynajmniej takiego, które byłbym w stanie przedstawić w zrozumiałych słowach), czy u podłoża tej niszczącej siły stoi jakakolwiek świadoma intencjonalność, czy jest to epifenomen niepowiązanego wyższego planu lub zamysłu, ani czy w ogóle istnieje jakakolwiek intencja, albo zamysł po stronie Teatro. Z kolei, jestem niemal absolutnie pewien, że konsekwencją nawiązania kontaktu z Teatro jest zakończenie działalności artystycznej. To dziwne, że mając świadomość tego faktu, postąpiłem tak, jak postąpiłem.

Nie potrafię jednoznacznie stwierdzić, czy to ja zbliżyłem się do Teatro, czy na odwrót; zresztą, jakie to ma znaczenie? Istotne jest, że odkrywszy antyartystyczną naturę fenomenu Teatro, natchnęła mnie myśl, by przemienić realizowaną przez siebie formę sztuki, czyli nihilistyczną prozę, w zjawisko o charakterze anty-Teatro. Jednak, aby to uczynić, potrzebowałem dogłębnej wiedzy na ich temat, jakiegoś wyróżniającego się sposobu działania tej okrutnej trupy, wyrazistego na tyle, by uzyskać wgląd w nieuchwytną subtelność natury ich pracy.

Fotograf Spence dał popis wizjonerstwa, przewidując sposób działania Teatro, prosząc o doszczętne zniszczenie drugiej osoby (aczkolwiek dokładne znaczenie zdania: „Niebawem dowie się o delikatnych czarnych gwiazdach” w

odniesieniu do Zicka, stanie się jasne nieco później). Zdałem sobie sprawę, że sam będę musiał osiągnąć podobną przenikliwość. O ile zdążyłem już dostrzec skrajnie antyartystyczne cechy Teatro, o tyle nie miałem jeszcze wyobrażenia jak będzie wyglądało zjawisko o charakterze *anty-Teatro*, ani jak uczynić takim moją twórczość.

Poświęciłem więc kilka ostatnich dni na poszukiwanie odpowiedzi. Jak zwykle, nieustanne wyczerpywanie zasobów psychicznych odcisnęło piętno również na moim stanie fizycznym. Będąc osłabionym, nabawiłem się wirusa, a dokładniej *wirusa jelitowego*, co przykuło mnie do łóżka prawie na cały tydzień. Mimo to, udało mi się dopasować pewne elementy układanki związane z Teatro, a także uzyskać wgląd, jakiego potrzebowałem, aby w bardziej lub mniej skuteczny sposób przeciwstawić się temu przedsięwzięciu koszmarów.

Cierpiąc dniami i nocami z powodu choroby, a mówiąc dokładniej, z powodu wirusa jelitowego, uzyskuje się szczególną wrażliwość pozwalającą na głębsze uświadomienie sobie istnienia pewnych aspektów rzeczywistości, w szczególności sposobu *funkcjonowania* tych aspektów, które w normalnym stanie zwykle nie stanowią przedmiotu naszego zainteresowania, ani rozważań. Odzyskując zdrowie, jednocześnie zatracamy świadomość tych funkcji, dzięki czemu możemy powrócić do normalnego życia, nie nabawiając się dolegliwości psychicznych, czy myśli samobójczych z samego powodu nieustannej ekspozycji na najokropniejsze aspekty egzystencji. Dzięki powyższej analogii zrozumiałem, że Teatro działa w pewnym sensie tak samo jak choroba, z którą przyszło mi się zmagać. W konsekwencji, osoby poddane działaniu choroby Teatro również uzyskiwały szczególną

wrażliwość pozwalającą na uświadomienie sobie istnienia pewnych aspektów rzeczywistości oraz sposobu ich działania, jakkolwiek zupełnie różnego od tych, uświadamianych działaniem wirusa jelitowego. Ten drugi, w ciele relatywnie zdrowej jednostki, ulega ostatecznie wyniszczającemu działaniu przeciwciał (lub czemuś podobnemu); choroba Teatro natomiast jest schorzeniem, przeciwko któremu osoby narażone - to jest artyści - nigdy nie wykształciły żadnej formy obrony, przeciwciał, ani odporności. Przypadek dowolnej choroby, w tym wirusa jelitowego, wpływa na zmianę funkcjonowania umysłu, czyniąc daną osobę szczególnie świadomą pewnych aspektów rzeczywistości, niemniej stan ten przemija wraz z wyzdrowieniem, w przeciwnym wypadku, osoba ta nie mogłaby funkcjonować tak, jak wcześniej. Z drugiej strony, zetknięcie z Teatro pozostaje w organizmie powodując trwałe zmiany w procesach myślowych. W przypadku artystów, wynikiem takiego działania nie jest jednak popełnienie samobójstwa czy utrata poczytalności (do czego mogłoby dojść, gdyby osoba uzyskała trwały i pełny wgląd w rzeczywistość pod wpływem choroby jelitowej), lecz ostateczne i nieodwracalne zaniechanie działalności artystycznej. Dzieje się tak dlatego, że nie istnieją żadne formy przeciwciał na chorobę Teatro, w efekcie zaś nie istnieje możliwość uzdrowienia stanu wzmożonej świadomości rzeczy, będących efektem styczności artysty z Teatro. Mając za sobą takie postępy w zgłębianiu zagadnień związanych z Teatro, że jestem obecnie w stanie rozpoznać naturę i sposób ich funkcjonowania, a dzięki temu uczynić swoją twórczość zjawiskiem anti-Teatro, odkryłem zarazem, że już nie potrafię pójść o krok dalej. Bez względu na to, ile czasu i wysiłku poświęciłem przemyśleniom i medytacjom, nie osiągnąłem

ostatecznego wglądu w aspekty rzeczywistości oraz sposób ich funkcjonowania, które ujawniało artyście Teatro, ani w to, w jaki sposób ujawnienie to przyczyniało się do porzucania przez artystę działalności twórczej. Oczywiście, mogłem wyobrazić sobie stan świadomości czyniący artystę niezdolnym do podejmowania jakichkolwiek czynności twórczych. Osiągnąłem więc dość szczegółowe i jednocześnie niepokojące wyobrażenie owego stanu - *świadomość globalną*, jak je nazwałem. Mimo wszystko nadal nie czułem, bym ostatecznie zgłębił tajemnicę „spraw Teatro”; jedynym sposobem, aby to osiągnąć, wydawało się nawiązanie z nimi bezpośredniego kontaktu. Do takiego spotkania doszłoby i tak w momencie, gdy odkryto by naturę moich utworów literackich, mianowicie, że stały się zjawiskiem anty-Teatro, co byłoby iście bezczelnym *zbliżeniem się* do przedsięwzięcia koszmarów. Nie było zatem rzeczą konieczną (na tym etapie mojego planu), w ogóle nadawać swojej twórczości charakter zjawiska anty-Teatro. Wystarczyło jedynie nagłośnić sprawę i stwarzać pozory, że taka literatura istnieje.

Gdy tylko wyleczyłem się z wirusa jelitowego, zacząłem owo rozgłaszanie. Za każdym razem, gdy znajdowałem się wśród osób przynależących do tak zwanego podziemia artystycznego w swoim mieście, przechwalałem się, jakobym uzyskał najwyższy stopień zrozumienia i wglądu w aspekty rzeczywistości i funkcjonowanie Teatro, nie tylko pozostając w pełni sił twórczych artystą, lecz również wykorzystując tę wiedzę jako inspirację dla kolejnego zbioru prac literackich. Wyjaśniałem koleżankom i kolegom, że aby móc dalej egzystować - nie mówiąc już o tworzeniu - wystarczy nie pozwolić, by pewne sprawy zawładnęły naszym umysłem. Jednakże, ciągnąłem, aby nie dopuścić do rzeczoności stanu,

jak ma to miejsce na przykład podczas choroby jelitowej, powinniśmy wzbraniać im jakiegokolwiek głosu, w szczególności ujawniania się w jasnej i przejrzystej formie sztuki. Głos szaleństwa, dla przykładu, jest zaledwie szeptem w bełkotliwej historii sztuki, ponieważ aspekty jej rzeczywistości same w sobie są zbyt frustrujące, by długo o nich mówić, natomiast aspekty rzeczywistości Teatro, biorąc pod uwagę ich nieuchwytnie groteskową naturę, w ogóle nie posiadają głosu. Ponadto, mówiłem, Teatro nie tylko propagowało szczególny rodzaj świadomości tych rzeczy, tych pewnych aspektów rzeczywistości i prawideł nimi rządzących, lecz było im tożsame. A ja, chełpiłem się dalej, pozwoliłem swojemu umysłowi przytłoczyć się wszelkimi „sprawami Teatro”, jednocześnie wykorzystując te doświadczenia jako materiał do prozy.

- To jest nadsztuka! - niemal krzyknąłem pewnego dnia, będąc akurat w Des Esseintes'. Po czym obiecałem, że w ciągu dwóch dni dokonam odczytu swoich dzieł.

Niemniej, gdy przesiadywaliśmy na starych meblach w rogu Des Esseintes' kilka osób podważyło moje twierdzenia i spostrzeżenia dotyczące Teatro. Jedną z nich był znajomy pisarz i poeta.

- Nikt nie wie, czym jest to całe Teatro. Sam zresztą nie wiem, czy w ogóle w nie wierzyć - powiedział ochryple, wydmuchując dym z papierosa. Ja jednak przekonywałem, że Spence wiedział, o co naprawdę w nim chodzi i jednocześnie wyraziłem nadzieję, że niebawem sam uzyskam tę wiedzę.

- Spence? - zawtórowała ze zniesmaczeniem kobieta, która, jak się okazało, pomieszkiwała z nim swego czasu i sama również była fotografem. - O niczym nam ostatnio nie opowiadał, a co dopiero o Teatro.

Odrzekłem jednak, że przecież Spence, podobnie jak kobieta w purpurze i pozostali, byli zdruzgotani obcowaniem z Teatro, a ich artystyczna działalność - doszczętnie zniszczona.

- Za to *twoja* wena zdaje się być na swoim miejscu - dodała uszczypliwie.

W rzeczy samej, była. Raz jeszcze potwierdziłem, że w ciągu dwóch dni

dowiodę tego, prezentując prozę ukazującą styczeńność z najbardziej groteskowymi doświadczeniami i udzielającą tej groteskowości głosu.

- Bo sam nie masz pojęcia, o czym mówisz - odezwał się głos z sali, któremu wszyscy zaczęli wtórować. Prosiłem więc, by uzbrowili się w cierpliwość i zaczekali na to, co odkryje przed nimi moja proza.

- Odkryje? - zapytał poeta. - Do diabła, nikt nawet nie wie, *skąd* wzięła się nazwa Teatro Grottesco.

Nie miałem już na to odpowiedzi. Powtórzyłem po raz wtóry, że w ciągu kilku dni dowiedzą się więcej na temat Teatro niż kiedykolwiek indziej, jednocześnie uświadamiając sobie nadchodzącą konieczność (zakończoną sukcesem lub porażką) sprowokowania konfrontacji z Teatro za pośrednictwem swej, nieistniejącej jeszcze, prozy o charakterze anti-Teatro.

Następnego dnia, podczas rozmów w Des Esseintes' z innym zgromadzeniem artystów oraz osób wrażliwych artystycznie, omdlałem wskutek nagłego nawrotu symptomów choroby. Jakkolwiek objawy wirusa jelitowego nigdy nie ustąpiły w pełni, nie spodziewałem się ani tak nagłego i silnego zaostrzenia, ani odkrycia, że to, co do tej pory uważałem za wirusa jelitowego, okaże się czymś daleko bardziej poważnym. Moje nieprzytomne ciało zawieziono na

oddział ratunkowy pobliskiego szpitala - miejsca w podejrzaney okolicy, z przestarzałym sprzętem i lunatycznym personelem, do którego trafiają zwykle marginalne przypadki z biedoty.

Była późna noc, gdy odzyskałem przytomność. Leżałem w łóżku naprzeciwko wysokiego, przedzielanego okna, odbijającego przygaszone światło jarzeniówek umiejscowionych na ścianie za mną i rozświetlającego na szybach czarny odbłask, uniemożliwiający oglądanie świata na zewnątrz poza zdeformowanym odbiciem mojej osoby oraz pokoju, w którym zostałem ulokowany na czas leczenia. Widziałem cały rząd tych wysokich, przedzielanych okien i salę oddziałową, wypełnioną rzędami łóżek - każde goszczące inne śpiące ciało, uszkodzone w sposób kwalifikujący się do przyjęcia na leczenie szpitalne w tej zakazanej placówce.

Nie odczuwałem już bólu, który powalił mnie w bibliotece Des Esseintes'. Właściwie, nie odczuwałem żadnych dolegliwości związanych z minionym życiem - wydawało mi się, jakbym był pensjonariuszem tego mrocznego szpitala od zawsze i jakbym na zawsze miał w nim pozostać. To odczucie odszczepienia od siebie i całego otoczenia, uczyniło konieczność pozostania w łóżku szczególnie uciążliwą. Jednocześnie czułem niepokój na samą myśl o *oddaleniu się* od tegoż łóżka, w szczególności zaś o ruchu, który spowodowałyby opuszczenie sali przez otwarte wyjście na spowity półmrokiem korytarz szpitalny. Wybrawszy kompromis pomiędzy strachem, a chęcią jak najszybszego opuszczenia łóżka, usiadłem na skraju materaca, dotykając stopami lodowatego linoleum. Siedziałem tak przez dłuższą chwilę, kiedy do moich uszu dobiegł głos z korytarza.

Wydobywał się z megafonu, choć nie był szczególnie

głośny. Musiałem przez kilka minut wyteżać uwagę, by zrozumieć wypowiedane w osobliwy sposób słowa. Przypominały dziecięcy głos intonujący figlarne przyśpiewki: „Doktor Groddeck proszony na oddział, doktor Groddeck proszony na oddział”. Tembr głosu wydawał się głuchy, zaś brzmienie odległe, dodatkowo przecinane zakłóceniami z wężła. „Doktor Groddeck proszony na oddział” - rozlegał się chichot z zaświatów.

Wstałem i zbliżyłem się powoli do wyjścia na korytarz. Jednak nawet gdy boso przeszedłem przez salę i stanąłem na progu, głos w żaden sposób nie stał się głośniejszy, czy bardziej wyraźny. Wyszedłem na mroczny korytarz o zdezelowanym oświetleniu, jednak wzywanie doktora Grodecka cały czas było głuche i odległe. Przypominało to sytuację ze snu, w którym stąpałem boso korytarzem w podrzędnym szpitalu, wsłuchując się w umykające, obłąkańcze nawoływania i mijając niezliczone sale wypełnione wyniszczonymi ciałami. Ostatecznie, głos wzywający doktora urwał się, a rozbrzmiewając po raz ostatni, wzbudził echo, niczym w głębokiej studni. Stało się to dokładnie w chwili, gdy przystanąłem na końcu cienistego korytarza. W powstałej głuszy usłyszałem coś jeszcze - był to przytłumiony, zachrypły rechot, dobiegający z sąsiedniej sali, po prawej stronie korytarza. Podszedłszy tam, zauważyłem przyczepioną na wysokości wzroku tabliczkę z napisem: „Dr T. Groddeck”.

Z sali, z której dobywał się cichy, zachrypły rechot, promieniowała też dziwna poświata. Zajrzałem do środka, dostrzegając śmiejącego się starszego mężczyznę, siedzącego za biurkiem. Światło pochodziło z leżącego przed nim na blacie obiektu - dziwnego i kulistego, wykonanego ze szkła (a przynajmniej tak wyglądającego). Poświata rozjaśniała

wykrzywioną w szalonym grymasie twarz mężczyzny o siwej, schludnie przystrzyżonej brodzie i okularach o wąskich, prostokątnych soczewkach, spoczywających na pociągłym nosie. Dr Groddeck nie zwrócił nawet uwagi, że stanąłem w drzwiach – wpatrywał się nieruchomo w tajemniczy, kulisty obiekt i ukazujące się w nim rzeczy.

Jakież osobliwości skrywała tajemnicza kula będąca przedmiotem zainteresowania doktora Groddecka? W moich oczach wyglądało to jak malutkie gwiazdziste kwiaty, rozproszone równomiernie w zamkniętej przez sferę przestrzeni - idealna pseudo-artystyczna ozdoba dla zwykłego przycisku do papieru. Tyle tylko, że te kwiaty, te pajęczce chryzantemy, były kompletnie czarne. Poza tym, zamiast spoczywać nieruchomo wewnątrz kuli, jak należałoby oczekiwać, unosiły się w migotliwym blasku, a ich układające się w gwiazdy płatki drgały niczym macki. Groddeck napawał się subtelnością tych czarnych, małych obiektów, wodząc oczami zza prostokątnych okularów za każdym ruchem kształtów umieszczonych wewnątrz kuli.

Patrzyłem, stojąc w wejściu, jak z kieszeni fartucha laboratoryjnego, który miał na sobie, powolnym ruchem wyciągał małą papierową torebkę. Jego świszczący śmiech nasilił się, lecz on nadal nie zwracał na mnie uwagi. Trzymając torbę bezpośrednio nad kulą, potrząsnął nią, a wszystkie obiekty znajdujące się w środku zareagowały żywo, poruszając swymi cienkimi, czarnymi ramionami. Rozwarł oburącz torbę i odwrócił szybkim ruchem do góry nogami. Z wnętrza wypadł obiekt, który przykleił się do kuli. Właściwie nie przywarł bezpośrednio do szklanej powierzchni, lecz przetopił się przez szkło do wnętrza, wijąc się od dotyku macek delikatnych czarnych gwiazd. Zanim spostrzegłem,

czym tak naprawdę był ten przedmiot, było już po wszystkim, a gwiazdy wróciły do pierwotnego ułożenia, unosząc się delikatnie wewnątrz lśniącej kuli.

Popatrzyłem na doktora Groddecka. Jego astmatyczny śmiech ustał, a nasze spojrzenia spotkały się. Jego oczy, surowe i puste, pozbawione były jakiegokolwiek wyrazu, lecz mimo to drażniły mnie. Stałem na środku wejścia do obrzydliwego biura w podrzędnym szpitalu, a oczy doktora Groddecka wzbudzały we mnie głębokie oburzenie, niewyobrażalną urazę, że znalazłem się w takim położeniu. Chociaż sfinalizowałem plan, by zmierzyć się z Teatro doświadczając odkrywanych przezeń niszczycielskich aspektów rzeczywistości oraz ich funkcji (a wszystko w celu przekształcenia mojej prozy w zjawisko o charakterze anty-Teatro), byłem oburzony obecnością w tym miejscu i przepełniony urazą wobec wlepionych we mnie oczu Groddecka. Nie miało już dla mnie znaczenia, czy to Teatro zbliżyło się do mnie, czy to ja zbliżyłem się do Teatro, czy zbliżyliśmy się do siebie jednocześnie. Pojąłem, że można stać się celem zbliżenia po to, by skłonić kogoś do czynu sprawiającego wrażenie zbliżenia, który w rzeczywistości nim nie jest, co z kolei zaprzecza koncepcji zbliżania.

Wszystko było już od samego początku wiadome - ponieważ należałem do podziemia artystycznego, zakończenie działalności artystycznej przez zetknięcie z Teatro Grottesco było tylko naturalną kolejną rzeczą. Stałem więc, zbulwersowany spojrzeniem doktora Groddecka, które jednocześnie było spojrzeniem Teatro, rozżalony szaleńczymi aspektami rzeczywistości ich potwornego funkcjonowania. Chociaż zdałem sobie sprawę, że prześladowania Teatro nie dotyczyły wyłącznie artystów i osób wrażliwych artystycznie,

bulwersujący był dla mnie fakt wyróżnienia mojej osoby *specjalnym potraktowaniem*. Pragnąłem ukarać wszystkich na świecie, którzy w przeciwieństwie do mnie, nie zostali urządzeni w ten sposób. Wołałem z całej siły w ciemności korytarza, wzywając pozostałych, by dołączyli do mnie i zajęli miejsce przed sceną Teatro. To dziwne, że tak bardzo pragnąłem pogłębiać koszmary wyniszczonej chorobą, leżących w tym podrzędnym szpitalu osób, a także lunatycznego personelu poruszającego się w zdezelowanym świecie przestarzałych sprzętów. Zanim ktokolwiek przybył, doktor Groddeck zniknął, zostawiając pusty gabinet, wypełniony jedynie brudnym praniem.

Pomimo mojej nocnej eskapady oraz kilku badań w toku, zostałem wypisany ze szpitala. Czułem się tak dobrze jak zawsze, zaś szpital, jak każdy szpital, potrzebował wolnych miejsc na kolejne wyniszczone ciała.

Choć powiedzieli, że skontaktują się ze mną w ciągu kilku dni, informację o rezultatach pobytu otrzymałem już następnego dnia. „Witam ponownie” - zaczynał się poplamiony wilgocią maszynopis. - Miło mi było wreszcie poznać pana osobiście. Uważam, że pański występ podczas wywiadu szpitalnego był wysokiej klasy, dlatego na drodze nadanego mi upoważnienia, pragnę zaoferować panu współpracę. W organizacji mamy wolną posadę dla kogoś o pańskiej wyobraźni i przedsiębiorczości. Obawiam się, że panu Spence'owi nie poszło za dobrze, choć na pewno nie można odmówić mu zmysłu fotograficznego; otrzymaliśmy od niego kilka nieprzeciętnych zdjęć. Pragnę się podzielić jego ostatnimi ujęciami delikatnych czarnych gwiazd, czy D.C.G. Istna nadsztuka, o ile coś takiego w ogóle istnieje!

Przy okazji - wyniki niektórych badań, także tych,

którym zostanie pan dopiero poddany - potwierdzą istnienie kolejnych schorzeń. Jeżeli uważa pan, że wirus jelitowy to dopiero nieszczęście, niech poczeka pan jeszcze kilka miesięcy. Proszę się długo nie zastanawiać. Jakakolwiek będzie pańska decyzja, zorganizujemy jeszcze jedno spotkanie. Proszę pamiętać - to *pan* zbliżył się *nas*. A może na odwrót?

Jak zapewne zdążył pan zauważyć, cała ta artystyczna praca utrzymuje człowieka przy życiu tylko do chwili, zanim przyjdzie mu gapić się w milczeniu na aspekty i funkcje rzeczywistości... Cóż, zapewne wie pan, co mam na myśli.

Sam również zostałem zmuszony do tego odkrycia i wiem, jak wielki może to być cios. Właściwie, to ja jestem autorem nazwy naszej organizacji. Nie to, żebym przywiązywał wielką wagę do określeń - pan również nie powinien. Nasza organizacja jest znacznie starsza, niż jej obecna nazwa, czy w ogóle jakakolwiek nazwa (a ileż ich było na przestrzeni lat - Dziesięć Tysięcy Rzeczy, Anima Mundi, Nethescurial!) Powinien być pan dumny, że mamy dla pana, tak utalentowanego artysty, tę wyjątkową rolę do odegrania. Ostatecznie jednak, zapomni pan o sobie w swojej pracy - tak, jak wszyscy. Ja sam znany jestem pod szeregiem imion i przydomków, ale czy myśli pan, że pamiętam, kim naprawdę byłem kiedyś? „Facetem z teatru” - brzmi wiarygodnie. Być może nawet ojcem Fausta lub Hamleta. Albo zaledwie Piotrusia Pana.

Na koniec, raz jeszcze wyrażam nadzieję, że rozważy pan naszą ofertę. Myślę, że będziemy mogli również zaradzić coś na pańskie problemy zdrowotne. Właściwie, wszystko jest w naszej mocy. W przeciwnym wypadku, obawiam się, że jedyne, co będę mógł zrobić, to powitać pana w pańskim prywatnym piekle - niewypowiedzianie koszmarnym, jak

każde na świecie.”

List podpisany był przez doktora Theodorea Groddecka, zaś jego prognozy związane ze stanem mojego zdrowia - jak najbardziej trafne. Przeprowadziłem kolejne badania w podrzędnym szpitalu, a ich wyniki okazały się co najmniej przytłaczające. Przez kilka dni i nieprzespanych nocy rozważałem możliwości zarysowane przez doktora, jak i te, które sam obmyślałem, nim ostatecznie podejmę decyzję. Jedyne wnioski, jakie do mnie nieprzerwanie wracały, brzmiały: nie ma znaczenia, jaką decyzję podejmę, a jakiej nie. Nie da się przewidzieć posunięć Teatro - ani czegokolwiek innego. Tak samo, jak nigdy nie wiesz, ku czemu się zbliżasz, ani co zbliża się do ciebie. Niebawem wszystkie moje myśli stracą przejrzystość. Przestanę mieć nawet świadomość, że czekała na mnie decyzja do podjęcia. Delikatne czarne gwiazdy zaczęły już wypełniać niebo.

Przeł. Filip Skutela

LUNAPARKI PRZY STACJACH BENZYNOWYCH

Poza ścianami Szkarłatnego Kabaretu rozciągał się świat wypełniony deszczem i ciemnością. Co jakiś czas, ilekroć ktoś wchodził lub wychodził przez frontowe drzwi klubu, można było rzeczywiście ujrzeć monotonnie padający deszcz i przelotnie spojrzeć w ciemność. Wnętrze natomiast było wypełnione bursztynowym światłem, papierosowym dymem oraz dźwiękiem kropel uderzających o pomalowane na czarno okna. W takie noce, kiedy zasiadałem przy jednym ze stolików tego małego, ponurego miejsca, ogarniała mnie diaboliczna wesołkowatość, jak gdybym usiłując przeczekać tam apokalipsę, jednocześnie miał wszystko w najgłębszym poważaniu. Lubiłem sobie także wyobrazać, że znajduję się w kajucie starego statku zmagającego się z naprawdę potężnym sztormem, lub że jestem pasażerem w przedziale luksusowego pociągu, wstrząsanego dziką wichurą i bombardowanego demoniczną nawałą. Czasami, kiedy w dżdżystą noc siedziałem w Szkarłatnym Kabarecie, myślałem o sobie jak o człowieku zajmującym miejsce w poczekalni do otchłani (rzecz jasna, to właśnie robiłem) i między łykami wina lub kawy uśmiechałem się smutno, dotykając przedniej kieszeni płaszcza, gdzie trzymałem wyimaginowany bilet do nicości i zapomnienia.

Tamtej szczególnej listopadowej nocy nie czułem się zbyt dobrze. Męczyły mnie mdłości i lekki ucisk w żołądku, co mogło być objawem wirusowej infekcji lub zatrucia pokarmowego. Innym powodem mojego złego samopoczucia, tak przynajmniej sobie tłumaczyłem, mógł być utrzymujący się od dłuższego czasu kiepski stan nerwów, który wprawdzie

z dnia na dzień ulegał wahaniom, ale i tak towarzyszył mi nieprzerwanie, manifestując się w postaci rozmaitych symptomów, zarówno psychicznych, jak i fizycznych. Istotnie, doświadczałem lekkiego uczucia paniki, choć oczywiście nie wykluczało to ewentualności, że moje kłopoty żołądkowe były spowodowane przez czynniki fizyczne: wirusy lub toksyny. Nie wykluczało to również trzeciej ewentualności, którą usiłowałem podówczas zignorować. Niezależnie od tego, jaka była natura tych zaburzeń, tamtej nocy odczuwałem silną potrzebę przebywania w miejscu publicznym, aby w razie, gdybym nagle - czego często się obawiałem - stracił przytomność, mieć wokół siebie ludzi, którzy zajęliby się mną lub chociaż przetransportowali moje bezwładne ciało do szpitala. Jednocześnie nie szukałem bliższego kontaktu z kimkolwiek spośród bywalców klubu; zresztą, siedząc w kącie klubu, popijając wciąż miętową herbatę i paląc - przez wzgląd na niedomagający żołądek - łagodne papierosy, byłbym kiepskim kompanem. Z tego powodu tamtej nocy przyniosłem ze sobą notes, który położyłem otwarty na stoliku na znak tego, że chcę, aby zostawiono mnie w spokoju i pozwolono skupić się na sprawach związanych z literaturą.

Jednakże, kiedy około dziesiątej wieczorem Stuart Quisser wszedł do klubu i dostrzegł mnie siedzącego w kącie, popijającego miętową herbatkę i palącego łagodne papierosy z szacunku dla niesfornego żołądka, nie zniechęcił się w najmniejszym stopniu, ruszył ku mojemu stolikowi i zajął miejsce naprzeciwko mnie. Podeszła do nas kelnerka. Quisser zamówił białe wino, ja zaś poprosiłem o jeszcze jedną miętową herbatę.

- Widzę, że przerzuciłeś się na miętowe herbatki - powiedział Quisser, kiedy dziewczyna nas zostawiła.

- Nie mogę się nadziwić, że się tu w ogóle pokazujesz -
odpowiedziałem.

- Pomyślałem, że może spróbowałbym ułożyć się z naszą
drogą szkarłatną damą.

- Ułożyć się? To zupełnie nie w twoim stylu.

- Mniejsza z tym. Widziałeś ją może dzisiaj?

- Nie, nie widziałem. Upokorzyłeś ją podczas ostatniego
spotkania. Od tamtej pory nie widziałem jej nawet we
własnym klubie. Nie wiem, czy jesteś tego świadom, ale ona
nie jest kimś, w kim chciałbyś mieć wroga.

- To znaczy? - zapytał.

- To znaczy, że ma powiązania. Kontakty, o których nie
masz bladego pojęcia.

- A ty oczywiście wiesz o nich wszystko. Czytałem twoje
opowiadania jesteś zdeklarowanym paranoikiem. Więc w
czym rzecz?

- Rzecz w tym - powiedziałem - że za każdym uściskiem
dłoni kryje się piekło, a co dopiero za tak jawną, upokarzającą
zniewagą.

- Za dużo wypilem, to wszystko.

- Nazwałeś ją *łudzującym się beztalenciem*.

Quisser zerknął na kelnerkę, która właśnie podeszła z
naszymi napojami i pośpiesznym gestem nakazał mi
milczenie. Kiedy się oddaliła, powiedział:

- Dowiedziałem się przypadkiem, że nasza kelnerka jest
bardzo lojalna wobec szkarłatnej damy. Prawdopodobnie
powie jej o mojej wizycie w klubie. Ciekawe, czy zechciałaby
pośredniczyć pomiędzy szefową a mną i przekazać jej moje
przeprosiny.

- Rozejrzyj się po ścianach - odparłem.

Quisser odstawił kieliszek z winem i omiół wzrokiem

pomieszczenie.

- Hmm... - mruknął, kiedy skończył lustrować klub. - To poważniejsze, niż przypuszczałem. Zdjęła wszystkie swoje stare obrazy. A te nowe w ogóle nie przypominają jej prac.

Nie, nie przypominają. *Upokorzyłeś ją.*

- Ale wygląda na to, że odnowiła scenę. Chyba ją odmalowała...

Tak zwana scena, o której wspomniał Quisser, była niewielkim podwyższeniem w przeciwległym kącie klubu. Jej obramowanie stanowiły cztery długie, połyskliwe czerwone panele, ozdobione znakami wymalowanymi czarną i złotą farbą. Na scenie tej odbywały się różnorakie wydarzenia artystyczne: wieczorki poetyckie, żywe obrazy, rozmaite jednoaktówki, teatrzyki marionetek, diaporamy, występy muzyczne i tak dalej. Tamtej nocy, a był to wtorek, scena tonęła w ciemnościach. Nie dopatrzywszy się na niej niczego nowego, zapytałem Quissera, jakie zmiany zauważył.

- Nie wiem dokładnie, ale coś się zmieniło. Może te czarne i złote ideogramy, czy co to niby ma być. Całość wygląda jak okładka menu w chińskiej knajpie.

- Powtarzasz się - powiedziałem.

- O co ci chodzi?

- Ta uwaga o chińskim menu. Użyłeś jej w recenzji wystawy Marshy Cooker w zeszłym miesiącu.

- Serio? Nie przypominam sobie.

- Twierdzisz, że nie pamiętasz, czy naprawdę zapomniałeś?

Zadałem to pytanie z czystej ciekawości; dający mi się we znaki żołądek

skutecznie odbierał mi chęć do jakichkolwiek poważnych utarczek.

- No dobra, *pamiętam*, zadowolony? Zresztą nieważne, przypomniałem sobie, że jest coś, o czym chciałem z tobą pomówić. Przyszło mi to do głowy parę dni temu i od razu nasunęło skojarzenia z twoim... pisaniem - powiedział, wskazując na notes, który leżał otwarty na stoliku pomiędzy nami. - Az trudno uwierzyć, że nigdy wcześniej o tym nie mówiliśmy. Spośród znanych mi osób ty jeden możesz coś o nich wiedzieć. Chyba nikt inny ich nie kojarzy. To było bardzo dawno temu, ale ty powinienes je pamiętać. Musisz je pamiętać.

- Pamiętać co? - zapytałem, zaś Quisser odpowiedział po ledwie zauważalnej przerwie:

- Lunaparki przy stacjach benzynowych.

Powiedział to tak, jakby właśnie wygłosił puentę dowcipu, niesłychanie dumny z jej zaskakującej, najgłębszej śmieszności. Zapewne liczył, że doznawszy nagłego olśnienia, okażę zdumienie. Nie było to zjawisko *zupełnie mi nieznane*, ale pamięć to dość zwodnicza rzecz. Tak w każdym razie odpowiedziałem Quisserowi. Dopiero kiedy spróbował pobudzić moje wspomnienia, opowiadając o *własnych*, zacząłem sobie stopniowo uświadamiać prawdziwą naturę i cel istnienia tak zwanych lunaparków przy stacjach benzynowych. W tamtej chwili nie mogłem zrobić nic więcej, aby ukryć jak bardzo dokuczały mi palące skurcze żołądka. Powtarzałem sobie, kiedy Quisser opisywał swoje wspomnienia, że z całą pewnością zaraziłem się wirusem, jeśli oczywiście nie padłem ofiarą zatrucia pokarmowego. Quisser, rzecz jasna, był tak pochłonięty opowiadaniem, że nie zauważył moich męczarni.

Quisser mówił, że wspomnienia dotyczące tych dziwnych wesołych miasteczek miały źródło we wczesnym

dzieciństwie. Jego rodzina, to znaczy on z rodzicami, zwykle jeździła na długie wakacje samochodem, w drodze do rozmaitych miejsc przemierzając często olbrzymie odległości. Podróżując, rzecz jasna, wielokrotnie zatrzymywali się na małych stacyjkach benzynowych, zarówno w miastach i miasteczkach, jak i w bardziej odludnych, oddalonych od cywilizacji rejonach. To właśnie tam - jak powiedział Quisser - najłatwiej było natrafić na hybrydowe przedsiębiorstwa, którym jako dziecko nadał nazwę „benzynowych lunaparków”.

Quisser nie wiedział, kiedy pojawiły się te wyspecjalizowane *wesołe miasteczka* lub wyspecjalizowane *stacje benzynowe*, ani jak bardzo były wówczas rozpowszechnione. Jego ojciec, który - jak przypuszczał Quisser - mógł znać odpowiedzi na te pytania, zmarł kilka lat wcześniej, matka zaś dawno utraciła sprawność umysłową, doznawszy krótko po śmierci męża całej serii katastrofalnych perturbacji psychicznych. Tak więc jedyne, co pozostało Quisserowi, to wspomnienia dalekich wypraw z rodzicami, podczas których, przemierzając różne opustoszałe krajobrazy, zatrzymywali się (często jak wspominał, o zachodzie słońca) na przecięciach magistral, gdzie natrafiali na te osobliwości, które określał mianem „lunaparków przy stacjach benzynowych”.

Były to nieodmiennie, jak podkreślał Quisser, *stacje paliwowe*, nigdy zaś *stacje serwisowe*, których wyposażenie pozwalałoby na dokonanie poważniejszych napraw samochodów lub innych pojazdów. W tamtych czasach stały tam najwyżej cztery dystrybutory (choć na ogół tylko dwa) oraz skromny budynek o ścianach tak oklejonych reklamami i ulotkami, że zupełnie nie było wiadomo, czy cokolwiek się pod nimi znajduje. Quisser powiedział, że jako dziecko zwracał

szczególną uwagę na reklamy tytoniu do żucia, później zaś, jako dorosły, zajmując się już krytyką sztuki, wciąż uważał opakowania tytoniu do żucia za nader interesujące i nie mógł pojąć, dlaczego żaden artysta nie wykorzystał twórczo ich pobudzających wyobraźnię walorów wizualnych. Wydawało mi się, kiedy tak siedzieliśmy tamtej nocy w Szkarłatnym Kabarecie, że ten tytoniowy wątek miał dodać wiarygodności opowiadaniu Quissera. Tak mocno wyrył się w jego pamięci ten specyficzny detal. Jednakże kiedy zapytałem, czy przypomina sobie konkretne marki tytoniu reklamowane na stacjach benzynowych połączonych z wesołymi miasteczkami, zjeżył się, jakbym zamierzał w ten sposób zakwestionować autentyczność jego dziecięcych wspomnień. Zmienił wówczas punkt ciężkości dyskusji i przyznał, że lunaparkowy aspekt tych miejsc nie łączył się ściśle ze stacjami benzynowymi, choć oczywiście nie były to całkowicie różne obiekty i zawsze istniała między nimi ewidentna zależność ekonomiczna. W jego odczuciu, które zaszczepiło się w nim niczym podstawowa idea, z której we śnie wyrasta całe marzenie, zatankowanie samochodu dużą ilością benzyny dawało kierowcy oraz pasażerom pojazdu prawo darmowego wstępu do pobliskiego lunaparku.

W tym punkcie opowieści Quisser zaczął gorączkowo tłumaczyć, że lunaparki nie były ani trochę wymyślne - wprost przeciwnie. Rozstawione na skrawku gołej ziemi, gdzieś na tyłach położonych na odludziu stacyjek benzynowych, składały się jedynie z pozostałości w pełni rozbudowanych wesołych miasteczek, z zaledwie szkieletu znacznie większych i wspanialszych parków rozrywki. Zazwyczaj była tam wysoka, łukowata brama z kolorowymi żarówkami, roztaczającymi niesamowity poblask kontrastujący z pustym i

jałowym krajobrazem. Szczególnie o zachodzie słońca, czyli o tej porze dnia, kiedy na ogół, jeśli nie zawsze, Quisser z rodzicami przyjeżdżali do tych odległych miejsc, kolorowa iluminacja lunaparkowej bramy dawała efekt jednocześnie festynowy i złowieszczy. Jednakże kiedy tylko gościa wpuszczono na teren lunaparku, przychodził moment rozczarowania faktycznym stanem rzeczy - tym zbiorowiskiem ubożego wyposażenia, które wyglądało jakby w odległej przeszłości porzuciło je inne objazdowe wesołe miasteczko.

Quisser powiedział, że zawsze stało tam ledwie kilka karuzel i innych urządzeń i do rzadkości należało, by którekolwiek były czynne. Przypuszczał, że kiedyś rzeczywiście działały, prawdopodobnie gdy dopiero co zainstalowano je jako dodatek do stacji benzynowych. Ale ten okres, jak podejrzewał, nie mógł trwać długo. Bez wątplenia już pierwsze oznaki najdrobniejszych usterek w każdym z urządzeń stanowiły pretekst do ich wyłączenia. Quisser powiedział, że nigdy nie odbył przejażdżki w lunaparku przy stacji benzynowej, choć utrzymywał, że ojciec raz pozwolił mu usiąść na jednym z drewnianych koni nieczynnej karuzeli. „To była miniaturowa karuzela” - powiedział mi Quisser, tak jakby to miało przydać jego wspomnianym doświadczeniom głębszego znaczenia. Wszystkie karuzele, jak się zdaje, były miniaturami - wykonanymi w małej skali wersjami urządzeń, które znał skądinąd i na których rzeczywiście jeździł. Oprócz miniaturowej karuzeli, która nigdy nie poruszyła się choćby o cal, stojąc zawsze w ciszy i ciemności odległego, odludnego krajobrazu, znajdowało się tam miniaturowe diabelskie koło (nie wyższe niż parterowy dom, jak mówił Quisser), miniaturowa beczka śmiechu lub miniaturowa kolejka górską.

Zawsze były nieczynne, ponieważ jeśli raz uległy awarii, o ile w ogóle kiedykolwiek działały, nigdy później ich nie naprawiano. Być może nawet nie istniała już możliwość ich naprawienia, jak uważał Quisser, biorąc pod uwagę przestarzałe części i mechanizmy tych urządzeń.

Jednakże istniała jedna, dość istotna rozrywka, co do której można się było niemal zawsze spodziewać, że będzie dostępna dla publiczności lub choćby dla tych, którzy zatankowawszy samochód dostateczną ilością benzyny, mogli za darmo przejść przez jasno oświetloną bramę, na której widniał przyozdobiony kolorowymi światłami napis LUNAPARK, na tle bezkresnego, niesamowitego nieba o zachodzie słońca, gdzieś pośród odległych, jałowych pustkowi. Quisser zadał mi pytanie: jak taki ośrodek mógłby reklamować się jako lunapark, nawet lunapark przy stacji benzynowej, jeżeli nie oferowałby najbardziej podstawowej dla lunaparków rozrywki, czyli dziwowisk? Być może - rozmyślał na głos Quisser - istniało specjalne prawo lub rozporządzenie regulujące tego typu kwestie; coś w rodzaju starej ustawy zachowującej moc w odległych rejonach, w których pewne tradycje wykazywały się żywotnością niespotykaną w dużych ośrodkach miejskich. To zresztą tłumaczyłoby fakt, iż poza wyjątkowymi okolicznościami (jak na przykład niesprzyjające warunki pogodowe) w lunaparkach zawsze odbywały się dziwowiska, nawet jeżeli wszystko wokół stało bez ruchu, ciemne i zdewastowane.

Oczywiście dziwowiska te, jak opisywał Quisser, nie były szczególnie wyrefinowane, nawet jak na standardy przeciętnego lunaparku, nie wspominając o tych, które miały jedynie przyciągać klientów do leżących na uboczu stacyjek benzynowych. Każdy lunapark przedstawiał zawsze tylko

jedno dziwowisko, a wszystkie miejsca pokazów z zewnątrz wyglądały tak samo: nieduży namiot z podartego, brudnego brezentu. W którymś punkcie na obwodzie namiotu znajdowało się przesłonięte luźną płachtą wejście, którym Quisser z rodzicami, a czasami samotnie, wchodził oglądać pokaz. Wewnątrz namiotu znajdowało się kilka drewnianych ław, zapadłych nieco w klepisko, a w pewnej odległości od nich stała mała scena, wznosząca się na nie więcej niż stopę ponad grunt. Oświetlenie zapewniały dwie zwykłe lampy podłogowe - po jednej na każdą stronę sceny - pozbawione kloszy lub jakiegokolwiek innego przykrycia, tak że ich nagie żarówki płonęły ostrym światłem, rzucając dramatyczne cienie po całym wnętrzu namiotu. Quisser powiedział, że zawsze zwracał uwagę na sfatygowane kable, które ciągnęły się od podstaw lamp i poprzez kilka spiętych ze sobą przedłużaczy docierały do źródła zasilania na stacji benzynowej - niewielkiego ceglanego budynku, szczelnie oklejonego reklamami tytoniu do żucia oraz innych produktów.

Kiedy goście lunaparku, wkroczywszy do namiotu, w którym odbywały się pokazy, zajmowali miejsca na jednej z ław naprzeciw sceny, z reguły nie mieli pojęcia, jakiego typu pokaz lub spektakl będą oglądać. Quisser wspomniał, że nie widział nigdy żadnego szyldu ani billboardu, które zapewniałyby odwiedzającym lunapark taką informację, czy to przed namiotem, czy po wejściu do niego, kiedy zasiadali na jednej ze starych drewnianych ław. Tak czy inaczej, poza jednym istotnym wyjątkiem, każdy z pokazów lub spektakli przebiegał według tego samego schematu. Publika zasiadała na drewnianych ławach, które w większości wyglądały jakby miały się zaraz przewrócić lub (jak zauważył Quisser) były tak

nierównomiernie zapadnięte w ziemię, że nie sposób było na nich usiąść. Następnie rozpoczynał się pokaz.

Atrakcje zmieniały się z przedstawienia na przedstawienie i Quisser powiedział, że nie był w stanie zapamiętać wszystkich, które oglądał. Przywołał jedno, które opisał jako „Człowieka Pajaka”. Był to króciutki spektakl, podczas którego osoba w pokracczym kostiumie przemykała z jednej strony sceny na drugą i z powrotem, po czym wychodziła przez rozcięcie z tyłu namiotu. Osobą noszącą kostium, jak dodał Quisser, był przypuszczalnie pracownik stacji, zajmujący się nalewaniem benzyny, myciem szyb i wykonywaniem innych usług. Quisser wspomniał, że podczas wielu pokazów, na przykład podczas „Hipnotyzera”, ubiór pomocnika (poplamiony szary lub niebieski kombinezon) wyraźnie prześwitywał spod scenicznego przebrania. Quisser przyznał, że nie był pewien, dlaczego nazwał ten szczególny pokaz „Hipnotyzer”, ponieważ występ nie zawierał żadnych elementów hipnozy, nie było też na zewnątrz bądź wewnątrz namiotu żadnego szyldu lub billboardu, które sugerowałyby publiczności, że może oczekiwać mesmerycznych sztuczek. Wykonawca był po prostu ubrany w długi, luźny płaszcz i nosił plastikową maskę, prymitywną, bardzo bladą replikę ludzkiej twarzy, która różniła się wyłącznie tym, że zamiast oczu (lub oczodołów) umieszczono na niej dwa duże dyski z namalowanymi spiralnymi deseniami. Hipnotyzer przez kilka chwil gestykulował chaotycznie przed publicznością, bez wątplenia z powodu ozdobionych spiralnymi wzorami dysków, które zasłaniały mu otwory na oczy w masce, po czym, potykając się, schodził ze sceny.

Było wiele innych pokazów, których Quisser, jak twierdził, był świadkiem, wliczając w to „Tańczącą

Marionetkę”, „Robaka”, „Garbusa” i „Doktora Palce”. Poza jednym istotnym wyjątkiem, wszystko działo się według tego samego schematu: Quisser i rodzice wchodziłi do namiotu, zasiadali na jednej ze spróchniałych ław, a niedługo potem na scenie, rozświetlonej dwiema zwykłymi lampami podłogowymi, pojawiał się na chwilę wykonawca. Jedyne odstępstwo od reguły stanowił pokaz, który Quisser nazywał „Showman”.

Podczas gdy każdy inny pokaz zaczynał się i kończył po tym, jak Quisser z rodzicami weszli już do niezwykłego namiotu i zajęli miejsca, ten jeden, zwany „Showman”, zawsze zdawał się *być w toku*. Kiedy tylko Quisser wkraczał do wnętrza namiotu - za każdym razem, jak utrzymywał, poprzedzając rodziców - dostrzegał figurę stojącą na małej scenie w zupełnym bezruchu, *zwróconą plecami do publiczności*. Z jakichś powodów, kiedy Quisser z rodzicami, zatrzymawszy się o zmierzchu na stacji benzynowej, odwiedzali jeden z tych lunaparków - z całym ich zdewastowanym oprzyrządowaniem z drugiej ręki - ostatecznie obierając za cel namiot, w którym odbywały się przedstawienia, nigdy nie było tam innych gości. Sytuacja nie wydawała się małemu Quisserowi dziwna lub niepokojąca, poza chwilami, kiedy wszedłszy do namiotu, dostrzegał na scenie Showmana, zwróconego plecami do kilku rzędów pustych ławek, wyglądających jakby miały się wszystkie zawalić, gdyby tylko ktokolwiek spróbował na nich usiąść. Ilekroć Quisser natykał się na ten widok, natychmiast chciał odwrócić się i opuścić namiot. Jednak wówczas rodzice, idąc za nim, mimowolnie popychali go przed sobą i, jak powiedział, nim zdążył się zorientować, wszyscy siedzieli już w pierwszym rzędzie, patrząc na Showmana. Rodzice - Quisser powtórzył to

parokrotnie - nigdy nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo przerażała go ta osobliwa figura. Co więcej, wizyty w tych lunaparkach odbywały się zawsze wyłącznie z myślą o Quisserze, ponieważ zarówno jego ojciec, jak i matka woleliby po prostu napełnić bak samochodu odpowiednią ilością benzyny i ruszyć dalej, ku kolejnemu miejscu przewidzianemu w planie wakacyjnej podróży.

Quisser twierdził, że rodziców tak naprawdę bawiło patrzenie, jak siedzi w przerażeniu przed Showmanem, aż w końcu, nie mogąc dłużej wytrzymać, prosił, by wrócić do samochodu. Jednocześnie całkowicie paraliżował go widok postaci tak bardzo odmiennej od wszystkich, jakie sobie przypominał. Showman stał - jak powiedział Quisser - zwrócony plecami do publiczności, miał na sobie stary cylinder oraz długą pelerynę, której poły opadały na brudną podłogę małej sceny. Spod kapelusza wystawały gęste, długie strąki sztywnych, rudoczerwonych włosów, które wyglądały, jak opisywał Quisser, niczym obrzydliwe gniazdo robactwa. Kiedy zapytałem Quissera, z rozmysłem wystawiając na próbę jego pamięć i wyobraźnię, czy te włosy nie były przypadkiem peruką, obdarzył mnie lekceważącym spojrzeniem, jakby chciał podkreślić, że to nie ja byłem tym, który widział sztywne, rudoczerwone włosy, i to jedynie on widział je wystające spod cylindra Showmana. Inną charakterystyczną rzeczą widoczną dla publiczności, kontynuował Quisser, były palce Showmana, którymi przytrzymywał krawędzie długiej peleryny. Te palce wydawały się Quisserowi zdeformowane, skręcały się w nieduże szpony i miały bladozielony kolor. Najwyraźniej, jak uważał Quisser, Showman przyjmował pozę obliczoną na wywołanie wrażenia, że w każdej chwili może się odwrócić, stając twarzą w twarz z publicznością i podnosząc

okrytymi pleśnią palcami krawędzie peleryny na wysokość sztywnych, rudoczerwonych włosów. Jednakże postać nigdy nawet nie drgnęła. Czasami wydawało się Quisserowi, że Showman porusza głową, trochę w lewo lub trochę w prawo, jakby groził, że zaraz ukaze jedną lub drugą stronę twarzy, grając w jakąś przerażającą wersję „A kuku!”. Ostatecznie Quisser doszedł do wniosku że dostrzegane przezeń poruszenia były iluzoryczne i Showman zawsze stał w idealnym bezruchu, niczym koszmarny manekin, wywołując wszelkie możliwe przywidzenia całkowitym powstrzymaniem się od gestów.

- To wszystko było naprawdę perfidną grą pozorów - powiedział do mnie Quisser, po czym przerwał, aby dokończyć kieliszek wina.

- Ale co by się stało, gdyby odwrócił się twarzą do publiczności? - zapytałem. Oczekując na odpowiedź, upiłem łyk miętowej herbaty, która wprawdzie nie wydawała się specjalnie pomagać na mdłości i ucisk w żołądku, ale też nie wyrządzała dalszych szkód. Zapaliłem kolejnego tego wieczoru łagodnego papierosa. — Słyszałeś, co powiedziałem? - zapytałem Quissera, który patrzył w stronę sceny w przeciwnym kącie Szkarłatnego Kabaretu. - Scena jest taka sama — powiedziałem dość stanowczo, przyciągając spojrzenia kilku osób siedzących przy innych stolikach. - Panele są takie same i znaki na nich również.

Quisser bawił się nerwowo pustym kieliszkiem.

- Kiedy byłem mały - rzekł - zdarzyło się kilka sytuacji, w których widziałem Showmana, ale nie w jego naturalnym środowisku, że tak powiem, czyli w lunaparkowym namiocie.

- Myślę, że wystarczająco dużo usłyszałem tego wieczoru - przerwałem,

przyciskając rękę do żołądka.

- O co ci chodzi? - zapytał Quisser. - Pamiętasz je, prawda? Lunaparki

przy stacjach benzynowych. Choćby ulotne wspomnienie. Byłem pewien, że coś o nich wiesz.

- Wydaje mi się — rzuciłem do Quissera - że nasłuchiłem się wystarczająco dużo o tych twoich lunaparkach, żeby zorientować się, o co tutaj chodzi.

- Co masz na myśli, mówiąc: „o co tutaj chodzi”? - zapytał Quisser, wciąż wpatrując się w małą scenę po przeciwnej stronie pomieszczenia.

- Cóż choćby o twoje późniejsze wspomnienia, twoje rzekome wspomnienia dotyczące Showmana. Zapewne chciałeś mi powiedzieć, i przez całe dzieciństwo wielokrotnie widywałeś tę postać w różnych miejscach i o różnych porach. Być może widziałeś go z oddali na boisku szkolnym, stojącego plecami do ciebie. Albo zobaczyłeś go po drugiej stronie zatłoczonej ulicy, ale kiedy ją przekroczyłeś, już go tam nie było.

Następnie opowiedziałbyś mi, że ostatnio znów widzisz tę postać lub

jej mgliste zarysy - niewyraźne odbicia w witrynach sklepów, przebliski w lusterku samochodu...

- To bardzo przypomina jedno z twoich opowiadań.

- Pod pewnymi względami tak - powiedziałem - pod innymi nie. Czujesz, że jeżeli kiedykolwiek Showman odwróci głowę, aby spojrzeć na ciebie... stanie się coś strasznego, najprawdopodobniej z miejsca padniesz trupem wskutek jakiegoś niewyobrażalnego wstrząsu.

- Tak - zgodził się Quisser. - Groza nie do zniesienia. Ale nie powiedziałem ci o najdziwniejszym. Miałeś rację co do

tęgo, że ostatnio widuję przelotnie... tę postać i że widywałem ją w dzieciństwie, to znaczy, poza lunaparkowym namiotem. Ale najdziwniejsze jest to, że pamiętam, jak widywałem go, zanim ujrzałem po raz pierwszy w lunaparku.

- Do tego zmierzam - powiedziałem.

- To znaczy?

- *Nie ma żadnych lunaparków przy stacjach benzynowych.* Nigdy nie było. Nikt ich nie pamięta, ponieważ nigdy nie istniały. Cała ta idea jest niedorzeczna.

- Ale rodzice byli tam ze mną.

- Jasne, twój nieżyjący już ojciec i szwankująca na umyśle matka. Pamiętasz jakiegokolwiek rozmowy z nimi o swoich wakacyjnych przeżyciach na tych stacjach benzynowych z przyległymi lunaparkami?

- Nie, nie pamiętam.

- Ponieważ nigdy nie pojechałeś z nimi do żadnego takiego miejsca. Pomyśl tylko, jak absurdalnie to wszystko brzmi. Na jakimś odludziu, gdzie diabeł mówi dobranoc, działają niby stacje benzynowe kuszące klientów darmowym wstępem do zrujnowanych lunaparków? Miniaturowe karuzele? Pracownicy stacji jako wykonawcy pokazów?

- Nie Showman - wtrącił Quisser. - On nigdy nie był pracownikiem stacji.

- Nie, oczywiście, że nie był pracownikiem stacji, ponieważ był ułudą. Cała ta sprawa to jedna wielka ułuda, ale też ułuda bardzo szczególnego rodzaju.

- I co takiego szczególnego miałoby być w tej ułudzie? - zapytał Quisser, który wciąż zerkał w kierunku sceny po drugiej stronie Szkarłatnego Kabaretu.

- To żadne typowe złudzenie psychologiczne, jeżeli spodziewałeś się, że

właśnie to powiem. Takie rzeczy mnie w ogóle nie interesują. Ale znam się trochę na sytuacjach, kiedy ktoś zostaje dotknięty ułudą *magiczną*. Precyzując.

Interesują mnie ułudy będące rezultatem *sztuki magicznej*. A wiesz, od jak dawna znajdujesz się pod wpływem tej magicznej ułudy?

- Pogubiłem się - powiedział Quisser.

- To proste - odparłem. - Od jak dawna wyobrażasz sobie te wszystkie bzdury o lunaparkach przy stacjach benzynowych, a w szczególności o postaci Showmana?

- Przypuszczam, że w tym momencie dalsze upieranie się, że widywałem tę postać już w dzieciństwie, byłoby dość absurdalne, nawet jeżeli tak mi się wydaje i nawet jeżeli tak to pamiętam.

- Oczywiście, że byłoby to absurdalne, ponieważ bez wątpienia ulegasz ułudom.

- A więc ja ulegam ułudom co do Showmana, ale ty nie ulegasz ułudom co do... Jak to nazwałeś?

- Sztuki magicznej. Odkąd padłeś ofiarą tej szczególnej sztuki magicznej, ulegasz ułudom o lunaparkach przy stacjach benzynowych i powiązanych z nimi zjawiskach.

- Zatem od jak dawna tak się dzieje? - zapytał Quisser.

- Odkąd upokorzyłeś szkarłatną damę, nazywając ją *łudzącym się beztalenciem*. Powiedziałem ci przecież, że ma powiązania, o których nie masz bladego pojęcia.

- Mówię o czymś z czasów dzieciństwa, o czymś, co pamiętałem przez całe życie. A ty twierdzisz, że to kwestia kilku dni?

- Tak, ponieważ właśnie od tych kilku dni prześladują cię ułudy. Czy nie dostrzegasz, jak za pomocą sztuki magicznej spowodowała, że ulegasz najgorszej z ułud, którą można

nazwać ułudą retroaktywną? I nie ty jeden zostałeś nią dotknięty w ciągu ostatnich dni, tygodni, czy miesięcy. Wszyscy tutaj od jakiegoś czasu odczuwają grozę tej sztuki magicznej. Zaczynam sądzić, że dowiedziałem się o tym za późno, o wiele za późno. Wiesz, jak to jest ulec ułudzie retroaktywnej, ale czy masz pojęcie, jak czuje się ktoś, kto padł ofiarą ciężkiego rozstroju pokarmowego? Siedzę sobie tutaj, w klubie należącym do szkarłatnej damy, popijając miętową herbatkę, podaną przez kelnerkę będącą przyjaciółką właścicielki, przekonany, że miętowa herbata to coś w sam raz na żołądek, podczas gdy ona równie dobrze może pogarszać mój stan lub powodować jego przemianę, zgodnie z zasadami sztuki magicznej, w coś o wiele poważniejszego, o wiele dziwniejszego. Ale nie tylko szkarłatna dama praktykuje sztukę magiczną. To dzieje się wszędzie wokół. Nadsięgnęło niespodziewanie, niczym mgła na morzu, i tyłu z nas gubi się w tym

wszystkim... Spójrz na twarze w klubie i sam powiedz, czy jesteś jedyną ofiarą tej straszliwej sztuki magicznej. Szkarłatna dama ma licznych wrogów, tak jak i potężnych sprzymierzeńców. Jakże mógłbym dokładnie określić, kim są - specjalizującą się w sztuce magicznej grupą, to bez wątplenia, ale nie jestem w stanie po prostu orzec z głupkowatą pewnością: „Tak, to jakieś szczególne ugrupowanie Iluminatów” albo też *badaczy nauk ezoterycznych*, na jakich wielu zaczęło pozować ostatnimi czasy.

- Ale to wszystko brzmi jak jedno z twoich opowiadań - zaoponował Quisser.

- Oczywiście, że tak. Myślisz, że *ona* o tym nie wie? Ale to nie ja opowiadam groteskowe historyjki o lunaparkach przy stacjach benzynowych i o namiocie ze sceną, wcale nie tak

różną od tej w klubie. Nie możesz oderwać od niej oczu, widzę to ja i wszyscy tutaj obecni. I wiem dobrze, co wydaje ci się, że na niej widzisz.

- Zakładając, że wiesz, o czym mówisz - powiedział Quisser, który teraz zmuszał się, aby odwrócić wzrok od sceny w przeciwnym kącie klubu - co powinienem z tym zrobić?

- Na początek przestań patrzeć na scenę po drugiej stronie sali. Nie ma tam nic oprócz magicznej ułudy. Nie ma nic, co byłoby nieuchronnie śmiertelne czy permanentne w twojej dolegliwości. Ale musisz wierzyć, że wydobrejesz, tak samo jak wierzyłybyś w to, gdybyś cierpiał na zwykłą, niezagrażającą życiu chorobę somatyczną. W innym wypadku te ułudy mogą zmienić się w coś bardziej zabójczego, czy to na poziomie fizycznym, czy umysłowym, czy na jednym i drugim równocześnie. Przyjmij moją radę jako kogoś, kto para się opowieściami o nadnaturalnej zagładzie, i daj sobie spokój z tym szaleństwem. Na świecie jest pod dostatkiem śmiertelnych zagrożeń zupełnie przyziemnej natury. Znajdź sobie ciche miejsce i zaczekaj aż jedno z tych zagrożeń cię załatwi.

Widziałem, że moje słowa, wypowiedziane z przekonaniem, wywarły na Quisserze duże wrażenie. Nie uciekał już wzrokiem ku małej scenie po przeciwnej stronie klubu, lecz spoglądał prosto na mnie. W obliczu prawdy o trapiących go ułudach wydawał się wprawdzie nieco zafasowany, jednakże wyraźnie się uspokoił.

Zapaliłem kolejnego łagodnego papierosa i rozejrzałem się po pomieszczeniu, nie wypatrując nikogo i niczego szczególnego, lecz usiłując jedynie uchwycić panującą atmosferę. Kłębiący się w klubie dym papierosów zgęstniał, bursztynowe światło pociemniało o kilka odcieni, zaś krople

deszczu wciąż głośno rozbijały się o pomalowane na czarno okna Szkarłatnego Kabaretu. Znów siedziałem w kajucie miotanego potężnym sztormem starego statku, zdanego na łaskę losu, poważnie zagrożonego przez niekontrolowane siły - Quisser przeprosił mnie i wyszedł do toalety, a jego sylwetka przemknęła przez moje pole widzenia niczym cień przez gęstą mgłę.

Nie mam pojęcia, jak długo Quissera nie było przy stoliku. Moją uwagę całkowicie pochłonęły pozostałe twarze w klubie oraz zdradzany przez nie głęboki niepokój; niepokój, który nie wypływał z naturalnego, egzystencjalnego źródła, ale spowodowany był osobliwymi troskami natury niesamowitej. Co za czasy — zdawały się mówić twarze. I bez wątpienia wyraziłyby otwarcie słowami te osobliwe troski, gdyby nie popychał ich do zasłaniania się wykrętami i dwuznacznościami strach przed staniem się ofiarą tej samej nienaturalnej dolegliwości, która narobiła kłopotów krytykowi sztuki, Stuartowi Quisserowi. Na kogo teraz przyszła pora? Czy można było powiedzieć cokolwiek lub choćby pomyśleć cokolwiek bez strachu przed reperkusjami ze strony powiązanych za pomocą potężnych przymierzy grup i jednostek? Niemalże słyszałem głosy zadające pytanie: „Dlaczego tutaj, dlaczego teraz?” Ale oczywiście mogły równie dobrze zadawać pytanie: „Dlaczego nie tutaj, dlaczego nie teraz?” Tej zbieraninie nie przyszłoby nawet na myśl, że wszystko odbywało się bez szczególnych reguł; nie przyszłoby na myśl, choć składała się z artystów obdarzonych bogatą wyobraźnią, że sytuacja wynikała po prostu z będącej dziełem przypadku, bezcelowej grozy, która skupiła się w szczególnym miejscu i o szczególnej porze, ale bez szczególnej przyczyny. Nie przyszłoby im również do głowy, że tak naprawdę dostali

to, czego chcieli, że sami przyłożyli rękę do sprowadzenia pośród nas tych potężnych sił i powiązań samym pragnieniem, aby się objawiły. Być może kiedyś długo i uparcie marzyli, aby dotknęło ich to nienaturalne zło, jednakże nic się nie działo, przynajmniej przez jakiś czas. Później przestali marzyć, a o dawnych pragnieniach zapomnieli. Ale one rosły w siłę, kondensowały się w potężną formułę (kto wie!), aż pewnego dnia nastąpiły straszne czasy. Bo gdyby ta artystyczna zbieranina zechciała powiedzieć prawdę, musiałaby ujawnić, jakież to sens (mimo że niekorzystny), by nie wspomnieć o silnym dreszczu emocji (mimo że dręczący), wniosły w życie tej zgrai czasy nienaturalnego zła.

Cóż innego znaczy „być żywym”, jeśli nie igrać z niebezpieczeństwem i cierpieniem w każdej chwili istnienia? Uzyskanie jakiegokolwiek urozmaicenia, jakiegokolwiek *dreszczu emocji*, jakich domaga się od tego karnawałowe go świata nasza przyrodzona natura, choćby miało to oznaczać apokalipsę, wiąże się z ryzykiem. Nikt nie jest bezpieczny, nawet adepci sztuki magicznej czy badacze nauk ezoterycznych, najgłębiej pogrążeni w złudzeniach, jako że to ich właśnie najbardziej kusi rozrywka niesamowitego i nienaturalnego typu, gdy tak grzebią, jak przystało na badaczy i artystów, w odmętach *przyrodzonego chaosu rzeczy*.

Kiedy tak spoglądałem na twarze w klubie i rozmyślałem nad nimi, przez moje zamglone pole widzenia znów przemknął cień. Spodziewałem się, że ujrzę wracającego z toalety Quissera, mojego kompana tego wieczoru, lecz zamiast niego stanęła przede mną kelnerka, tak bardzo lojalna, jak twierdził Quisser, wobec szkarłatnej damy. Zapytała, czy chciałbym zamówić jeszcze jedną filiżankę miętowej herbaty, zwracając się do mnie dokładnie tymi

słowami: *jeszcze jedną filiżankę miętowej herbaty*. Usiłując nie dać się ponieść irytacji, którą wzbudził we mnie dziwnie sarkastyczny ton kelnerki i która jedynie pogorszyłaby moje i tak dość uciążliwe żołądkowe męki, odparłem, że zamierzałem wychodzić. Następnie dodałem, wskazując drugą stronę stolika na pusty kieliszek zostawiony przez Quissera przed wyjściem do toalety, że być może mój przyjaciel zechciałby wypić *jeszcze jedną* lampkę wina. Jednakże na stoliku nie było żadnego pustego kieliszka, jedynie opróżniona przeze mnie filiżanka herbaty. Natychmiast zarzuciłem kelnerce, że zabrała pustą kieliszek, kiedy dumałem nad twarzami w Szkarłatnym Kabarecie. Lecz ona zaprzeczyła, jakoby podawała wino komukolwiek przy moim stoliku, twierdząc uparcie, że odkąd wszedłem do klubu i zająłem miejsce naprzeciw małej sceny, przez cały czas siedziałem sam. Po dokładnych poszukiwaniach przeprowadzonych w toalecie wróciłem na salę, usiłując znaleźć kogokolwiek, kto widział krytyka sztuki Stuarta Quissera rozmawiającego ze mną przez dłuższy czas o lunaparkach przy stacjach benzynowych. Jednak wszyscy zgodnie twierdzili, że w klubie nikogo takiego nie było.

Nawet Quisser we własnej osobie, którego znalazłem następnego dnia w maleńkiej galerii, utrzymywał, że nie widział się ze mną ostatniej nocy. Powiedział, że cały wieczór spędził sam w domu, zmagając się z niedyspozycją - jakimś *drobnoustrojem* - z której w pełni się już wyleczył. Kiedy nazwałem go kłamcą, podszedł do mnie, gdy tak staliśmy pośrodku maleńkiej galerii, i pełnym napięcia szeptem odrzekł, że powinienem „liczyć się ze słowami”. Zawsze mówiłem zbyt dużo, przyznał, i na przyszłość powinienem być ostrożniejszy w tym, co mówię, i do kogo. Następnie zapytał, czy naprawdę uważam, że było rozsądne otwierać usta na

tamtym przyjęciu i nazywać kogoś *łudzycym się beztalenciem*. Były tam obecne pewne osoby, które miały potężne powiązania, ja zaś, przyznał, powinienem o tym wiedzieć najlepiej ze wszystkich, zwłaszcza biorąc pod uwagę moje wyczulenie w tego rodzaju sprawach i sposób, w jaki uwidaczniało się w moich opowiadaniach.

- Nie, żebym nie zgadzał się z tobą w kwestii tego, co powiedziałaś o wiadomo kim. Ale uważałbym z tak otwartym wyrażaniem sądów. *Upokorzyłeś ją*. A w dzisiejszych czasach takie sprawy mogą być bardzo ryzykowne, jeżeli wiesz, co mam na myśli.

Oczywiście wiedziałem, co miał na myśli, wszelako nie pojmowałem, dlaczego to on zwracał się tymi słowami do mnie, a nie ja do niego. Czy nie dość było, pomyślałem później, że wciąż cierpiałem na okropny rozstrój żołądka? Czy musiałem jeszcze ponosić konsekwencje czyjejś ułudy? Jednak nawet to wytłumaczenie okazało się nieprawdziwe w świetle dalszych wyjaśnień. Opowieści o nocnym przyjęciu i o tym, kto znieważał i upokarzał, a kto *został* upokorzony, mnożyły się wśród moich znajomych i kolegów.

- Po co mi to mówisz? - powiedziała szkarłatna dama, kiedy przyszedłem wyrazić najgłębsze ubolewanie. - Prawie cię nie znam. Poza tym mam dość własnych zmartwień. Ta suka kelnerka pozdejmowała ze ścian moje obrazy i zastąpiła je swoimi.

Wydawało się, że wszyscy mieliśmy problemy, których źródeł nie sposób było wykryć, kiedy tak przecinały się niczym trajektorie niezliczonych kropeł deszczu podczas ulewy i tworzyły mgłę złudzeń oraz kontr-złudzeń. Potężne siły i powiązania bez wątpienia brały udział w tej grze, jednak zdawały się nie posiadać twarzy czy imion i nikt nie potrafiłby

zgadnąć, w jaki sposób my - zbieranina łudzających się beztalenci - mogliśmy je obrazić. Trafiliśmy w sam środek czasu złowieszczej sztuki magicznej, od której nic nie mogło nas wybawić. Coraz częściej wracałem wspomnieniami do lunaparków przy stacjach benzynowych, poszukując odpowiedzi w mroku odległych obszarów, gdzie w pustce krajobrazu leżą połamane miniaturowe karuzele i diabelskie koła.

Jednakże nie ma nikogo, kto wysłuchałby moich choćby najbardziej uniżonych przeprosin, a już na pewno tym kimś nie będzie Showman, który może czekać za każdymi drzwiami (nawet tymi prowadzącymi do toalety w Szkarłatnym Kabarecie). Każdy pokój, do którego wchodzę, może przeistoczyć się w namiot, w którym będę musiał zająć miejsce na rozchwianej starej ławie, wyglądającej jakby zaraz miała się rozpaść. Nawet teraz Showman stoi przede mną. Jego sztywne, czerwone włosy przesuwają się z wolna na jedno ramię, jakby zamierzał spojrzeć na mnie, po czym wracają na miejsce, następnie jego głowa przechyla się w drugą stronę w niekończącej się, przerażającej zabawie w „A kuku!”. Mogę jedynie siedzieć i czekać, a wiem, że pewnego dnia odwróci się całkiem, zejdzie ze sceny i wezwie mnie do otchłani, której zawsze się bałem. Być może wówczas odkryję, co takiego uczyniłem - co każdy z nas uczynił - by zasłużyć na taki los.

Przeł. Wojciech Gunia

BUNGALOW

Na początku minionego września odkryłem między eksponatami w lokalnej galerii pewien rodzaj performance'u, utrwalony w formie nagrania na kasecie magnetofonowej. Jak się później dowiedziałem, była to pierwsza taśma z serii sennych monologów autorstwa anonimowego artysty. Zacytowany poniżej krótki fragment wstępnej części jest dość reprezentatywny i dobrze oddaje charakter całości. Pamiętam, że po kilku sekundach syczącego szumu czystej taśmy z głośnika dobył się głos: „W bungalowie trzeba było się zmierzyć z czymś więcej niż tylko plagą robactwa - powiedział - choć nie było to nic oczywistego”. Po czym kontynuował: „W padającym na podłogę świetle księżyca, które dostawało się do środka pomiędzy szparami żaluzji w oknach salonu, widziałem zaledwie pojedyncze ciała. Tylko jedno zdawało się poruszać, zresztą bardzo anemicznie, choć wciąż żywych mogło być więcej. Oprócz krzesła, na którym siedziałem w ciemności, niewiele było mebli w pokoju, jak zresztą w całym domu. Wokół stało kilka lamp: lampy podłogowe, lampki nocne, a nawet lampki na półce nad kominkiem”.

Po tych słowach, na ile pamiętam, we wstępnej części kasetowego sennego monologu następowała chwilowa przerwa, po której głos podjął: „Bungalow wybudowano z kominkiem, rzekłem do siebie w ciemnościach, zastanawiając się, ile czasu minęło, odkąd ktokolwiek go używał, podobnie jak czegokolwiek innego w budynku. Następnie znów skupiłem się na lampach, usiłując włączyć każdą z nich, przekręcając po kolei ich żłobkowane, małe włączniki. Światło księżyca padało na abażury, nie przeświecając przez nie,

dzięki czemu widziałem, że żadna lampa nie ma żarówki, i za każdym razem, kiedy przekręcałem włącznik - lampy podłogowej, lampki nocnej, bądź jednej z małych lampek na półce nad kominkiem - nic się nie działo; nic nie ulegało zmianie w mrocznym salonie domostwa: światło księżyca wciąż wpadało przez zakurzone żaluzje, oświetlając ciała insektów i innych szkodników spoczywających na wypłowie dywanu”.

„Piętrzące się przeszkody i trudności, jakie napotykałem w bungalowie, coraz bardziej mnie przytłaczały - mówił niemal szeptem głos z taśmy. - Widmo samotności i opuszczenia dręczyło człowieka, gdy tak przebywał w tym miejscu w środku nocy, chociaż nie wiedziałem dokładnie, która godzina. Podobnie przygnębiające wrażenie sprawiał widok ciał szkodników, niektórych jeszcze żywych, jak zalegały na wypłowie, postrzępionym dywanu; tak samo bezskuteczne próby włączenia lamp - wszystko zdawało się sprzysięgać przeciwko podejmowanym przeze mnie wysiłkom w sprostaniu problemom, z jakimi przyszło mi się zmierzyć w tym domu. Zorientowałem się, że szkodnicze truchła, leżące w większości w zupełnym bezruchu na rozświetlonym księżycową poświatą dywanu, nie należały do żadnego znanego mi gatunku - kontynuował głos. - Niektóre zdawały się zdeformowane, ich z natury odrażające kształty doznały przemian, których nie potrafiłem wskazać. Wiedziałem, że aby poradzić sobie z tą plagą, będę potrzebował specjalnych środków, zaawansowanego arsenału narzędzi eksterminacji. To właśnie myśl o środkach chemicznych - toksycznych roztworach i gazach, których będę zmuszony użyć w walce przeciwko hordom szkodników w bungalowie - spowodowała, że poczułem się przytłoczony skomplikowaniem stojących

przede mną zadań oraz niedostatkim środków do tego przeznaczonych”.

W tym, jak i wielu innych momentach nagrania (na ile pamiętam) głos zniżył się do granicy słyszalności. „Bungalow - ciągnął - był niezwykle ponurym miejscem do stawiania jakiegokolwiek oporu: przeświecające przez zakurzone żaluzje światło księżyca, ciała na dywanie, lampy bez żarówek. I ta nieprawdopodobna cisza. Nie była to nieobecność dźwięku, lecz niezliczone dźwięki, a może nawet głosy; zdławione hałasy, których można spodziewać się w starym bungalowie w środku nocy, a także nieprzebrane inne dźwięki i głosy. Siły zdolne do spowodowania takiej ciszy napełniły mnie trwogą. *Nieskończona groza i posępność zarobaczonego bungalowu*, wyszeptałem do siebie. *Wszechświat bungalowu*, pomyślałem także, nie wypowiadając jednak tego na głos. Nagle o władnęło mną poczucie euforycznej beznadziei, która przeniknęła ciało niczym silny narkotyk, wprowadzając wszystkie myśli i ruchy w stan sennego zawieszenia. W księżycowym świetle przebijającym się przez żaluzje, stałem teraz nieruchomy i cichy jak wszystko inne”.

Nagranie, którego fragment przed chwilą zacytowałem, zostało zatytułowane „Bungalow (plus cisza)”. Ten, jak i pozostałe senne monologi autorstwa tego samego artysty, odkryłem w Galerii Sztuk Pięknych Dahli D., mieszczącej się w sąsiedztwie głównego oddziału biblioteki publicznej, gdzie pracowałem w Oddziale Języka i Literatury. Czasami spędzałem w galerii przerwy na lunch, konsumując na miejscu posiłki przynoszone w brązowej, papierowej torbie. Na parterze galerii stały nieliczne krzesła i ławki, a właścicielka tego miejsca nie miała nic przeciwko żadnym gościom w galerii, choćby nie wiem jak długo przesiadującym. Zresztą

galeria nie była dla niej źródłem utrzymania. Jak mogło być inaczej? Wszak Galeria Sztuk Pięknych Dahli D. jawiła się nędzną klitką. Wydawałoby się, że nietrudno utrzymać budynek o tak niewielkiej powierzchni, właściwie pojedynczy pokój, wcale nieprzeładowany dziełami sztuki oraz innymi, czy pokrewnymi towarami. Nigdy jednak nie podjęto próby takiej pielęgnacji zakładu. Okno wystawowe było tak nieprzejrzyste, że przechodnie ledwie dostrzegali znajdujące się za nim rzeźby i obrazy (rok w rok te same). Z perspektywy ulicy to małe, wąskie okienko przedstawiało, szczególnie w późne, listopadowe popołudnia, posępną złudę wyblakłych barw i bezkształtnych form. Wnętrze galerii prezentowało się podobnie - począwszy od podłego linoleum podłogi, spomiędzy pęknięć którego wyłaniała się betonowa wylewka, po dość wysoko zawieszony sufit, z którego czasami sypały się kawałki tynku. Gdyby wyniesiono stąd wszelkie dzieła i towary związane ze sztuką, nikt nie odgadłby, że miejsce służyło dawniej jako galeria a nie jakaś działalność handlowa niższej rangi. Wiele osób doskonale wiedziało, choćby z drugiej ręki, że kobieta prowadząca Galerię Sztuk Pięknych Dahli D. w żaden sposób nie utrzymywała się z handlu dziełami sztuki, które zresztą tylko najbardziej zdesperowany lub szokująco naiwny artysta chciałby wystawić w jej galerii. Wiele źródeł, w tym prowadzone przeze mnie w czasie przerw na lunch rozmowy z właścicielką, potwierdzało, że Dahla D. usiłowała swego czasu robić karierę w rozmaitych dziedzinach. Próbowwała sił nawet jako artystka, zresztą niektóre z jej prac - chaotyczne konstrukcje wewnątrz starych pudełek po cygarach - wystawiono w kącie galerii. Jednak było oczywiste, że jej galeria, mimo minimalnych kosztów utrzymania, nie potrafiła zarobić na sobie, a właścicielka nie

ukrywała prawdziwych źródeł przychodu.

- Kto chciałby kupować takie śmieci? - wyjaśniła mi pewnego dnia, żywołowo gestykulując palcami, które wieńczyły pomalowane szmaragdowym lakierem paznokcie. Ten sam kolor zdawał się dominować w jej garderobie, składającej się głównie z długich, luźnych ubrań oraz niesamowitych apaszek i szali, które ciągnęły się za ich właścicielką po posadzce, kiedy przechadzała się po swojej galerii. Dahla D. zatrzymała się, by szpiczastym obcasem szmaragdowego trzewika kopnąć drucziany kosz na śmieci, wypełniony pomalowanymi na różne kolory miniaturowymi kończynami lalek. - Co do cholery ludzie sobie myślą, kiedy robią coś takiego? A co ja sobie myślałam z tymi głupimi pudełkami po cygarach? Koniec z tym, definitywnie koniec z takimi rzeczami.

Nie czyniła też, poza odrobiną zdroworoządkowej ostrożności, tajemnicy z tego, czym się obecnie zajmuje jako kobieta interesu. W galerii niemal bez przerwy dzwonił telefon, notorycznie zakłócając martwy spokój dziwacznym, szczebiotliwym dźwiękiem rozbrzmiewającym z zaplecza. W takich chwilach Dahla zniknęła za zasłoną oddzielającą część frontową galerii od jej tyłów. Zdarzało się, że podczas przerwy na lunch jadłem kanapkę lub jakiś owoc i w ciągu tych trzydziestu minut telefon rozdzwaniał się po raz piąty czy szósty, przyzywając kobietę za kurtynę. Ta jednak w czasie rozmowy nigdy nie wymawiała ani nazwy galerii, ani nie posługiwała się typowym żargonem biznesowym. Kiedy tak siedziałem we frontowej części galerii, spożywając drugie śniadanie, nigdy nie usłyszałem z zaplecza nawet „Dzień dobry, czym mogę służyć?” Stale odbierała telefon w ten sam sposób, z tym samym spokojnie wyczekującym tonem. „Tu

Dahla” - mówiła zawsze.

Jeszcze nim zdążyliśmy się lepiej poznać, nawet ja przyłapałem się na tym, że zwracam się do niej po imieniu w dość poufały sposób. Zwyczajne powtarzanie tego imienia zaszczerpiło we mnie wrażenie *dostępu* do tego, co Dahla oferowała wszystkim swoim telefonicznym rozmówcom, nie mówiąc już o ludziach osobiście odwiedzających ją w galerii, żeby ustalić spotkanie lub je potwierdzić. Cokolwiek ktoś zapragnął spróbować, jakiegokolwiek kroki poczynić - Dahla mogła to zorganizować. To właśnie te *ustalenia* były rzeczywistym towarem galerii. Kiedy wracałem do biblioteki po przerwie na lunch, wyobrażałem sobie Dahlę, jak krąży pomiędzy przednią a tylną częścią budynku, i dokonuje wszelkiego rodzaju ustaleń przez telefon, a czasami też osobiście.

W dniu, kiedy odkryłem w galerii taśmę zatytułowaną „Bungalow”, telefon dzwonił niemal bez przerwy. Kiedy Dahla rozmawiała na zapleczu z klientami, ja, zostawiony sam sobie, chodziłem po galerii. Dla dreszczyku emocji podszedłem do kosza wypełnionego kończynami rozczłonkowanych lalek i przywłaszczyłem sobie jedną z pomalowanych rączek (szmaragdową!), chowając ją do wewnętrznej kieszeni kurtki. Właśnie wówczas zobaczyłem stary magnetofon ustawiony w kącie pomieszczenia na małym, plastikowym stoliku. Obok urządzenia leżała karteczka, na której wypisano odręcznie tytuł pracy oraz instrukcję: NACIŚNIJ START. PRZEWIŃ PO PRZESŁUCHANIU. NIE USUWAĆ TAŚMY. Nałożyłem słuchawki i wcisnąłem „start”. Głos, który wydobył się z ogromnych słuchawek, wydawał się odległy i zniekształcony szumem taśmy. Mimo to zaintrygował mnie przytoczony powyżej ustęp sennego monologu, tak że usiadłszy na podłodze tuż obok

plastikowego stolika, na którym postawiono magnetofon, przesłuchałem całą taśmę, przeciągając czas dozwolonej przerwy na lunch o ponad pół godziny. Pod koniec nagrania znajdowałem się w innym świecie - w przestrzeni zarobaczonego bungalowu, z całą jego oniryczną nędzą i zwyrodniałymi urokami.

- Nie zapomnij przewinąć taśmy - powiedziała Dahla, która stała teraz przede mną, a jej długie, szare włosy, wyglądające jak wata stalowa, nieomal dotykały mej twarzy.

Wcisnąłem przycisk przewijania, po czym wstałem z podłogi.

- Dahla, mogę skorzystać z toalety? - zapytałem. Wskazała na kurtynę oddzielającą galerię od zaplecza. - Dziękuję - powiedziałem.

Efekt odsłuchania pierwszego z sennych monologów okazał się bardzo intensywny z przyczyn, które wkrótce wyjaśnię. Chciałem przez chwilę być sam, aby zachować stan umysłu zaistniały pod wpływem głosu z taśmy, tak jak niektórzy usiłują zapamiętać jak najwięcej obrazów ze snów zaraz po przebudzeniu. Czułem, że toaleta w bibliotece, pomimo niewątpliwych zalet, które przez te wszystkie lata pracy nauczyłem się doceniać, mogłaby raczej umniejszyć ten niezwykle, wywołany sennym monologiem stan, niż pomóc mi go zachować, czy nawet nieco uwydatnić, tak jak oczekiwałem tego po wizycie w ubikacji na zapleczu galerii Dahli.

Najważniejsza przyczyna spędzania przeze mnie przerwy na lunch pośród galeryjnych dekoracji, tak odmiennych od znajdujących się w bibliotece, była dokładnie tą samą, dla której chciałem skorzystać z toalety na zapleczu, a nie w bibliotecznym gmachu, nawet jeśli miało to oznaczać spóźniony powrót z przerwy obiadowej. Istotnie, zgodnie z

oczekiwaniami toalety dzieliła z galerią pewne właściwości. Już sam fakt, że umiejscowiono ją na zapleczu galerii, miejscu dla mnie tajemniczym, był wymowny. Tuż obok wejścia do toalety stało małe, zabałaganione biurko z telefonem używanym przed Dahlę do ustalania, aranżowania i załatwiania spraw. Telefon spoczywał pośrodku kręgu światła z niewielkiej lampki biurowej. Jak zauważyłem idąc do toalety, był to nieporęczny aparat z prostym - *nieskręconym* - kablem łączącym słuchawkę z obudową o wielkiej, okrągłej tarczy. Mimo mojej obecności w toalecie, Dahla odebrała kilka połączeń, które wydawały się zupełnie zwykłymi rozmowami dotyczącymi jej życia prywatnego lub praktycznych spraw związanych z galerią.

- Długo tam będziesz? - zapytała Dahla przez drzwi toalety. - Mam nadzieję, że nie jesteś chory. Bo jeśli tak, to mam prośbę, żebyś poszedł sobie chorować gdzie indziej.

Zawołałem, że wszystko w porządku (było wprost przeciwnie) i chwilę później wyszedłem. Chciałem wypytać szczegółowo o odsłuchaną przed chwilą taśmę, pragnąc dowiedzieć się czegoś o artyście i poznać cenę, za którą mógłbym nabyć „Bungalow” oraz każdą podobną pracę, jaka istnieje. Ale telefon znów się rozdzwonił. Dahla zaczęła rozmowę standardowym powitaniem, a ja stałem na zapleczu galerii sztuki, ciemnej, względnie pustej przestrzeni przypominającej mi salon bungalowu, którego opis poznałem z nagranych na taśmie sennego monologu. Rozmowa Dahli (kolejny niezwiązany z ustaleniami telefon) zdawała się nie mieć końca, a ja z rosnącym niepokojem uzmysławiałem sobie, jak długo przedłużam pobyt w galerii po końcu przysługującej mi przerwy obiadowej.

- Do zobaczenia jutro - powiedziałem do Dahli, która

odparła mi spojrzeniem szmaragdowych oczu, nie przerywając rozmowy z osobą po drugiej stronie słuchawki. Pamiętam jak przechodząc pod zasłoną do frontowej części galerii odnosiłem wrażenie, że uśmiechała się do mnie *jakby tłumionym śmiechem*. Spojrzałem jeszcze na plastikowy stolik, na którym spoczywał magnetofon, ale powstrzymałem się przed zabraniem kasety do biblioteki (a później do domu). Przecież jutro, kiedy przyjdę na lunch, będzie w tym samym miejscu. Poza tym mało kto kiedykolwiek kupił coś z frontowej części galerii Dahli.

Przez resztę dnia - zarówno w pracy, jak w domu - myślałem jedynie o taśmie. Szczególnie podczas jazdy autobusem z biblioteki przywoływałem obrazy i koncepty opisane na nagraniu, a także głos wypowiadający kolejne frazy sennego monologu o bungalowie. Znaczna część mojej drogi z domu do pracy i z pracy do domu wiodła przez liczne ulice wypełnione na całej długości domami sprawiającymi wrażenie opuszczonych, z których każdy mógł stanowić inspirację dla nagrania na kasecie. Powiedziałem, że były wypełnione „na całej długości podobnymi domami”, choć przecież autobus nigdy nie przebył całej długości żadnej z nich. Ale kiedy spoglądałem przez szybę (jadąc autobusem zawsze zajmowałem miejsce przy oknie, nigdy miejsce wewnętrzne), mijane ulice wydawały się bezkresne, zanikające w nieskończoności starych domów - z których wiele opuszczono, a jeszcze więcej wyglądało na karłowate, zdewastowane bungalowy.

Nagrany na taśmie senny monolog, jak przypominałem sobie jadąc autobusem do domu i wyglądając przez okno, opisywał kilka istotnych właściwości zarobaczonego bungalowu - zakurzone żaluzje, przez które przebijała się

księżycowa poświata, lampy pozbawione żarówek, wystrzępiony dywan i zaścielające jego powierzchnię martwe bądź ledwie żywe szkodniki. W ten sposób za sprawą głosu z taśmy znałem obraz wnętrza bungalowu, ale nie widoku z zewnątrz. I na odwrót: domy, w które wpatrywałem się z takim zapamiętaniem podczas podróży autobusem, widziałem jedynie z zewnątrz, zaś ich wnętrza wizualizowałem sobie w wyobraźni. Oczywiście moje wyobrażenie wyglądu tych wnętrz, jak przystało na wytwór fantazji, odznaczało się ogólnikowością i nie miało precyzji opisu, jaki zawierała taśma. Również moje sny o tych domach były tak samo ogólnikowe. Mimo to wszelkie wrażenia i stan umysłu wytworzone imaginacyjnym wejrzeniem do wnętrza tych domów, a także moimi snami o tych domach, doskonale korespondowały z doznaniem, którego doświadczyłem w galerii Dahli, gdy odsłuchiwałem nagrania z taśmy zatytułowanej „Bungalow”. To poczucie transu przy jednoczesnym wrażeniu samotnego przebywania w ponurym, godnym politowania otoczeniu starego bungalowu, zostało przekazane w najmocniejszy możliwy sposób przez głos z kasety, opisujący cichy, odosobniony świat, w którym funkcjonuje się w stanie podobnym hipnozie. Kiedy siedziałem na podłodze galerii, słuchając głosu w olbrzymich słuchawkach, miałem poczucie, że nie tylko *odsłuchuję* słowa monologu, ale także *odczytuję* je. Mam na myśli to, że ilekroć mam okazję odczytywać słowa z kartki - jakiegokolwiek słowa z jakiegokolwiek kartki - słyszany przeze mnie wewnętrzny głos identyfikuję zawsze jako mój własny, nawet jeżeli słowa pochodzą od kogoś innego. Być może ściślej będzie to ująć następująco: zawsze, kiedy odczytuję słowa z kartki, głos w mojej głowie należy do mnie i tylko *scala się* ze słowami (lub

rozprasza się pośród nich), które czytam. Z drugiej strony, jeżeli mam okazję pisać słowa na kartce, choćby w najprostszych notatkach w bibliotece, głos, który mi je dyktuje, nie brzmi jak mój - aż do chwili, gdy znów odczytam te słowa sam sobie; wtedy wszystko wraca do normy. Taśma o bungalowie była najbardziej przejmującym przykładem tego zjawiska, jaki kiedykolwiek doświadczyłem. Pomijając nędzną jakość nagrania, zniekształcony głos odczytujący senny monolog scalił się z moim doskonale czystym głosem wewnętrznym (lub rozproszył w nim), mimo że odsłuchiwałem słowa w olbrzymich słuchawkach, a nie czytałem z kartki. Kiedy wracałem autobusem do domu, obserwując kolejne ulice wypełnione domami tak bardzo przypominającymi bungalow opisany na taśmie z sennym monologiem, żałowałem, że nie udało mi się kupić kasety lub choćby dowiedzieć czegoś więcej od Dahli, tak bardzo zajętej tamtego popołudnia niesamowitą liczbą rozmów telefonicznych.

Następnego dnia w bibliotece oczekiwałem z niecierpliwością pory lunchu, by móc pójść do galerii i dowiedzieć się wszystkiego, czego można było się dowiedzieć o taśmie, oraz przedyskutować warunki jej nabycia. Kiedy w końcu wszedłem do galerii, natychmiast spojrzałem w kąt, gdzie na małym, plastikowym stoliku dzień wcześniej znalazłem magnetofon. Z jakiegoś powodu odczułem ulgę, widząc eksponat na swoim miejscu, jakbym spodziewał się, że jakiegokolwiek dzieło w galerii Dahli zostanie wystawione i sprzedane tego samego dnia.

Podszedłem do wystawy, aby upewnić się, że wszystko, co widziałem (i słyszałem) poprzedniego dnia, jest takie samo jak zapamiętałem. Kaseca znajdowała się wciąż w

odtworząc. Podniosłem karteczkę z tytułem pracy, leżącą tuż obok instrukcji obsługi dzieła. Natychmiast zdałem sobie sprawę, że jest inna niż dnia poprzedniego. Na karcie wpisano tytuł nowej pracy: „Opuszczona fabryka z pokrytą gruzem podłogą i głosy”.

Choć podekscytowało mnie pojawienie się nowego dzieła tajemniczego artysty, jednocześnie poczułem silne zaniepokojenie zniknięciem taśmy z sennym monologiem o bungalowie, którą chciałem kupić za dodatkowe pieniądze, zabrane dziś ze sobą. W tym właśnie momencie, kiedy doświadczałem jednoczesnego podekscytowania i niepokoju, Dahla wyłoniła się zza kurtyny oddzielającej galerię od zaplecza, zamierzałem okazać całkowitą obojętność podczas negocjacji w sprawie zakupu, ale Dahla przyłapała mnie bezbronny, gdy trwałem akurat pogrążony w wewnętrznym konflikcie.

- Co się stało z taśmą o bungalowie, która była tu wczoraj? - zapytałem, a napięcie w moim głosie zdradziło moje intencje, co oczywiście z miejsca dało jej przewagę.

- Tej już nie ma - odparła zimno, chodząc powoli po galerii bez żadnego konkretnego celu, włączając za sobą poły szmaragdowej spódnicy i długi szal.

- Nie rozumiem. To była praca wystawiona na tym małym, plastikowym stoliku.

- Owszem - przytaknęła.

- I po jednym dniu jej nie ma?

- Nie ma.

- Ktoś ją kupił - powiedziałem, spodziewając się najgorszego.

- Nie. Nie była na sprzedaż. To był performance. Zresztą odpłatny, a ty nie zapłaciłeś.

Do wciąż kłębiących się i walczących we mnie ekscytacji i niepokoju dołączyło mdlące zmieszanie.

- Nie było żadnej informacji o cenie za odsłuchanie tego sennego monologu - upierałem się. - Jak dobrze wiem, jak zresztą wszyscy wiedzą, był to zwykły przedmiot na sprzedaż. Jak wszystko tutaj.

- Ten senny monolog, jak to nazywasz, to coś wyjątkowego. Opłatę podałam na odwrocie kartki z tytułem, tak samo jak opłata za odsłuch tej taśmy jest wypisana na odwrocie świstka, który właśnie trzymasz.

Obróciłem kartkę, na której widniało „dwadzieścia pięć dolarów” wypisane tym samym charakterem pisma, co ceny na pozostałych metkach w galerii. Tonem rozżalonego klienta powiedziałem do Dahli:

- Wypisałaś cenę tylko na tej karcie. Na kartce przy taśmie o bungalowie niczego takiego nie było.

Mówiłem to jednak bez przekonania. Wiedziałem, że jeżeli chcę posłuchać nagrania o opuszczonej fabryce, będę musiał uiścić należność za odsłuchanie nagrania o bungalowie, którą byłem winien lub o której Dahla twierdziła, że byłem winien.

- Masz - rzekłem, wyciągając portfel z tylnej kieszeni. - Dziesięć, dwadzieścia, dwadzieścia pięć dolarów za bungalow i następnie dwadzieścia pięć za odsłuch taśmy, która jest w magnetofonie.

Dahla zbliżyła się, wzięła pieniądze, po czym swoim najbardziej lodowatym tonem oznajmiła:

- To pokrywa jedynie koszt wczorajszego słuchania, który wynosił równe pięćdziesiąt dolarów. Musisz zapłacić jeszcze dwadzieścia pięć, jeśli dzisiaj chcesz posłuchać nowego nagrania.

- Z jakiej racji taśma o bungalowie kosztuje o dwadzieścia pięć dolarów więcej niż taśma o opuszczonej fabryce?

- Bo to po prostu mniej ambitna praca niż ta z wczoraj.

Faktycznie, taśma zatytułowana „Opuszczona fabryka z pokrytą gruzem podłogą i głosy” miała krótszy czas trwania niż „Bungalow (plus cisza)”, ale okazała się nie mniej fascynująca w przedstawieniu „nieskończonej grozy i posępności”. Przez około piętnaście minut przerwy obiadowej oddawałem się zwyrodniałemu pięknu opuszczonej fabryki - niewielkiej ruiny stojącej samotnie pośród pustaci; jej porozbijanym oknom, wpuszczającym ledwie przerzedzone mgiełki księżycowej poświaty do wypełnionego gruzem wnętrza, w którym, niczym w cienistym grobowcu, spoczywały porzucone maszyny, otulone echami głuchych, nieartykułowanych głosów. Jakże kompletnie zrozpaczony, a jednocześnie bardzo uspokajający był głos opiewający te wszystkie rzeczy za pośrednictwem medium magnetofonowej taśmy. Pomyśleć, że ktoś jeszcze podzielał moje uwielbienie dla lodowatej posępności rzeczy... Ta satysfakcja, którą odczuwałem wsłuchując się w monotony i odrobinę zniekształcony głos, tak poufale przedstawiający wszelkie obrazy i wrażenia znajdujące wierny oddźwięk w pewnych aspektach mojej najgłębszej natury, była doświadczeniem, które nawet wówczas, kiedy siedziałem na podłodze w galerii Dahli z olbrzymimi słuchawkami na uszach, mogło rozedrzeć serce. Ale chciałem wierzyć, że artysta, który stworzył te senne monologi o bungalowie i opuszczonej fabryce, nie uczynił tego jedynie po to, aby rozedrzeć moje, czy też czyjekolwiek serce. Chciałem wierzyć, że ten artysta uwolnił się od rojeń i demonów wszelkiego sentymentu, aby móc

zgłębić podłe i nędzne rozkosze wszechświata, gdzie wszystko ograniczało się do trzech bezwzględnych zasad: pierwszej, że nie ma dokąd pójść; drugiej, że nie ma nic, co można uczynić; i trzeciej, że nie ma nikogo, kogo można by poznać. Oczywiście wiedziałem, że pogląd ten jak każdy inny był złudzeniem, ale był też jedynym, który podtrzymywał mnie od tak dawna i tak skutecznie - tak długo i tak skutecznie, jak żadne inne złudzenie a może nawet dłużej i skuteczniej.

- Dahla - rzekłem jak tylko skończyłem odsłuchiwać nagranie - chcę, żebyś powiedziała mi wszystko, co wiesz o artyście, który stworzył te senne monologi. Nawet nie podpisał swoich prac.

Z przeciwległego końca sali Dahla odpowiedziała dziwnym, wyraźnie wzburzonym głosem:

- Czemu jesteś zaskoczony, że nie podpisał prac - przecież tacy są dzisiejsi artyści. Podpisują dzieła głupimi symbolami, przyklejają gumy do żucia albo w ogóle zostawiają je niepodpisane. Dlaczego miałoby cię interesować jego imię? Dlaczego mnie miałoby interesować?

- Ponieważ - odparłem - być może udałoby mi się go przekonać, aby pozwolił mi kupić swoje prace, abym nie musiał więcej siedzieć na zimnej podłodze twojej galerii i odsłuchiwać je tylko podczas przerw obiadowych.

- Chcesz mnie wyrolować? - Dahla krzyczała już swoim dawnym głosem. - Jestem jego pośrednikiem i mówię ci, że cokolwiek ma na sprzedaż, nie kupisz tego inaczej niż *przez mnie*.

- Nie mam pojęcia, dlaczego się tak denerwujesz - rzekłem, wstając z podłogi. - Zamierzam odpalić ci procent. Proszę cię tylko, żebyś umówiła mnie z tym artystą.

Dahla usiadła na krześle stojącym obok zastony

oddzielającej galerię od zaplecza. Owinęła się szmaragdowym szalem i powiedziała:

- Nawet gdybym chciała was umówić, nie mogę tego zrobić. Nie mam pojęcia, jak się nazywa. Parę dni temu po prostu podszedł do mnie, kiedy czekałam na taksówkę, żeby pojechać do domu.

- Jak on wygląda? - musiałem o to zapytać w tamtym momencie.

- Było już późno, a ja byłam wstawiona - odparła, jak mi się wydawało, nieco wymijająco.

- Był młodszy czy starszy?

- Starszy, zdecydowanie. Niezbyt wysoki, z białymi, nastroszonymi włosami, jak szalony profesorek. Powiedział, że chciałby wystawić swoją pracę w mojej galerii. Przedstawiłam mu najlepiej jak mogłam moje standardowe warunki, biorąc pod uwagę, że byłam kompletnie zalana. Zgodził się i poszedł w swoją stronę. A to akurat nie jest najlepsza część miasta na nocne spacerowanie... Cóż, w każdym razie następnego dnia odebrałam przesyłkę z magnetofonem i taśmą, resztę już znasz. Była tam jeszcze instrukcja, w której pouczył mnie, abym kasowała taśmy codziennie przed wyjściem z galerii, i że na następny dzień pojawi się kolejna taśma, później kolejna, i tak dalej... Na paczkach nie ma adresu zwrotnego.

- I skasowałaś taśmę z bungalowem? - zapytałam.

- Oczywiście - odparła Dahla z irytacją, ale i uporem. - Co mnie obchodzi jakiś artysta i jego praca lub to, jak prowadzi karierę? Poza tym zagwarantował, że zarobię na tym, no i proszę - mam już siedemdziesiąt pięć dolarów.

- Dlaczego nie chcesz mi sprzedać monologu z opuszczoną fabryką? Nikomu nic nie powiem.

Dahla milczała chwilę, po czym odpowiedziała:

- Poinformował mnie, że jeśli nie niszczyłabym taśmy każdego dnia, dowiedziałby się o tym i powziął pewne kroki. Ale nie pamiętam dokładnie jakie, byłam wtedy tak pijana...

- Niby *jak* miałyby się dowiedzieć? - dopytywałem, ale Dahla już tylko patrzyła na mnie w zupełnej ciszy. - No dobrze, dobrze - powiedziałem. - Nie zmienia to faktu, że nadal chciałbym, byś mnie z nim umówiła. Masz jego pieniądze za taśmy z bungalowem i opuszczoną fabryką. Jakimkolwiek by nie był artystą, będzie żądał zapłaty. Tak więc kiedy się z tobą skontaktuje, po prostu zaaranżuj jakieś spotkanie ze mną. Nie oszukam cię na twojej części, masz moje *słowo*.

- Jeżeli jest coś warte... - odparła z goryczą Dahla.

Ostatecznie jednak zgodziła się spróbować umówić mnie z autorem taśm. Wyszedłem z galerii tuż po zakończeniu negocjacji, nie dając Dahli ani sekundy na rozmyślenie się. Tamtego popołudnia, podczas pracy w Oddziale Języka i Literatury biblioteki publicznej, nie myślałem o niczym innym niż o opustoszałej fabryce, którą na taśmie przedstawiono w tak zniewalający sposób. Autobus, którym jeżdżę każdego dnia do biblioteki i z powrotem, mija podobny budynek, mający samotnie w oddali, dokładnie jak to opisał artysta w sennym monologu.

Miałem kiepską noc, przewracałem się w łóżku, nie do końca śpiący i nie do końca przytomny. Czasami odnosiłem wrażenie, że ktoś jeszcze znajduje się w sypialni i mówi do mnie. Lecz nie mogłem w żaden praktyczny sposób uporać się z tym wrażeniem, ponieważ byłem zarazem na wpół śpiący i na wpół przytomny, a zatem pozbawiony pełni władz umysłowych.

Około trzeciej nad ranem zadzwonił telefon. W

ciemnościach sięgnąłem po okulary leżące na stoliku nocnym obok telefonu i spojrzałem na jaśniejące cyfry wyświetlacza na budziku. Odchrząknąłem i podniosłem słuchawkę. Głos po drugiej stronie należał do Dahli.

- Rozmawiałam z nim - oznajmiła.

- Gdzie z nim rozmawiałaś? - zapytałem. - Na ulicy?

- Nie, nie na ulicy - odparła, lekko chichocząc. Przypuszczam, że była pijana. - Zadzwoił do mnie.

- Zadzwoił do ciebie? - powtórzyłem, przez chwilę usiłując sobie wyobrazić, jak to jest usłyszeć głos tego artysty w słuchawce telefonu, nie z taśmy magnetofonowej.

- Tak, zadzwonił do mnie.

- I co powiedział?

- Cóż, powiedziałabym ci, gdybyś przestał mi zadawać tyle pytań.

- Mów.

- Zadzwoił ledwie kilka minut temu. Powiedział, że może spotkać się z tobą jutro w bibliotece, w której pracujesz.

- Powiedziałaś mu o mnie? - zapytałem i nastąpiła długa cisza. - Dahla? - ponagliłem.

- Powiedziałałam, że chcesz kupić jego nagrania. To wszystko.

- To skąd wie, że pracuję w bibliotece?

- Sam go zapytaj. Ja nie mam pojęcia. Zrobiłam swoje.

Następnie Dahla pożegnała mnie prędko i odłożyła słuchawkę, zanim zdążyłem jej odpowiedzieć.

Po tej rozmowie nie byłem w stanie usnąć tej nocy, nawet gdyby miał to być stan pół-snu i pół-jawy. Myślałem tylko o spotkaniu z autorem sennych monologów. Wstałem i zacząłem szykować się do pracy w takim pośpiechu, jakbym był spóźniony, po czym wyszedłem z domu czekać na autobus.

Było bardzo zimno, kiedy tak stałem na przystanku. Wysoko na tle czerni wisiała drzazga księżycy, do wschodu słońca brakowało kilku godzin. Poczułem się jak na przystanku w pierwszy dzień nowego roku szkolnego, tym bardziej że był wrzesień - wypełniały mnie jednocześnie przestrasz i ekscytacja. Kiedy autobus w końcu przyjechał, zmierzało nim do śródmieścia jedynie kilku podobnych do mnie rannych ptaszków. Zająłem jedno z tylnych siedzeń i zacząłem gapić się przez okno, a moja twarz w szybie wpatrywała się we mnie.

Jak tylko autobus dojechał do następnego przystanku, zauważyłem na ławce pod wiatą kolejnego samotnego pasażera czekającego na transport. Miał ciemne ubranie (w tym długie, luźne palto i kapelusz), siedział wyprostowany i trzymał ręce przy ciele, z dłońmi opartymi na kolanach. Głowę miał pochyloną i nie widziałem twarzy pod rondem kapelusza. Kiedy zrównaliśmy się z oświetloną wiatą, pomyślałem, że jego postawę można określić postawą zdyscyplinowanego odpoczynku. Zaskoczyło mnie, że nie podniósł się, gdy autobus podjechał bliżej; ostatecznie minęliśmy go, a on wciąż siedział na ławce. Chciałem powiedzieć coś do kierowcy, ale silne uczucie podekscytowania i strachu zamknęło mi usta.

W końcu wysiadłem przed biblioteką. Wbiegłem po schodach spocznikowych prowadzących do głównego wejścia. Przez grube, szklane drzwi dostrzegałem jedynie nieliczne światła zapalone w obszernym wnętrzu księżnicy. Po chwilowym pukaniu w szybę ujrzałem odzianą w uniform pracownika technicznego postać, która wyłoniła się z cienistych głębi wnętrza budynku. Zapukałem jeszcze parę razy i mężczyzna powoli podszedł do drzwi wysoko sklepionym korytarzem.

- Dzień dobry, Henry - powiedziałem, kiedy tylko drzwi się otworzyły.

- Dzień dobry, proszę pana - odparł mężczyzna, nie ustępując mi w przejściu. - Wie pan, nie powinienem otwierać tych drzwi do momentu, aż przyjdzie pora na ich otwarcie.

- Wiem, że przychodzę trochę wcześniej, ale chyba nic się nie stanie, jeśli mnie pan wpuści. W końcu tu pracuję.

- Wiem, że pan tu pracuje. Ale kilka dni temu miałem dość poważną rozmowę na temat otwierania tych drzwi o nieodpowiedniej porze. Z powodu kradzieży.

- Co skradziono, Henry? Książki?

- Nie, proszę pana. Coś z działu multimediiów. Kamerę albo magnetofon, nie pamiętam dokładnie.

- Cóż, masz moje słowo - wpuść mnie, obiecuję, że pójde prosto na górę do swojego biurka. Mam dzisiaj mnóstwo pracy.

Henry ostatecznie ustąpił, a ja zrobiłem dokładnie, jak powiedziałem.

Gmach biblioteki był okazałym budynkiem, jednakże Oddział Języka i Literatury (drugie piętro) mieścił się na względnie małej przestrzeni - wąskiej i długiej, o wysokim suficie, z ciągnącym się wzdłuż jednej ze ścian rzędem dużych, dzielonych okien. Przy pozostałych murach stały regały z książkami, zaś większość podłogi zajmowały długie stoły dla czytelników. Zasadniczo jednak pomieszczenie, w którym pracowałem, było przechodnie. Dwa szerokie, łukowe przejścia wiodły do kolejnych części biblioteki, a trzecie, o zwyczajnych wymiarach, prowadziło do regałów z większością zasobów biblioteki, milionów woluminów spoczywających poza zasięgiem wzroku na niekończących się rzędach półek. W ciemności przedświt trudno było

oszacować rzeczywiste wymiary Oddziału Języka i Literatury. Jedyne księżyc przeświecający przez wysokie, przeszkłone okna wskazywał mi położenie mojego biurka, usytuowanego dokładnie pośrodku wąskiej, długiej sali.

Podszedłem do niego i włączyłem małą lampkę, którą przed laty przyniosłem z domu (nie potrzebowałem wprawdzie dodatkowego oświetlenia do pracy przy bibliotecznym biurku, ale cieszył mnie ponuro staromodny wygląd tego przedmiotu). Przez chwilę pomyślałem o bungalowu, w którym żadna lampa nie miała żarówki, a światło księżycy padało przez okna na postrzępiony dywan pokryty ciałami szkodników. Z jakiegoś powodu nie potrafiłem wzbudzić w sobie odczucia i stanu wiążącego się z monologiem, mimo iż mój obecny, samotny pobyt na Oddziale Języka i Literatury o tak wczesnej porze miał w sobie coś silnie onirycznego.

Nie mając pojęcia, co zrobić dalej, rozsiadłem się za biurkiem, jakby zaczął się kolejny zwykły dzień pracy. Właśnie wówczas spostrzegłem na blacie dużą kopertę, choć nie pamiętałem, by leżała tam wczoraj, kiedy wychodziłem. W słabym świetle lampki koperta wyglądała na starą i wyblakłą. Była pękata, zalakowana i niepodpisana.

- Kto tam? - głos, którym zawołałem, ledwie przypominał mój. Zdawało mi się, że sprawdzając paczkę leżącą na biurku ujrzałem coś kątem oka. Odchrząknąłem. - Henry? - rzuciłem w ciemność bez podnoszenia wzroku znad biurka i odwracania się za siebie. Nikt nie odpowiedział, ale czułem wyraźnie, że w Oddziale Języka i Literatury biblioteki publicznej zjawił się ktoś jeszcze.

Powoli odwróciłem głowę w prawo, skupiając wzrok na znajdującym się w pewnym oddaleniu łukowym przejściu. W

samym jego środku, prowadzącym do kolejnego pomieszczenia rozświetlonego wpadającym przez wysokie dzielone okna blaskiem księżyca, widniał zarys czyjejś sylwetki. Nie widziałem jej twarzy, ale natychmiast rozpoznałem długi, luźny płaszcz i kapelusz. Była to bez wątpienia postać, którą widziałem w ciemnościach przedświt na przystanku autobusowym podczas jazdy do biblioteki. Teraz przybył tutaj, by spotkać się ze mną, tak jak powiedział Dahli. W tym momencie wydawało mi się bezcelowe pytać, jak wszedł, a także prosić o przedstawienie się. Z miejsca rozpocząłem monolog, konsekwentnie układany i powtarzany, odkąd tylko Dahla zadzwoniła do mnie wcześniej tego ranka.

- Czekałem na ciebie - powiedziałem. - Twoje senne monologi, jak je nazywam, zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Muszę przyznać, że nie potrafię przyrównać twoich *dzieł sztuki* do czegokolwiek, co poznałem, zarówno na poziomie artystycznym, jak i meta-artystycznym. To nieprawdopodobne, jak precyzyjnie wyraziłeś istotę zagadnienia, która jest mi tak bliska. Nie mówię konkretnie o przedstawieniach bungalowu i tak dalej, ale o będącej ich podstawą wizji rzeczy. Kiedy głos w twoim monologu wypowiada pojęcia takie jak „nieskończona groza i posępność” lub „nieustanna negacja barw i życia”, moja wewnętrzna reakcja na nie, jak wierzę, jest dokładnie taka, jaką zamierzyłeś dla osób doświadczających twoich dzieł.

Ciągnąłem tym tonem jeszcze przez chwilę, zwracając się do postaci, która jednak nie zdradzała, że w ogóle słyszy, co mówię. W pewnym momencie mój monolog począł zbaczać w kierunku, którego nie planowałem. Nagle zacząłem mówić rzeczy niemające nic wspólnego z tym, co powiedziałem przed chwilą; co więcej - znajdujące się w zupełnej sprzeczności z

poprzednio wyrażonymi osądami.

- Odkąd pamiętam - powiedziałem do postaci skrytej w cieniu przejścia - doświadczałem silnego, wysoce estetycznego poczucia tego, co nazywam *lodowatą posępnością rzeczy*. Jednocześnie czułem się bardzo osamotniony w tym postrzeganiu. To zestawienie uczuć wydaje się paradoksalne, zwłaszcza że tego typu percepcja, ten sposób widzenia, powinien zapobiegać pojawianiu się poczucia samotności lub jakiegokolwiek wrażenia, jak to nazywam, *zabójczego smutku*. Każde rozdzierające serce uczucie, w zwyczajnym rozumieniu tego pojęcia, powinno zanikać w kompletnej bezradności wobec dzieł takich, jak twoje; dzieł, które tak potężnie wyrażają to, co nazywam lodowatą posępnością rzeczy, zduszając, czy też unicestwiając wszelkie uczucia atmosferą pulsującą zdevastowanymi prawdami, przesiąkniętą wizjami totalnej stagnacji i martwoty. Ale efekt, który obserwuję na sobie, jest dokładnie odwrotny. Jeżeli było twoim zamiarem wywołać we mnie sennymi monologami tę lodową posępność rzeczy, to kompletnie zawiodłeś, zarówno w wymiarze artystycznym, jak i meta-artystycznym. Zawiodłeś swoją sztukę, zawiodłeś samego siebie, a także zawiodłeś mnie. Gdyby twoje dzieła naprawdę wzbudzały we mnie tę wszechposępność, to nigdy nie odczułbym potrzeby dowiedzenia się, kim jesteś, tego zabójczego smutku, że istnieje ktoś doświadczający podobnych odczuć i stanów co ja; ktoś pragnący dzielić się nimi ze mną poprzez sensne monologi nagrywane na taśmach. Kim ty jesteś, żebym czuł potrzebę znalezienia się w pracy na godziny przed wschodem słońca, żebym czuł, że muszę to zrobić, że jesteś kimś, kogo koniecznie muszę poznać? To zachowanie łamie każdą zasadę, jaką kierowałem się w życiu, odkąd tylko pamiętam. Kim ty

jesteś, żeby zmuszać mnie do łamania tych istniejących niezmiennie od dawna zasad? Chyba już rozumiem. Dahla cię w to zaangażowała. Ty i Dahla zawarliście spisek przeciwko mnie i moim zasadom. Każdego dnia Dahla wisi na telefonie, zarabiając na tych swoich ustaleniach i nie może znieść myśli, że jedyne, co robię, to spokojnie przesiaduję podczas przerw na lunch w jej obskurnej galeryjce. Czuje, że w jakiś sposób ją oszukuję, ponieważ nigdy nie przyniosłem jej zysku, ponieważ nigdy jej nie zapłaciłem za załatwienie czegokolwiek. I nie próbuj zaprzeczać - wiem, że to prawda. Mimo wszystko mógłbyś jednak coś powiedzieć. Ledwie parę słów, tym swoim głosem. Pozwól mi chociaż zobaczyć twoją twarz. Zdejmij ten idiotyczny kapelusz. Dahla mogłaby nosić coś takiego.

Mówiąc to, zmierzałem już (a w zasadzie słaniałem się) w stronę postaci. Przez moment, kiedy tak zmierzałem lub słaniałem się w jej kierunku, oczekiwałem, że w jakiś sposób odpowie na moje oskarżenia. Ale kiedy szedłem pomiędzy kolejnymi długimi stołami w stronę przejścia, postać przesuwiała się coraz bardziej do tyłu, w ciemność kolejnej sali, rozświetlanej światłem księżycy przedostającym się przez wysokie, dzielone okna. Im bliżej podchodziłem, tym mocniej sylwetka wtapiała się w mrok. I nie widziałem, by wykonywała kroki do tyłu, tak jak ja robiłem kroki do przodu - raczej unosiła się w powietrzu.

Na chwilę przed całkowitym zniknięciem w ciemnościach postać przemówiła do mnie. Był to ten sam głos, którego słuchałem przez olbrzymie słuchawki w galerii Dahli, za to teraz jego słów nie wypaczały żadne zakłócenia i zniekształcenia. Słowa odbijające się echem w mojej głowie, tak samo jak odbijały się echem od wysokich sklepień biblioteki, były słowami, które winien byłem przyjąć z

największą radością, jako że znajdowały w nich odbicie moje własne najgłębsze zasady. Ale nie znalazłem otuchy w kolejnym głosie, który mówił, że nie mam dokąd pójść, nie mam nic, co mógłbym uczynić, jak też nie mam nikogo, kogo mógłbym poznać.

Kolejny głos, który usłyszałem, należał do Henry'ego. Mężczyzna stał na parterze i krzyczał w górę szerokich, kamiennych schodów biblioteki.

- Proszę pana, czy wszystko w porządku? - pytał. Opanowałem się na tyle, żeby potwierdzić, że wszystko w porządku. Poprosiłem, aby włączył światła na całym drugim piętrze biblioteki. Po chwili lampy na całym poziomie rozbłysły, ale człowieka w długim, luźnym płaszczu i kapeluszu nie było.

Tego samego dnia poszedłem do galerii wybadać Dahłę, ale ona nawet nie zamierzała odnieść się do moich pytań i oskarżeń.

- Jesteś szalony - krzyczała. - Nie chcę mieć z tobą więcej do czynienia.

Kiedy zapytałem, o czym mówi, odpowiedziała:

- Naprawdę *nie* wiesz? Naprawdę jesteś stuknięty. Nie pamiętasz, jak tamtej nocy podszedłeś do mnie, gdy czekałam na taksówkę.

Skoro powiedziałem, że niczego podobnego sobie nie przypominam, kontynuowała anegdotę o tamtej nocy, jak i o tym, co stało się później.

- No więc stoję sobie, kompletnie pijana, na ulicy; tak pijana, że ledwo rozumiem, co do mnie mówisz, coś o jakiejś małej grze, w którą chcesz zagrać. Potem wysyłasz mi taśmy. A później przychodzisz i płacisz za słuchanie tych taśm, dokładnie jak zapowiedziałeś. Na szczęście w porę

przypomniałam sobie, że kazałeś mi kłamać, że nagrania są dziełem jakiegoś staruszka z białymi włosami, podczas gdy to ty je nagrywasz. Zawsze wiedziałam, że jesteś szurnięty, ale to jedyne pieniądze, jakie na tobie zarobiłam, mimo że codziennie przychodzisz jeść ten swój żałosny lunch w mojej galerii. Tamtej nocy, kiedy się spotkaliśmy, na początku nie poznałam, kto taki zbliża się do mnie ulicą. Wyglądałeś inaczej, miałeś na głowie taki śmieszny kapelusz. Ale po chwili orientuję się, że to ty. Że trochę udajesz, że jesteś kimś innym, ale niezupełnie, nie wiem zresztą. A później mówisz, że muszę zniszczyć te taśmy, bo inaczej coś się stanie. Cóż, pozwól, że coś ci powiem, czubku - powiedziała Dahla. - Otóż nie skasowałam tych nagrań. Puściłam je wszystkim moim przyjaciołom. Siedzieliśmy i piliśmy, zrywając boki ze śmiechu przy twoich głupich *sennyh monologach*. Proszę, kolejne twoje dzieło właśnie przybyło pocztą - powiedziała, idąc przez galerię w stronę magnetofonu ustawionego na małym, plastikowym stoliku. - Dlaczego sobie nie posłuchasz i nie zapłacisz pieniędzy, które obiecałeś? To musi być dobry kawałek - rzekła, podnosząc kartkę z tytułem pracy. „Przystanek autobusowy”. No, to będzie coś wspaniałego dla ciebie - przystanek autobusowy! Płać!

- Dahla - odpowiedziałem, siląc się na spokój - proszę, posłuchaj. Musisz coś dla mnie załatwić. Potrzebuję jeszcze raz spotkać się z artystą nagrywającym te taśmy. Jesteś jedyną osobą, która może umówić go ze mną. Dahla, bałbym się o nas oboje, gdybyś nie zechciała umówić tego spotkania. Muszę z nim jeszcze raz rozmówić.

- Czemu więc nie pogadasz ze swoim lustrzanym odbiciem? Tam! - powiedziała, wskazując zasłone oddzielającą galerię od zaplecza. - Idź sobie do łazienki, jak wtedy, i

porozmawiaj sam ze sobą.

- Nie mówiłem wtedy do siebie, Dahla.

- Doprawdy? No to co robiłeś?

- Dahla, musisz nas umówić. Jesteś pośrednikiem. On się z tobą skontaktuje, jeśli tylko mu pozwolisz.

- Kto się ze mną skontaktuje?

Było to uczciwe pytanie ze strony Dahli, ale było to również pytanie, na które nie potrafiłem odpowiedzieć. Powiedziałem jedynie, że przyjdę porozmawiać z nią jutro, mając nadzieję, że do tego czasu zdąży się uspokoić.

Niestety, nigdy więcej nie zobaczyłem Dahli. Tamtej nocy znaleziono ją martwą na ulicy. Przypuszczalnie czekała, aż taksówka zabierze ją z knajpy, imprezy czy jakiegokolwiek innego miejsca, gdzie zbierają się ludzie, w którym bardzo mocno się upijała. Lecz to nie alkohol i nie wyniszczające, cyganeryjne życie towarzyskie zabiło Dahlę. W rzeczywistości zadławiła się na śmierć. Jej zwłoki zabrano do prosektorium. Stwierdzono, że w jej ciele umieszczono mały przedmiot. Wyglądało na to, że ktoś brutalnie wepchnął jej ów przedmiot do gardła. Tym czymś, jak podano w gazetach, była „mała, plastikowa rączka lalki”. O tym, czy owa rączka była pomalowana na szmaragdowo, czy na jakikolwiek inny kolor, niestety, w artykule nie wspomniano. Z pewnością policja przeszukała Galerię Sztuk Pięknych Dahli D. i z pewnością znalazła wiele podobnych plastikowych kończyn, złożonych w drucianym koszu na śmieci i pomalowanych na rozmaite kolory. Bez wątpienia znaleźli także wystawę z sennymi monologami anonimowego artysty i magnetofon skradziony z biblioteki. Ale nigdy nie powiązali tych przedmiotów z groteskową śmiercią właścicielki galerii.

Od tamtej nocy nie czułem już rozpaczliwej potrzeby

wejścia w posiadanie monologów, nawet taśmy o przystanku autobusowym, której zresztą nigdy nie przesłuchałem. Byłem teraz właścicielem oryginalnych rękopisów, na podstawie których artysta tworzył swoje prace, a które tamtego ranka zostawił mi w dużej kopercie na biurku w bibliotece. W przeciwieństwie do mnie, wiedział już wówczas, że nigdy więcej się nie spotkamy. Charakter pisma w rękopisie bardzo przypomina mój własny, choć nachylenie liter zdradza osobę leworęczną, podczas gdy ja jestem praworęczny. Raz za razem czytam monologi o przystanku autobusowym, opuszczonej fabryce, a szczególnie o bungalowie, w którym księżycowe światło pada na dywan pokryty ciałami szkodników. Usiłuję ponownie doświadczyć tej nieskończonej grozy i posępności wszechświata bungalowu, tak jak to już raz się stało, ale to nie to samo. Nie znajduję w nich żadnej otuchy, nawet jeżeli wizja i ustanawiające ją zasady są wciąż te same. Wreszcie, jak nigdy, zdaję sobie sprawę, że nie ma dla mnie miejsca, dokąd mógłbym pójść, nie ma niczego, co mógłbym uczynić i nie ma nikogo, kogo mógłbym poznać. Głos w mojej głowie raz za razem powtarza te stare zasady. Ten głos jest jego głosem i ten głos jest także moim głosem. I są tam inne głosy, głosy, których nigdy wcześniej nie słyszałem; głosy już martwe albo dopiero zamierające w wielkiej, księżycowej ciemności. Bardziej niż kiedykolwiek wydaje się niezbędny nowy rodzaj ustaleń - dramatycznych, nieokreślonych ustaleń - cokolwiek, co tylko pozwoli mi znaleźć wybawienie od rozdzierającego serce smutku, który cierpię każdej minuty każdego dnia (i nocy), tego zabójczego smutku, który nie opuści mnie już nigdy, bez względu na to, gdzie pójdę, co uczynię, lub kogo poznam.

Przeł. Wojciech Gunia

SEVERINI

Jako jedyny spośród miejscowego koła znajomych oraz towarzyszy nie spotkałem nigdy Severiniego. W przeciwieństwie do reszty nie odczuwałem potrzeby wspólnego odwiedzania go w jego samotnym siedlisku, które zyskało miano „Szopy Severiniego”. Zastanawiano się nawet, czy umyślnie unikałem spotkania z tym nadzwyczajnym osobnikiem. Nawet ja nie potrafiłem na to odpowiedzieć. Ciekawość moja dorównywała ciekawości pozostałych, a właściwie przewyższała ją. Mimo to swego rodzaju skrupuły czy też wyjątkowa obawa trzymały mnie z dala od tego, co pozostali opiewali pod nazwą „pokazu Severiniego”.

Rzecz jasna nie mogłem nie słyszeć opowieści o ich odwiedzinach u Severiniego. Przyznawali, że każda z tych wycieczek do samotnej rudery poza miastem, w którym przyszło mi żyć, stanowiła dla nich wielką przygodę, wyprawę w dziedzinę niejasnych, osobliwych koszmarów. Postać, która przewodziła tym niby salonowym zebraniom, należała do osób nadzwyczaj rozchwianych psychicznie i wzbudzała w odwiedzających upiorne przecucie, stan wyczekiwania nie wiadomo na co, który niekiedy sięgał szczytów obłędu. Potem zaś musiałem wysłuchiwać opowieści tego czy owego o tym, co wydarzyło się danej nocy w obrębie czterech ścian sławetnej szopy, umiejscowionej na skraju bujnie zarośniętej, bagnistej połaci, znanej pod nazwą Trzęsawiska Św. Albana, miejsca zdaniem niektórych odznaczającego się złowieszczą istotnością dla samego Severiniego. Niekiedy sporządzałem notatki z tych opowieści, oddając się z satysfakcją prowadzeniu swego rodzaju wydumanej, a zarazem wysoce

analitycznej dokumentacji. Lecz zwykle po prostu przyswajałem sobie wszystkie te anegdoty o Severinim, podchodząc do nich w całkiem naturalny, organiczny sposób, tak samo jak pochłaniam rzeszę innych rzeczy ze świata dokoła mnie, bez świadomości - czy nawet możliwości jej udziału - że rzeczy te mogą być dla ducha odżywcze, obrzydłe, lub też zupełnie obojętne. Przyznaję, od samego początku z wielką uwagą skłaniałem ucho ku ludziom, którzy akurat mieli coś do powiedzenia na temat Severiniego, jego barakowego domu lub bagnistego obszaru, na którym się zaszyl. Następnie, gdy tylko zostawałem sam w niedużym mieszkaniu, które służyło mi za dom w tamtym okresie życia, odtwarzałem w wyobraźni zjawiska, które odnosiły się do mnie w rozmowach odbywających się w różnych miejscach i momentach. Rzadko kiedy nalegałem, by opowiadający powiedzieli coś więcej o jakimkolwiek aspekcie ich przygód z Severinim, lecz kilka razy zdradziłem się, gdy rozmowa zeszła na temat jego przeszłości z okresu, kiedy jeszcze nie osiedlił się w szopie na trzęsawisku.

Zgodnie ze słowami naocznych świadków (to znaczy osób, które odbyły pielgrzymkę do osamotnionej, rozlatującej się szopy), Severini potrafił być wielomówny na temat historii swojej osoby, szczególnie motywów oraz wydarzeń, które w najbardziej bezpośredni sposób dotykały go w obecnym życiu. Z drugiej strony, osoby te przyznawały, iż ów „zdumiewający odludek” (Severini) jednocześnie okazywał jawną pogardę dla pospolitych wydarzeń i prawd przyziemnych. Dlatego też częstokroć miał w zwyczaju opowiadać o sobie za pomocą niejasnych przypowieści oraz metafor, by nie wspomnieć o rażących anegdotach, w których opisywane zajścia zdawały się przeczyć sobie nawzajem, czy wręcz ostentacyjnych

kłamstwach, które następnie czasami sam demaskował. Ale zazwyczaj - w opinii niektórych *za każdym razem* - mowy Severiniego nie różniły się wiele od kompletnego bełkotu, jakby bredził przez sen. Mimo tych trudności w uzyskaniu wiarygodnych i spójnych relacji, wszyscy opowiadający w jakiś sposób malowali mi w umyśle szczególnie żywy obraz odludka Severiniego, amalgamat pogłosek, który zyskał miano sugestywnej legendy.

Wrażenie, jakie wywierał legendarny Severini, niewątpliwie pogłębiały obiekty określone przez niektóre osoby jako „Eksponaty Urojonego Muzeum”. Świta odwiedzająca zdezelowaną szopę odludka składała się z ludzi mniej lub bardziej uzdolnionych artystycznie, a przynajmniej z osobników ze *skłonnościami* artystycznymi, zaś ich styczność z Severinim okazała się potężną inspiracją; powstały wykonane różnymi technikami liczne dzieła sztuki o rozmaitych tematach. Wśród nich rzeźby, malowidła oraz rysunki, wiersze, krótkie utwory prozą, kompozycje muzyczne, niekiedy z partiami wokalnymi, koncepcje zaledwie w formie schematu czy szkicu, a nawet projekt architektoniczny „zrujnowanej świątyni na zarośniętej dżunglą wyspie gdzieś w rejonie Filipin”. Podczas gdy z pozoru twory te zdawały się posiadać rozliczne kontrowersyjne pierwowzory w rzeczywistości, każdy z nich brał bezpośredni początek w słowach Severiniego, w jego *mowie sennej*, jak ją określali. Istotnie, sam dostrzegałem wyraźną jednorodność tych dzieł sztuki oraz ich nierozzerwany związek z nie inną wyjątkową figurą natchnienia jak Severinim we własnej osobie, mimo iż sam nigdy nie spotkałem tego oryginała i nie przejawiałem pragnienia, by go spotkać. Tak czy inaczej, owe tak zwane „eksponaty” pomagały mi odtwarzać w wyobraźni nie tylko

dyskutowane na wszystkie strony wizyty reszty grona w szopie na trzęsawisku, ale również historię życia jej jedyne go lokatora.

Kiedy teraz o nich myślę - to znaczy, kiedy odtwarzam je w wyobraźni - o tych zainspirowanych przez Severiniego dziełach, jakkolwiek by nie były zróżnicowane pod względem tematu i techniki, na pierwszy plan wybija się parę cech, za każdym razem identycznych, za każdym razem identycznie opracowywanych. Przeżyłem szok, gdy zacząłem dostrzegać te wspólne cechy, ponieważ w sposób niesłychanie wierny naśladowały niektóre spośród osobliwych obrazów i koncepcji, jakich samemu doświadczałem w chwilach obfitego w wizje oddawania się marzeniom na jawie, zwłaszcza podczas epizodów delirium spowodowanych przez choroby ciała lub nadmierne wzburzenia psychiczne.

Głównym elementem tych epizodów było poczucie obecności w miejscu o przymiotach odpowiadających z jednej strony krajobrazowi tropikalnemu, z drugiej pospolitemu ściekowi². Aspekt pospolitego ścieku ujawniał się w poczuciu zamknięcia w miejscu klaustrofobicznym, a zarazem bardzo rozległym powierzchniowo, w sieci przeplatających się korytarzy, zdążających w niesłychanie dale podziemnego świata zawieszistej ciemności. Jeśli chodzi o właściwości rejonów tropikalnych, ze ściekiem miały wspólny pewien rodzaj oślizgłej fermentacji, z którą łączyło się wrażenie bycia otoczonym przez mnożące się wszelkiej maści egzotyczne formy życia, byty multiplikujące się i nieustannie *mutujące*, niczym na filmie poklatkowym przedstawiającym rosnącego grzyba lub wielobarwne śluzowce, nieograniczone w kształcie i możliwościach rozrostu. Doświadczając najburzliwszych wizji tego miejsca, tego tropikalnego ścieku, w formie, w jakiej

rok po roku odtwarzał się w mojej delirycznej wyobraźni, za każdym razem znajdowałem się w wielkiej oddali od niego, nigdy w jego szponach, niczym w szponach najgorszego koszmaru. Jednak wciąż miałem świadomość (niczym w koszmarze), że coś się kiedyś *wydarzyło* w tym miejscu, jakieś nieznanne wydarzenie przeminęło i zostawiło za sobą te obrazy na kształt śladu, jaki zostawia ślimak. I wtedy doznałem pewnego *uczucia*, zaś do głowy przysłała mi pewna *koncepcja*.

Właśnie to uczucie oraz towarzysząca mu koncepcja tak jaskrawo rozkwitały wewnątrz mego jestestwa, gdy pozostali zaczęli opowiadać mi o swoich dziwnych odwiedzinach w domu Severiniego i pokazywać różne dzieła sztuki, które powstały za natchnieniem owego dziwnego osobnika. Raz po raz oglądałem obrazy bądź rzeźby w atelier tego czy innego artysty, albo też słuchałem muzyki wykonywanej w klubie odwiedzanym przez tłum popleczników Severiniego, albo też czytałem przekazywane z ręki do ręki utwory literackie - i za każdym razem odnawiało się we mnie doznanie tego tropikalnego ścieku, wszelako nie z tą samą intensywnością jak w czasie delirycznych epizodów doświadczanych w czasie cierpień spowodowanych chorobami ciała lub okresów nadmiernego wzburzenia psychicznego. Same tytuły tych dzieł wystarczyłyby do wywołania we mnie tego szczególnego uczucia i koncepcji, które rodziły się w epizodach delirium. Koncepcję, do której przez cały czas nawiązuję, można przedstawić na rozmaite sposoby, ale zazwyczaj jawiła się w moich myślach jako prosta fraza (lub fragment), niemal zaśpiew przytłaczający podłymi, natrętnymi sugestiami wykraczającymi poza znaczenie słów, które brzmiały następująco: *koszmar organizmu*. Podłe, natrętne sugestie kryjące się w tej koncepcyjnej frazie (lub z niej wypływające),

jak już wspomniałem, były wywoływane przez tytuły zainspirowanych przez Severiniego dzieł sztuki, owe Ekspozycje Urojonego Muzeum. Chociaż mam trudności w przypomnieniu sobie rodzaju dzieła, do którego przypisano dany tytuł - nieważne, czy chodzi o malowidło czy rzeźbę, wiersz czy performance - wciąż jestem w stanie przywołać pewną liczbę samych tytułów. Jeden z nich, który najszybciej pojawia się w procesie przypominania, brzmi następująco: „Żadnej twarzy między nami”. A tu inny: „Zbrukany i wyzwolony”. Zaraz też inne przychodzą mi do głowy: „Droga zagubionego”, „Na lepkiej świętej ziemi” (alternatywny tytuł: „Tantryczni lekarze”), „W ziemi i wydalinach”, „Czarna piana egzystencji”, „Błony wykwitu”, a także „Zejście w grzybnię”. Wszystkie te tytuły, jak poinformowali mnie moi znajomi oraz towarzysze artyści, wywodziły się spośród wybranych fraz (lub fragmentów) wypowiedzianych przez Severiniego podczas jego licznych epizodów *sennej mowy*.

Za każdym razem, gdy słyszałem któryś z tych tytułów lub widziałem dzieło sztuki, do którego dany tytuł się odnosił, przypominałem sobie tropikalny ściek z moich delirycznych epizodów. Czułem również, że jestem na skraju zrozumienia, co takiego wydarzyło się w tamtym miejscu, do jakiego to cudownego lub katastrofalnego wydarzenia blisko związanego z koncepcyjną frazą, którą oddałem słownie jako koszmar organizmu, tutaj doszło. Mimo to, owe dzieła sztuki wraz z ich tytułami udzielały mi zaledwie niewyraźnego poczucia podłego, natrętnego objawienia. I nie było mowy o tym, żeby inni mogli ot tak, rozjaśnić mi w pełni tę sprawę, zwłaszcza że ich wiedza na temat historii Severiniego brała się wyłącznie z jego nonsensownych lub pokrętnych oświadczeń. Na tyle, na ile byli skłonni pleść swoje sieci domysłów, można było

wysnuć z nich wniosek, iż owa obłąkana i niemal incognito osoba znana jako Severini, stała się niegdyś dobrowolną ofiarą zdarzenia określanego bądź „ezoteryczną procedurą”, bądź „niedozwolonym zabiegiem”. Na tym etapie moich odkryć związanych z dziwnym Severinim okazało się trudnym jednocześnie dopytywać o tę procedurę czy też zabieg oraz udawać brak zainteresowania chęcią faktycznego spotkania z mieszkańcem zdezelowanej szopy na mokradlanej głuszy poza miastem, w którym zamieszkiwałem. Wydawało się jednak, iż owe zabieg czy procedura, przynajmniej na ile można było się domyślać, nie miały charakteru jakiegokolwiek postępowania medycznego. Wszyscy uważali, że procedura ta (czy też zabieg) bardziej dotyczyła obrzędów okultystyczno-mistycznych, które w swojej najbardziej nasilonej postaci występują potajemnie co najwyżej w nielicznych obszarach świata. Oczywiście wszystkie te domysły mogły okazać się zaledwie próbą mydlenia oczu zaaranżowaną przez Severiniego albo jego uczniów - gdyż jego uczniami w rzeczywistości się stali - a może przez ich wszystkich razem. Muszę przyznać: pomimo całej parady dzieł sztuki uczniów Severiniego oraz ich niestworzonych opowieści o odwiedzinach w szopie na trzęsawisku, od jakiegoś czasu podejrzewałem owych uczniów o ukrywanie przede mną istotnego elementu ich nowych doświadczeń. Można było odnieść wrażenie, że istnieje część prawdy, o której wiedzę posiadali, a ja nie. Mimo wszystko zdawało się, iż pragną w swoim czasie podzielić się ze mną tą prawdą.

Moje podejrzania o wprowadzaniu mnie w błąd przez resztę brały się, muszę przyznać, ze źródeł czysto subiektywnych. Siedząc w mieszkaniu, tak właśnie odtwarzałem sobie widowisko Severiniego opisane mi przez

tych, którzy uczestniczyli w wizytach w jego mieszkaniu na trzęsawisku. Obrazowałem sobie ich w głowie, jak siedzieli na podłodze niedużej, nieumeblowanej szopy, zaś jedyne oświetlenia dostarczały palące się wściekle świece, przyniesione przez obecnych i ustawione w okrąg, wewnątrz którego stała postać Severiniego. Postać za każdym razem przemawiała do nich wyjątkowo zagadkowym sposobem, właściwości jej sennych bredni ulegały ciągłym fluktuacjom, natomiast sam dźwięk poniekąd dobywał się z miejsc poza ciałem Severiniego, jak gdyby uprawiał brzuchomówstwo rzutowane. Również jego ciało, jak mi powiedziano i jak sobie później wyobrażałem w moim mieszkaniu, zdawało się reagować zgodnie z fluktuacjami głosu. Pozostali twierdzili, że te zmiany na ciele czasami były ledwie dostrzegalne, a kiedy indziej dramatyczne, lecz konsekwentnie nieokreślone - dochodziło nie tyle do oczywistej przemiany, co do *załamywania rysów* i struktur anatomicznych, co w efekcie tworzyło coś pokręconego i nowotworowego, niczym żywe usypisko chorobliwej gliny lub błota, zwał materii rakowej, niszczącej z wolna w blasku świec rozjaśniających starą szopę. Jak wyjaśniali mi pozostali, Severini nie panował nad fluktuacjami głosu oraz ciała, były to całkowicie spontaniczne zjawiska, które znosił jako skutek ezoterycznej procedury bądź nielegalnego zabiegu, jakiemu został poddany w nieznanym miejscu (prawdopodobnie „w rejonie Filipin”). Inni dodawali, że teraz był już skazany na uległość wobec wszystkiego, czego wymagały od jego ciała kompletnie bezrozumne oraz chaotyczne siły i nawet jego świadome ja - zapewniali - stało się tak bezkształtne i niestałe, jak jego powłoka cielesna. A mimo to, kiedy opowiadali mi wszystkie te szczegóły kondycji Severiniego, żaden z nich nie oddawał

słowaami prawdziwego sensu koszmarnych właściwości opisywanych obrazów i procesów. Była tam trwoga, tak; zapamiętałość, tak; ślady szaleństwa tak Lecz cokolwiek rodem z koszmaru - skądże. Nawet kiedy słuchałem ich relacji z danego zebrania u Severiniego, nie byłem w stanie w pełni uchwycić koszmarnych właściwości oraz aspektów tych relacji. Powiadali o jednej z przemian Severiniego: „Nagie kontury jego postaci wiły się niczym węże w sadzawce, drgały niczym chmara nowowyklutych pajęczków”. Mimo to słuchając jednego takiego zdania za drugim, siedziałem względnie nieporuszony, przyjmując bez odrazy czy oburzenia tego typu odrażające, oburzające uwagi. Być może, myślałem wówczas, poddałem się potężnemu czarowi towarzyskiej obyczajności, która jakże często wyjaśnia w inny sposób niepojęte uczucia (lub braki uczuć) oraz zachowania (lub braki zachowań). Wystarczyło jednak, że zostawałem sam w mieszkaniu i zaczynałem z fantazją odtwarzać co usłyszałem o widowisku Severiniego, a natychmiast przytłaczała mnie jego koszmarna esencja, zaś kilka razy popadłem w swoje deliryczne epizody z całą siłą straszliwych wrażeń rodem z tropikalnego ścieku pełnego koszmaru egzotycznych form życia, które wykwitwały naokoło niczym pleniące się szaleńczo krosty i ropnie. To właśnie ta rozbieżność pomiędzy moją publiczną reakcją (albo brakiem reakcji) na rzekomo obiektywne informacje, którymi zasypywano mnie odnośnie do sprawy Severiniego, a prywatną reakcją (albo hiper-reakcją) na te informacje, doprowadziła mnie ostatecznie do podejrzeń, że zostałem wprowadzony w błąd, nawet jeśli sam po części byłem temu winny. Następnie doszedłem do przekonania, że stałem się ofiarą nie tyle oszustwa, co manipulacji - procesu zwabiania, którego

kulminację miałoby stanowić zaliczenie mnie w poczet kultu Severiniego jako pełnoprawnego wtajemniczonego. Tak czy inaczej, żywiłem cały czas przekonanie, że odmówiono mi ujawnienia pewnego istotnego elementu dotyczącego samotni na Trzęsawisku Św. Albana i było tak, póki nie nadszedł sprzyjający moment, kiedy stałem się gotów stanąć oko w oko z prawdą do tej pory mi odmawianą, a której być może ja sam sobie dobrowolnie odmawiałem.

Wreszcie, pewnego deszczowego popołudnia, kiedy pracowałem samotnie w mieszkaniu (sporządzając notatki na temat Severiniego), brzęczenie dzwonka zawiadomiło mnie, że ktoś jest na dole. Głos w domofonie należał do kobiety o imieniu Carla, rzeźbiarki, którą znałem słabo. Wpuściłem ją do mieszkania. Stała przede mną cała mokra, musiała iść przez deszcz bez płaszcza czy parasola, chociaż jej proste czarne włosy i czarna w najdrobniejszym detalu garderoba wyglądałyby tak samo czy mokre, czy suche. Zaproponowałem jej ręcznik, ale odmówiła, twierdząc że „nawet lubiła siąkać i czuć się zmoknięta”; porzuciliśmy więc temat. Wyjawiła, że odwiedzając mnie w mieszkaniu zamierzała zaprosić mnie na pierwszy „zbiorowy pokaz” Ekspozycji Urojonego Muzeum. Kiedy zapytałem, czemu niby otrzymuję osobiste zaproszenie we własnym mieszkaniu w deszczowe popołudnie, odpowiedziała:

- Bo pokaz odbędzie się w *jego domu*, a ty nigdy nie chciałeś tam iść.

Oznajmiłem, że poważnie zastanowię się, czy nie wziąć udziału w pokazie i zapytałem, czy to wszystko, co miała mi do powiedzenia.

- Nie - odparła, grzebiąc w jednej z kieszeni jej nasiąkłych i obcisłych spodni. - To on tak naprawdę chciał,

żebym cię zaprosiła na wystawę. My nigdy mu nie mówiliśmy o tobie, jednak on twierdził, że zawsze kogoś mu brakowało i z jakiegoś powodu uznał, że chodzi o ciebie. - Wyjąwszy złożony kilka razy kawałek papieru, rozpostarła go i uniosła przed oczy. - Zapisałam sobie co powiedział - rzekła trzymając obiema dłońmi blisko twarzy sflaczałą, pomiętą notatkę. Na moment rzuciła okiem w moją stronę ponad górną krawędzią rozwiniętej kartki (jej tusz do rzęs spływał obficie po policzkach czarnymi strużkami), następnie zaś spuściła wzrok, by odczytać słowa, które Severini nakazał jej zanotować. - Tu jest napisane: „Ty i Severini” - zawsze nazywa siebie Severini, jakby mówił o kimś innym - „ty i Severini jesteście współodczuwającymi”... Co tu jest? Nie mogę rozczytać. Było ciemno, kiedy pisałam. Już wiem, lecimy: „Ty i Severini jesteście *współodczuwającymi organizmami*”. Umilkła, by odgarnąć z twarzy pojedyncze kosmyki czarnych, mokrych włosów. Uśmiechała się nieco bezmyślnie.

- To wszystko? - zapytałem.

- Czekaj, chciał, żebyśmy wyłożyła wszystko jak trzeba. Jeszcze jedno. Powiedział: „Przeznacz mi, że droga w koszmar jest drogą wyjścia”. - Po czym ponownie złożyła kartkę i wepchnęła ją do kieszeni czarnych spodni. - Wiesz, co to wszystko znaczy? - spytała.

Odpowiedziałem, że nic mi to nie mówi. Obiecawszy, że naprawdę poważnie rozważę uczestnictwo w wystawie w domu Severiniego, wypuściłem Carlę z mieszkania ponownie na pastwę deszczowego popołudnia.

Muszę przyznać, że nigdy nie rozmawiałem z Carlą ani resztą na temat moich delirycznych epizodów, w których nawiedzały mnie wrażenia wiążące się z tropikalnymi ściekami, a z nich z kolei wyłaniała się koncepcja „koszmaru

organizmu”. Nikomu o nich nie mówiłem. Uważałem, że te epizody oraz koncepcja koszmaru organizmu to moje własne piekło, nawet jeśli zupełnie nadzwyczajne. Aż do tego deszczowego popołudnia uznawałem za zwykły zbieg okoliczności, że dzieła sztuki zainspirowane przez Severiniego, jak również tytuły owych dzieł, służyły przywoływaniu wrażeń oraz sugestii analogicznych do tych, które brały się z moich delirycznych epizodów. Tymczasem Severini przesłał mi przez Carlę wiadomość, że on i ja jesteśmy „współodczuwającymi organizmami” oraz że „droga w koszmar jest drogą wyjścia”. Od jakiegoś czasu marzyłem o wyzwoleniu się od cierpień powodowanych delirycznymi epizodami oraz od wszelkich sugestii i wrażeń, które się z nimi wiązały - od potwornej wizji, zgodnie z którą wszelkie żywe byty, w tym ja sam, to co najwyżej jakiś grzyb bądź kultura bakterii, rodzaj gigantycznego śluzowca drgającego pośród scenerii tej planety (bardzo prawdopodobne, że innych również). Jakiegokolwiek wyzwolenie od tego koszmaru, jak sądziłem, będzie wymagać najbardziej drastycznych (tudzież ezoterycznych) procedur, najbardziej obcych (tudzież niedozwolonych) zabiegów. Ostatecznie nigdy nie wierzyłem, że wyzwolenie tego, jak i jakiegokolwiek innego typu, było w rzeczywistości możliwe. Ta perspektywa była po prostu zbyt obiecująca albo wręcz zbyt potworna, aby była prawdziwa - a przynajmniej tak jawiła się mojemu umysłowi. Tymczasem wystarczyło, by poprzez Carlę dotarło do mnie parę słów Severiniego i już roiłem sobie wszelkiego rodzaju możliwości. W jednej chwili wszystko uległo zmianie. Stałem się gotów wykonać tych kilka kroków w stronę wyzwolenia; więcej nawet: *niewykonanie* ich zdawało mi się niedopuszczalne. Można by odnieść wrażenie, że bez względu na wszystko

musiałem odnaleźć drogę wyjścia z koszmaru, jakichkolwiek procedur czy zabiegów by to nie wymagało. Severini wykonał te kroki - o tym byłem przekonany - i musiałem wiedzieć, dokąd go zaprowadziły.

Jak można się domyślić, doprowadziłem swój organizm do niesłychanego wzburzenia jeszcze zanim nadeszła noc pokazu Ekspozycji Urojonego Muzeum. Lecz to nie moje rozgorączkowanie senne czy oczekiwania wpłynęły na doświadczenia tej nocy, a teraz wpływają na moją zdolność przytaczania, co wydarzyło się w zdezelowanej szopie na granicy Trzęsawiska Św. Albana. Moje deliryczne epizody poprzedzające tę noc były niczym (to jest były szczytem tego, co jasne i zrozumiałe) w porównaniu do delirium ogarniającego mnie za każdym razem, gdy próbuję uporządkować w głowie to, co wydarzyło się w szopie na trzęsawisku - moje myśli rozpadają się wówczas kawałek po kawałku, aż sam popadam w stan bliski sennemu majaczeniu. Widziałem pewne rzeczy własnymi oczami, a inne rzeczy innymi oczami. I wszędzie tam były głosy...

Kiedy szedłem wąską ścieżką, która zgodnie ze wskazówkami miała doprowadzić do siedliska Severiniego, otaczały mnie cieniste zarysy chwastów i rechotanie żab w ciemności. Zostawiłem samochód przy drodze, w miejscu, gdzie stały pojazdy całej reszty. Wszyscy dotarli przede mną, mimo że nie spóźniłem się ani minuty na zaplanowane wydarzenie artystyczne. Tyle że, jak zauważyłem dawno temu, oni zawsze niecierpliwie wyczekiwali kolejnych odwiedzin u Severiniego, wiercili się niespokojnie całymi dniami, póki nie zapadł zmierzch i nie mogli wyjechać za miasto na Trzęsawisko Św. Albana.

Idąc wąską ścieżką, spodziewałem się ujrzeć przed sobą

światło, lecz słyszałem tylko rechotanie żab w ciemności. Księżyc w pełni na bezchmurnym niebie pokazywał, w których miejscach powinienem stawiać stopy na ścieżce wiodącej do szopy na skraju trzęsawiska. Lecz nim dotarłem do polany, na której przypuszczalnie stała stara szopa, moje poczucie wszystkiego wokół zaczęło ulegać zmianie, Z każdej strony ścieżki napływała ciepła mgła, opadając niczym kurtyna przed moimi oczami, i poczułem jak coś muska moją jaźń obrazami oraz koncepcjami pochodzącymi skądinąd. „Jesteśmy współodczuwającymi organizmami”, usłyszałem z głębi mgieł. „Zbliź się”. Jednakże wąska ścieżka zdawała się nie mieć końca, niczym korytarze w moich delirycznych epizodach, korytarze ciągnące się na ogromne odległości pośród zawieszistej ciemności tropikalnej scenerii, gdzie z każdej strony lęły się i kipiały bez pohamowania egzotyczne formy życia. Muszę iść w tamto miejsce, pomyślałem, jakby to były moje własne słowa, a nie słowa zupełnie innego głosu, głosu rozbrzmiewającego rozpaczliwym nasileniem oraz pomyłonymi pragnieniami. „Opamiętaj się, panie Severini, jeśli wciąż pan nalegasz, abym zwracał się do pana tym imieniem. Jako pański terapeuta nie radziłbym panu podążać tą drogą... w pogoni za cudami, jeśli tak to właśnie pan sobie *wyobraża*... owa «świątynia», jak pan ją nazywa, to pana ucieczka przed wszelką autentyczną konfrontacją z...”

Nie wypisano go z kliniki na drodze właściwej procedury, lecz wyrwał się na wolność i przybył w to miejsce.

- *Documentes. Passportas!* - Sądząc po żółtobrązowych twarzach, w końcu tam trafiłeś. Trafiłeś na zarośniętą dżunglą wyspę, do tego tropikalnego ścieku, wielkiej świątyni wynurzającej się z zawieszistej ciemności twoich snów. Lało w każdym miasteczku, woda spływała ulicami jak w ścieku. -

Disentaria - orzekł lekarz prowadzący. Lecz nie przypominał on żadnego z doktorów, jakich poszukiwałeś w tym miejscu. Dyzenteria amebowa - no i masz, koszmar trwał, tyle postaci mógł przyjąć. *Droga w koszmar jest drogą wyjścia*.

I byłeś gotów podążać za tym koszmarem tak długo, jak wymagało tego odnalezienie drogi wyjścia, tak jak ja podążałem wąską ścieżką w stronę twojej szopy na skraju Trzęsawiska Św. Albana, aby wkroczyć w ten sam koszmar, który przywlokłeś ze sobą. Eksponaty Urojonego Muzeum. Twoja szopa stała się galerią koszmarów, które wzbudziłeś w innych sennym bredzeniem oraz *fluktuacjami* własnych kształtów, owymi oburzającymi cudami, które nikogo nie oburzały. Tylko gdy znajdowałem się sam w mieszkaniu, w wyobraźni odtwarzając to, co przekazywali mi inni, byłem w stanie postrzegać te cuda jako koszmary, którymi w istocie były. Wiedziałem to dzięki moim delirycznym epizodom, których inni nie doświadczyli. To byli współodczuwającymi organizmami, nie ja. Byłem tobie nieprzyjazny, niewspółodczuwający. Gdyż nie zamierzałem wejść w koszmar, w który wszedłeś ty. Świątynia Medycyny Tantrycznej - ją właśnie marzyłeś odnaleźć w tym tropikalnym ścieku; miejsce, gdzie mogą zdarzać się cuda, gdzie owa sekta „doktorów” oddaje się skrajnie ezoterycznym procedurom oraz wykonuje swoje niedozwolone zabiegi. Ale co odnalazłeś zamiast tego? „*Disentaria*”, orzekł lekarz prowadzący. Potem nieduża grupa żółtobrazowych twarzy powiedziała ci, powiedziała nam, o tej innej świątyni, która nie miała nazwy. „Na choroby brzucha”, powiedzieli. Dyzenteria amebowa, nic więcej jak kolejna odmiana koszmaru organizmu, z którego żaden z poprzednich lekarzy nie był w stanie cię wyzwolić. „Jak można wyleczyć chorobę z samej siebie?”, pytałeś ich.

„Moje ciało - nowotwór, wyzwolony czy raczej wydobyty niegdyś z tkanki innego nowotworu, cysta choroby, nabrzmiała własną chorobą. I mój umysł - kolejna choroba, choroba choroby. Mój umysł wszędzie dostrzega chorobę innych umysłów oraz innych ciał, tych innych organizmów, które są zaledwie innymi chorobami, absolutnym koszmarem organizmu. Dokąd mnie zabieracie!”, krzyczałeś (krzyczeliśmy) na żółtobrązowe twarze. „Naprawić chorobę brzucha. Wiemy, wiemy”. Intonowali te słowa zdawałoby się przez całą drogę, gdy osada znikwała za drzewami i pnączami, za gigantycznymi kwiatami cuchnącymi jak gnijące mięso i grzyb, i paskudztwo tego tropikalnego ścieku. Znali tę chorobę oraz ten koszmar, ponieważ żyli w miejscu, w którym ten organizm rozkwitał bez ograniczeń, przyjmując tak zróżnicowane, egzotyczne formy, skazany na nieuchronny los. „Disentaria”, orzekł lekarz prowadzący. Znali drogę przez wykute w kamieniu przejścia, ociekające mazią i puchate od pleśni, parli do przodu spiralnym korytarzem zbiegającym ku środkowej komnacie bezimiennej świątyni. Wewnątrz jej zniszczonego serca rozstawiono świece; ich migoczące światło ukazywało cały rząd dzieł sztuki i zdobień świątynnych. Ściany pokrywały wyszukane malowidła, mieszające się z mazią i pleśnią tego tropikalnego ścieku. Z wilgotnych, zawieszonych cieni wynurzały się rzeźby o wszelkich kształtach i rozmiarach. Pośrodku komnaty znajdował się wielki okrągły ołtarz, olbrzymia mandala ułożona z nieprzeliczonych klejnotów, kamieni szlachetnych lub po prostu z kawałków szkła, które połyskiwało w świetle świec niczym sadzawka pełna wielobarwnych śluzowców.

Położyli twoje ciało na ołtarzu; wiedzieli, co z tobą (nami) robić - jakie wypowiedzieć słowa, jakie pieśni

zaintonować, jakie ezoteryczne procedury zastosować. Miałem wrażenie, jakbym rozumiał rzeczy, które śpiewali głosami przepelnionymi udręką i wzniosłością. *Wyzwól ja, które zna chorobę, od ja, które jej nie zna. Są dwie twarze, które nie mogą patrzeć na siebie nawzajem. Jest tylko jedno ciało, które zmaga się z zawieraniem w sobie obu twarzy.* Tymczasem, gdy zmierzałem wąską ścieżką wiodącą do szopy Severiniego na skraju Trzęsawiska Św. Albana, zdawały się sięgać w moją stronę widmowe szpony tejże choroby, tej dyzenterii amebowej. Wewnątrz szopy znajdowały się wszelkie Eksponaty Urojonego Muzeum, malowidła rozwieszane w szeregu na zawilgłym drewnie ścian oraz rzeźby wynurzające się z cieni rzucanych przez świece, które zawsze oświetlały to jedno pomieszczenie rozpadającej się budy. Wielokrotnie odtwarzałem w swojej wyobraźni wnętrze szopy Severiniego, zgodnie z zasłyszonymi od pozostałych opisami tego miejsca oraz jego niewiarygodnego mieszkańca. Wyobrażałem sobie, jak zapomniałeś o swoim ja w miejscu takim jak to, jak wyzwoliłeś się z koszmarów oraz delirycznych epizodów, które nękały cię w innych miejscach, jak nawet stawałeś się kimś innym (albo czymś innym), gdy oddawałeś się całkowicie pod władzę fluktuacjom organizmu na skraju Trzęsawiska Św. Albana. Potrzebowałeś tego trzęsawiska, gdyż pomagało ci odtwarzać w rojeniach ów tropikalny ściek (gdzie zabrano cię do kosmaru), i potrzebowałeś tych dzieł sztuki, żeby przemienić tę rozpadającą się szopę w tamtą świątynię (gdzie miałaś odnaleźć drogę wyjścia z kosmaru). Lecz przede wszystkim potrzebowałeś ich, pozostałych, gdyż byli współodczuwającymi organizmami. Ja z drugiej strony byłem teraz nieprzyjaznym organizmem, który nie chciał mieć więcej do czynienia z twoimi ezoterycznymi procedurami oraz

niedozwolonymi zabiegami. *Wyzwól ja, które zna chorobę, od ja, które jej nie zna. Dwie twarze... jedno ciało.* Chciałeś, żeby wkroczyli do koszmaru, oni, którzy nawet nie znali koszmaru jak my go znaleźliśmy. Potrzebowałeś ich oraz ich dzieł sztuki, żeby wkroczyć do koszmaru organizmu i przejść do samego końca, żeby odnaleźć drogę wyjścia z koszmaru. Ale nie mogłeś *przejść do samego końca* koszmaru beze mnie - mnie, który byłem nieprzyjaznym organizmem, pozbawionym nadziei, że istnieje jakakolwiek droga wyjścia z koszmaru. Oddzielono nas od siebie na zawsze, jedną twarz od drugiej, zmagających się w jednym ciele - w organizmie - które dzieliliśmy.

Tej nocy nie dotarłem do szopy; nigdy nie wszedłem do środka. Idąc wąską ścieżką wśród mgieł zacząłem gorączkować. („Dyzenteria amebowa”, orzekł lekarz, którego odwiedziłem następnego dnia.) To twarz Severiniego ukazała się tej nocy w szopie, nie moja. To zawsze jego twarz widzieli pozostali w takie noce, gdy przybywali go odwiedzić. Ale mnie z nimi nie było; to znaczy nie było tam mojej twarzy. Jego twarz była jedyną, którą widzieli siedząc pośród Ekspонатów Urojonego Muzeum. Lecz to moja twarz powróciła do miasta; to w posiadaniu mojego ciała znalazłem się w pełni jako organizm należący tylko i wyłącznie do mojej twarzy. Pozostali nigdy nie powrócili z szopy na skraju Trzęsawiska Św. Albana. Po tej nocy nie widziałem ich nigdy więcej, ponieważ tej nocy zabrał ich ze sobą do koszmaru, z płomykami świec rzucającymi migoczące światło na dzieła sztuki oraz fluktuacje kształtu, które innym jawiły się niczym sadzawka pełna węży i drgały niczym chmara nowowyklutych pajęczków. Pokazał im wejście do koszmaru, ale nie był w stanie pokazać wyjścia. Nie ma wyjścia z koszmaru, kiedy już

raz zanurzysz się w jego głębie. Tam przepadł na zawsze, on i inni, których ze sobą zabrał.

Lecz nie zabrał mnie ze sobą na trzęsawisko, żebym istniał, jak istnieje grzyb lub jak istnieje piana wielobarwnego śluzowca. Tak właśnie widzę to w moich *nowych delirycznych epizodach*. Tylko wtedy, gdy cierpię przez chorobę ciała lub nadmierne wzburzenie psychiczne, widzę, jak on teraz istnieje, on i pozostali. Ponieważ nigdy nie zajrzałem bezpośrednio do sadzawki wysączającego się życia, gdy zatrzymałem się na skraju Trzęsawiska Św. Albana. Wyjechałem z miasta jeszcze tej nocy i zatrzymałem się jedynie po to, by oblać owo miejsce benzyną i podpalić. Płonęło całym blaskiem koszmarów, wciąż eksponowanych w środku, oświetlając trzęsawisko i zostawiając zarazem jakże mętny obraz tego, co tam zostało - bezbrzeżne i niejasne wrażenie wielkiego czarnego życia, z którego wszyscy wynurzyliśmy się i z którego wszyscy jesteśmy zbudowani.

Przeł. Mateusz Kopacz

CIEŃ, CIEMNOŚĆ

Wyglądało na to, że Grossvogel zażądał od nas *zdecydowanie* zbyt dużo pieniędzy w zamian za to, co oferował. Niektórzy z naszego grona - a było nas dwanaście osób - niemal zaraz po przybyciu na miejsce, które pewien elegancko odziany starszy dżentelmen ochrzcił mianem „jądra nicości”, zaczęli wyrzucać sobie łatwowierność. Ten sam dżentelmen, który zresztą parę dni wcześniej obwieścił kilku osobom porzucenie poezji ze względu na niedostatek tego, co określał należyty uznaniem dla jego innowacyjnej „liryki hermetycznej”, powiedział również, że miejsce to jest dokładnie takie, jakiego powinniśmy się byli spodziewać i dokładnie takie, na jakie - idioci i nieudacznicy - zasłużyliśmy.

Wyjaśniał, że nie mieliśmy żadnego sensownego powodu oczekiwać czegokolwiek lepszego niż wymarłe miasteczko Crampton, położone w odległym zakątku kraju, w samym środku martwego sezonu wciśniętego między obfitą, olśniewającą jesień a obietnicę równie obfitej i olśniewającej zimy. Mówił, że zostaliśmy uwięzieni w takim właśnie obszarze kraju, a właściwie w takim rejonie świata, w którym wszelkie przejawy tej posępnej pory roku - a raczej *nieobecność* wszelkich jej przejawów - nachalnie odsłaniają żalostną pustkę form ogołoczonego krajobrazu. Kiedy zwróciłem uwagę, że broszura przygotowana przez Grossvogela z okazji tej wycieczki, którą nazwał „wycieczką fizyczno-metafizyczną”, mimo wszystko niezupełnie wprowadzała nas w błąd co do celu naszej podróży, odpowiedziały mi jedynie złe spojrzenia ludzi siedzących ze mną przy stoliku oraz przy sąsiednich stolikach w małym,

niemal miniaturowym barze, wypchanym po brzegi dość egzotyczną obecnością naszej przyjezdnej grupy, która, trochę się posprzeczawszy, zajęła się w końcu wyglądem w okrutnej ciszy przez okna na puste ulice i zrujnowane budynki wymarłego miasteczka Crampton. Miejsce to określono mianem „obskurnej otchłani”, natomiast autorem tej opinii okazał się anorektyczny osobnik przedstawiający się jako „zdegradowany akademik”. Określenie, jakiego używał w odniesieniu do siebie ów człowiek, prowokowało zazwyczaj pytanie o jego sens, co z kolei zachęcało go do wygłoszenia przydługiej opowieści o niemożności dostosowania myślenia do standardów, jak to określił, „intelektualnego targowiska”, jak też niemożności ukrycia swoich niekonwencjonalnych badań i metod, co w konsekwencji doprowadziło do sytuacji, w której od dłuższego czasu nie mógł znaleźć zatrudnienia w jakiegokolwiek szanowanej instytucji naukowej czy jakiegokolwiek instytucji bądź firmie w ogóle. Tak więc, jego zdaniem, klęska ta stanowiła w jakimś stopniu jego najważniejsze wyróżnienie i pod tym względem był typowym przedstawicielem naszej grupy, zajmującej krzesła i stoliki miniaturowego baru i narzekającej, że Grossvogel zażądał zdecydowanie zbyt dużo pieniędzy i w jakimś sensie wprowadził nas w błąd swoją broszurą zarówno co do wartości, jak i celu wyprawy do wymarłego miasteczka Crampton.

Wyjąwszy z tylnej kieszeni spodni broszurę Grossvogela, otworzyłem ją na odpowiedniej stronie i położyłem przed trójką osób zasiadających przy moim stoliku. Następnie wyjąłem noszone przeze mnie w kieszeni starego kardiganu pod jeszcze starszą kurtką delikatne okulary do czytania, by raz jeszcze dokładniej przyjrzeć się drukowi i

utwierdzić się w podejrzaniach, które żywiłem wcześniej.

- Jeżeli szuka pan tego, „co drobnym druczkiem”... - powiedział siedzący obok mężczyzna, z zawodu „fotoportrecista”, dostający ataku ciężkiego kaszlu za każdym razem, gdy zaczynał mówić, między innymi właśnie w tamtej chwili.

- Mój przyjaciel chciał powiedzieć - wtrącił siedzący po mojej prawej mężczyzna - że wszyscy padliśmy ofiarami subtelnego i wyrafinowanego szwindlu. Mówię to za jego przyzwoleniem, gdyż właśnie w tę stronę zmierzały jego myśli, nieprawdaż?

- *Metafizycznego szwindlu* - potwierdził siedzący po lewej mężczyzna, któremu na chwilę udało się opanować kaszel.

- W rzeczy samej, metafizycznego szwindlu - powtórzył nieco prześmiewczo tamten drugi. - Nigdy nie przypuszczałem, że dam się tak wywieść w pole, zwłaszcza biorąc pod uwagę moje doświadczenie i specjalistyczną wiedzę. Choć, oczywiście, było to nader subtelne i wyrafinowane działanie.

Choć wiedziałem, że siedzący po mojej prawej człowiek jest autorem nieopublikowanego traktatu filozoficznego pod tytułem „Śledztwo w sprawie spisku przeciwko ludzkiej rasie”, nie byłem do końca pewien, co miał na myśli, mówiąc o „doświadczeniu i specjalistycznej wiedzy”. Zanim zdążyłem poruszyć tę kwestię, w rozmowę wtrąciła się kobieta zasiadająca naprzeciw.

- Pan Reiner Grossvogel to zwykły oszust i to wszystko, co można na jego temat powiedzieć - oświadczyła na tyle głośno, by usłyszała ją każda osoba w barze. - Jak wicie, już od pewnego czasu byłem świadoma jego oszukańczej natury.

Nawet przed tym „metamorficznym doświadczeniem”, czy jak to tam nazywa...

- Metamorficznym uzdrowieniem - poprawiłem.

- Niech będzie, „metamorficznym uzdrowieniem”, cokolwiek miałoby to oznaczać. Już przedtem widziałam u niego wszelkie znamiona oszusta. Potrzeba było jedynie odpowiedniego zbiegu okoliczności, żeby mógł ujawnić wszystkim swoją fałszywą naturę. A później rzekomo przytrafiła mu się ta niemal śmiertelna choroba, która przywiodła go do tego... ciężko mi to nawet wymówić... tego *metamorficznego uzdrowienia*. Mógł wreszcie wykorzystać swoje talenty urodzonego krętacza, którym zapewne było mu przeznaczone zostać i którym zresztą pewnie zawsze chciał być. Przyłączyłam się do tej śmiesznej wycieczki, czy co to w ogóle jest, żeby tylko mieć satysfakcję, kiedy wszyscy odkryją to, co ja na temat Reiner Grossvogela wiedziałam i mówiłam od dawna. Jesteście moimi świadkami - powiedziała, mrużąc pomalowane mocno oczy, którymi lustrowała twarze wszystkich osób w barze w poszukiwaniu potwierdzenia dla swoich słów.

Znałem tę kobietę jedynie pod jej zawodowym pseudonimem - pani Angeli. Do niedawna prowadziła coś, co w naszym gronie nazywaliśmy „psychokawiarnią”, gdzie, oprócz innych dóbr i usług, serwowała doskonałe wypieki, które własnoręcznie lub rzekomo własnoręcznie przyrządzała poza lokalem. Tak czy owak, biznes ten nigdy nie prosperował jak powinien, pomimo zarówno odczytów metapsychicznych przeprowadzanych przez kilka osób z personelu pani Angeli, jak i wybornych wypieków oraz nieco zbyt drogiej kawy. To właśnie pani Angela jako pierwsza wyraziła niezadowolenie zarówno z jakości obsługi, jak i skromnego poczęstunku, jakim

podjęto nas w barze w Crampton. Wkrótce po naszym popołudniowym przybyciu i natychmiastowym zapełnieniu jedyne - jak mogło się wydawać - czynnego lokalu, pani Angela przywołała do siebie młodą kobietę, której jedynym zadaniem było obsługiwanie naszej grupy. - Ta kawa jest niewiarygodnie gorzka - krzyczała na dziewczynę w białym stroju, jakby nigdy wcześniej nieużywanym. - A te pączki są zleżałe, wszystkie, co do jednego. Co to w ogóle za miejsce? Całe to miasto to jedno wielkie oszustwo.

Kiedy dziewczyna stanęła przy naszym stoliku, zauważyłem, że jej strój o wiele bardziej wygląda na uniform pielęgniarki niż kelnerki. Szczególnie przypominał mi stroje pielęgniarek ze szpitala, w którym poddawano Grossvogela terapii i gdzie w końcu uleczono go z tego, co wówczas wydawało się bardzo poważną chorobą. Podczas gdy pani Angela rugała kelnerkę za jakość kawy i zaserwowanych nam pączków, wliczonych do pakietu świadczeń wycieczki określonej w broszurze Grossvogela „ostateczną wycieczką fizyczno-metafizyczną”, ja odświeżałem swoje wspomnienia dotyczące pobytu Grossvogela w ponurym i zdecydowanie przestarzałym szpitalu, w którym leczono go krótko na około dwa lata przed naszą wizytą w wymarłym mieście Crampton. Do tej nędznej placówki wprowadzono go przez izbę przyjęć, będącą w istocie tylnym wejściem nie tyle do szpitala, co raczej prowizorycznej kliniki, mieszczącej się w starym budynku zlokalizowanym w podejrzanej okolicy, w której zarówno Grossvogel, jak i większość z nas, była zmuszona mieszkać ze względu na mocno ograniczone środki finansowe. To zresztą ja zawiozłem Grossvogela taksówką na izbę przyjęć i podałem pielęgniarce w recepcji wszystkie niezbędne informacje o nim, gdyż sam nie był w stanie tego zrobić.

Następnie opowiedziałem pielęgniarce - sprawiającej wrażenie zwykłej recepcjonistki ubranej w strój pielęgniarki, ponieważ ewidentnie brakowało jej wiedzy medycznej - o upadku Grossvogela na podłogę lokalnej galerii podczas skromnej wystawy jego prac. To był jego debiut - powiedziałem pielęgniarce - zarówno jako artysty, jak i ofiary nagłego ataku. Nie wspomniałem, że rzeczona galeria była zwykłym magazynem, który od czasu do czasu opróżniano i wykorzystywano na potrzeby wystaw lub innych artystycznych inicjatyw. Ponadto poinformowałem pielęgniarkę, a następnie lekarza dyżurnego, który także wydawał się bardziej czymś asystentem niż pełnoprawnym medykiem, że Grossvogel przez cały wieczór uskarżał się na bóle brzucha. Przyczyną, dla których te bóle nasilały się przez cały wieczór, jak sugerowałem pielęgniarce i lekarzowi, było prawdopodobnie rosnące zaniepokojenie Grossvogela, obserwującego odbiór debiutanckiej wystawy; zaniepokojenie tym większe, że zawsze mocno powątpiewał w swoje uzdolnienia artystyczne, ku czemu, w mojej opinii, miał dobre powody. Zastrzegłem jednak, że nie można było całkowicie wykluczyć poważnej choroby. Tak czy inaczej, pewne było jedynie to, że Grossvogel zwałił się na podłogę galerii sztuki i wydawał jedynie żalosne pojękiwania, które, szczerze powiedziawszy, stawały się nieco irytujące.

Wysłuchawszy relacji o nagłej niedyspozycji Grossvogela, lekarz nakazał artyście położyć się na noszach samojezdnych, znajdujących się na samym końcu słabo oświetlonego korytarza, po czym, wraz z pielęgniarką, odszedł w przeciwną stronę. Stałem dość blisko Grossvogela spoczywającego na noszach skrytych w cieniach prowizorycznej kliniki. Był środek nocy i pojękiwania

Grossvogela nieco zelżały, a w ich miejsce pojawiło się coś, co podówczas brałem za deliryczne rojenia. Podczas tego podniosłego majaczenia artysta kilkakrotnie wspomniął zjawisko, które określił mianem „wszechogarniającego cienia”. Próbowałem go uspokoić, mówiąc, że to tylko kiepskie oświetlenie korytarza, ale nawet mnie własne słowa wydały się dość obłąkane, zwłaszcza w obliczu zmęczenia spowodowanego wydarzeniami tamtego wieczoru, zarówno w galerii, jak i na izbie przyjęć nędznego szpitala.

Po chwili już tylko stałem obok chorego, nasłuchując jego mamrotów, ale nie reagując na deliryczne i coraz dłuższe wypowiedzi o „wszechogarniającym cieniu, od którego rzeczy stają się tym, czym nigdy nie chciały być” lub „poruszającej wszystkim ciemności, nakazującej rzeczom czynić to, czego nigdy nie chciały czynić”.

Po ponad godzinie wysłuchiwania Grossvogela, zauważyłem, że lekarz i pielęgniarka stoją razem w przeciwnym końcu ciemnego korytarza. Wyglądało na to, że rozmawiają od dłuższego czasu, dość często spoglądając w stronę noszy, na których mamrotał i majaczył Grossvogel. Zastanawiałem się, jak długo będą ciągnąć tę, w moim mniemaniu, medyczną farsę, tę kliniczną pantomimę, podczas gdy artysta leżał, coraz częściej i coraz dłużej pojękując i mamrocząc o cieniu i ciemności. Być może na chwilę przysnąłem na stojąco, ponieważ nagle, zupełnie znikąd, pojawiła się przy mnie pielęgniarka, zaś lekarza nie było już nigdzie w zasięgu wzroku. Jej biały uniform pośród głębokich cieni korytarza wydawał się nieomal świetlisty.

- Może pan iść do domu - rzekła. - Pański przyjaciel zostanie przyjęty do szpitala. - Następnie zaczęła pchać nosze z Grossvogelem w stronę windy

na końcu korytarza. Niemal w tym samym momencie, gdy dojechali do drzwi windy, te otworzyły się szybko i bezszelestnie, napełniając mroczny korytarz światłem. Gdy wejście całkowicie stanęło otworem, dostrzegłem wewnątrz lekarza. Wciągał nosze Grossvogela do środka olśniewającej windy, podczas gdy pielęgniarka popychała je od tyłu. Kiedy już byli w środku, drzwi zamknęły się równie szybko i bezszelestnie jak się otworzyły, zaś korytarz, w którym stałem, wydawał się jeszcze ciemniejszy, jeszcze bardziej zagęszczony cieniami niż przedtem.

Następnego dnia odwiedziłem Grossvogela w szpitalu. Umieszczono go w małej izolatce, w odległym zakątku najwyższego piętra budynku. Kiedy szukałem jego pokoju, którego numer podano mi na recepcji, miałem wrażenie, że w innych salach na piętrze nie ma pacjentów. Dopiero gdy znalazłem poszukiwany numer i zajrzałem do środka, zauważyłem pierwsze zajęte łóżko, zresztą mocno rzucające się w oczy, ponieważ dość potężnie zbudowany Grossvogel zajmował całą długość i szerokość starego, uginającego się materaca. Na zbyt małym szpitalnym łóżku, w malutkiej, pozbawionej okien sali, wydawał się wręcz olbrzymi. Ledwie starczyło miejsca, bym mógł wcisnąć się pomiędzy ścianę a artystę, wydającego się nadal tkwić w delirycznym stanie z ubiegłej nocy. Nie dawał żadnych oznak, że jest świadomy mojej obecności w pokoju, choć stałem tak blisko, że niemal go dotykałem. Nawet kiedy kilkakrotnie wymówiłem jego imię, jego załzawione oko nie zdradziło, iż jest świadom mojej wizyty. Lecz kiedy zacząłem powoli wychodzić bokiem pomiędzy łóżka i ściany, Grossvogel nagle chwycił mnie mocno za ramię wielką lewą dłonią, którą malował i rysował prace wystawione w galerii poprzedniego wieczora.

„Grossvogel” - powiedziałem wyczekująco, licząc na to, że wreszcie odpowie, nawet jeśli znów miałyby mówić o wszechogarniającym cieniu (od którego rzeczy stają się tym, czym nigdy być nie chciały) i poruszającej wszystkim ciemności (nakazującej rzeczom czynić to, czego czynić nigdy nie chciały). Ale po chwili dłoń zwiotczała i opadła na krawędź odkształconego, szpitalnego materaca, na którym ciało Grossvogela znów leżało bez ruchu i przytomności.

Wyszedłszy z pokoju, skierowałem się w stronę dyżurki na tym samym piętrze, aby zapytać o stan zdrowia artysty. Jedyna obecna tam pielęgniarka, wysłuchawszy mnie, sprawdziła teczkę podpisaną nazwiskiem Reintera Grossvogela. Przyglądając mi się uważniej niż przyglądała się dokumentacji medycznej artysty, a obecnie pacjenta, odparła:

- Pański przyjaciel jest poddawany bardzo wnikliwej obserwacji.

- To wszystko, co może mi pani powiedzieć? - zapytałem.

- Wyniki testów jeszcze nie przyszły. Może pan zapytać później.

- Jeszcze dziś?

Tak, dziś odparła, zabierając teczkę Grossvogela i przechodząc do innego pomieszczenia. Usłyszałem piskliwy dźwięk otwieranej szuflady, a następnie trzask gwałtownego jej zatrzasknięcia. Z jakiegoś powodu czekałem jeszcze przez chwilę, aż pielęgniarka wyjdzie z pokoju, do którego zabrała dokumentację Grossvogela. W końcu zrezygnowałem i wróciłem do domu.

Kiedy tego samego dnia zadzwoniłem do szpitala, powiedziano mi, że Grossvogel został wypisany.

- Poszedł do domu? - zadałem jedyne pytanie, jakie przyszło mi na myśl.

- Nie wiemy, gdzie poszedł - odparła kobieta, która odebrała mój telefon, po czym odwiesiła słuchawkę. Nikt nie wiedział, gdzie znajduje się Grossvogel, z pewnością nie przebywał domu, a nikt z naszego towarzystwa nie miał pojęcia, dokąd mógł się udać.

Minęło kilka tygodni, może nieco ponad miesiąc, odkąd Grossvogel wyszedł ze szpitala i zniknął, gdy spotkaliśmy się przez przypadek w kilkuosobowym gronie w galerii, w której artysta zastał podczas otwarcia debiutanckiej wystawy. Do tego czasu nawet ja przestałem zwracać sobie głowę sprawą Grossvogela i jego niespodziewanego zniknięcia. Nie był to, naturalnie, pierwszy taki przypadek w naszym środowisku, składającym się z bardziej lub mniej stabilnych psychicznie, a czasami wręcz niebezpiecznie niezrównoważonych osób, które często wplątywały się w różne podejrzanе działania tylko dla spełnienia swych wizji artystycznych bądź intelektualnych, a czasami po prostu z najzwyczajszej desperacji. Przypuszczam, że jedynym powodem, dla którego wspominaliśmy nazwisko Grossvogela przechadzając się tamtego popołudnia po galerii, było to, że wciąż wisały w niej jego prace i gdziekolwiek byśmy się nie odwrócili, oglądaliśmy jego obrazy i rysunki, które sam zresztą opisałem w broszurce wydanej z okazji otwarcia ekspozycji jako „manifest szczególnie utalentowanego artysty-wizjonera”, a które w rzeczywistości były niczym więcej niż okazami zupełnie przeciętnego artystycznego bełkotu, z nieodgadnionych dla nikogo przyczyn czasami osiągającego sukces lub nawet zdobywającego znaczne uznanie dla twórcy.

- I co mam teraz zrobić z tym całym śmietnikiem? - głośno narzekała właścicielka, a być może tylko najemczyni magazynu zamienionego w galerię. Chciałem powiedzieć, że

mogę zająć się usunięciem prac Grossvogela i przechowaniem ich gdzieś przez jakiś czas, kiedy do rozmowy wtrącił się anorektyczny

osobnik, przedstawiający się jako „zdegradowany akademik”, sugerując podenerwowanej właścicielce (lub najemczyni), że być może powinna wysłać je do szpitala, w którym Grossvogela „rzekomo leczono” po doznanym przezeń ataku. Gdy zapytałem go, dlaczego użył słowa „rzekomo”, odparł:

— Od dawna uważam, że to podejrzana instytucja i nie jest to wyłącznie mój punkt widzenia.

Wtedy zapytałem, czy istnieją wiarygodne podstawy dla głoszonej przez niego opinii, ale on tylko skrzyżował kościste ręce i spojrzał na mnie, jakby właśnie doznał z mojej strony zniewagi.

- Pani Angelo - zwrócił się do stojącej obok kobiety, przyglądającej się jednej z prac Grossvogela w taki sposób, jakby rozważała jej zakup. W tamtym czasie jej „psychokawiarnia” dopiero miała okazać się spektakularną klapą i pani Angela może uważała, że prace Grossvogela, jakkolwiek kiepskie z artystycznego punktu widzenia, mogłyby dopełnić nastrój panujący w jej lokalu, gdzie klienci wysłuchiwaliby przy stolikach porad wynajętych parapsychologów oraz delektowali się zestawem doskonałych wypieków.

- Powinien pan posłuchać, co ma do powiedzenia na temat tamtego szpitala - powiedziała do mnie pani Angela, nie odrywając wzroku od obrazu Grossvogela. - Od dawna to miejsce wzbudzało we mnie silne odczucia. Pod pewnymi względami jest wyjątkowo podejrzliwy.

- *Podejrzany* - poprawił zdegradowany akademik.

- A, tak - odparła pani Angela. - Nigdy w życiu nie chciałabym się tam obudzić.

- Napisałem o nim wiersz - rzekł elegancko odziany dżentelmen, który przez cały czas krążył po galerii, bez wątpienia czekając na dobry moment, żeby zaczepić właścicielkę lub najemczynię magazynu i namówić ją na zorganizowanie wydarzenia, które nieustannie nazywał „wieczorkiem poezji hermetycznej”, co oczywiście oznaczało odczyty przede wszystkim jego własnej twórczości. - Kiedyś czytałem pani ten wiersz - powiedział do właścicielki.

- Tak, czytał pan - odpowiedziała niemal bez śladu zainteresowania w głosie.

- Napisałem go po tym, jak pewnej nocy udzielono mi pomocy na tamtejszej izbie przyjęć.

- Co się panu stało? - zapytałem.

- Och, nic poważnego. Poszedłem do domu kilka godzin później. Nie zarejestrowano mnie jako pacjenta, co przyznają z nieukrywaną ulgą. To było prawdziwe, że zacytuję swój wiersz na ten temat, „jądro nicości”.

- To dobre określenie — przyznałem. - Ale czy moglibyśmy rozmawiać w sposób trochę bardziej konkretny?

Zanim jednak zdążyłem usłyszeć jakąkolwiek odpowiedź od samozwańczego twórcy „liryki hermetycznej”, drzwi galerii rozwarły się, pchnięte ze znaczną siłą, której znaczenie wszyscy spośród nas natychmiast rozpoznali. Chwilę później oglądaliśmy Reinera Grossvogela w jego własnej, potężnej osobie. Fizycznie wydawał się tym samym człowiekiem, co sprzed upadku w galerii, który wydarzył się ledwie parę kroków od miejsca, w którym teraz stałem; człowiekiem nieprzypominającym w niczym tamtej jęczącej, pogrążonej w delirium istoty, odwiezionej taksówką na ostry

dyżur. Mimo to było w nim coś innego - nastąpiła subtelna zmiana sposobu, w jaki patrzył na to, co znajduje się przed nim: podczas gdy artysta miał wcześniej charakterystycznie spuszczone czy raczej uciekający wzrok, teraz jego oczy spoglądały prosto i uważnie, spokojnie i ze stanowczością.

- Zabieram to wszystko - rzekł, łagodnie zakreślając ręką szeroki łuk i pokazując wiszące w galerii swoje dzieła, spośród których żadnego nie sprzedano zarówno podczas premierowego wieczoru, jak i później, przez cały okres nieobecności twórcy. - Doceniłbym waszą pomoc, gdybyście zechcieli mi jej udzielić - dodał i zaczął zdejmować obrazy oraz rysunki ze ścian.

Wspomogliśmy go bez pytań i komentarzy, po czym wyszliśmy z galerii, obładowani dużymi i mniejszymi pracami, kierując się w stronę steranego pickupa zaparkowanego przy krawężniku przed wejściem. Grossvogel niedbale wrzucił prace na skrzynię ładunkową wynajętej lub prawdopodobnie pożyczonej ciężarówki (artysta nigdy przedtem nie chwalił się posiadaniem samochodu), zupełnie nie przejmując się możliwością uszkodzenia tego, co do tej pory uważał za swoje największe dokonania artystyczne. Ze strony pani Angeli pojawiła się chwila zawahania, gdy zapewne wciąż zastanawiała się, jak jedna lub więcej z tych prac pasowałoby do wystroju jej lokalu, ale wkrótce także ona zaczęła wynosić z galerii obrazy oraz rysunki Grossvogela, by ciskać je na pakę pojazdu, gdzie piętrzyły się niczym sarta odpadków. Niebawem ściany galerii ogołococono, zaś miejsce znów zaczęło wyglądać jak nieużywany magazyn. Grossvogel wsiadł do samochodu, podczas gdy my staliśmy w zupełnej ciszy na zewnątrz opróżnionego budynku. Wystawiwszy głowę przez okno wynajętego lub pożyczonego pojazdu, przywołał do

siebie kobietę prowadzącą galerię. Podeszła do samochodu od strony kierowcy i zamieniła parę zdań z artystą, zanim ten odpalił silnik i odjechał. Powróciwszy do nas obwieściła, że za kilka tygodni zaprezentuje w galerii drugą wystawę prac Grossvogela.

Tak więc pośród grona znajomych mi wówczas osób rozeszła się następująca wiadomość: Grossvogel, po wywołanym niezdiagnozowaną dolegliwością ataku, który przydarzył się podczas pierwszej, zakończonej całkowitą klapą wystawy, zamierzał zaprezentować kolejną i w tym celu niezwłocznie uprzątnął galerię z bezwartościowych obrazów i rysunków, zabierając je na skrzyni pickupa.

Właścicielka galerii nadzwyczaj dobrze rozreklamowała nową wystawę Grossvogela, spodziewając się dobrze zarobić na sprzedaży tego, co w broszurze zapowiadającej wydarzenie dość niezgrabnie określono „radykałnymi i nowatorskimi pracami sławnego wizjonera sztuki Reiner Grossvogela”. Ze względu na okoliczności towarzyszące zarówno poprzedniej, jak i nadchodzącej wystawie, sprawa natychmiast okryła się mgłą szalonych, czasami wręcz upiornych plotek i domniemań. Dalszy rozwój wypadków doskonale współgrał z naturą osób z naszego środowiska, równie podejrzanych co podejrzliwych artystyczno-intelektualnych indywiduów, wśród których niespodziewanie stałem się centralną postacią. W końcu to ja zawiozłem Grossvogela po jego zasłabnięciu podczas pierwszej wystawy do - jak już zdążyłem się zorientować - od dawna cieszącego się dziwną reputacją szpitala i to właśnie widmo tego szpitala majaczyło wyraźnie pośród szalonej mgły plotek i domniemań, spowijających nadchodzącą ekspozycję nowych prac Grossvogela. Była nawet mowa o nietypowych procedurach medycznych i

lekach, których działaniu poddano artystę podczas krótkiego odosobnienia w tej instytucji, co miałoby poniekąd tłumaczyć jego niewyjaśnione zniknięcie i równie nagłe pojawienie się w celu popełnienia czegoś, po czym wiele osób spodziewało się oszałamiającej „artystycznej wizji”. Bez wątplenia to właśnie te oczekiwania, ta desperacka nadzieja na coś olśniewająco nowego, będącego wytworem bogatej, barwnej wyobraźni - co w umysłach niektórych nadmiernie egzaltowanych osób urastało do rangi obietnicy przekroczenia domeny zwykłej estetyki lub nawet poszerzenia granic artystycznej ekspresji - pozwoliły nam zaakceptować nieortodoksyjny charakter nowej wystawy Grossvogela, jak również tłumaczyły późniejsze głębokie rozczarowanie tych, którzy pojawili się w galerii w wieczór otwarcia.

Rzeczywiście, to, co zastaliśmy tamtej nocy w galerii, miało się nijak do wystaw, w których byliśmy przyzwyczajeni uczestniczyć: ściany i podłoga galerii były tak samo puste jak wówczas, kiedy Grossvogel, przyjechawszy starą ciężarówką, pozdejmował swoje prace. Jak wkrótce się przekonaliśmy, nową prezentację zorganizowano w małym pomieszczeniu na tyłach magazynu. Co więcej, zażądano od nas słonej opłaty za możliwość wejścia do tego małego pokoju, rozświetlonego jedynie kilkoma zwisającymi tu i ówdzie z sufitu żarówkami o wyjątkowo słabej mocy. Jedna z żarówek wisiała w kącie pomieszczenia, oświetlając mały stolik przykryty oddartym kawałkiem prześcieradła, wybruszonym przez leżący pod nim przedmiot. Wokół kąta ze słabą żarówką i małym stolikiem ustawiono promieniście kilka nierównych rzędów składanych krzeseł. Zajęliśmy te niewygodne miejsca siedzące w dwanaście osób, gdyż tylko tylu spośród nas zechciało uiścić słoną opłatę za wstęp na coś, co wydawało się bardziej

prymitywnym przedstawieniem niż czymkolwiek mającym związek z wernisażem. Słyszałem gdzieś zza pleców panią Angelę, raz za razem szepczącą do osób siedzących obok niej:

- Co to do cholery ma być?

W końcu nachyliła się w moją stronę i rzekła:

- Co ten Grossvogel w ogóle sobie wyobraża? Słyszałam, że odkąd wylądował w szpitalu, bez przerwy chodzi nafaszerowany lekami.

Jednakże artysta, który parę chwil później przeszedł pomiędzy rzędami luźno rozstawionych składanych krzeseł i stanął obok słabo oświetlonego stolika przykrytego podartym prześcieradłem, wyglądał całkiem trzeźwo. W małym pomieszczeniu na zapleczu magazynu postawna sylwetka Grossvogela wydawała się niemal gigantyczna, zupełnie jak wówczas, kiedy mężczyzna leżał na materacu w izolatce szpitala. Nawet jego głos, zazwyczaj cichy, wręcz słaby, wydawał się mocno rozbrzmiewać, gdy do nas przemówił.

- Dziękuję, że przybyliście w ten wieczór - rozpoczął. - To nie potrwa długo. Powiem kilka rzeczy, a potem coś wam pokażę. To doprawdy cud, że mogę stać przed wami i mówić do was, ot tak. Jak zapewne niektórzy z was pamiętają, nie tak dawno dostałem okropnego ataku, zresztą właśnie w tej galerii. Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko, abym powiedział kilka słów o naturze tego ataku, jak i jego konsekwencjach, co jest, jak myślę, absolutnie niezbędne, abyście docenili to, co mam wam dziś do pokazania.

Pozwólcie, że zacznę od tego, że atak, którego doznałem w tej galerii podczas otwarcia wystawy moich prac, był w rzeczywistości rezultatem zwykłych zaburzeń gastrycznych, choć oczywiście o bardzo ciężkim przebiegu. Od pewnego czasu te zaburzenia, będące efektem rozstroju mojego układu

pokarmowego, wyraźnie się nasilały. Przez wiele lat choroba systematycznie i podstępnie rozwijała się nie tylko w głębi mojego ciała, ale również w najmroczniejszych obszarach mojej istoty. Ten krytyczny moment zbiegł się w czasie z będącym jego bezpośrednią przyczyną zaangażowaniem w tworzenie sztuki - usilnym pragnieniem tworzenia sztuki, to znaczy pragnieniem, aby coś *robić*, pragnieniem, aby czymś być, w tym wypadku artystą. W okresie, o którym mówię - a w zasadzie przez większość życia - usiłowałem *stworzyć coś przy pomocy umysłu*, szczególnie tworzyć sztukę w jedynej w moim przekonaniu dostępny mi sposób, to znaczy z wykorzystaniem mojego umysłu, wykorzystaniem wyobraźni lub *zdolności twórczych*, siły lub działań bytu nazywanego przez ludzi duszą, duchem lub po prostu osobowością. Jednak gdy wylądowałem na podłodze, a następnie w szpitalu, i doświadczyłem ekstremalnego bólu brzucha, uzmysłowiłem sobie, że tak naprawdę nie mam żadnego umysłu, żadnej wyobraźni, które mógłbym wykorzystać; że nie ma nic, co mógłbym nazwać duszą lub osobowością - wszystko to bezsens i urojenia. U szczytu ciężkiej, gastrycznej niedoli, zdałem sobie sprawę, że jedyną rzeczą, która naprawdę istnieje, jest moje dużych rozmiarów ciało. I zdałem sobie również sprawę z tego, że jedyne, co moje ciało może robić, to pracować w bólu, i jedyne, kim może być, to nie artystą czy twórcą, lecz wyłącznie ciałem, systemem tkanek, kości i tak dalej, cierpiącym z powodu rozstroju układu pokarmowego; i wszystko, co nie wynikało bezpośrednio z tych faktów, zwłaszcza tworzenie dzieł sztuki, było dogłębnie i całkowicie fałszywe i nierzeczywiste. Jednocześnie uświadomiłem sobie, jaka siła kryje się za moim usilnym pożądaniem, aby coś robić i aby czymś być, w tym konkretnym wypadku, aby stworzyć kompletnie fałszywe i

nierzeczywiste dzieła sztuki. Innymi słowy, uświadomiłem sobie, co tak naprawdę aktywuje moje ciało. To uzmysłowienie nie odbyło się poprzez umysł lub wyobraźnię, a już na pewno nie poprzez żadne medium typu dusza lub osobowość, bo wszystko to bezsens i urojenia. Uzmysłowienie sobie, co aktywuje moje ciało i co pobudza jego pragnienia, odbyło się w jedyny możliwy sposób, czyli poprzez ciało samo w sobie i poprzez jego organy zmysłowego odczuwania. Świat ciał nieludzkich zawsze działał w ten sposób i to działał dalece bardziej efektywnie niż świat ciał ludzkich, który od zarania krępowany jest przez wyssany z palca nonsens o posiadaniu umysłów, o posiadaniu dusz, o posiadaniu osobowości. Świat ciał nieludzkich aktywują bezpośrednio komendy płynące od przerażającej siły, stanowiącej fundament wszelkiego istnienia i przejawiającej się jedynie w kilku prostych pragnieniach, z których żadne nie ma nic wspólnego z czymś tak bezsensownym i urojonym jak tworzenie sztuki czy bycie artystą, jak bycie jakimikolwiek rzeczami równie fałszywymi i nierzeczywistymi jak powyższe, jak robienie takich rzeczy. Z tego powodu w świecie ciał nieludzkich nieznane są cierpienia spowodowane dążeniem do zaspokojenia tych pragnień, jako że tego rodzaju odczucia nigdy nie miały odniesienia do tychże ciał i nigdy się w nich nie pojawiły.

Zanim przeszedł do dalszej części wprowadzenia, które stanowiło pierwszy etap wystawy jego prac lub artystycznego występu scenicznego, jak o tym myślałem, Grossvogel przerwał, zdając się lustrować twarze skromnej publiczności, zgromadzonej w niewielkim pomieszczeniu na tyłach galerii.

To, co wyjawiał odnośnie do swojego ciała i trapiących je problemów trawiennych, było zupełnie zrozumiałe, nawet jeśli niektóre z poruszonych kwestii wydawały się dyskusyjne,

a całość wypowiedzi niezbyt zajmująca. Mimo to dalej słuchaliśmy Grossvogela z nadzieją, że jego słowa poprowadzą nas do następnej, być może bardziej interesującej części jego doświadczeń, które w jakiś sposób nie wydawały się aż tak odległe od naszych, bez względu na to, czy wiązały się z sensacjami gastrycznymi, czy też nie. Dlatego też siedzieliśmy cicho, niemal z szacunkiem, rozważając niecodzienny przebieg tego wieczoru, zaś Grossvogel kontynuował mowę przed odsłonięciem dzieła, dla którego nas tu ściągnął.

- To naprawdę bardzo, bardzo proste - ciągnął artysta. - Nasze ciała to zaledwie manifestacja tej energii, tej *aktywującej siły*, która wprawia w ruch wszelkie obiekty, wszelkie ciała tego świata, umożliwiając im istnienie w obecnej formie. Ta aktywująca siła jest czymś jak cień, który znajduje się nie na zewnątrz wszelkich ciał tego świata, ale *wewnątrz* wszystkiego, wszystko ogarniając - jest czymś jak poruszająca wszystko ciemność, która sama w sobie nie składa się z materii, ale porusza wszystkie obiekty tego świata, również te, które nazywamy naszymi ciałami. Kiedy w szpitalu, w którym poddano mnie leczeniu, cierpiałem męczarnie wywołane zaburzeniami trawienia, zstąpiłem, że tak to określe, w tak głębokie otchłanie bytu, że mogłem poczuć, jak ten cień, ta ciemność, ożywia moje ciało. Słyszałem jej poruszenia, nie tylko wewnątrz mnie, ale wszędzie wokół, ponieważ wydawany przez nią odgłos nie był odgłosem mojego ciała - był to odgłos tego cienia, tej ciemności, który jest jak żaden inny. W ten sam sposób wyczuwałem działania tej wszechogarniającej i poruszającej wszystkim siły poprzez zmysł powonienia, poprzez zmysł smaku, jak również poprzez zmysł dotyku, będące na wyposażeniu mojego ciała. W końcu otworzyłem oczy, które przez wzgląd na paraliżujący podczas

ataku ból miałem zamknięte od dłuższego czasu. I kiedy je otworzyłem, zorientowałem się, że widzę, jak wszystko wokół, wliczając w to także moje ciało, jest aktywowane od wewnątrz przez ten wszechogarniający cień, tę poruszającą wszystkim ciemność. I nic już nie wyglądało jak przedtem. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem świata wyłącznie poprzez organy zmysłowego odczuwania, będące jedynymi narzędziami umożliwiającymi wgląd w tę głęboką otchłań bytu, którą nazywam cieniem i ciemnością. Moje fałszywe i nierzeczywiste dokonania jako artysty okazały się jedynie wytworem spreparowanym przez mój umysł lub przez moja wyobraźnię, które są niczym innym niż bezsensownymi i urojonymi wytworami, zakłócającymi pracę naszych zmysłów. Wierzyłem, że te prace w jakiś sposób odzwierciedlają naturę mojej osobowości lub duszy, podczas gdy jedynym, co tak naprawdę odzwierciedlały, było moje obłąkańcze i bezużyteczne pragnienie, aby coś zrobić, aby czymś być, co zawsze oznacza bycie czymś fałszywym i nierzeczywistym oraz robienie czegoś fałszywego i nierzeczywistego. Jak wszystko inne, pragnienia te wzbudził ten sam wszechogarniający cień, ta poruszająca wszystkim ciemność, których - dzięki samounicestwiającemu się cierpieniu, wywołanemu zaburzeniami trawienia - mogłem teraz doświadczać poprzez organy zmysłów i bez zakłóceń powodowanych przez urojony umysł lub urojoną osobowość.

Powinienem wam wyznać, że zanim doznałem upadku fizycznego tu, w galerii, przeżyłem upadek psychiczny - upadek czegoś fałszywego i nierzeczywistego, czegoś bezsensownego i urojonego, co zresztą jest teraz zupełnie jasne, choć podówczas było to dla mnie coś bardzo prawdziwego i rzeczywistego. Ów kryzys umysłu i osobowości

wyniknął z kiepskiego przyjęcia stworzonych przeze mnie prac przez osoby, które przyszły na otwarcie mojej pierwszej wystawy; z uświadomienia, jak dogłębnie prace te były nieudane jako efekt kreacji artystycznej, jak nędznie prezentowały się nawet w sferze czegoś tak fałszywego i nierzeczywistego jak sztuka. Ta nieudana wystawa pokazała mi, jak żałosne były moje wysiłki, by zostać artystą. Wszyscy obecni mogli się przekonać, jak mierne okazały się moje prace, ja zaś widziałem, jak widzowie stają się właśnie świadkami mojej absolutnej klęski artystycznej. Ów kryzys psychiczny jedynie przyspieszył załamanie fizyczne i ostateczne popadnięcie ciała w spazmy gastrycznej udręki. Kiedy już przestały istnieć mój umysł oraz poczucie osobowości, wszystko przeszło w ręce organów postrzegania zmysłowego, poprzez które po raz pierwszy doświadczałem najgłębszej otchłani bytu, tego cienia, tej ciemności, które wzbudzały we mnie pragnienie efektywności w robieniu czegoś i w byciu czymś, przez co aktywowały moje ciało poruszające się w tym świecie, podobnie jak aktywują wszystkie inne ciała. A to, czego doświadczyłem bezpośrednio przez kanały zmysłów - ten spektakl skrytego we wszystkim cienia, poruszającej wszystkim ciemności - było tak przerażające, że byłem przekonany, iż przestanę istnieć. W pewnym sensie, ze względu na to, jak zaczęły działać moje zmysły, szczególnie zmysł wzroku, przestałem istnieć na sposób, w jaki istniałem przed tamtą nocą. Bez zakłóceń wywoływanych pośrednictwem umysłu lub wyobraźni, bez tych wszystkich bezsensownych rojeń o duszy i osobowości, zostałem zmuszony oglądać rzeczy przez pryzmat ukrytego w nich cienia, aktywującej je ciemności. I było to tak całkowicie potworne, że żadne moje słowa nie są w stanie tego opisać.

Mimo to, Grossvogel począł szczegółowo wyjaśniać tym z nas, którzy zdecydowali się uiścić niebotyczną opłatę za oglądanie jego występu scenicznego, czym dokładnie był wstrząsający sposób, w jaki zaczął widzieć świat wokół siebie, wliczając w to jego własne ciało pogrążone w trawiennych męczarniach, oraz dlaczego jest tak bardzo przekonany, że ten ogląd rzeczywistości wkrótce spowoduje jego śmierć, pomimo wszelkich zapobiegawczych środków podjętych w trakcie leczenia w szpitalu. Grossvogel dowodził, że jego jedyną nadzieją na przeżycie było unicestwienie siebie, w tym sensie, że osoba (umysł, osobowość), którą był Grossvogel, powinna przestać istnieć. Jak utrzymywał, ten konieczny warunek przetrwania skłonił jego fizyczne ciało do „metamorficznego uzdrowienia”. Utrzymywał, iż w ciągu zaledwie paru godzin ustąpiły wszelkie ostre bóle brzucha, od których rozpoczął się jego kryzys, co więcej - obecnie był w stanie znieść sposób, w jaki został zmuszony stale postrzegać rzeczy, jak to ujął, „przez pryzmat ukrytego we wszystkim cienia, aktywującej wszystko ciemności”. Odkąd osoba, którą był Grossvogel, *przepadła* - wyjaśniał Grossvogel - ciało Grossvogela mogło wreszcie istnieć jako efektywny organizm, nie niepokojony urojonymi cierpieniami, zsyłanymi nań przedtem przez sfabrykowany umysł oraz fałszywą i nierzeczywistą osobowość. Jak sam to ujął; „nie jestem dłużej zamieszkiwany przez swoją osobowość i swój umysł”. Publiczność widziała teraz, jak sam powiedział, ciało Grossvogela mówiące głosem Grossvogela oraz używające układu nerwowego Grossvogela, ale bez zniekształceń powodowanych przez „urojoną postać” znaną jako Grossvogel: wszystkie jego słowa i działania, jak wyjaśniał, wynikały teraz bezpośrednio z tej samej siły, która aktywuje każdego z nas, co zrozumielibyśmy w pełni,

gdybyśmy zostali zmuszeni zrobić to samo co on, aby zachować życie. Artysta w przerażająco spokojny sposób podkreślał, że pod żadnym pozorem nie wybrał niezwykłego sposobu, w jaki został uleczony. Nikt z nieprzymuszonej woli nie wybrałby czegoś podobnego - twierdził. Każdy chce kontynuować istnienie jako umysł, jako osobowość, bez względu na ból, jaki to sprawia, bez względu na fałsz i nierzeczywistość własnego stanu; każdy woli to od zmierzenia się z dość oczywistym faktem bycia jedynie ciałem wprawionym w ruch przez bezmyślną, bezduszną, bezosobową siłę, którą określał jako cień, ciemność. Tym niemniej, jak wyjawiał nam Grossvogel, była to rzeczywistość, którą musiał zaakceptować, jeżeli jego ciało miało kontynuować istnienie i działać sprawnie jako organizm. „Była to po prostu kwestia fizycznego przetrwania - powiedział. - Każdy powinien to zrozumieć. I każdy zrobiłby to samo”. Co więcej, słynne metamorficzne uzdrowienie, w wyniku którego Grossvogel jako osoba zmarł, aby Grossvogel jako ciało mógł zachować życie, było tak skuteczne, że - jak poinformował zebraną publiczność - natychmiast wyruszył w długą, intensywną podróż, głównie tanimi połączeniami autobusowymi, którymi przemierzył wzdłuż i wszerz cały kraj, mogąc obserwować różnych ludzi i rozmaite miejsca, sprawdzając w ten sposób nową zdolność postrzegania wszechogarniającego je cienia oraz poruszającej nimi ciemności, jako że porzucił już błędne mniemania o świecie tworzonym przez umysł lub wyobraźnię - zniewalające mechanizmy, które usunął ze swojego układu - jak również porzucił błędne wyobrażenia o tym, że ktokolwiek lub cokolwiek posiada duszę lub osobowość. I gdziekolwiek się udał, był zawsze świadkiem tego samego widowiska, którego

upiorność wcześniej nieomal odebrała mu życie.

- Mogę teraz poznawać świat bezpośrednio zmysłami ciała - kontynuował Grossvogel. - Dzięki ciału widzę rzeczy, których nigdy nie ujrzałbym umysłem lub wyobraźnią nieudolnego artysty. Dokądkolwiek się udałem, byłem świadkiem, jak wszechogarniający cień, jak poruszająca wszystkim ciemność *wykorzystuje nasz świat*. Ponieważ ten cień, ta ciemność nie posiada nic na własność, nie może zaistnieć inaczej niż jako aktywująca siła lub energia, podczas gdy my posiadamy nasze ciała, jesteśmy *tylko* naszymi ciałami, i to, czy są to ciała organiczne, czy też nie, czy są to ciała ludzkie, czy też nie - nie robi różnicy, ponieważ są to po prostu ciała i nic więcej, bez niczego takiego jak umysł, dusza bądź osobowość. W taki sposób ten cień, ta *ciemność wykorzystuje nasz świat, aby uzyskać czego potrzebuje do rozwoju*. Nie posiada nic za wyjątkiem aktywującej energii, podczas gdy my jesteśmy niczym innym tylko naszymi ciałami. To dlatego ten cień, ta ciemność sprawia, że rzeczy są tym, czym nie chciały być i czynią to, czego nigdy nie chciały czynić. Ponieważ bez tego skrytego w nich cienia, bez tej poruszającej wszystkim czerni, która je aktywuje, nie byłyby niczym więcej niż w istocie są - zwałami materii pozbawionymi porywów, pozbawionymi pragnienia rozwoju, odniesienia sukcesu na tym świecie. Ten stan rzeczy należałoby nazwać po imieniu - absolutny koszmar. Właśnie tego doświadczyłem w szpitalu, gdy z powodu gastrycznego cierpienia zdałem sobie sprawę, że nie mam umysłu, nie mam wyobraźni, nie mam duszy i nie mam osobowości - że to wszystko to jedynie bezsensowne i złudne bariery stworzone w celu ukrycia przed ludźmi prawdy o tym, czym naprawdę są: zbieraniną ciał aktywowanych przez cień i ciemność. Ci spośród nas, którzy w

jakimkolwiek stopniu są sprawnymi organizmami, w tym artyści, są tacy jedynie ze względu na zakres, w jakim funkcjonujemy jako ciała, a nie jako umysły czy osobowości. Właśnie przez tę postawę poniosłem tak druzgocąca klęskę, gdyż trwałem w przekonaniu, że umysł, wyobraźnia, dusza oraz osobowość istnieją. Moją jedyną nadzieją była zdolność przeprowadzenia metamorficznego uzdrowienia oraz *zaakceptowania w sposób absolutny* koszmarnego porządku rzeczy, dzięki czemu mogłem zacząć funkcjonować jako sprawny organizm, nawet bez tego ochronnego nonsensu o umyśle i wyobraźni, ochronnych rojeń o posiadaniu duszy lub osobowości.

W innym wypadku unicestwiłoby mnie śmiertelne szaleństwo spowodowane uzmysłowieniem sobie tej dewastującej prawdy. To dlatego osoba będąca Grossvogelem musiała umrzeć w tamtym szpitalu - i to na dobre - aby ciało Grossvogela mogło uwolnić się od problemów trawiennych i wyruszyć w podróż we wszystkich możliwych kierunkach, różnymi środkami transportu, głównie tanimi, międzystanowymi liniami autobusowymi, podczas której mogło być świadkiem niekończącego się widowiska cienia i ciemności, wykorzystujących świat naszych ciał, aby uzyskać wszystko co potrzebne do ich rozwoju. Kiedy już ujrzałem to widowisko, okazało się dla mnie nieodzowne przedstawić je w jakiejś formie, nie jako *artysta, który poniósł porażkę*, ponieważ korzystał z nonsensów nazywanych umysłem i wyobraźnią, ale jako *ciało, które odniosło sukces* w dostrzeżeniu, jak funkcjonuje świat. I to jest to, co przyszedłem wam pokazać, co chciałem wam zaprezentować dzisiejszego wieczoru.

Podobnie jak reszta publiczności naprzemiennie

znudzonej i zafrapowanej przemową Grossvogela, poczułem się zaskoczony, a nawet nieco zaniepokojony, gdy tak nagle zakończył odczyt lub raczej dziwaczny monolog, czy jak tam określałem wówczas jego słowa. Wydawało się, że mógłby tak mówić przez całą wieczność w tym małym pokoiku na tyłach galerii, gdzie zwisały z sufitu słabe żarówki, a wśród nich jedna rozjaśniająca stolik przykryty oddartym kawałkiem prześcieradła. A teraz Grossvogel unosił róg materiału, by odsłonić nam w końcu to, co stworzył nie przy użyciu umysłu lub wyobraźni, których był już pozbawiony, podobnie jak duszy i osobowości, ale jedynie przy pomocy zmysłów swego ciała. Gdy nareszcie odsłonił swoje dzieło i ukazał je w anemicznym świetle wiszącej nad nim żarówki, z początku nikt z nas nie okazał ani pozytywnej, ani negatywnej reakcji; być może dlatego, że nasze umysły trwały w oszołomieniu natłokiem słów, którymi przygotowywał nas na odsłonięcie pracy.

Wyglądało to jak rzeźba. Niestety nie potrafiłem sklasyfikować tego obiektu ani pod względem artystycznym, ani nieartystycznym. Mógł przedstawiać cokolwiek. Powierzchnia przedmiotu była jednolicie, połyskliwie czarna, zaś pod lśniącymi refleksami widać było kłębiącą się mroczność cieni, które zdawały się poruszać, co mogło być efektem lekkich drgań żarówki zwisającej powyżej. Dało się zauważyć nikłe podobieństwo tego kształtu do jakiegoś stworzenia, być może mocno zdeformowanego skorpiona lub kraba, gdyż z centralnej, bezkształtnej masy odchodziły przypominające szczypcy wypustki. Jednak niektóre z elementów odstawały ku górze - jak stożki i rogi pnące się niemal pod kątem prostym, czasami ostro zakończone, czasami zwieńczone obłymi, głowistymi wybrzuszeniami.

Ponieważ Grossvogel tyle mówił o ciałach, było dość naturalne postrzegać tego typu kształty o dość wyrodnej postaci jako podstawę pokazywanego obiektu lub coś, co jest weń wcielone - w ten chaotyczny świat ciał wszelkiego rodzaju, kształtów aktywowanych skrytym w nich cieniem i ciemnością powodującą, że stawały się tym, czym nie chciały być oraz czyniły to, czego nigdy nie chciały czynić. Pomędzy tymi ciałopodobnymi kształtami rozpoznałem wyraźnie sylwetkę samego artysty, choć znaczenie tego, że Grossvogel włączył swoją postać w obręb przedmiotu, zupełnie mi wówczas umknęło, gdyż byłem zajęty kontemplowaniem tego skromnego eksponatu.

Cokolwiek rzeźba Grossvogela miała przedstawiać, zarówno we fragmentach, jak i całościowo, zawierała coś więcej niż sugestię tego „absolutnego koszmaru”, który artysta, że tak powiem, pieczołowicie objaśniał nam odczytem czy też monologiem wygłoszonym tamtego wieczoru. Jednakże jakość tego tworu, nawet dla widowni doceniającej koszarne przedmioty i kształty, nie wystarczała, by wynagrodzić wysokie koszty, jakie ponieśliśmy, żeby posłuchać o gastrycznych problemach Grossvogela i ogłoszonym przezeń „metamorficznym uzdrowieniu”. Wkrótce po odsłonięciu przez artystę dzieła, obecni zaczęli podnosić ciała z niewygodnych składanych krzesel i zewsząd napływały wymówki i tłumaczenia usprawiedliwiające konieczność szybkiego wyjścia z pomieszczenia. Zanim sam wstałem i opuściłem pokój, zauważyłem nierzucającą się w oczy karteczkę obok rzeźby Grossvogela, na której zapisano tytuł pracy: TSALAL NR 1. Dopiero później dowiedziałem się czegoś o znaczeniu tego słowa, które, jak na słowo przystało, jednocześnie rozjaśniło i zaciemniło naturę nazywanego

przezeń przedmiotu.

Temat pracy Grossvogela - który wkrótce wypuścił serię kilkuset podobnych rzeźb, każdą z z tym samym tytułem i kolejnym numerem - stanowił główny przedmiot naszej dyskusji podczas oczekiwania w barze przy głównej ulicy wymarłego miasteczka Crampton. Dżentelmen siedzący po mojej lewej stronie, przy jednym z nielicznych stolików baru, ponowił oskarżenia pod adresem Grossvogela.

- Wpierw dopuścił się na nas artystycznego szwindlu - powiedział ów dżentelmen, tak bardzo podatny na nagłe i przewlekłe ataki kaszlu - a teraz dokonał szwindlu metafizycznego. To niesłychane żądać tak bajońskich sum za uczestnictwo w jego wystawie, a później zdzierać z nas jeszcze bardziej za udział w tej „wycieczce fizyczno-metafizycznej”. Wszyscy daliśmy się nabrać temu...

- ...skończonemu oszustowi - powiedziała pani Angela, wyręczając mężczyznę niezdolnego dokończyć wypowiedź z powodu kolejnego ataku kaszlu. - Nie sądzę, żeby w ogóle zamierzał się pojawić - kontynuowała. - Najpierw namawia nas na przyjazd do tej zapadłej dziury. Mówi, że to miejsce, w którym musimy się zebrać przed planowaną przezeń wycieczką. Po czym w ogóle się nie pokazuje. Skąd on wytrzasnął to miejsce? Z jednej z tych swoich wycieczek autobusami, o których tyle się nagadał?

Wyglądało więc na to, że mogliśmy winić jedynie siebie i własną lekkomyślność za nasze obecne położenie. Nawet jeżeli nikt nie przyznał otwarcie, wszyscy byliśmy pod wielkim wrażeniem Grossvogela, gdy tamtego dnia wkroczył do galerii i poprosił nas o pomoc w załadowaniu swoich prac na skrzynię zdezelowanej ciężarówki. Nikt w naszym małym gronie artystów i intelektualistów nie zrobił nic choćby

zbliżonego, nikt nawet nie śmiał marzyć o czymś równie radykalnym i pełnym dramatyzmu. Tamtego dnia nabraliśmy pewności, że Grossvogel zmierza ku czemuś wielkiemu, natomiast naszym wstydlwym sekretem stała się chęć przybliżenia się do niego i wykorzystania znajomości dla własnych potrzeb. Jednocześnie irytowało nas śmiałe zachowanie Grossvogela i z utęsknieniem czekaliśmy kolejnej jego klęski, być może nawet jeszcze jednego twardego lądowania na podłodze galerii, gdzie już raz zarówno on, jak i jego prace, ku ucieście wszystkich, okazały się spektakularną klapą. To pomieszanie intencji było dla nas dostatecznym powodem, by zapłacić wygórowaną cenę za udział w wystawie Grossvogela, którą zresztą w ten czy inny sposób solidarnie skrytykowaliśmy.

Tamtej nocy, po występie, stałem na chodniku przed galerią, słuchając twierdzeń pani Angeli na temat rzeczywistego źródła „metamorficznego uzdrowienia” oraz artystycznych inspiracji Grossvogela.

- Pan Reiner Grossvogel, odkąd go tylko wypuścili ze szpitala, chodzi nafaszerowany lekami - rzekła, jakby obwieszczała mi tę rewelację pierwszy raz. - Wiem to od jednej dziewczyny, która zajmuje się realizacją recept w aptece. To moja bardzo dobra klientka - dodała z błyskiem samozadowolenia w mocno umalowanych, zmrużonych oczach. Następnie ciągnęła sensacyjne doniesienia: - Powinniście wiedzieć, co przepisuje się takim jak Grossvogel, cierpiącym problemy zdrowotne niebędące w gruncie rzeczy problemami zdrowotnymi, ale bardzo ciężkim rozstrojem psychofizycznym, co zarówno ja, jak i wszystkie pracujące dla mnie osoby mogły mu uzmysłwić dawno temu. Mózg Grossvogela od miesięcy pławi się we wszelkiego rodzaju

środkach uspokajających i antydepresantach, a to nie wszystko. Bierze także środki przeciwnurczowe na dolegliwość, z której to podobno tak cudownie się wyleczył. Nie czuję się zaskoczona jego przekonaniem, że nie ma już umysłu ani osobowości, bo to po prostu prawda.

...*Przeciwnurczowe* - pani Angela syknęła na mnie, gdy staliśmy na chodniku przed galerią po wystawie Grossvogela. - Wie pan, co to oznacza? - zapytała, po czym błyskawicznie udzieliła odpowiedzi: - To oznacza na przykład belladonnę, toksyczny halucynogen. To oznacza fenobarbital, silny barbituran. Dziewczyna z apteki powiedziała mi wszystko na ten temat. On regularnie przedawkowuje te leki, rozumie pan? To dlatego widzi wszystko w taki dziwaczny sposób, i chce, żebyśmy też uwierzyli w to wszystko. To nie żaden cień, czy co on tam sobie bredzi, *aktywuje* jego ciało. Wiedziałabym o tym, nieprawdaż? Wszak dysponuję wyjątkowym darem, który pozwala mi na wgląd w takie sprawy.

Niestety, pomimo niezaprzeczalnych talentów pani Angeli, jak również jej doskonałych wypieków, psychokawiarnia nie wypaliła jako biznes i ostatecznie splajtowała. Z drugiej strony rzeźby Grossvogela, produkowane już niemal seryjnie, okazały się nieprawdopodobnym sukcesem, zarówno wśród lokalnych nabywców sztuki, jak i poważnych marszandów oraz kolekcjonerów w całym kraju, a nawet na rynku międzynarodowym. Reiner Grossvogel stał się bohaterem artykułów na swój temat w ważniejszych czasopismach poświęconych sztuce, jak również tych niebranżowych, choć zazwyczaj przedstawiano go jako, jak ujął to jeden z krytyków, „jednoosobowy artystyczno-filozoficzny gabinet osobliwości”. Tak czy owak, Grossvogel pod każdym względem

funkcjonował teraz jako wysoce sprawny organizm.

Ze względu na ten sukces, do poziomu którego nikt z naszego wąskiego grona artystów i intelektualistów nawet się nie zbliżył, ci z nas, którzy tamtego wieczoru opuścili wystawę Grossvogela, nie chcąc słuchać o jego „metamorficznym uzdrowieniu” po problemach spowodowanych ciężkimi zaburzeniami trawienia, lub nie chcąc oglądać jego pierwszej rzeźby z serii *Tsalal*, znów przyłgnęli do niego i powiązali swoje nieudaczne kariery z jego niezaprzeczalnie sprawnym ciałem pozbawionym umysłu i osobowości. Ostatecznie nawet pani Angela zapoznała się dokładniej z tym, co Grossvogel wyłożył nam wówczas na zapleczu galerii, a teraz, jak się wydawało, powiełał w niekończącej się linii filozoficznych broszur, które wśród kolekcjonerów stały się równie łakomym kąskiem, co rzeźby z serii *Tsalal*. Dlatego kiedy Grossvogel rozprosił kolejną broszurę wśród osób z wąskiego grona artystyczno-intelektualnego, którego zresztą nigdy się nie wyparł, nawet po osiągnięciu tak zadziwiającego sukcesu finansowego i sławy, broszurę zapowiadającą „fizyczno-metafizyczną wycieczkę” do wymarłego miasta Crampton, byliśmy bardziej niż chętni zapłacić kolejną niebotyczną sumę, jakiej zażądał.

Do tej właśnie broszury odniosłem się podczas rozmowy z towarzyszami zasiadającymi obok mnie przy stoliku baru w Crampton; fotoportrecisty po lewej, który akurat znów padł ofiarą ataku kaszlu, autorowi nieopublikowanego traktatu filozoficznego *Śledztwo w sprawie spisku przeciwko ludzkiej rasie* po prawej i pani Angeli naprzeciw. Siedzący po lewej mężczyzna wciąż powtarzał swoje przydługie, przerywane napadami kaszlu (których przytaczanie pozwolę sobie ominąć), kierowane pod adresem

Grossvogela zarzuty o przygotowanie „metafizycznego szwindlu” w postaci tej nader kosztownej „fizyczno-metafizyczną wycieczki”.

- Wszystkie te gadki Grossvogela o cieniu, o ciemności, o koszmarnym świecie, jaki rzekomo widział.. no i proszę, gdzie wyłądownaliśmy. W zabitej dechami dziurze, gdzie wszystko poszło z torbami dawno temu, w części kraju, gdzie każdy pejzaż wygląda jak prześwietlona fotografia. Wziąłem aparat, by uwiecznić twarze tych, którzy mieli oglądać tę cienistą ciemność Grossvogela, czy co tam sobie zaplanował. Miałem nawet kilka ty tułów i konceptów dla moich fotoportretów, które liczyłem wydać w jakimś albumie, albo chociaż stworzyć sobie nowe portfolio, które wysłałbym do najważniejszego magazynu o fotografii. Myślałem, że wrócę do domu przynajmniej z kilkoma zdjęciami dużej twarzy Grossvogela. Wydrukowałiby mi je w każdym lepszym piśmie o sztuce. Ale gdzie ten słynny Grossvogel? Powiedział, że spotka się tu z nami. Że dowiemy się, o co chodzi z tym całym cieniem, tak przynajmniej go zrozumiałem. Co więcej, już nastawiłem się psychicznie na te wszystkie absolutne koszmary, o których gadał w swoich broszurach, również w tym oszukańczym świstku.

- Ta broszura - rzekłem, kiedy mężczyzna znów, tym razem dość głośno, zaniósł się kaszlem - nie zawiera żadnych konkretnych obietnic co do rzeczy, których się tutaj spodziewaliście. Obwieszcza jedynie, iż będzie to wycieczka do, cytuję, „*martwego miasta, skończonego miasta, nieudanego miasta, do fałszywego i nierzeczywistego wytworu niesprawnych organizmów, do miasta reprezentującego jawny obraz skrajnej klęski, który może do tego stopnia przygnębić ludzki układ organiczny, szczególnie jego układ pokarmowy,*

że blakną wszelkie jego złudzenia i kompletnie wysane z palca osłony, jak umysł czy osobowość, w ten sposób prowadząc do kryzysu polegającego na koszmarnym uzmysłowieniu sobie...” - myślę, że wszyscy znamy następującą dalej gadkę o cieniu i ciemności. Rzecz w tym, że Grossvogel nie obiecał w tej broszurze niczego za wyjątkiem otoczenia przepełnionego atmosferą klęski, swoistego przytułku dla przegranych organizmów. Cała reszta zrodziła się w waszej wyobraźni... w mojej też, tak swoją drogą.

- No cóż... - powiedziała pani Angela, przyciągając do siebie broszurę, którą położyłem na stoliku - czy mi się tylko wydawało jak czytałam, że, cytuję: „uczestnikom zagwarantowano godziwe wyżywienie”? Gorzka kawa i zleżałe pączki to raczej nie jest coś, co mieści się w moich kategoriach rozumienia słowa „godziwe”. Jak dobrze wszystkim wiadomo, Grossvogel jest teraz bogatym człowiekiem i tylko na to go stać? Aż do dnia, w którym musiałam na amen zamknąć mój lokal, podawałam wyśmienitą kawę i równie wyśmienite wypieki, choć przyznaję, że nie piekłam ich sama. A moje i moich pracowników parapsychiczne odczyty zapierały dech w piersiach. Tymczasem ten bogacz i kelnerka praktycznie podtruwają nas niewiarygodnie gorzką kawą i zleżałymi, tanimi pączkami. Powinnam teraz zażyć któreś z tych przeciwskurczowych lekarstw, które Grossvogel tak swobodnie sobie od dawna aplikuje. Jestem pewna, że będzie miał ich przy sobie całe mnóstwo, o ile się pokaże, w co akurat wątpię, zwłaszcza po tym, jak zrujnuje nam zdrowie swoim „godziwym wyżywieniem”. A teraz przepraszam na chwilę. Pani Angela skierowała się do toalety po drugiej stronie sali, gdzie zauważyłem kilka osób czekających w kolejce. Spojrzałem na ludzi siedzących przy stolikach lub na stołkach

barowych - wydawało się, że kilkoro trzyma się za brzuchy, lekko je masując. Ja również zaczynałem odczuwać lekki dyskomfort, być może powiązany z nędzną jakością kawy i pączków podanych przez kelnerkę, której zresztą nie było nigdzie w pobliżu. Mężczyzna siedzący po mojej lewej również przeprosił i udał się w kierunku drugiej strony baru. Już miałem wstać i pójść w jego ślady, jak i w ślady pozostałych wyczekujących przed drzwiami toalety, kiedy siedzący po mojej prawej człowiek zaczął opowiadać o swoich „badaniach” i „domysłach”, stanowiących podstawę jego nieopublikowanego traktatu filozoficznego „Śledztwo w sprawie spisku przeciwko ludzkiej rasie” i o tym, w jaki sposób odnosiły się do jego „silnych podejrzeń” wobec Grossvogela.

- Powiniennem był okazać się mądrzejszy i nie brać udziału w tej... wycieczce - rzekł. - Ale musiałem dowiedzieć się więcej o tym, co kryje się za słowami Grossvogela. Miałem silne podejrzania odnośnie do jego twierdzeń, teorii metamorficznego uzdrowienia i innych rzeczy. Na przykład jego twierdzenie - lub, jak to określa, uzmysłowienie - że umysł oraz wyobraźnia, dusza oraz osobowość, są tylko *bezsensem i urojeniami*. A mimo to utrzymuje, że to, co określa cieniem i ciemnością - *Tsalalem*, jak tytułuje swoje prace - nie jest już czymś bezsensownym i urojonym, lecz czymś, co wykorzystuje nasze ciała do tego, jak sam uważa, *aby uzyskać wszystko co potrzebne do jego rozwoju*. Cóż... na jakiej podstawie neguje umysł, wyobraźnię i tak dalej, uznając jednocześnie istnienie Tsalala, który wydaje się produktem tego samego nonsensownego urojenia?

Podejrzania mężczyzny okazały się dla mnie wielce pożądanym sposobem na odwrócenie uwagi od napięcia

narastającego w moim brzuchu. W odpowiedzi na jego pytanie powiedziałem, że mogę jedynie powtórzyć wyjaśnienia Grossvogela, jakoby nie doświadczał już rzeczy, a właściwie nie postrzegał już rzeczy rzekomo iluzorycznym umysłem lub osobowością, ale jedynie poprzez ciało, które, jak utrzymywał, było aktywowane i w całości wypełnione przez cień będący Tsalalem.

- Nie jest to najbardziej absurdalne odkrycie, przynajmniej jak na moje doświadczenia - rzekłem, broniąc Grossvogela.

- Moje również - przytaknął mężczyzna.

- Poza tym - kontynuowałem - te dziwacznie nazwane przez Grossvogela rzeźby przedstawiają interesującą wartość nawet bez stanowiącego ich podstawę kontekstu metafizycznego.

- Zna pan znaczenie tego słowa, *Tsalal*, którego używa jako tytułu wszystkich swoich prac?

- Nie, obawiam się, że nie mam pojęcia o jego pochodzeniu i znaczeniu - przyznałem z żalem. - Ale zapewne mnie pan oświeci.

- Oświecenie nie ma nic wspólnego z tym słowem, które pochodzi ze starożytnego hebrajskiego. Można powiedzieć, że oznacza ono „zostać zaciemnionym, zostać zacienionym”. Na ten termin natrafiłem wcale nierzadko podczas zbierania materiałów do mojego traktatu „Śledztwo w sprawie spisku przeciwko ludzkiej rasie”. Oczywiście pojawia się ono w wielu ustępach Starego Testamentu - tej szmiry o mniejszych i większych apokalipsach.

- Być może - powiedziałem. - Ale nie zgadzam się, że wykorzystanie przez Grossvogela terminu z hebrajskiej mitologii podaje w wątpliwość szczerą jego twierdzeń lub

nawet ich słuszność, jeżeli zmierza pan tak daleko.

- Cóż, obawiam się, że nie wyraziłem się dość jasno. Odnoszę się do czegoś, co ujawniło się już na wstępnym etapie badań i formułowania założeń „Śledztwa”. Krótko mówiąc, absolutnie nie miałem zamiaru w jakikolwiek sposób kwestionować Tsalal Grossvogela. „Śledztwo” dowiedzie, że moje podejście do tego zjawiska jest jawne i jednoznaczne, choć może nie tak efektowne i poniekąd trywialne jak to Grossvogela, co zresztą z jednej strony wyjaśnia oszałamiający sukces jego rzeźb i broszur, a z drugiej tłumaczy sromotną klęskę mojego traktatu, którego nikt nie wyda ani nie przeczyta. Wracając do meritum, wcale nie twierdzę, że *Tsalal Grossvogela* nie jest w jakiś sposób rzeczywistym zjawiskiem. Wiem aż za dobrze, że zarówno umysł, jak wyobraźnia, a także dusza oraz osobowość nie są jedynie bezsensownymi urojeniami, jak je przedstawia Grossvogel. W rzeczywistości są one zasłonami - tak samo fałszywymi i nierzeczywistymi jak dzieła, które Grossvogel tworzył przed pojawieniem się u niego poważnych kłopotów zdrowotnych i późniejszym wyzdrowieniem. Grossvogel był w stanie wnikliwie poznać ten fakt dzięki wyjątkowo rzadkiemu zbiegowi okoliczności, który bez wątpienia wiązał się z jego medyczną katorgą.

- Zaburzeniami trawienia - doprecyzowałem, czując coraz silniejsze objawy choroby panoszącej się w moim ciele.

- W rzeczy samej. To zresztą mechanika tego doświadczenia zainteresowała mnie na tyle, by zainwestować w tę wyprawę. Właśnie ta jedna rzecz pozostaje dla mnie niejasna. Nie ma nic pewnego, jeśli mogę tak powiedzieć, w kwestii Tsalala i sposobu, w jaki działa, a mimo to Grossvogel snuje różne w moim mniemaniu fascynujące teorie i z oszałamiającą pewnością dokonuje pewnych rozróżnień. Ale

przynajmniej w jednym punkcie z całą pewnością myli się lub kłamie. Twierdzą tak, ponieważ wiem, że nie był do końca szczerzy mówiąc o szpitalu, w którym poddano go terapii. Podczas przygotowań do pisania „Śledztwa” przyglądałem się uważnie tego typu placówkom i sposobom, w jaki funkcjonują. I wiem ze stuprocentową pewnością, że szpital, w którym leczono Grossvogela, to wyjątkowo paskudna instytucja, absolutnie paskudna instytucja. To co powszechnie o niej wiadomo, to kompletna fikcja i przykrywka dla naprawdę szokujących działań, których rzeczywistej skali, jak podejrzewam, nie są świadomi nawet ci związani z takimi miejscami. To nie kwestia zdeprawowania, że tak powiem, albo złych intencji. Tam po prostu kwitnie pewien rodzaj... zмовy, paskudnego przymierza pewnych osób oraz instytucji. Oni są w zмовie z... och, gdyby tylko mógł pan przeczytać moje „Śledztwo”, wiedziałby pan z jakim rodzajem koszmaru zetknął się Grossvogel w tamtym szpitalu, w tamtym miejscu, które wręcz cuchnie koszmarami. Tylko tam Grossvogel był w stanie dostąpić tego przerażającego uzmysłowienia, które teraz opisuje w niezliczonych broszurach i przedstawia w rzeźbach z serii *Tsalal*, jego zdaniem niebędących wytworem jego umysłu czy wyobraźni, duszy czy osobowości, ale właśnie tego, czego doznał za pomocą ciała oraz organów fizycznego odczuwania - cienia i ciemności. Umysł i cała ta reszta są tylko przykrywką, są jedynie wytworem, jak twierdzi Grossvogel. Nie odczuwamy ich przez ciało, nie doświadczamy przez organy fizycznego odczuwania. A to dlatego, że w rzeczywistości są jedynie urojoną zasłoną, maską, kamuflażem dla tego, co aktywuje nasze ciała tak, jak to wyjaśnił Grossvogel - co aktywuje i wykorzystuje, aby uzyskać wszystko co potrzebne do jego rozwoju. Są pracą, a wręcz

dziełami sztuki *samego Tsalala*. Nie potrafię panu tego prosto wyjaśnić. Szkoda, że nie może pan przeczytać mojego „Śledztwa”. Wszystko by panu wyjaśniło, wszystko by przed panem odkryło. Ale jak miałby pan je przeczytać, skoro nigdy nie zostało napisane?

- Nie zostało napisane? - zdziwiłem się. - Dlaczego nie zostało napisane?

- Dlaczego? - odparł, przerywając na moment z grymasem bólu. - Odpowiedź na to pytanie kryje się dokładnie w tym, o czym Grossvogel naucza w swoich broszurach i publicznych wystąpieniach. Cała jego doktryna, o ile można ją tak nazwać, o ile coś takiego istnieje w jakimkolwiek sensie, opiera się na nieistnieniu, na wyobrażonej naturze wszystkiego, czym naszym zdaniem jesteśmy. Pomimo jego wysiłków, by wyrazić co mu się przytrafiło, musi w pełni zdawać sobie sprawę z tego, że tak naprawdę nie ma słów, które by to opisały. Słowa jedynie zamazują ten najbardziej fundamentalny fakt dotyczący istnienia, ukrywają ten spisek przeciwko ludzkiej rasie, na który mój traktat mógłby wreszcie rzucić światło. Grossvogel doświadczył istoty tego spisku na własnej skórze, a przynajmniej uważa, że doświadczył. Słowa to tylko zasłona dymna dla spisku. One są ostateczną formą kamuflażu, ostatecznym dziełem sztuki cienia i ciemności - jego ostateczną artystyczną przykrywką, ponieważ to z istnienia słów wnioskujemy istnienie umysłu, pewnego rodzaju duszy lub osobowości. Ale to jest tylko jeszcze jedna z nieskończonych warstw kamuflażu. Nie ma umysłu, który mógłby stworzyć „Śledztwo w sprawie spisku przeciwko ludzkiej rasie” - nie ma umysłu, który mógłby je napisać, nie ma umysłu, który mógłby je przeczytać. Nie ma nikogo, kto mógłby powiedzieć cokolwiek o tym najbardziej

fundamentalnym fakcie dotyczącym naszego istnienia, nikogo, kto mógłby zaprzecić się tej rzeczywistości. I nikogo, komu to wszystko mogłoby zostać przekazane.

- To wszystko wydaje się zupełnie niepojęte - zaprotestowałem.

- Być może, o ile jest cokolwiek do pojmowania i ktokolwiek, kto mógłby spróbować to pojąć. Ale nic takiego nie istnieje.

- Skoro to prawda - powiedziałem, krzywiąc się z powodu nieznośnego bólu brzucha - to kto prowadzi tę rozmowę?

- No właśnie, kto? - odpowiedział. - Nieistotne, chciałbym mówić dalej. Nawet jeżeli to tylko bezsens i urojenia, to i tak czuję potrzebę przedłużać to wszystko w nieskończoność. Szczególnie teraz, gdy ból zawłaszcza mój umysł, moją osobowość. Ale już niebawem to nie będzie miało znaczenia. Właściwie... - rzekł głuchym głosem - ...to już nie ma znaczenia.

Zauważyłem, że od jakiegoś czasu spoglądał na miasto przez frontowe okno baru. Niektórzy robili to samo, zszokowani widokiem, udręczeni bólem, dzięki któremu mogli to dostrzec. Pusta sceneria wymarłych ulic miasteczka, spowitych aurą rozpostartego nad krajobrazem martwego sezonu; miejsce, na które po przybyciu tak narzekaliśmy z powodu braku choćby jednego przejawu czegokolwiek interesującego, zaczęło przechodzić na naszych oczach metamorfozę, jakby nagle rozpoczęło się zaćmienie. Ale widzieliśmy nie ciemność zstępującą z niebios, tylko cień, który wyłaniał się z ulic i domów wymarłego miasta, jakby z bladego ciała zaczęły wylewać się strugi czarnej krwi. Uzmysłowiłem sobie, że nagle i nieświadomie znalazłem się

wśród pierwszych osób dotkniętych przez zachodzące zmiany, mimo iż nie miałem zupełnie pojęcia, co się dzieje, żadnej wiedzy w umyśle, który przestał funkcjonować w sposób, w jaki funkcjonował ledwie parę chwil wcześniej, porzucając oniemiałe od cierpienia ciało, którego organy odczuwania rejestrowały przerażające widowisko wokół: widowisko ciał zaćmiewanych przez cień kłębiący się pod ich skórą, ciał niekiedy mówiących jeszcze tak, jakby były osobami z umysłem i jaźnią, iluzorycznymi bytami skarżącymi się w ludzkim języku na ból, który dopiero zaczęły sobie uzmysławiać; bytami wrzeszczącymi o pomoc, zstępującymi w samo jądro nicości, postrzegającymi za pomocą umysłów do samego końca, do momentu, aż zaczęły się rozpadać, rozwiewać niczym miraż, zdolne powiedzieć tylko, jak wszystko jawiło się ich umysłem, jak kształty miasta za oknami baru wyrodniały, jak wyciągały ku nim swoje szcypce, jak wzrastały stożkami i rogami pnącymi się ku niebu, już nie szaremu i blademu, ale kłębiącemu się wszechogarniającym cieniem, poruszającą wszystkim ciemnością, którą teraz wszyscy widzieli tak doskonale, gdyż widzieli ją poprzez ciała, tylko i wyłącznie ciała, wepchnięte w nieopisane, czarne otchłanie bólu. Rozległo się wołanie, w którym jęk przenikał się z kaszlem, że na zewnątrz jest twarz, „twarz na całe niebo”. Niebo i miasto były teraz tak ciemne, że jedynie ktoś z obsesją portretowania twarzy mógł dostrzec coś takiego w nieskończonym kłębowisku cieni na zewnątrz. Wkrótce słowa zanikły, wszak pogrążone w prawdziwym cierpieniu ciała nie mówią. Ostatnie zapamiętane przeze mnie słowa należały do kobiety krzyczącej, aby zabrać ją do szpitala. I tę właśnie prośbę w przedziwny sposób przewidział ten, który namówił nas na udział w „wycieczce

fizyczno-metafizycznej”, a którego ciało poznało do perfekcji to, czego nasze dopiero zaczynały się uczyć - koszmar wykorzystywanego ciała, które wie, co takiego je wykorzystuje, co sprawia, że rzeczy są takie, jakimi nie chciały być, i robią to, czego nie chciały robić. Poczułem obecność młodej kobiety odzianej w biały jak gaza uniform. Wróciła. A wraz z nią pomiędzy nami poruszały się inne podobne do niej, doskonale wiedzące, jak zadbać o nasz ból, by doprowadzić nasze ciała do metamorficznego uzdrowienia. Nie trzeba było nas przewozić do szpitala - cały szpital, wraz ze swoją ohydą, został przywieziony do nas.

I tak jak bardzo chciałbym opowiedzieć o wszystkim, co nam się przytrafiło w wymarłym miasteczku Crampton (którego martwota i pustka wydają się złudzeniem rajy po tym, jak pokazano nam jego ukryte życie); tak jak bardzo chciałbym przedstawić, jak nas przewieziono z tego odludzia, tego jądra nicości, i powrócono do dalekich domów; tak jak bardzo chciałbym opowiedzieć dokładnie o tym, jak wyglądała terapia, dzięki której wybawiono nas od tamtego miejsca i od cierpienia, jakiego w nim doświadczyliśmy - tak nie mogę niczego takiego uczynić. Jeżeli bowiem ktoś zostaje wybawiony od udręki, wówczas najtrudniejszą rzeczą na świecie staje się kwestionowanie sposobów tego wybawienia: ciało nie wie i nie obchodzi go nawet, co uśmierzyło jego ból, jest nawet niezdolne do zadawania takich pytań. A tym właśnie się staliśmy: ciałami pozbawionymi złudzeń umysłu bądź wyobraźni; ciałami niezakłócanymi duszą lub osobowością. Żaden z nas nie zakwestionował tego faktu, nigdy też nie rozmawialiśmy o tym od momentu naszego... uzdrowienia. Tak samo nie mówiliśmy o zniknięciu Grossvogela z naszego grona, które nie istnieje jak kiedyś -

jako zbieranina artystów i intelektualistów. Staliśmy się spadkobiercami tego, co jeden z nas nazwał „dziedzictwem Grossvogela”, co nie było tylko metaforą, gdyż artysta zapisał nam na wypadek jego „śmierci lub zniknięcia stwierdzonych po upływie określonego czasu” znaczną część swojego majątku, zgromadzonego dzięki sprzedaży dzieł.

Ale to czysto pieniężne dziedzictwo było jedynie początkiem pasma sukcesów, których wszyscy z naszego rozbitego kręgu artystów i intelektualistów zaczęli doświadczać, odkąd nasze istnienie jako nieudolnych umysłów i osobowości wykiełkowało w nowe życie wysoce sprawnych w swoich dziedzinach organizmów. Oczywiście, nawet gdybyśmy bardzo się starali, nie byliśmy już zdolni ponieść porażki w jakimkolwiek działaniu, odkąd wszystko, czego doświadczyliśmy i co tworzyliśmy, brało się z cienia, wydobywającej się z nas ciemności, sięgającej szczypcami, gmerającej wyżej i wyżej, by wspiać się na szczyty monstrualnej góry ludzkich i nieludzkich ciał. To wszystko, co mamy i wszystko, czym jesteśmy; to wszystko, co jest wykorzystywane przez cień, ciemność, aby uzyskać co niezbędne do rozwoju. Czuję, jak moje własne ciało jest wykorzystywane i hodowane, czuję pragnienia i impulsy ciągnące je do sukcesu, *szarpiące* w stronę wszelkich możliwych sukcesów. Nie ma sposobu oprzeć się tym pragnieniom i impulsom, ponieważ istnieję jedynie jako ciało pragnące efektywnie przedłużać istnienie w celu karmienia sobą potrzebującej go siły. Nie ma dla mnie szansy na stawienie oporu temu, co potrzebuje nas do rozwoju, żadnych szans na wyparcie się tego. Nawet ta moja skromna relacja, ta krótka kronika uchylająca rąbka sekretów mogących podważyć ten koszmarny porządek rzeczy, tak naprawdę

jedynie go utrwała i upowszechnia. Nic nie oprze się ani nie zaprze tego koszmaru, ponieważ nie istnieje nic, co mogłoby zrobić cokolwiek; co mogłoby być czymkolwiek zdolnym do wyobrażenia sobie takiego kroku jako wiodącego do sukcesu. Sama idea czegoś podobnego jest wyłącznie bezsensem i urojeniem.

Nikt nie napisze nigdy ani słowa o „spisku przeciwko ludzkiej rasie”, ponieważ zjawisko spisku wymaga rozdzielności stanowisk, podziału stron, z których jedna knuje przeciw drugiej, a druga posiada istnienie, przeciw któremu można prowadzić knowania. Tymczasem taka rozdzielność i podział w ogóle nie występują, nie ma żadnych stron zdolnych do knowań, oporu i zdrad. Jedyne, co istnieje, to *ciąganie i szarpanie* wszelkich ciał tego świata. Ale te ciała istnieją jako zbiorowość jedynie w sensie taksonomicznym lub topograficznym i w żaden sposób nie tworzą wspólnego bytu, czynnika mogącego być przedmiotem spisku. Ten kolektywny byt zwany ludzką rasą nie może zaistnieć tam, gdzie funkcjonuje jedynie zbiorowisko niebytów, ciał, które są prowizoryczne, tymczasowe i przypadną jedno po drugim, zbliżając się do bezsensu, rozpluwając w ułudach. Nie może być spisku w próżni, czy raczej w czarnej otchłani. Może być tylko *szarpanie* ciał w stronę największego możliwego sukcesu, który duże ciało mojego przyjaciela ostatecznie osiągnęło, zostawszy w pełni wykorzystane, całkowicie zużyte i wchłonięte przez to, co potrzebowało go do rozwoju.

„Jest tylko jeden prawdziwy, ostateczny sukces dla cienia, który czyni rzeczy takimi, jakimi nigdy nie chciały być - głosił Grossvogel w ostatniej broszurze. - Jest tylko jeden prawdziwy, ostateczny sukces dla poruszającej wszystkim ciemności, która nakazuje rzeczom czynić to, czego nigdy

czynić nie chciały”, pisał. I były to ostatnie linijki jego ostatniej broszury. Grossvogel nie potrafił objaśnić, kim się stał, nie potrafił rozstrzygnąć tych stwierdzeń. Zabrakło mu słów będących (by zacytować osobę, która pozostanie na tyle bezimienna, na ile tylko członek ludzkiej rasy może być bezimienny) ostatecznym dziełem cienia, ciemności - jej ostateczną artystyczną zasłoną. Tak jak nie mógł się jej oprzeć, kiedy ciągnęła jego ciało do sukcesu, tak nie mógł zdradzić jej słowami.

Zimą, która nadeszła po naszej wyprawie do Crampton, zacząłem w pełni pojmować, dokąd prowadziły ostatnie słowa Grossvogela. Pewnej nocy stałem w oknie, spoglądając na pierwszy w tym sezonie śnieg, z każdą ciemną godziną padający coraz obficie, podczas gdy ja chłonałem ten obraz organami fizycznego odczuwania. Wówczas wiedziałem już, co kryje się wewnątrz płatków śniegu, co kryje się we wszystkich rzeczach, i aktywuje je swoją siłą. Widziałem czarny śnieg padający z czarnego nieba. W tej zamieci nie dało się nic rozpoznać - a już z pewnością żadnego znajomego oblicza zaszczerpionego w esencji nocy, rozpostartego na całym nocnym niebie. Istniała jedynie otchłań ciemności nade mną i otchłań ciemności pode mną. Istniała jedynie ta pożerająca wszystko, wciąż rozprzestrzeniająca się ciemność, której jedynym i ostatecznym celem jest nieustanne, jak najbardziej efektywne trwanie w świecie, w którym nie istnieje nic, co mogłoby kiedykolwiek mieć nadzieję na bycie czymkolwiek innym niż to, czego ona potrzebuje do rozwoju... aż wszystko zostanie ostatecznie przez nią wchłonięte i pozostanie tylko ona sama - nieskończone ciało ciemności aktywujące się bezustannie, sprawne i osiągające sukces w karmieniu się sobą w ostatecznej, najgłębszej otchłani istnienia. Grossvogel

nie mógł się temu oprzeć, nie mógł się tego zaprzecić, nawet jeżeli był to absolutny koszmar, ostateczny fizyczno-metafizyczny horror. Przestał być osobą, aby móc pozostać sprawnym organizmem.

- Każdy zrobiły to samo - powiedział.

I bez względu na to, co powiem, ja również nie mogę się temu oprzeć ani tego zaprzecić. Nikt nie może, bo nikogo tutaj nie ma. Jest tylko to ciało, ten cień, ta ciemność.

Przeł. Wojciech Gunia



BIBLIOGRAFIA PO ANGIELSKU³

OPRACOWAŁ: SŁAWOMIR WIELHORSKI

LITERATURA PODMIOTU

KSIĄŻKI:

Songs of a Dead Dreamer [zbiór opowiadań i szkiców],
Silver Scarab Press, Albuquerque (New Mexico) 1985, wstęp:
Ramsey Campbell, ilustracje: Harry O. Morris

Spis treści:

- Introduction (Ramsey Campbell)
- Here and There:

The Frolic Les Fleurs

Aunt Elise: A Tale of Possession in Old Grosse Pointe

Drink to Me Only with Labyrinthine Eyes

Alice's Last Adventure

Dream of a Mannikin, or the Third Person

The Troubles of Dr. Thoss

- Elsewhere:

Dr. Voke and Mr. Veech

The Greater Festival of Masks

- Tales Retold:

Three Scientists

*One Thousand Painful Variations Performed upon Divers
Creatures Undergoing the Treatment of Dr. Moreau, Humanist*

*The Excruciating Final Days of Dr. Henry Jekyll,
Englishman*

*The Agonizing Resurrection of Victor Frankenstein,
Citizen of Geneva*

Two Immortals

*The Heart of Count Dracula, Descendent of Attila, Scourge
of God*

*The Insufferable Sahanation of Lawrence Talbot the
Wolfman*

Leading Men

*The Unbearable Rebirth of the Phantom of the Wax
Museum*

The Intolerable Lesson of the Phantom of the Opera

- Nowhere:

*Professor Nobody's Little Lectures on Supernatural
Horror*

Notes on the Writing of Horror: A Story

Songs of a Dead Dreamer [zbiór opowiadań, wersja poprawiona i poszerzona], Robinson Publishing, Londyn 1989, wstęp: Ramsey Campbell Inne wydania:

Carroll & Graf Publishers, Nowy Jork 1990
Carroll & Graf Publishers, Nowy Jork 1991
Subterranean Press, Burton (Michigan) 2010 [wydanie
poprawione]*4

Spis treści:

- Dreams for Sleepwalkers:

The Frolic

Les Fleurs

Alice's Last Adventure Dream of a Mannikin

The Nyctalops Trilogy:

The Chymist

Drink to me Only with Labyrinthine Eyes

Eye of the Lynx

Notes on the Writing of Horror

- Dreams for Insomniacs:

The Christmas Eves of Aunt Elise

The Lost Art of Twilight

The Troubles of Dr. Thoss

Masquerade of a Dead Sword

Dr. Voke and Mr. Veech

Professor Nobodys Little Lectures on Supernatural Horror

- Dreams for the Dead:

Dr. Locrian's Asylum

The Sect of the Idiot

The Greater Festiva1 of Masks

The Musie of the Moon

The Journal of J. P. Drapeau

Vastarien

Grimscribe: His Lives and Works [zbiór opowiadań],
Robinson Publishing, Londyn 1991, wstęp: Thomas Ligotti

Inne wydania:

Carroll & Graf Publishers, Nowy Jork 1991

Jove, Nowy Jork 1994

Subterranean Press, Burton (Michigan) 2011 [wydanie
poprawione]*

Spis treści:

- Introduction

- The Voice of the Damned:

The Last Feast of Harlequin

The Spectacles in the Drawer

Flowers of the Abyss

Nethescurial

- The Voice of the Demon:

The Dreaming in Nortown

The Mystics of Muelenburg

In the Shadow of Another World

The Cocoons

- The Voice of the Dreamer:

The Night School

The Glamour

- The Voice of the Child:

The Library of Byzantium

Miss Plarr

- The Voice of Our Name:

The Shadow at the Bottom of the World

Noctuary [zbiór opowiadań i szkiców], Robinson Publishing, Londyn 1994, przedmowa: Thomas Ligotti Inne wydania:

Carroll & Graf Publishers, Nowy Jork 1994

Carroll & Graf Publishers, Nowy Jork 1995

Subterranean Press, Burton (Michigan) 2012 [wydanie poprawione]*

Spis treści:

- Foreword: In the Night, In the Dark: A Note on the Appreciation of Weird Fiction - Part One: Studies in Shadow: *The Medusa*

Conversations in a Dead Language

The Prodigy of Dreams

Mrs. Rinaldis Angel

- Part Two: Discourse on Blackness:

The Tsalal

Mad Night of Atonement

The Strange Design of Master Rignolo

The Voice in the Bones

- Part Three: Notebook of the Night:⁵

The Master's Eyes Shining with Secrets

The Inquisitor

New Faces in the City

Autumnal

One May Be Dreaming

Suicide by Imagination

The Unfamiliar
The Career of Nightmares
The Premature Transfiguration
The Demon Man
The Puppet Masters
The Spectra¹ Estate
Primordial Loathing
The Nameless Horror
The Mocking Mystery
The Interminable Equation
The Eternal Mirage
The Order of Illusion
Charnel House of the Moon
Ten Steps to Thin Mountain

**The Agonizing Resurrection of Victor Frankenstein
and Other Gothic Tales**

[zbiór szkiców], Silver Salamander Press, Eugene
(Oregon) 1994,

wstęp w formie wiersza: Michael Shea⁶

Inne wydania:

Centipede Press, Lakewood (Colorado) 2011,
przedmowa: Thomas Ligotti, ilustracje: Harry O. Morris
[wydanie poprawione]*

Spis treści:

- Preface

- Three Scientists:

*One Thousand Painful Variations Performed upon Divers
Creatures Undergoing the Treatment of Dr. Moreau, Humanist*

*The Excruciating Final Days of Dr. Henry Jekyll,
Englishman*

*The Agonizing Resurrection of Victor Frankenstein,
Citizen of Geneva*

- Two Immortals:

The Heart of Dracula, Descendent of Attila, Scourge of God
*The Insufferable Salvation of Lawrence Talbot the
Wolfman*

- Leading Men:

The Intolerable Lesson of the Phantom of the Opera
*The Unbearable Rebirth of the Phantom of the Wax
Museum*

- Gothic Heroines:

*The Perilous Legacy of Emily St. Aubert, Inheritress of
Udolpho*

*The Irreproachable Statement of the Governess' as to the
Affair at Bly⁷*

- Loners:

The Unnatural Persecution, by a Vampire, of Mr. Jacob J.
The Superb Companion of Andre de V., Anti-Pygmalion

- Shut-Ins:

The Ever-Vigilant Guardians of Secluded Estates
The Scream: From 1800 to the Present

- A Poe Anthology:

*The Transparent Alias of William Wilson, Sportsman and
Scoundrel*

The Worthy Inmate of the Will of the Lady Ligeia

The Interminable Residence of the Friends of the House of

Usher

- The Works and Death of H. P. Lovecraft:
- The Fabulous Alienation of the Outsider, Being of No Fixed Abode - The Blasphemous Enlightenment of Professor Francis Wayland Thurston of Boston, Providence, and the Human Race *The Premature Death of H. P. Lovecraft, Oldest Man in New England*

The Nightmare Factory⁸ [zbiór opowiadań], Carroll & Graf Publishers, Nowy Jork 1996, przedmowa: Poppy Z. Brite, wstęp: Thomas Ligotti

Inne wydania:

Raven, London 1996

Spis treści:

- Foreword (Poppy Z. Brite)
- Introduction: The Consolations of Horror
- Part 1: from *Songs of a Dead Dreamer*:

The Frolic

Les Fleurs

Alice's Last Adventure

Dream of a Mannikin

The Chymist

Drink to Me Only with Labyrinthine Eyes

Eye of the Lynx

The Christmas Eves of Aunt Elise

The Lost Art of Twilight

The Troubles of Dr. Thoss

Masquerade of a Dead Sword

Dr. Voke and Mr. Veech

Dr. Locrians Asylum

The Sect of the Idiot

The Greater Festival of Masks

The Music of the Moon

The Journal of J.P. Drapeau

- Vastarien

Part 2: Grimscribe:

The Last Feast of Harlequin

The Spectacles in the Drawer

Flowers of the Abyss

Nethescurial

The Dreaming in Nortown

The Mystics of Muelenburg

In the Shadow of Another World

The Cocoons

The Night School

The Glamour

The Library of Byzantium

Miss Plarr

The Shadow at the Bottom of the World

- Part 3: from Noctuary:

The Medusa

Conversations in a Dead Language

The Prodigy of Dreams

Mrs Rinaldis Angel The Tsalal

Mad Night of Atonement

The Strange Designs of Master Rignolo

The Voice in the Bones

Part 4: Teatro Grottesco and Other Tales:

Teatro Grottesco

Severini

Gas Station Carnivals

The Bungalow House

The Clown Puppet

The Red Tower

My Work Is Not Yet Done: Three Tales of Corporate Horror [krótka powieść z dwoma opowiadaniem], Mythos Books, Poplar Bluff (Missouri) 2002, ilustracje: Harry O. Morris

Inne wydania:

Virgin Books, London (2010)

Spis treści:

I. The Wages of Life: *My Work Is Not Yet Done*

II. The Second Corning of the Dead: *I Have a Special Plan for This World*⁹

III. Going Out of Business: *The Nightmare Network*

Crampton [scenariusz napisany z Brandonem Trenzem, wydanie z płytą *The Unholy City* autorstwa Thomasa Ligottiego¹⁰], Durtro Press, Londyn 2002¹¹

The Shadow at the Bottom of the World [zbiór opowiadań], Cold Spring Press, Nowy Jork 2005, przedmowa: Douglas A. Anderson, wstęp: Thomas Ligotti

Inne wydania:

Subterranean Press, Burton (Michigan) 2006

Spis treści:

- Foreword (Douglas A. Anderson)
- Introduction: Horror Stories: A Nightmare Scenario¹²

The Last Feast of Harlequin

Dr. Voke and Mr. Veech

Alice's Last Adventure

Vastarien

Dr. Locrians Asylum

The Mystics of Muelenburg

The Spectacles in the Drawer

The Strange Design of Master Rignolo

The Shadow at the Bottom of the World

Nethescurial

The Cocoons

The Tsalal

The Bungalow House

Teatro Grottesco

The Red Tower

Purity

Teatro Grottesco [zbiór opowiadań], Durtro Press,
Londyn 2006

Inne wydania:

Mythos Books, Poplar Bluff (Missouri) 2007, ilustracje:
Harry O. Morris Virgin Books, Londyn 2008

Spis treści:

- Derangements

Purity

The Town Manager

Sideshow and Other Stories

The Clown Puppet

The Red Tower

- Deformations

My Case for Retributive Action

Our Temporary Supervisor

In a Foreign Town, In a Foreign Land:

His Shadow Shall Rise to a Higher House

The Bells Will Sound Forever

A Soft Voice Whispers Nothing

When You Hear The Singing, You Will Know It Is Time

- The Damaged and the Diseased

Teatro Grottesco

Gas Station Carnivals

The Bungalow House

Severini

The Shadow, The Darkness

- Dead Dreams¹³

*Things They Will Never Tell You*¹⁴

This Degenerate Little Town

Envoi

**The Conspiracy Against the Human Race: A
Contrivance of Horror [esej filozoficzny], Hippocampus**

Press, Nowy Jork 2011, przedmowa: Ray Brassier

Spis treści:

- Foreword (Ray Brassier)
- Introduction: Of Pessimism and Paradox
- The Nightmare of Being
- Who Goes There?
- Freaks of Salvation
- Sick to Death
- The Cult of Grinning Martyrs
- Autopsy on a Puppet: An Anatomy of the Supernatural
- Notes

Bom to Fear: Interviews with Thomas Ligotti [zbiór wywiadów z Thomasem Ligottim], Subterranean Press, Burton (Michigan) 2014, wstęp: Matt Cardin

Spis treści:

- Of Masks and Mystagogues (Matt Cardin)
- Part One: Enchanting Nightmares (1988-1992)

Thomas Ligotti with Carl T. Ford, Dagon (Carl T. Ford) (1988)

Thomas Ligotti with Stefan Dziemianowicz and Michael A. Morrison (Stefan Dziemianowicz oraz Michael A. Morrison) (1991) Weird Tales Talks with Thomas Ligotti (Darrell Schweitzer) (1991) - Part Two: This Funhouse of Flesh (2000-2003)

The Grimscribe in Cyberspace (John B. Ford) (2000)

Disillusionment Can Be Glamorous (E. M. Angerhuber oraz Thomas Wagner) (2001) Work Not Done (Thomas

Wagner) (2003)

- Part Three: A Necessary Derangement (2004-2011)

Literature Is Entertainment or It Is Nothing (Neddal Ayad) (2004) It's All a Matter of Personal Pathology (Matt Cardin) (2006)

A Conversation with Thomas Ligotti, The Mumpsimus (Geoffrey H. Goodwin) (2007) Thomas Ligotti Interview, Weird Tales (Geoffrey H. Goodwin) (2009) Interview Nonsense with Thomas Ligotti (David Ableev) (2009)

The Damned Interviews: Thomas Ligotti (Tina Hall) (2011)

- Part Four: Born To Fear (2011-2013)

Interview: Thomas Ligotti, The Hat Rack (Nathan Katz) (2011)

Thomas Ligotti on Weird Fiction (Weird Fiction Review) (2011)

Interview by Pal Flakk, Gateavisa (Pal Flakk) (2012)

Born to Fear, Coś na Progu (Sławomir Wielhorski) (2012)

Interview with Thomas Ligotti, Wonderbooknow (Jeff VanderMeer) (2013) **WYWIADY ROZPROSZONE:**¹⁵

- Ayad Neddal, The Ligotti Outtakes [online] [fragmenty z korespondencji czerwiec 2004 - październik 2004 pomiędzy Neddalem Ayadem oraz Thomasem Ligottim], Thomas Ligotti Online, 14 sierpnia 2005 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://www.ligotti.net/showthread.php?t=421>"<http://www.ligotti.net/showthread.php?t=421>>.

- Bain Matthew Lee, Interview with Thomas Ligotti [online], w: „Dark Moon Rising” [czasopismo internetowe] (czerwiec 2002). Także w: „Space and Time”, nr 97 (wiosna 2003) oraz na Thomas Ligotti Online, 1 kwietnia 2014

[dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://www.ligotti.net/showthread.php?t=8176>"<http://www.ligotti.net/showthread.php?t=8176>>.

- Bee Robert, An Interview with Thomas Ligotti [online], w: „Spicy Green Iguana” [webzine], (wrzesień 1999). Także na Thomas Ligotti Online, 11 kwietnia 2005 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://www.ligotti.net/showthread.php?t=231>"<http://www.ligotti.net/showthread.php?t=231>>.

- Bryant Ed (i inni), Transcript of Chat with Thomas Ligotti on December 3, 1998 [online], w: „Event Horizon” [czasopismo internetowe] (grudzień 1998), niedostępny. Także na Thomas Ligotti Online, 11 kwietnia 2005 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://www.ligotti.net/showthread.php?t=232>"<http://www.ligotti.net/showthread.php?t=232>>.

- Dishaw Darrick, Devotees of Decay and Desolation Thomas Ligotti [online], Eldritch-Infernal, marzec 2010 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://www.cultofcthulhu.net/2010/03/devotees-of-decay-and-desolation/>"<http://www.cultofcthulhu.net/2010/03/devotees-of-decay-and-desolation/>>.

- Dziemianowicz Stefan, The Tom Ligotti Interview_y w: „Tekelili!”, nr 4 (październik 1992). Grau T. E., Dreamland: T. E. Grau Interviews Thomas Ligotti [online], LORE, 21 czerwca 2013 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://www.lore-online.com/index.php/>

[features/96-lore-chats-with-thomas-ligotti](http://www.lore-online.com/index.php/features/96-lore-chats-with-thomas-ligotti)"<http://www.lore-online.com/index.php/>

fealures/96-lore-chats-with-thomas-ligotti>.

- Griffin David, Interview with Thomas Ligotti, w: „Carnage Hall”, nr 3 (1992). Także na Thomas Ligotti Online, 28 grudnia 2012 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny.

- Guran Paula [dwie odpowiedzi na pytania zadane autorom antologii 999, red. Al. Sarrantonio] [online], Horror Online, sierpień 1999, niedostępny.

- Hall Tina, Interview with Thomas Ligotti [online], w: „Macabre Cadaver” [czasopismo internetowe] (21 stycznia 2011) [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://www.thedamnedinterviews.com/2011/01/author-thomas-ligotti>>.

<http://www.thedamnedinterviews.com/2011/01/author-thomas-ligotti>>.

- Gottert Michael, Interview with Thomas Ligotti [online], Thomas Ligotti Online, 15 maja 2010 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://www.ligotti.net/showthread.php?t=4180>>.

<http://www.ligotti.net/showthread.php?t=4180>>.

- Lehnerer Tim, An interview with Thomas Ligotti, w: „Subterranean Magazine”, nr 1 (2005). Także na Thomas Ligotti Online, 21 marzec 2014 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny:

<<http://www.ligotti.net/showthread.php?t=8146>>

- Ligotti Thomas, An Interview with Louis Miguel Riaz [Ligotti przeprowadza wywiad z samym sobą], w: „Grimoire”, nr 2 (jesień 1982).

- McCarty Michael oraz McLaughlin Mark, Writer Thomas Ligotti Feels the Taste of Death on his Lips as He Shares about Puppets, Nightmares And Gothic Splendor [online], w: „Sci-Fi Weekly” [czasopismo internetowe], nr 595 (15 wrzesień 2008), niedostępny. Także w: Michael McCarty, red., Masters of Imagination: Interviews With 21 Horror, Science Fiction And Fantasy Writers And Filmmakers, BearManor Media, Albany (Georgia) 2010.

- McLaughlin Mark, The Frolic: Devilry On DVD:An Interview With Thomas Ligotti [online], Horror Garage [czasopismo internetowe] (lipiec 2008) [dostęp: 20 czerwca 2014],
dostępny:
<<http://www.horrorgarage.com/horror/interview-thomas-ligotti.php>>

www.horrorgarage.com/horror/interview-thomas-ligotti.php>.

- Paul R. F. oraz Schurholz Keith, Triangulating the Daemon, w: „Esoterra”, nr 8 (zima/ wiosna 1999). Także na Thomas Ligotti Online, 30 stycznia 2005 [dostęp: 20 czerwca 2014],
dostępny:
<<http://www.ligotti.net/showthread.php?t=5>>

- Potter Gary D., A Conversation with Thomas Ligotti [dodatek do katalogu książek sprzedawcy], The Point Beyond (1992).

- Ramsey Shawn, A Graveside Chat: Interview with Thomas Ligotti, w: „Deathrealm”, nr 8 (wiosna 1989). Także na Thomas Ligotti Online, 3 października 2013 [dostęp: 20 czerwca 2014],
dostępny:
<<http://www.ligotti.net/showthread.php?t=7608>>

w.ligotti.net/showthread.php?t=7608>.

- Tibet David, Interview with Thomas Ligotti, w: Mark Valentine, Roger Dobson oraz R. B. Russell, red., *AKLO: A Volume of the Fantastic*, Tartarus Press *Caermaen Books, Horam, East Sussex* Oxford 1998. Także na Thomas Ligotti Online, 25 października 2013 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://www.ligotti.net/showthread.php?t=7665>><http://www.ligotti.net/showthread.php?t=7665>>.

- Wilbanks David, 10 Questions for Thomas Ligotti [online], Page Horrific [blog], marzec 2004, niedostępny. Także na Thomas Ligotti Online, 5 sierpnia 2007 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://www.ligotti.net/showthread.php?t=1248>><http://www.ligotti.net/showthread.php?t=1248>>.

- Winter-Damon T., Horror Talks with Thomas Ligotti [online], w: „Horror” [czasopismo internetowe], nr 3-4 (październik 1994). Także na Thomas Ligotti Online, 19 marca 2014 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://www.ligotti.net/showthread.php?t=8137>><http://www.ligotti.net/showthread.php?t=8137>>.

POMNIEJSZE PUBLIKACJE KSIĄŻKOWE ORAZ BROSZURY:

In a Foreign Town, In a Foreign Land [zbiór opowiadań z płytą CD zespołu Current 93], Durtro Press,

Londyn 1997

Inne wydania:

Durtro Press, Londyn 2002

Spis treści:

His Shadow Shall Rise to a Higher House

The Bells Will Sound Forever

A Soft Voice Whispers Nothing

When You Hear The Singing, You Will Know It Is Time

I Have a Special Plan for This World [wiersz], Durtro Press, Londyn 2000

This Degenerate Little Town [wiersz], Durtro Press, Londyn 2001

Sideshow and Other Stories [opowiadanie], Subterranean Press, Burton (Michigan) 2003, ilustracje: Jennifer Gariepy

Death Poems [zbiór wierszy], Durtro Press, Londyn 2004

Inne wydania:

Bad Moon Books, Garden Grove (California) 2013

Spis treści:

Here You Go

Growing Up

Usefulness

Memories

Weather Conditions

Going Ahead

Losing Customers

Safety in Numbers

Meansto an End

Smaller

Big Problem

The Note

Suddenly

Premature

Staying

Birthday

Hospital

Still

Closing Time

Calculation

Memento

De Facto

You Dream You Die

Complexity

The Conducion

The Taste

Impossibility
Your Evacuation
Knowing
Counting the Ways
Odyssey
Request
Thoughtful
Carpe Diem?
Not Today
Absolved of Debt
Unthinkable
Night Voices
- Closing Statements¹⁶
Irrational Blame
Birthright
Nostalgia
The Shape You Are In
Fading, Asleep
Unassisted Suicide
The Instigators
Searching The Surface
Writing Home

Across the Border: More Tales of Corporate Horror

[zbiór opowiadań załączony do pierwszego numeru czasopisma „Subterranean Magazine”], Subterranean Press, Burton (Michigan) 2005

Spis treści:

My Case for Retributive Action
Our Temporary Supervisor

The Spectral Link [zbiór opowiadań], Subterranean Press, Burton (Michigan) 2014

Spis treści:

- Preface

Metaphysica Morum

The Small People

The Frolic [dodatek do wydania specjalnego filmu The Frolic na DVD, zawierający m. in. scenariusz napisany wspólnie z Brandonem Trenzem], Frolic 2005

Spis treści:

- Introduction by Thomas Ligotti

Part I, *The Frolic* Short Story, Newly revised

Part II, *The Frolic* Screenplay (z Brandonem Trenzem)

Part III, Interview with Thomas Ligotti and Brandon Trenz

Part IV, Director and Producer visions

Part IV, *The Frolic* images

PUBLIKACJE ROZPROSZONE:

- [komentarze], w: Contemporary Literary Criticism, tom 44, Gale Research, Detroit (Michigan) 1987.

- [listy do czasopisma „The Grabiński Reader”], w: „The Grabiński Reader”, numery: 2 (wiosna 1987), 3 (wiosna 1988).
- [list do czasopisma „Grimoire”, pod pseudonimem Charles Miguel Riaz], w: „Grimoire”, nr 4 (1983).
- [listy do czasopisma „Crypt of Cthulhu”], w: „Crypt of Cthulhu”, numery: 63 (1989), 71 (1990).
- [listy do czasopisma „Dagon”], w: „Dagon”, numery: 20 (listopad - styczeń 1987), 21 (marzec-maj 1988), 22/23 (wrzesień-grudzień 1988), 24 (styczeń 1989).
- [listy do czasopisma „Nyctalops”], w: „Nyctalops”, numery: 16 (1981), 17 (1982), 18 (1983), 19 (1991).
- [oddzielne wstępy do ośmiu adaptacji komiksów: The Last Feast of Harlequin; Dream of a Mannikin; Dr. Locrians Asylum; Teatro Grottesco; Gas Station Carnivals; The Clown Pup-pet; The Chymist; The Sect of the Idiot], w: The Nightmare Factory [komiks], tomy I-II, Fox Atomie Comics, 2007-08.
- The Blonde: A Sonnet [wiersz, pod pseudonimem Frank Santino], w: „Theoretical Detective”, nr 1 (ok. 1982).
- Characters Saved and Unsaved, Believable and Unbelievable: Blatty Versus Lovecraft [esej], w: The Exorcist: Studies in the Horror Film, Centipede Press, Lakewood (Colorado) 2011.
- Departing for the Sabbath [tłumaczenie z języka francuskiego wiersza Depart Pour Le Sabbat Aloysiusa Bertranda], w „Grimoire”, nr 4 (1983).
- The Dwarf [tłumaczenie z języka francuskiego wiersza pt. Le Nain Aloysiusa Bertranda], w: „Fantasy & Terror”, nr 6 (1985).
- In The Library [tłumaczenie z języka francuskiego wiersza pt. La Bibliothèque Mauricea Rollinata], w: „Grimoire”, nr 5 (1983).

- Introduction [wstęp], w: Harry O. Morris: Artist's Portfolio, Centipede Press, Lakewood (Colorado) 2014.

- Introduction: Nocturnal Notes [wstęp napisany z Johnem B. Fordem], w: Eddie Angerhuber, Nocturnal Products, Rainfall Books, Calne (UK) 2002.

- Jessica Amanda Salmonson: Heromaker [wstęp do krótkiej powieści The Revelations And Pursuits of Timith, Son of Timith Jessicy Amandy Salmonson], w: John C. Pelan, red., „Axolotl Special Number One” (1989).

- The Madman [tłumaczenie z języka francuskiego wierszapt. Le Fou Aloysiusa Bertranda], w: „Fantasy & Terror”, nr 7 (1985).

- The Mechanical Museum [opowiadanie napisane z Johnem B. Fordem], w: John B. Ford i inni, The Evil Entwines, Rainfall Books, Calne (UK) 2002.

- The Murderer [tłumaczenie z języka francuskiego opowiadania pt. Le Meurtrier Gastona Danville'a], w: „Fantasy Macabre”, nr 7 (1985).

- Nestled in Dread: The Art of Harry Morris [recenzja Scenes from Maldoror Harryego O. Morrisa], w: „Grimoire”, nr 5 (1983).

- Paradoxes from Heli [cykl szkiców: The Decayed Mystic; The Stricken Philosopher; The Deranged Poet; The Complete Madman oraz Postscript], w: Mark Valentine, Roger Dobson, oraz R. B. Russell, red., AKLO: A Volume of the Fantastic, Tartarus Press / Caermaen Books, Oxford 1998.

- Read This, Recently Read and Recommended by Thomas Ligotti [notatki o: A Kayak Fuli of Ghosts: Eskimo Tales Gathered and Retold Lawrence'a Millmana; Wise Guy: Life in a Mafia Family Nicholasa Pileggiiego; Night Rain Thomasa Wilocha; Anathemas and Admirations E. M. Ciorana],

w: „The New York Review of Science Fiction”, nr 40 (grudzień 1991).

- The Real Wolf [opowiadanie], w: „Nocturne”, no. 1 (1988).

- Roland Topor: The Outsiders Outsider [wstęp], w: Roland Topor, The Tenant, Centipede Press, Lakewood (Colorado) 2006.

- Sailing into Night [opowiadanie napisane wspólnie z resztą autorów antologii], w: John B. Ford i inni, The Evil Entwines, Rainfall Books, Calne (UK) 2002.

- Sardonic Mundane [opowiadanie, pod pseudonimem Charles Miguel Riaz], w: „Grimoire”, nr 2 (1982).

- Scarbo [tłumaczenie z języka francuskiego wiersza pt. Scarbo Aloysiusa Bertranda], w: „Fantasy 8: Terror”, nr 6 (1985).

- The Somnamhulist [tłumaczenie z języka francuskiego wiersza pt. Le Somnambule Mauricea Rollinata], w „Grimoire”, nr 4 (1983).

- Thomas Ligotti's Ten Classics of Horror Poetry [lista wierszy z komentarzami], w: Amy Wallace, Del Howison, Scott Bradley, red., The Book of Lists: Horror, Harper Paperbacks, Nowy Jork 2008.

- That Which Is Said But Not Seen [posłowie], w: Lovecraft Retrospective: Artists Inspired by H.P. Lovecraft, Centipede Press, Lakewood (Colorado) 2006.

- Thinking Horror [fragment The Conspiracy Against the Human Race opublikowany wraz serią fotografii Olega Kulika pt. Memento Mori], w: „Collapse”, tom IV (2008).

- Thomas Ligotti on Sweeney Todd by Stephen Sondheim [recenzja], w: Horror: Another 100 Best Books, Stephen Jones oraz Kim Newman, red., Carroll & Graf

Publishers, Nowy Jork (2005).

- Thomas Wiloch 1953-2008: A Persona1 Tribute [hołd dla twórczości Thomasa Wilocha] [online], Thomas Ligotti Online, 5 września 2008 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://www.ligotti.net/showthread.php?t=1991>>

<http://www.ligotti.net/showthread.php?t=1991>>.

- Thoughts Concerning a Decadent Universe [poślowie], w: David Park Barnitz, The Book of Jade, Durtro Press, Londyn 1998. Także online, The Book of Jade [dostęp: 20 czerwca 2014],

dostępny:

<http://www.bookofjade.com/criticism/Thoughts-Concerning-A->

[-Decadent-Univers](http://www.bookofjade.com/criticism/Thoughts-Concerning-A-)>

- The Unholy City [cykl wierszy uprzednio dostępny wyłącznie w wersji audio: The Player Who Takes No Chances; You Do Not Own Your Own Head; No One Knows The Big News; Welcome To The Unholy City; The Name Is Nothing; Nobody Is Anybody], w: „Studies in Modern Horror Magazine”, nr 2 (2004).

- We Can Hide from Horror Only in the Heart of Horror [notatki i aforyzmy z zeszytów ok. 1976-82], w: „Das Schwarze Geheimnis”, nr 1 (1994). Także na niemieckiej stronie poświęconej Thomasowi Ligottiemu: The Art of Grimscribe [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <http://www.angwa.de/Ligotti/essay/heartofhorror_e.htm>

http://www.angwa.de/Ligotti/essay/heartofhorror_e.htm>.

WYDANIA SPECJALNE CZASOPISM:

„Crypt of Cthulhu”, nr 68 (październik 1989) [numer poświęcony Thomasowi Ligottiemu, zawierający opowiadania oraz szkice], ilustracje: S. Thomas Brown

The Prodigy of Dreams

Allan and Adelaide - An Arahesque

Ghost Stories for the Dead [*The New Blackness; The New Silence; The Old Nonsense and the New* oraz *Tales of the New Dream*]

Studies in Horror [12 szkiców opublikowanych później pod innymi tytułami w *Noctuary*, w dziale *Notebook of the Night: Transcendent Horror; Gothic Horror; Exotic Horror; Spectral Horror; Unreal Horror; Demonie Horror; Macabre Horror; Puppet Horror; Prehistoric Horror; Nameless Horror; Nightmare Horror; Occult Horror; Dreamworld Horror; Nihilistic Horror*]

Order of Illusion

Charnelhouse of the Moon

Ten Steps to Thin Mountain

Selections of Lovecraft

The Consolations of Horror

„Dagon” nr 22/23 (wrzesień 1988) [specjalny, podwójny numer poświęcony Thomasowi Ligottiemu, zawierający opowiadania Ligottiego oraz eseje o jego twórczości], ilustracje: Harry O. Morris, Dave Carson oraz Jeffrey Salmon

Editorial (Carl T. Ford)

The Knave of Darkness: The Evolution of Horror in the Fiction of Thomas Ligotti (Mike Ashley) Beyond Dualism: An Appreciation of the Writings of Thomas Ligotti (Christine Morris) The Mystagogue, the Gnostic Quest, the Secret Book (Robert M. Price) Nothing is What It Seems to Be: Thomas Ligotti's Assault on Certainty (Stefan R. Dziemianowicz) Autumn Horror (Thomas Ligotti)

Notes on the Writing of Horror: An Interview with Thomas Ligotti (Carl T. Ford) The Library of Byzantium (Thomas Ligotti)

In a City of Bells and Towers: A Call of Cthulhu Scenario (Mark Morrison)¹⁷

Oneiric Horror (Thomas Ligotti)

The Lost Art of Twilight: Two Aspects of the Vampire (Simon MacCulloch) A Thomas Ligotti Bibliography (Thomas Ligotti)

INNE:

Michigan Basement [nieopublikowany, niewyprodukowany scenariusz napisany z Brandonem Trenzem],

Thomas Ligotti czyta z własnego opowiadania Les Fleurs na płycie Current 93 pt. All the Pretty Little Horses (1996).

Thomas Ligotti był redaktorem współpracującym miesięcznika „Grimoire pomiędzy 1982-1985.

Podczas pracy w Gale Research Thomas Ligotti współtworzył kompilacje krytyk literackich opublikowanych w zbiorach Nineteenth-Century Literary Criticism, Twentieth-Century Literary Criticism oraz Contemporary Authors. Wielu z autorów, nad którymi pracował miało wpływ na esej *The Conspiracy Against the Human Race*.

LITERATURA PRZEDMIOTU

The Thomas Ligotti Reader: Essays & Explorations [zbiór esejów i wywiadów z Thomasem Ligottim], Wildside Press, Holicong (Pennsylvania) 2003, redakcja i wstęp: Darrell Schweitzer

Spis treści:

- Introduction (Darrell Schweitzer)

Thomas Ligottis Career of Nightmares (Matt Cardin)

Weird Tales Talks with Thomas Ligotti (Darrell Schweitzer)

The Mystagogue, the Gnostic Quest, the Secret Book (Robert M. Price) Nothing Is What It Seems to Be (Stefan R. Dziemianowicz)

Disillusionment Can Be Glamorous: an Interview with Thomas Ligotti (E. M. Angerhuber oraz Thomas Wagner) The Transition from Literary Horror to Existential Nightmare in Thomas Ligotti's Nethescorial (Matt Cardin) The Dark Beauty of Unheard of Horrors (Thomas Ligotti)

Liminal Terror and Collective Identity in Thomas Ligotti's *The Shadow at the Bottom of the World* (Matt Cardin) *Twilight Twilight Nihil Nihil: Thomas Ligotti and the Post-Industrial English Underground* (William Burns) *Soft Black Star: Some Thoughts on Knowing Thomas Ligotti* (David Tibet) *The Dream Quest of Thomas Ligotti: a Study of In a Foreign Town, In a Foreign Land* (Ben P. Indick) *Ligotti's Corporate Horror* (Darrell Schweitzer) *Thomas Ligotti: Escape from Life* (S. T. Joshi)

A Thomas Ligotti Bibliography (Douglas A. Anderson)

Noty o autorach oraz index

PUBLIKACJE ROZPROSZONE:

- [Gale Reference Team], *Biography - Ligotti, Thomas (Robert) (1953-)* [artykuł], *Contemporary Authors Online* (Gale Literature Collections).

- Bell Brandon H., *This Inscrutable Light: A Response to Thomas Ligotti's The Conspiracy Against the Human Race*, w: „*Fantastique Unfettered*”, nr 4 (grudzień 2011).

- Blackmore Leigh, *A Puppet's Parody of Joy: Dolls, Puppets, and Mannikins as Diabolical Other in Ramsey Campbell*, w: *Ramsey Campbell: Critical Essays on the Modern Master of Horror*, Scarecrow Press, Lanham (Maryland) 2013.

Cardin Matt, *The Master's Eyes Shining with Secrets: H.P. Lovecraft's Influence on Thomas Ligotti*, w: „*Lovecraft Annuar*”, (październik 2007). Także na *Thomas Ligotti Online* [dostęp: 3 kwietnia 2005], dostępny: <<http://www.ligotti.net/showthread.php?t=218>>”<http://>

[www. 1 igotti. net/showthread .php? t=218](http://www.1igotti.net/showthread.php?t=218)>.

- Connors Scott, Thomas Ligotti, w: *Supernatural Literature of the World: An Encyclopedia*, S. T. Joshi oraz Stefan Dziemianowicz, red., Greenwood Press, Westport (Connecticut) 2005.

- Curtis Nick, Notes on Time Displacement and Memory Loss in Crampton, w: „Studies in Modern Horror Magazine”, nr 2 (2004).

- Dziemianowicz Stefan R., Anecdotes of Some Obscure Heli: An Appreciation of Thomas Ligotti, w: „Tekeli-Li!”, nr 4 (październik 1992).

French Aaron J., Thomas Ligotti: Alchemist of Weird Fiction, w: „Dark Discoveries”, nr 20 (wiosna 2012).

- French Aaron J., Thunder Perfect Minds: Thomas Ligotti and Current 93, w: „Dark Discoveries”, nr 22, (styczeń 2013).

- Gavin Richard, Enter The Nightmare Factory, agraphic novelization of Thomas Ligotti stories, w: „Rue Morgue”, nr 72 (styczeń 2007).

- Hall Sharon, Thomas Ligotti, 1953 , w: *Contemporary Literary Criticism*, tom 44, Gale Research, Detroit (Michigan) 1987.

- Harris Jason Marc, Smiles of Oblmon: Demonie Clowns and Doomed Puppets as Fantastic Figures of Absurdity, Chaos, and Misanthropy in the Writings of Thomas Ligotti, w: „The Journal of Popular Culture”, tom 45, nr 6 (grudzień 2012).

- Hickman S. C. Epicure of Pessimism: The Horror of Thomas Ligotti [online], Dark Chemistry [blog], 6 listopada 2010 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://earth-wi->

[earth-wizard
Livejournal.com/37289.html](http://earth-wizard.livejournal.com/37289.html)>. Hickman S. C., *The Miserahlist: Thomas Ligottis Puppet Philosophy* [online], *Dark Chemistry* [blog], 26 grudnia 2010 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://earth-wizard.livejournal.com/50267.html>>.

- Langan John, *Thomas Ligotti's Metafictional Mapping: The Allegory of the Last Feast of Harlequin*, w: „*Lovecraft Annual*”, nr 1 (październik 2007).

- Lane Joel, *The Ruins of Reality: Thomas Ligotti and the uses of disenchantment*, w: „*Wormwood*”, nr 14 (wiosna 2010).

- Mariconda Steven J., *The Ligotti Phenomenon*, w: „*Necrofile*”, nr 4 (wiosna 1992).

- Morris Harry O., *Electro-Dynamics for the Beginner: An Appreciation of Tom Ligotti*, w: „*Tekelili!*”, nr 4 (październik 1992).

- Panayotov Stanimir, *Ask the Puppet*, w: „*Journal for Polics, Gender and Culture*”, tom 8 / nr 2 (lato 2011).

- Stableford Brian [notka o Thomasie Ligottim], w: Pringle David, red., *St. James Guide to Horror, Ghost & Gothic Writers*, St. James Press, Detroit, (Michigan) 1998.

- Samuels Mark, *Everything Ends in a Greater Blackness: Some Remarks on the Fiction of Thomas Ligotti*, w: „*Wormwood*”, nr 1 (2003).

- Sheedy Alessandro, *Excavating the Void: Nonhuman Archive Stories in H. P. Lovecraft's The Call of Cthulhu and Thomas Ligotti's Nethescorial*, w: „*Monstrous Geographies, 2nd Global Conference. Session 3: Spatial Monstrosity*” (maj 2013).

- Swanick Michael (i inni), Thomas Ligotti 1953 [zbiór artykułów], w: Segal Davis, red., *Short Story Criticism: Volume 16: excerpts from criticism of the works of short fiction writers*, Gale, Detroit (Michigan) 1994.

Thacker Eugene, *We Are Not From Here* [online], metamute.org, 19 marca 2013 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny:

<<http://www.metamute.org/editorial/occultural-studies-column/we-are-not-here>>
<<http://www.metamute.org/editorial/occultural-studies-column/we-are-not-here>>.-
Tompkins Stephen, *The Nemesis of Mimesis: Thomas Ligotti, Worlds Elsewhere, and the Darkness Ten Times Black*, w: „*Studies In Modern Horror*”, nr 4 (2006).

- Trafford James, *The Shadow of a Puppet Dance: Metzinger, Ligotti and the Illusion of Selfhood*, w: „*Collapse*”, tom IV (2008).

- Woodard Ben, *Mad Speculation and Absolute Inhumanism: Lovecraft, Ligotti, and the Weirding of Philosophy* [online], *Continent*, nr 1.1, 13 marca 2011 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://www.continentcontinent.cc/index.php/continent/article/view/14>>
<<http://www.continentcontinent.cc/index.php/continent/article/view/14>>.

LITERATURA DEDYKOWANA

The Grimscribe's Puppets [zbiór opowiadań składający hołd twórczości Thomasa Ligottiego], Miskatonic River

Press, Lakeland (Florida) 2013, redakcja oraz wstęp:
Joseph S. Pulver, Sr.

Spis treści:

- Introduction (Joseph S. Pulver, Sr.)
- Furnace* (Livia Llewellyn)
- The Lord Came at Twilight* (Daniel Mills)
- The Secrets of the Universe* (Michael Cisco)
- The Human Moth* (Kaaron Warren)
- Basement Angels* (Joel Lane)
- No Signal* (Darrell Schweitzer)
- The Xenambulist: A Fable in Four Acts* (Robin Spriggs)
- The Company Town* (Nicole Cushing)
- The Man Who Escaped This Story* (Cody Goodfellow)
- Pieces of Blackness* (Michael Kelly)
- The Blue Star* (Eddie M. Angerhuber)
- 20 Simple Steps To Ventriloquism* (Jon Padgett)
- The Holiness of Desolation* (Robert M. Price)
- Diamond Dust* (Michael Griffin)
- After the Final* (Richard Gavin)
- Eyes Exchange Bank* (Scott Nicolay)
- By Invisible Hands* (Simon Strantzas)
- Where We Will All Be* (Paul Tremblay)
- Gailestis* (Allyson Bird)
- The Prosthesis* (Jeffrey Thomas)
- Into the Darkness, Fearlessly* (John Langan)
- Oubliette* (Gemma Files)

BIBLIOGRAFIA PO POLSKU

OPRACOWAŁ: MATEUSZ KOPACZ

LITERATURA PODMIOTU¹⁸

The Shadow, the Darkness

Jako Cień i ciemność, przeł. Zbigniew A. Królicki, w: Al Sarrantonio, red., 999, tom 1, Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz, Warszawa 2001, s. 397-434.

The Conspiracy against the Human Race [fragmenty]

[Ja], przeł. Aleksander Więckowski, [online] Zacmienie.org, 12 lipca 2007 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny:

<<http://zacmienie.org/ja/>>

[Niesamowitość], przeł. Aleksander Więckowski, [online] Zacmienie.org, 21 października 2010 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny:

<<http://zacmienie.org/niesamowitosc/>>

Horror Stories: A Nightmare Scenario

Jako *Opowiadanie grozy - scenariusz koszmaru*, przeł.

Aleksander Więckowski, [online] Zaćmienie.org, 25 stycznia 2008 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://zacmienie.org/opowiadanie-grozy-scenariusz-koszmaru/>>".

Nethescurial

Jako *Nethescurial*, przeł. Paulina Braiter, w: „Nowa Fantastyka”, nr 11/2009, s. 32-37.

The Medusa

Jako *Meduza*, przeł. Ilona Romanowska, w: Stephen Jones, red., Wielka księga potworów, tom I, Fabryka Słów, Lublin 2010, s. 206-237.

In a Foreign Town, In a Foreign Land: A Soft Voice Whispers Nothing

Fragment jako *Łagodny głos szepce: Nic*, przeł. Aleksander Więckowski, w: „Trans:wizje”, nr 2/2012, s. 48-51.

The Sect of the Idiot

Jako *Sekta idioty*, przeł. Mateusz Kopacz, w: „Coś na Progu”, nr 4 (wrzesień-październik 2012), s. 44-49.

Wywiad z Thomasem Ligottim

Część 1 w: „Coś na Progu”, nr 4 (wrzesień-październik

2012), rozmowę przeprowadził Sławomir Wielhorski, przeł. Mateusz Kopacz, s. 57-61; część 2 w: „Coś na Progu”, nr 5 (listopad-grudzień 2012), rozmowę przeprowadził Sławomir Wielhorski, przeł. Mateusz Kopacz, s. 41-45.

Notes on the Writing of Horror: A Story

Jako *Uwagi w temacie pisania horroru: opowiadanie*, przeł. Mateusz Kopacz, w: Po drugiej stronie - weird fiction po polsku, Agharta, Kraków 2013, s. 378-397.

My Work Is Not Yet Done [fragmenty]

[Kerrie], przeł. Wojciech Gunia, [online] Labirynt z Liści, 10 lipca 2013 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://labiryntzlisci.blogspot.com/2013/07/kerrie-thomas-ligotti-my-work-is-not.html>><http://labiryntzlisci.blogspot.com/2013/07/kerrie-thomas-ligotti-my-work-is-not.html> >.

[*Przemiana*], przeł. Wojciech Gunia, [online] Labirynt z Liści, 11 lipca 2013 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://labiryntzlisci.blogspot.com/2013/07/przemiana-thomas-ligotti-my-work-is-not.html>><http://labiryntzlisci.blogspot.com/2013/07/przemiana-thomas-ligotti-my-work-is-not.html> >.

Mrs. Rinaldi's Angel

Jako *Anioł pani Rinaldi*, przeł. Wojciech Gunia, w: „Trans:wizje”, nr 5/2014, s. 32-37.

Mówią, że powinienem się zabić, by nie psuć innym radości życia [wywiad], rozmowę przeprowadził i przeł. Wojciech Gunia w: „Trans:wizje”, nr 5/2014, s. 28-31.

My Work Is Not Yet Done

Jako: *Jeszcze nie skończyłem*, przeł. Jakub Małecki, w: „Fantastyka”, wydanie specjalne, nr 4 (45) 2014, s.50.

LITERATURA PRZEDMIOTU

- Cardin Matt, *Oczy mistrza jaśnieją tajemnicami: H. P. Lovecraft oraz jego wpływ na Thomasa Ligottiego (The Master's Eyes Shining with Secrets: H.P. Lovecraft and His Influence on Thomas Ligotti)*, przeł. Mateusz Kopacz, [online] H. P. Lovecraft - Polski serwis, 11 stycznia 2013 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://www.hplovecraft.pl/hplovecraft/artykuly/oczy-mistrza-jasnieja-tajemnicami/>>.

- Gunia Wojciech, *Wszyscy pracujemy dla Organizacji Quine* [omówienie wątków z opowiadań *Our Temporary Supervisor* oraz *My Case for Retributive Action* (odpowiednio: *Nasz tymczasowy nadzorca* oraz *Motywy moich działań odwetowych* z niniejszego zbioru), online], Labirynt z Liści, 6 listopada 2011 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://labiryntzlisci.blogspot.com/2011/11/wszyscy-pracujemy-dla-organizacji-quine.html>>.

- Gunia Wojciech, *Labirynt zapożyczeń, labirynt fikcji*

[omówienie opowiadania *Purity* (Czystość z niniejszego zbioru), online], Labirynt z Liści, 14 listopada 2011 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://labiryntzliści.blogspot.com/2011/11/labirynt-zapozyczen-labirynt-fikcji.html>>.

- Gunia Wojciech, *Thomas Ligotti: topografia koszmaru*, w: „Trans:wizje”, nr 2/2012, s. 45-48.

- Trafford James, *Cień tańca marionetki - Metzinger, Ligotti i złudzenie „ja”* [fragment] (*The Shadow of a Puppet Dance: Metzinger, Ligotti and the Illusion of Selfhood*), przeł. Aleksander Więckowski, [online] Zacmienie.org, 11 listopada 2008 [dostęp: 20 czerwca 2014], dostępny: <<http://zacmienie.org/cien-tanca-marionetki/>>.

LITERATURA DEDYKOWANA

Antologia *Po drugiej stronie - weird fiction po polsku* (między innymi opowiadania: *Fikcja na ulicy Krzywej Pawła Matei*, *Wojna* Wojciecha Guni, *Żart* Mikołaja Zalewskiego oraz *Żegnaj Melhizahet* Bartosza Orlewskiego), Agharta, Kraków 2013.

PRZYPISY

1)

Polski cytat na podstawie wydania: *Bruno Schulz, Proza, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1973, s. 76.*

2)

Aby polskiemu czytelnikowi nie uciekło dodatkowe znaczenie słowa „ściek” w kontekście tytułowej postaci, warto nadmienić, że po angielsku „ściek podziemny” to *sewer*.

3)

Poniższa bibliografia zawiera spisy treści nowszych, często obszerniejszych wydań (poprawionych przez Thomasa Ligottiego; wraz z obszerną listą wywiadów z Ligottim, publikacjami rozproszonymi autora oraz publikacjami nt. jego twórczości. W przypadku gdy różne wydania jednej książki różniły się nieco zawartością, gwiazdką („*”) oznaczono to wydanie, którego spis treści został zamieszczony w bibliografii pod danym tytułem. Niezwykle pomocna przy uzupełnieniu elementów bibliografii była praca Douglasa A. Andersona (aktualna do kwietnia 2005). Bibliografia Andersona zawiera ponadto listę pierwotnych publikacji poszczególnych opowiadań pojawiających się w zbiorach i dostępna jest na Thomas Ligotti Online: http://www.ligotti.net/showthread.php?t=223#content_start. Dodatkowe podziękowania za pomoc przy tworzeniu niniejszej pracy należą się Thomasowi Ligottiemu, Benedettowi Donatelliemu oraz Mirosławowi Lipińskiemu.

4)

Wydanie nie zawiera wstępu Ramseyego Campbella.

5)

Dział ze szkicami, Part Three: Notebook of the Night, w wydaniach Robinson, Carroll & Graf oraz Subterranean Press różni się zawartością, przy czym niektóre szkice noszą odmienne tytuły. Spis przedstawia pełną zawartość najobszerniejszego wydania z Subterranean Press. W poprzednich wydaniach tego działu pojawiał się również utwór pt. Invocation to the Void.

6)

Wiersz nosi tytuł: Good-Tom-Go-Lightly.

7)

W wydaniu Silver Salamander Press jako Eternal Devotion of the Governess to the Residents of Bly.

8)

W skład zbioru wchodzi większość utworów z Songs of a Dead Dreamer, Grimscribe: His Lives and Works oraz Noctuary.

9)

Opowiadanie, nie mylić z wierszem Thomasa Ligottiego pod tym samym tytułem.

10)

Płyta zawiera cykl sześciu wierszy napisanych i wyrecytowanych przez Ligottiego: The Player Who Takes No Chances; You Do Not Own Your Own Head; No One Knows The Big News; Welcome To Ihe Unholy City; The Name Is Nothing; Nobody Is Anybody.

11)

W pierwotnej wersji był to scenariusz do jednego z odcinków Z Archiwum X i opublikowany został na stronie internetowej Thomas Ligotti Online. Obecnie nie jest już dostępny.

12)

Wstęp powstał na podstawie fragmentu eseju *The Conspiracy Against the Human Race*.

13)

Rozdział występujący wyłącznie w wydaniu Durtro Press.

14)

Cykl wierszy, w skład których wchodzi: *What Good is Your Head?*; *What Happens to Faces*; *What Becomes of the Body, It's Okay*; *It's All Right*; *There is Nothing to Know*; *Those Were Not the Days*; *Any Place But Here, Any Time But Now*; *There Is Nothing to Do, Skull Crushing*; *Insanity and Nothingness*; *From Nothing to Blackness*; *The Sellers* oraz *And Aren't You Glad*.

15)

Spis przedstawia pierwotne publikacje wywiadów niewydrukowanych w *The Thomas Ligotti Reader: Essays & Explorations*, *Born to Fear: Interviews with Thomas Ligotti* oraz innych publikacjach wymienionych w bibliografii. Duża część z nich jest obecnie dostępna na *Thomas Ligotti Online*.

16)

W wydaniu Durtro Press dział ten zastępował *My Own Death Poems* zawierający puste strony.

17)

Scenariusz RPG do gry *Call of Cthulhu*, oparty na opowiadaniu *The Journal* ot J. P. Drapeau i włączony później w skład *Horroru w Orient Expressie*, wydane przez Chaosium w 1991 oraz w Polsce przez Wydawnictwo MAG w 1997 roku.

18)

W spisie pominąłem internetowe publikacje tłumaczeń opowiadań, które zawarte są w tej książce, gdyż wszystkich dokonały te same osoby, co w niniejszej publikacji.

